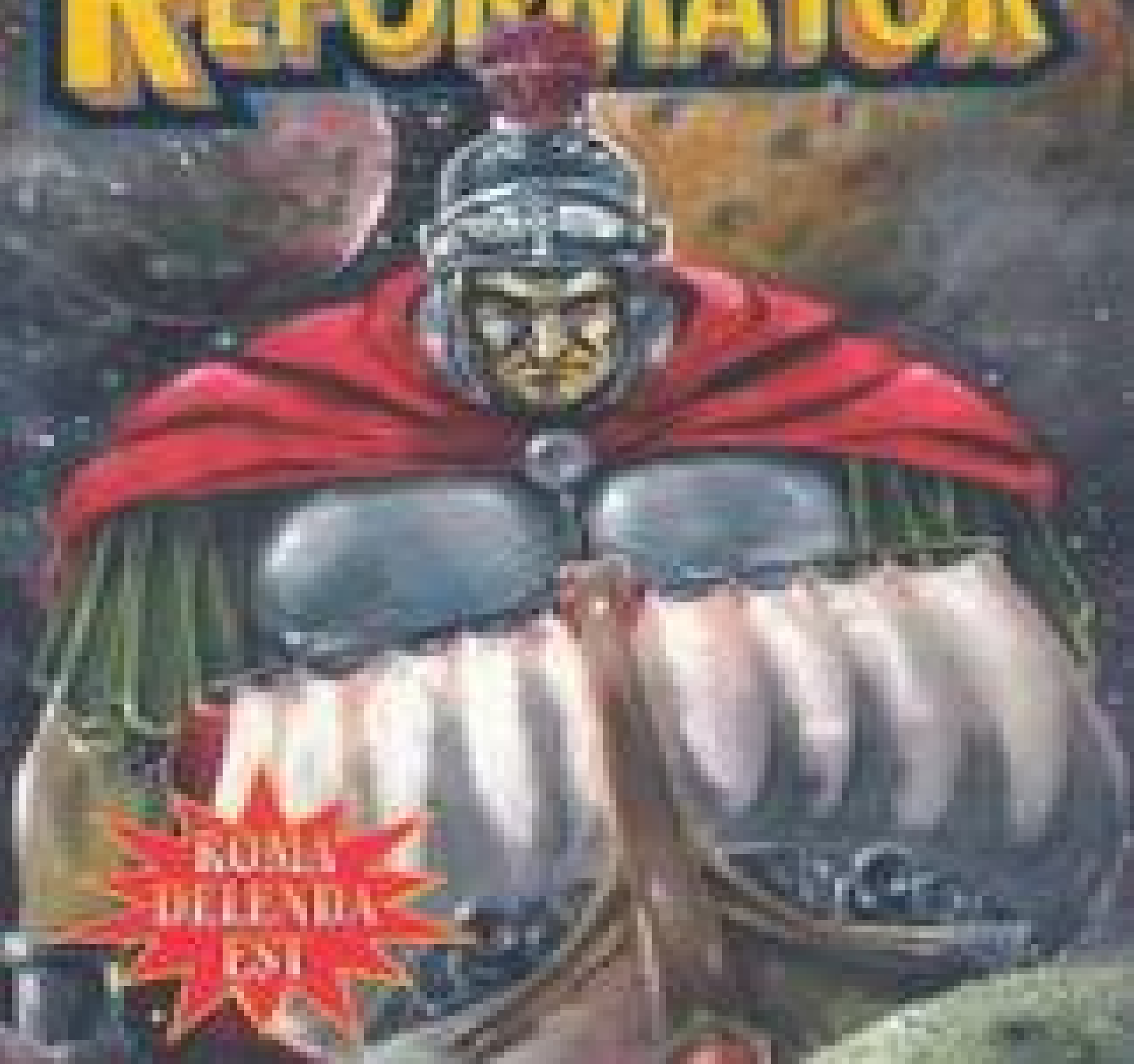


**S.M. STIRLING**

**REFORMATOR**



**DAVID DRAKE**



**S.M. STERLING**

**DAVID DRAKE**

# REFORMATOR



# REFORMATOR

Tytuł oryginału: THE REFORMER

Copyright © 1999, 2005 S.M. Stirling i David Drake. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Prawa do wydania polskiego należą do ISA Sp. z o.o., Warszawa 2005.

Ilustracja na okładce: Marcin Nowakowski

Mapy: Preston Wilson

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe.

Książka jest chroniona polskim i międzynarodowym prawem autorskim.

Jakikolwiek jej powielanie lub nieautoryzowany użytek jej zawartości jest niedozwolone bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Marta Koniarek

Korekta: Tomasz Ząbkowski

Skład: Jarosław Polański

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

ISA Sp. z o.o.

Al. Krakowska 110/114

02-256 Warszawa

tel./fax (0-22) 846 27 59

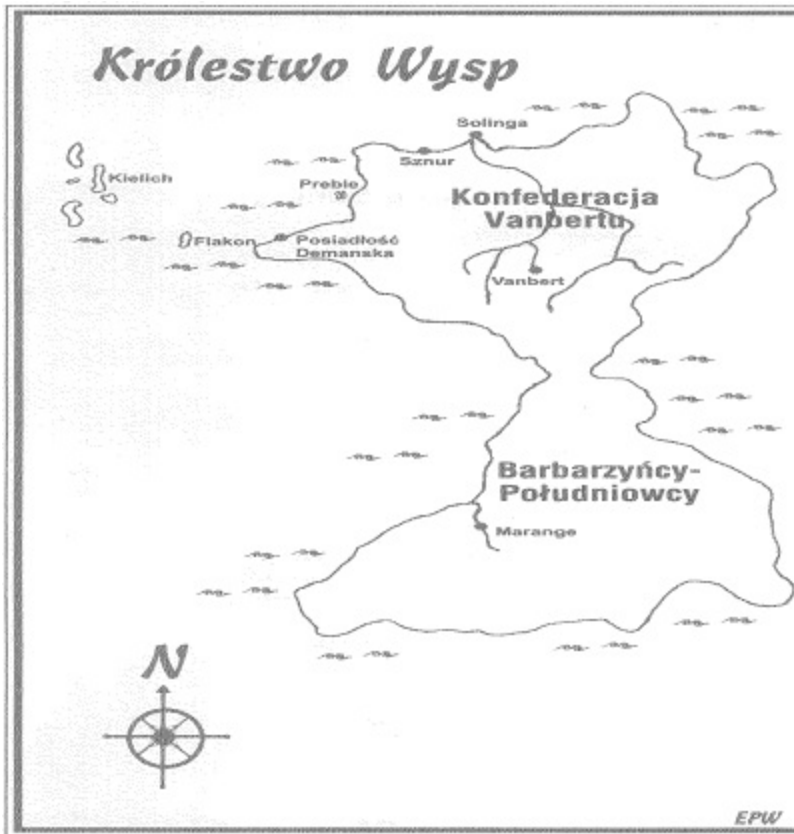
e-mail: isa@isa.pl

ISBN: 83-7418-046-3

*Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej*



# Dla Marjorie Stirling



## Spis treści

S

pis treści . . . . .

R

ozdział pierwszy . . . . .7

R

ozdział drugi . . . . .2

8

R

ozdział trzeci . . . . .5

5

R

ozdział czwarty . . . . .6

4

R

ozdział piąty . . . . .7

9

R

ozdział szósty . . . . .1

00

R

ozdział siódmy . . . . .1

33

R

ozdział ósmy . . . . .1

56

R

ozdział dziewiąty . . . . .1

68

R

ozdział dziesiąty . . . . .1

84

R

ozdział jedenasty . . . . .1

91

R

ozdział dwunasty . . . . .2

06

R

ozdział trzynasty . . . . .2

20

E

pilog . . . . .2

24

## **Rozdział pierwszy**

Wysoki Gród Solinga stanowił niegdyś jądro starożytnego miasta; najpierw był zamkiem lorda-dowódcy, a potem siedzibą rady miejskiej. Trzy wieki temu, gdy Solinga była stolicą Szmaragdowej Ligi, kilka milionów arnketów w tajemniczy sposób zawędrowało do funduszu budowlanego mającego na celu przerobienie grodu na przybytek miejskich bogów - przede wszystkim Szarookiej Pani Gwiazd.

*Dobrze skradzione i wydane pieniądze*, pomyślał Adrian Gellert, gdy procesja wspięła się na szerokie, marmurowe schody prowadzące na płaskowyż. Z prawą dłonią wsuniętą w fałdy śnieżnobiałej szaty, trzymając w lewej zwój ze złotą nasadką, świadczący o tym, iż jest uczonym z Gaju, Adrian utrzymywał powolny, nobliwy krok, odpowiedni do religijnej uroczystości. Wokół niego krążyły i powrzaskiwały mewy. Przed nim piętrzyły się złote dachy, stały kremowe marmurowe kolumny oraz wielki, wysoki na czterdzieści stóp posąg



Panienki - trzymającej w górze włócznię zakończoną brązowym grotem, mającą prowadzić żeglarzy do domu. Za nim widniała szara codzienność Solingi, śmierdząca rybami, odpadkami i morską solą; wąskie, kręte uliczki i pobielone, łuszczące się ściany z wyrabianych z błota cegieł, gonty dachów, i tylko tu i ówdzie mury, kolumnady i ogrody na dziedzińcach bogaczy. Tutaj jednak, pośród woni kadzideł i lekkich, srebrzystych tonów ręcznych dzwonek, znajdował się ideał, któremu ta codzienność służyła.

*Moż e i utraciliś my potęgę naszych przodków, lecz przynajmniej moż emy powiedzieć : sami daliś my bogom to, co boskie,* pomyślał z melancholijną dumą, odsuwając od siebie niepokój i żal związane z pogrzebem ojca.

Procesja się zatrzymała, gdy stanął przed nimi kapłan, a obsyty błękitem fałd przypominającej narzutę komży był niczym kaptur nad jego głową. - Dlaczego przybywacie do tego świętego miejsca?

- Aby oddać cześć bogini, jak godzi się śmiertelnikom - rzekł stryj Adriana, przemawiając jako najstarszy mężczyzna z klanu Gellertów. Poza tym to on płacił za tę uroczystość. - W intencji Ektara Gellerta, wolnego obywatela tego miasta, aby Panienska osądziła go łaskawie. W imieniu jego synów, Esmonda i Adriana Gellertów, aby ona czuwała nad nimi w chwilach życiowych prób.

- Chodźcie zatem i oddajcie jej cześć.

Procesja ruszyła: Adrian, jego brat Esmond, stryjowie, kuzyni, dziadkowie, żałobnicy oraz wynajęci muzycy idący z tyłu i grający na dudach i lirach. Pielgrzymi, kapłani i obywatele składający ofiary rozstępowali się przed nimi. Ich sandały szurały po powierzchni obramowanych złotem płyt z zielonego marmuru o białym żyłkowaniu. Przeszli obok Plinty Zwycięstw, ogromnej kolumny wysadzonej dziobami pochwyconych okrętów wojennych, obok zbudowanego z czarnego bazaltu chramu boga wojny Wodepa, różowo-złotego marmuru Etata Ojca Wszystkich i doszli do wielkiego, usytuowanego na wzniesieniu prostokąta chramu Panny. Była to prosta konstrukcja z ogromnych, białych kolumn, z których każda kończyła się feerią złotych liści akantu. Dach składał się z dachówek z zaśnieżonej miedzi, a wszędzie dokoła, od przyczółka po architrav, biegły mozaikowe płyty wykonane ze złoconego szkliwa, lapis lazuli, bursztynu i półszlachetnych kamieni. Niektóre przedstawiały boginię przekazującą ludziom dary - ogień, pług, oliwę, statki, sztukę pisania. Inne ukazywały sceny z odbywającego się co pięć lat festiwalu: rycerzy z miasta na velipadach, panny roku

przynoszące wielki wyszywany szal, oraz nagich i dumnych lekkoatletów.

- Ruszajcie zatem - rzekł kapłan.

Gorące węgle płonęły na dwóch wysokich trójnogach z płaskorzeźbami z brązu. Esmond i Adrian z powagą weszli po schodach. Każdy wziął od akolitów srebrną misę i posypał strużkę przezroczyстых ziarenek na żarzące się białością dno naczynia. Wzbił się wonny dym, gryzący i ostry.

Pozostali postawili fałdy swoich opończy, aby przykryć głowy, gdy kapłan wznosił ręce. Księżyc Bogini był widoczny ponad szczytami dachu; o tej porze pozostałe dwa księżyce znajdowały się za horyzontem. Stryj Adriana poprowadził do przodu ofiarę - wielkobestię o białych piórach, z czterema połączanymi rogami okrzęconymi wieńcami mirtu. Posłusznie podeszła do ołtarza - *odurzona*, pomyślał Adrian: nie było sensu prosić się o zły omen - i zwała się niemal bezgłośnie, gdy szeroki topór trafił z mokrym, ciężkim łupnięciem w jej szyję.

Powoli otworzyły się wysokie, hebanowo-srebrne drzwi świątyni, tocząc się bezgłośnie na łożyskach z brązu. Adrian odruchowo wymruczał w duchu trzy cytaty oraz epicki wiersz o budowaniu Świątyni Panny; wszystkie one opisywały rezultat, i wszystkie, z tego, co wiedział, niedokładnie. Obiekt kultu wysunął się na szynach z brązu, osadzonych w mozaikowym marmurze posadzki. Był on ukryty w kapliczce zbudowanej z drewna cedrowego i srebra, ozdobionej ze wszystkich stron księżycami w pełni. Po dotknięciu, ścianki opadły w dół, odsłaniając czarną, żużlową skałę, wyglądającą miejscami metalicznie, ze śladami rdzy - był to meteoryt, i to bardzo starożytny meteoryt.

Adrian Gellert już dawno został wyszkolony w przykazaniach Gaju: bóg to liczba i forma, a wszystkie pomniejsze wizerunki są jedynie jego podobiznami i wyobrażeniami ludzi niezdolnych do pojęcia Jedyne. Bóg nie musi czynić, a jedynie być - lecz Adrian i tak odczuwał cień nabożnego podziwu, wyciągając rękę. A dżentelmen oczywiście okazywał szacunek wobec starożytnych kultów.

- Uczony z Gaju...

Adrian uniósł zwój w lewej ręce.

- Uczony klingi...

Jego brat Esmond uniósł miecz w pochwie.

- Przyjmijcie błogosławieństwo bogini, waszej patronki.

Adrian przyknuł oczy, a jego dłoń spoczęła na świętej skale. Skala była chłodna, chłodniejsza niż być powinna i...

\* \* \*

*Gdzie jestem? Gdzie jestem?*

*Myś lał, że wykrzyczał te słowa, nie miał jednak płuc. Ani oczu, bowiem z pewnością cię nawet najciemniejsza noc na dnie kopalni srebra w Kwiatowym Wzgórzu była jaś niejsza niż to. Był tylko lękiem, zdany na łaskę i wiatu i rodka nocy. Udar. Atak serca.*

*Uspokój się, pomyślał ostro. Pamiętaj, że wszystko, co może się stać, może się przydarzyć także i tobie. Wszyscy ludzie poznają przedsmak śmierci.*

Takie pocieszenie płynęło z filozofii, lecz było dość trudno o tym pamiętać, gdy miało się tylko dwadzieścia jeden lat.

Światło. Zamrugał... i zobaczył pokój. Urządzony w obcym stylu, wypełniony dziwnymi wyściełanymi meblami, stoły i krzesła wykonane były na subtelnie cudzoziemską modłę, a w obramowanym ceglami miejscu w jednej ze ścian płonął ogień. Stał tam mężczyzna, ciemnolicy, z czarnymi włosami ściętymi „na donicę”. Miał dziwne ubranie, nieco przypominające te noszone na Zachodnich Wyspach, a nawet pośród barbarzyńców-Południowców: spodnie - oznaka dzikusa - dziwnie skrojoną niebieską kurtkę z wiszącymi z tyłu połami. Na stole leżała zakrzywiona szabla i olstra z czymś przypominającym narzędzie stolarza.

*Albo zwariowałem, albo wydarzyło się coś bardzo dziwnego, pomyślał Adrian. Był świadom własnego przerażenia, lecz było ono odległe, przytłumione. Spojrzał na siebie i znowu tam był - nie w śnieżnobiałej, udrapowanej, uroczystej szacie, lecz w codziennej tunice, z różkiem na atrament i piórnikiem wiszącymi mu u pasa.*

- Adrianie Gellercie - odezwał się dziwnie ubrany mężczyzna; mówił dobrym szmaragdowym, ze śladem delikatnego akcentu. - Czego pragniesz?

W Akademii nauczano za pomocą pytań. Adrian zamknął usta, powstrzymując się od pytań, od wyrażenia przelotnych, efemerycznych pragnień dnia powszedniego i obaw związanych z przedwczesną śmiercią ojca. To pytanie wymagało powiedzenia *prawdy*. Może dawne opowieści o boskiej interwencji w ludzkie życie były prawdziwe.

- Chcę *wiedzieć* - wykrztusił.

Ciemnolicy mężczyzna skinął głową.

\* \* \*

- Wspaniała kolacja. Wielkie dzięki, Samulu - powiedział Esmond ze swojej otomany po drugiej stronie stołu.

Adrian skinął głową i wymruczał coś. Jego szwagier, Samul Mcson, był świetną partią dla jego siostry Alzabety. Świetną na swój sposób; rodzina Mcsonów dorobiła się na handlu barwnikami i miała wytwórnię sosu rybnego, a ich wyroby sprzedawano pod ich nazwiskiem aż w Vanbercie, stolicy Konfederacji. Adrian nigdy nie lubił tego człowieka, a szydery uśmiezek goszczący na grubych, mięsistych rysach twarzy Samula pokazywał, iż uczucie to było odwzajemnione. Na przedzie szaty kupca, zrobionej z różowego jedwabiu z Zachodnich Wysp widniał sos miodowy. *Pewnie przywiózł ją na jednym ze statków ojca*, pomyślał Adrian, uśmiechając się i kiwając głową swemu gburowatemu krewnemu.

Służbą - świta Mcsona, jako że członkowie orszaku Gellertów się rozeszli - uprzątnęła owoce, ciasta i sery; obiad był tradycyjny, od orzechów aż po jabłka. Zorganizowany z umiarem, przynajmniej jak na standardy Konfederacji; proste gusta starożytnych Szmaragdowców przetrwały tylko w ich podejściu do kwestii szkolenia kadetów i w jadalniach Akademii. Kawałki mięs i okrawki zostaną rozdane przy drzwiach biednym z miasta, którzy zbierali się zawsze, gdy nad drzwiami zawieszano ozdobioną wieńcem głowę wielkobestii, czyniąc to na znak, iż domostwo złożyło ofiarę.

Adrian dolał wody do swojego wina i polał małą libację<sup>1</sup> na maty wyłożone na posadzce. Mężczyzna zdusił ukłucie mało filozoficznego gniewu na ojca. Ojciec zmarł w nieodpowiednim momencie. Interesy szły dobrze, lecz cały kapitał opierał się na reputacji,

<sup>1</sup> Libacja - w starożytnym Rzymie, kilka kropel napoju wylewanego w celu oddania czci bogom, (przypis

tłum.)

kontaktach i bieżącym handlu, a żaden z synów Gellerta nie miał ochoty zająć się morskim transportem na Zachodnie Wyspy. Ich ojciec, w każdym razie, nie chciałby nawet o tym słyszeć. Po cóż cała jego niegodna praca, jeśli nie po to, aby zapewnić synom możliwość bycia uczonymi i sportowcami, dżentelmenami w Solindze, największym z miast Szmaragdu. Jednak zmarło mu się przedwcześnie. Same tylko materialne aktywa ledwo co starczyły na pokrycie długów, na posag dla najmłodszej siostry i skromne, lecz przyzwoite życie dla ich matki. Młodszy Gellertowie będą musieli przerwać swą edukację i znaleźć własne miejsce w świecie.

Rozejrzał się po pomieszczeniu; dwa tuziny gości rozpartych na otomanach, z których

część wypożyczono na tę okazję. Była to letnia jadalnia dla mężczyzn, z jednej strony otwarta na ogród, ze staroświeckimi freskami na ścianach, przedstawiającymi dziką zwierzynę, ryby i owoce. Z ciemnego dziedzińca napływała woń róż i jaśminu oraz dochodzący z fontanny plusk wody. Większość gości stanowili starsi mężczyźni, przyjaciele ojca lub osoby, z którymi robił interesy. Esmond leżał wsparty na łokciu naprzeciw niego, jego opończa była rozchylona, ukazując twarde mięśnie piersi i ramienia, opalone na kolor starego bukowego drewna. Sprawiało to, iż jego złote jak zboże, opadające na plecy włosy jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Był to rzadko spotykany kolor u Szmaragdowca i jedyna rzecz, poza niebieskimi oczami, jaką mieli wspólną w budowie fizycznej.

*Ja jestem właś ciwie chuderlawy*, pomyślał Adrian. A przynajmniej był niski i odznaczał się tylko średnią sprawnością w sportowej części dwuletniego kursu szkolenia kadetów, jakiemu po skończeniu osiemnastki musiał się poddać każdy dobrze urodzony młody solingianin. Kiedyś było to przygotowanie do służby wojskowej, lecz już dawno temu, za czasów jego pradziadka, przestało to być istotne, kiedy to armie Konfederacji podbiły ziemie Szmaragdu.

Służba wniosła kolejne dwa dzbany wina, wysokie na jard, z podwójnymi sznurowymi uszami i spiczasto zakończonym dnem. Wino wylano z pluskiem do wielkiej, pękatej kadzi; światło oliwnych lamp zamigotało na radosnym obrazku z ucztą, namalowanym na czerwonej glinie. Scena nie przypominała dzisiejszej kolacji żałobnej. Dzisiaj nie było żadnych grających na fletach dziewcząt, tancerek czy akrobatów, jako że tak by się nie godziło. Jego ojciec nie wynajmował ich na większość swoich przyjęć. *Takie rzeczy są dla ludzi, którzy nie mają nic do powiedzenia*. Adrian uśmiechnął się lekko, wspominając tubalny, chrapliwy głos i twarz ogorzałą od dwudziestu lat wystawiania na morską pogodę i działanie słonej wody.

- Przepraszam - wymruczał. Trzy części wina na jedną wody i rozmowy stały się głośniejsze.

W ogrodzie było ciepło i panowała cisza, światło gwiazd i dwa księżycy oświetlały ceglane ścieżki ciągnące się pomiędzy grządkami ziół i kwiatów. Ogród nie był duży, miał zaledwie pięćdziesiąt kroków szerokości, lecz wokół muru stały wysokie cyprysy rzucające kałuże egipskich ciemności. Basen i fontanna lśniły srebrem. Przechodząc, dostrzegł paszcze i macki ozdobnych pływaków wynurzających się na powierzchnię w nadziei na parę

okruszków chleba. Przy krańcu ogrodu znajdowała się niewielka pergola - łuk wiklinowych prętów pokrytych kwitnącą winoroślą, a pod nim kamienne siedzisko i osadzona w murze maska bogini jako patronki mądrości.

*Było to miejsce dające najwięcej prywatności w domu.* Może poza pokojami kobiet, a sądząc po dobiegającym z nich hałasie, kobieca część przyjęcia robiła się bardziej ożywiona niż męska. Często przychodził na tę ławkę, aby poczytać, pomedytować i porozmyślać.

- Jeśli chcesz mówić - jeśli jesteś czymś więcej niż tylko wytworem mojego umysłu - to mów - wymruczał.

»Nie musisz ubierać swoich myśli w słowa« odparł zimny, nieubłagany głos w jego głowie. Odczuwał jego... wagę, jakby wkładał w słowa więcej znaczenia niż te zwykle niosły.

»Po prostu wypowiadaj je w duchu.«

Adrian zrobił tak, choć nie było to łatwe zadanie... lecz wyćwiczył się przecież w czytaniu bez mówienia, a nawet poruszania ustami, co było rzadko spotykaną umiejętnością nawet wśród uczonych.

*Kim jesteś ?*

»Jesteśmy« odpowiedział ten drugi głos, głos dziwnego, ciemnonicego mężczyzny.

»Jestem Raj Whitehall, a mój... towarzysz to Centrum. Jestem... byłem człowiekiem, z innego świata. Centrum jest komputerem.«

Mimo całkowitej przedziwności sytuacji, Adrian ściągnął swe ciemne brwi, słysząc to ostatnie słowo. *Komputer.* Nie było mu to znane słowo, lecz w Zwojach Proroka Pani znajdowało się słowo odlegle pokrewne...

*Demoniczny duch?* pomyślał. *Ciekawe. Myślałem, że to przesądą dy. A ty, powiadasz, jesteś duchem?*

Westchnienie w myślach. »Niezupełnie. Pozwól, że zacznę od początku. Istoty ludzkie nie powstały na tym świecie..«

Godzinę później Adrian był cały spocony. - Ja... rozumiem, jak sądzę - wymruczał i podniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo.

*Inne są wiaty, całe są wiaty zajmują ce gwiazdy! Gwiazdy są słońcami!* Było to bardziej radykalne stwierdzenie niż spekulacje starożytnych wielbicieli mądrości, którzy to spędzali czas, próbując zmierzyć słońce albo kształt ziemi, zanim współczesna filozofia nie zwróciła się ku pytaniom o język i cnotę. Skala czasowa brana pod uwagę oszołamiła go; wizje ludzi

przybywających na ten świat, na Hafardine, w ogromnych statkach powietrznych, kłócących się pomiędzy sobą, staczających się w dzikość po wojnach toczonych za pomocą broni, której odpowiedniki dawały się o dziwo odnaleźć w bardzo starożytnych legendach.

- Dlaczego? - ciągnął dalej Adrian. - Dlaczego ja?

»Bo, chłopcze, jesteś człowiekiem, który chce poznać prawdę« powiedział głos Raja.

»Ten świat zapędził się w niewłaściwym kierunku i trzeba nam człowieka, który wyprowadzi go na prostą. Tak, aby, w swoim czasie, Hafardine mogła zająć swe miejsce w Ludzkiej Federacji.«

Adrian zaśmiał się drżącym głosem. - Ja, zdobywca świata niczym Wielki Nethan? - powiedział. - Powinniście byli wybrać mojego brata Esmonda. To on jest wojownikiem w naszej rodzinie, tym, który pali się, aby przywrócić czasy Szmaragdowej Ligi.

»Nie zdobywca« podjął powolny, ciężki głos... maszyny? »Nauczyciel. Choć być może konieczne okażą się elementy zbiorowej przemocy, aby zachwiać ustalonym porządkiem na tym świecie.«

- A co jest takiego złego w ustalonym porządku? - spytał zaciekawiony Adrian. - To znaczy, oprócz tych plebejskich dupków z południa rządzących ziemią Szmaragdowców.

»Obserwuj.«

Świat zniknął, tak jak stało się to w Wysokim Grodzie przy świątyni Panny. Ponownie zobaczył Hafardine zaraz po upadku cywilizacji maszyn Federacji. Małe wioski rolników rozrzucone po dolinach i po równinach ośmiokąta tworzącego główny kontynent i na wybrzeżach wysp; grupy myśliwych w rozległych lasach, w górach i południowych krainach. Niektóre z wiosek rozrosły się. Wciągnął głośno oddech, rozpoznawszy wielkie miasta Szmaragdowców u ich zarania, jak urastały w potęgę, ich drugie zmagania z panami Wysp i założenie Szmaragdowej Ligi. Serce zabiło mu szybciej, gdy zobaczył Solingę w czasach jej świetności, gdy nieśmiertelne piękno Wysokiego Grodu wyrastało z marzeń i rąk ludzkich, A potem długie, straszliwe wojny domowe, miasto przeciwko miastu, Liga przeciwko Sojuszowi. Klęskę Solingi, która niczego nie rozwiązywała, a potem armie Konfederacji nadchodzące z południa.

»Obserwuj. Świat, jakim jest teraz.«

Najpierw widok z góry. Mur Konfederacji przecinający kontynent w jego wąskiej talii, oddzielający południowe ziemie barbarzyńców od krainy miast i prawa na północy.

Posiadłości wielmożów Konfederacji rozciągające się w dolinach i na równinach. Vanbert urastające z bezładnego obozu pastuchów do miasta o wiele rozleglejszego niż jakiegokolwiek inne na ziemiach Szmaragdowców. Czuł, jak płyną lata.

»Wynik trwania obecnych trendów podany z maksymalnym prawdopodobieństwem.«

Obrazy...

...zwierające się armie, obie strony w zbroi i ekwipunku Konfederacji. Za nimi spalone miasto...

...widok na ulicę. W drgającym upale południa nic się nie porusza. Ładna, szeroka, brukowana ulica, prosta jak strzała, wyraźnie leżąca w samym sercu ziem Konfederacji. W rynsztoku ciało, odsłonięta skóra zsiniała i spuchnięta. Wokół brzęczą muchy. Po bruku nadjechał powoli ręczny wózek, ciągnięty przez ludzi z twarzami owiniętymi szmatami, a za nimi piętrzyły się wysoko kolejne, spuchnięte ciała.

- Wynoście swoich zmarłych! - zawołał jeden z mężczyzn. - Wynoście swoich zmarłych!

...mężczyźni w obdartych tunikach i kobiety w burych sukniach zbierający się na odczytywanie z podwyższenia obwieszczenia w jakimś anonimowym, rolniczym miasteczku. Pulchny urzędnik odczytujący monotonię jakiś edykt ustanawiający ceny i zarobki. - A cena skórzanej upręży vel i pada do powozu będzie nie wyższa niż sto dwadzieścia pięć nowych amketów, z których jeden na cztery będzie płacony na rzecz państwa, gotówką lub w towarze. Sandały będą kosztować nie więcej niż...

...niewolnicy pracujący na zboczu wzgórza, wlokący skrzynie ziemi za pomocą sznurów przerzuconych przez ramię. Dostrzegał tani, marny materiał ich tunik, słyszał, jak stękają, wrzucając ziemię do głębokiego jaru przecinającego pochyłe pole pszenicy. Zaczęło padać, a woda spływała błotnistym potokiem po polu tą bruzdą, zmywając ziemię sto razy szybciej, niż niewolnicy mogli ją wciągnąć z powrotem.

...samo Vanbert, stolica Konfederacji i znanego świata. Miasto płonęło. Tłusty, czarny dym wznosił się, skrywając zarys świątyni, pałacu i ulicy budynków mieszkalnych. Ulicą uciekała szlachcianka, powiewając jedwabiem sukni. Za nią jechał Południowiec, barbarzyńca w grubym filtrze, a jego długie, żółte warkocze kołysały się od galopu wełipada. Mężczyzna, susząc zęby w szczerbatym uśmiechu, pochylił się na bok w siodle, wysuwając ramię, aby pochwycić uciekającą kobietę. Na jego nagiej, pomalowanej piersi podskakiwał naszyjnik kapłanki wykonany z bursztynu i złota.



...znowu Vanbert, lecz rozpoznanie go zajęło Adrianowi chwilę. Ruiny pokryte drzewami, *starymi* drzewami. Pośród długich domów z bali widać małe pólka. Kobieta rozrzuca ziarno kurczakom, a chuda, szczeciniasta świnia ryje na skraju kupy odpadków, nad którymi brzęczą muchy.

Adrian wciągnął głośno oddech, gdy wizja go opuściła. Odezwał mu się w głowie głos Raja. »Twój świat wpadł w pułapkę cyklu: wojna, imperium, upadek i wojna« powiedział. »Może się to powtarzać w nieskończoność, a jedyną różnicą będzie to, że każdy cykl będzie oznaczał dalszy upadek i słabszą poprawę, gdy ziemia stanie się mniej żyzna.«

»Musisz temu zapobiec« ciągnęło dalej Centrum swym beznamiętnym tonem.

»Czekaliśmy siedemset lat na człowieka takiego jak ty.«

- *Jak ja?* - pisał Adrian. - Dlaczego nie mój brat Esmond?

»Ten świat nie potrzebuje wojownika« powiedziało Centrum. »Potrzebuje... mądrości. «

- Filozofii? - spytał skonsternowany Adrian. - Retoryki? Tak, są to umiejętności cywilizacyjne, a nasi myśliciele i mówcy są najlepszymi, jacy kiedykolwiek żyli. *Jak ja* mogę...?

Raj mu przerwał. »Wyjaśnię. Pojęcie to nie było łatwe do zrozumienia także dla mnie, tam na Bellevue - na świecie, gdzie się urodziłem« powiedział. »To się nazywa „postęp techniczny”.«

Adrian poczuł znajome podniecenie. Tak jak wówczas, gdy po raz pierwszy pojął, iż syllogizm, o którym mówił wykładowca, coś *oznaczał*, lub gdy zrozumiał *dla czego* kąty prostokątnego trójkąta musiały się zgadzać w pewien sposób - poczucie prawdziwej wiedzy, niczym połączenie z umysłem boga.

- Opowiedz mi - wyszeptał.

\* \* \*

- Z drogi! - głos żołnierza zabrzmiał ostro i głośno. - Zejść z drogi!

Adrian i Esmond zatrzymali swoje velipady na poboczu traktu. Była to konfederacka droga, zbudowana wiek temu, aby przypieczętować kontrolę Konfederacji nad rzecznyimi, nadbrzeżnymi dolinami północy. Szeroka na dwadzieścia kroków, z rowami, wybrukowana sześciokątnymi blokami wulkanicznej skały, zbudowana by trwać przez wieki; Adrian widział kiedyś jeden blok podmyty przez nagłą powódź - miał pięć stóp grubości. Warstwa kamieni wielkości pięści w wapiennej zaprawie, warstwa piasku, kolejna warstwa zaprawy z

mniejszych kamieniami, a potem warstwa zaprawy i żwiru i wreszcie bloki nawierzchni... Podkute ćwiekami sandały uderzały zgodnie, gdy batalion przechodził środkiem drogi czwórkowymi kolumnami. Kończyny żołnierzy poruszały się niczym u stonogi. *To właśnie nie było przyczyną końca chwały miast Szmaragdowców*, pomyślał Adrian. Kątem oka mężczyzna dostrzegł, jak dłonie Esmonda zacisnęły się na wodzy, a potem rozluźniły wysiłkiem woli, a jedna ręka wysunęła się do przodu, aby pogłaskać pierzaste łuski koloru brązu na szyi wierzchowca. Ich przodkowie walczyli w ciasno upakowanych kwadratach, każdy mężczyzna zbliżał tarczę do tarczy sąsiada i dźgał długą włócznią. Konfederaci... Adrian skupił się na jednym żołnierzu, odczuwając lekki nacisk za oczami, bardziej umysłem niż fizycznie. Raj wyrażał zainteresowanie.

Żołnierz był typowym wieśniakiem ze środkowych terytoriów Konfederacji, nieco bardziej przysadzistym i grubokościstym niż zwykły Szmaragdowiec, o nieco jaśniejszej cerze, surowej twarzy z zakrzywionym nosem, ściągniętej od wysiłku wywołanego długim marszem i mokrej od potu. Miał na sobie kolczugę-tunikę sięgającą kolan, z krótkimi rękawami i podwójnymi poduszkami wszytymi na ramionach; pod tym znajdowała się kolejna tunika, z czerwonej wełny. Na lewym ramieniu wisiała duża, owalna tarcza z żelaznym guzem; w czasie marszu tarcza była przykryta płóciennym pokrowcem, z wypisanym na nim imieniem właściciela i nazwą jednostki. Do środka tarczy przyczepiono trzy krótkie, grube oszczepy zakończone haczykami, każdy wyważony małą, ołowianą kulą umieszczoną za grotem. Na nogach żołnierz miał sandały o grubych, wysadzanych żelaznymi gwoździami podszwach, przywiązane na łydkach ponad wełnianymi rajtuzami. Na głowie nosił okrągły hełm z wysuniętym rondem nad oczami, policzkowymi ochraniaczami na zawiasach i chroniącym szyję z tyłu nakarczkiem przypominającym ogon homara. Na plecach miał plecak i zwinięty koc, lecz pod nimi spoczywała broń, która pocięła dumnych włóczników ze szmaragdowych miast na krwawiące kawałki mięsa. W gotowości do wyciągnięcia przez prawe ramię, wystawały trzy stopy twardego drewna, zakończone ołowianą kulą. W pokrowcu skrytym przez plecak znajdowała się „robocza” końcówka - szerokie, dwustopowe ostrze zwężające się ku ostremu jak brzytwa grotowi. W czasie bitwy człowiek razem ze swymi towarzyszami ciskał salwę oszczepów, potem wyciągał assagaj<sup>2</sup> i, trzymając go blisko siebie, unosił tarczę i ustawiał ostrze w gotowości do wypruwającego flaki pchnięcia od dołu. Od tej kolumny bił specyficzny zapach: potu i skóry, natartych oliwą

zbroi i broni. Mocny męski odór.

Dowódca batalionu jechał na czele obok chorążego, na kroczącym dumnie velipadzie.

Miał na sobie klasyczny model wojennego stroju Szmaragdowców - napierśnik z brązu ściśnięty szkarłatną szarfą, długi, jednosieczny miecz, brązowy hełm z dumnie powiewającym szkarłatnym pióropuszem biegnącym z tyłu do przodu niczym grzebień koguta oraz kilt ze skórzanych pasków. Jechał swobodnie, z jedną ręką wspartą na biodrze i pogardą na twarzy o

2 Assagaj - abisyński oszczep o żelaznym grocie, dł. około 50 cm, z drzewcem z drewna asagajowego.

(przypis tłum.).

jastrzębim nosie. Obok niego powiewał sztandar - wyprostowana dłoń ze złotymi wieńcami pod spodem, upamiętniająca zwycięstwa jednostki. Chorąży miał na sobie antyczną haubertę z mosiężnych łusek i twarz skrytą pod wyprawioną głową szabli stożebnej bestii, wyszczerzonej na wieki w wyrazie buntu i głodu skierowanym przeciwko światu.

- Bezżyteczne skurczybyki - wymruczał Esmond. - To podoficerowie czynią armię Konfederacji tym, czym ona jest. - Uśmiechnął się nagle; żaden z braci nie miał więcej niż dwadzieścia trzy lata. - Z nich to są *pożyteczne* skurczybyki.

Adrian skinął głową potakująco, spoglądając na ogorzałe twarze maszerujących w szeregu żołnierzy.

»Kilka wieków wspólnych doświadczeń« wymruczał mu w głowie Raj, przyglądając się twarzom weteranów. »Dużo przechowywanej wiedzy.«

- Posiłki dla fortów Sznura - osądził Esmond. - Słyszałem o najazdach Wyspiarzy.

Przemaszerował ostatni szereg żołnierzy, a za nim zwierzęta pociągowe z kilkoma wozami i juczne velipady; większość z nich pewnie niosła bagaże dowódcy. Kupcy, podróżni, pielgrzymi i wieśniacy spłynęli z powrotem na drogę, a bracia wraz z nimi. Podróżni posuwający się piechotą zwykle usuwali się braciom z drogi, przez wzgląd na ich płaszcze dżentelmenów i objuczonego velipada za nimi. Oni z kolei ustąpili drogi kurierowi, wysoko urodzonej damie w palankinie niesionym przez wyselekcjonowanych niewolników, którzy potrafili truchtać bardziej wytrwale niż velipad... choć uzbrojeni jeźdźcy wysłani przodem byli tu pomocni. Wyczuwali zbliżające się miasta na długo przedtem, zanim droga przez nie przeszła. Nie był to zapach ścieków - Konfederaci byli szczodrymi budowniczymi systemów wodno-kanalizacyjnych.

- Kolejny symbol - powiedział Esmond, marszcząc nos i podnosząc wzrok.

Drąg stał pochylony lekko na nagim skrawku piasku przy drodze, i ta nierówność przydawała mu dziwnego, na poły ludzkiego charakteru. Wiszący na nim człowiek zwiślał dwadzieścia stóp nad ziemią. Krótka poprzeczna belka przebiegała przez łokcie jego związanych rąk tak, że jego ciało wygięte było ku przodowi, wykręcone przy szpikulcu, którym przybito jego stopy do drewna. Latacz o skórzastych skrzydłach wylądował, wbijając w nagie ciało małe szpony swych skrzydeł i dłuższe znajdujące się na nogach. Długa, węzowa szyja wygięła się i skręciła, gdy pełne zębisk szczęki zastygły w zastanowieniu. Gdy wbiły się w cel i zaczęły wydziobywać kawałek, mężczyzna oprzytomniał i zaczął jęczeć. Nie był jednak zdolny do miotania się na tyle mocno, aby przeszkodzić uczującemu padlinożercy. Inne latacze zdjęły większość mięsa z kości dalszej szóstki.

- Dzikusy - wymruczał Esmond. - Dlaczego nie toporem po szyi, jeśli trzeba człowieka zabić?

Adrian skinął głową, oddychając przez usta. - Pewnie po to, aby utrzymać resztę w ryzach - powiedział.

Pod większością ciał przybito ołowiane tabliczki, gdzie wypisano popełnione przestępstwa. ZBIEGLY NIEWOLNIK było napisem najczęściej spotykanym, obok PODŻEGACZA. Niewolnicy byli oczywiście wszędzie, lecz w sercu Konfederacji przewyższali oni liczebnie wolnych ludzi, czasami znacznie. Oto rezultat całych wieków podbojów.

Velipady węszyły z zainteresowaniem, otwierając obie pary oczu i odciągając mięsiste wargi tak, że widać było wszystkożerne zęby - krótkie i grube sztylety koloru kości słoniowej.

- Jedźmy dalej - powiedział Adrian. Podniósł wzrok. Słońce znajdowało się mniej więcej na szerokość dłoni od gór na zachodzie, kąpiąc ich śnieżne szczyty w krwistej czerwieni. - Możemy się zatrzymać u gościa-przyjaciela ojca w Kirsford.

- Lepsze to niż walka z pluskwami w gospodzie - zgodził się Esmond.

Przez chwilę Adrian pozwolił sobie na odczuwanie zazdrości wobec brata. *Oto jest obrazek bohatera wieku wspaniałość ci*, pomyślał. Prosty, niczym wyrzeźbiony, nos, kwadratowa szczęka, sześć stóp wzrostu, szerokie bary zwężające się ku płaskiemu brzuchowi i wąskiej talii, długie nogi, a każdy mięsień pod opaloną skórą niczym żywy brąz. *I w dodatku nie jest głupi*. Nie był uczonym z Gaju, ale czytał kroniki Themstona dotyczące wojny peloskiej i pracę Epmona o sztuce walki. Miał też wesoły charakter. Bogowie niczego

mu nie poskąpili, czyniąc go również odważnym. Wkrótce Esmond gwizdał przez zęby żywą marszową piosenkę popularną wśród kadetów z Solingi.

Gość-przyjaciel ojca zgotował im przednią gościnę. Wyruszyli wcześniej następnego ranka. Kraj rozpościerał się przed nimi, opadając ku wielkiej, centralnej niecce, w której mieściło się Vanbert, największa ze wszystkich dolin w środku północnego półwyspu. Wysokie lasy szerokoszpilkowców i dębów pokrywały góry i podnóża wzgórz. Dalej pojawiły się pokryte bujną roślinnością równiny. Krajobraz był tu bardziej uporządkowany niż u Szmaragdowców, poprzecinany prostymi odcinkami wysadzanych drzewami wojskowych traktów Konfederacji i zwirowymi drugorzędnymi drogami, a każde miasto miało rozplanowaną siatkę ulic. Kanały wiły się z większym wdziękiem, niosąc wodę z zapór w górskich dolinach i rozprowadzając ją do kanałów nawadniających. Pola były niemalże boleśnie zielone tam, gdzie nie kwitły wielkie, połaciowe kwadraty owocowych drzew. Adrian spoglądał z zaciekawieniem na wiśnie i jabłka, będące rzadkością na subtropikalnym, północnym wybrzeżu.

*Nie ma ż adnych oliwek ani cytrusów, pomyślał. Musi być tu chłodno w zimie.*

Tu i ówdzie stała chłopska chata, często opuszczona i rozpadająca się. Na wzgórzach, w pewnej odległości od traktu, Adrian dostrzegał gaje i ogrody szlacheckich rezydencji.

Wielkobestie o czterech rogach pasły się spokojnie na łąkach albo ciągnęły pługi przewracające żyzną, czerwonawą ziemię. Stada wełnistych *baaing* wędrowały zbite w gromadkę z owczarzami i psami strzegącymi ich bezmyślnej bezbronności. Raz minęli pole kukurydzy, które musiało ciągnąć się nieprzerwanie przez sto akrów. Pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu niewolników o skutych nogach pracowało na nim, wrywając chwasty.

Esmond spojrział i zacmokał. - Powiem tylko tyle - jak ci magnaci konfederaccy są *bogaci*, to są *bogaci*. Ile za dawnych czasów trzeba było mieć, aby dostać się do najwyższej klasy głosujących w Solindze?

- Czteryście korców rocznie lub ich odpowiednik - powiedział Adrian, sięgnął ręką ku górze i pochwycił pęk kwiecica. Przyłożył go do nosa na sekundę, a potem zatknął za ucho.

- Czteryście nędznych korców - powiedział Esmond, potrząsając głową. - A tak przy okazji, lepiej tego nie rób, jak dotrzemy do Vanbertu.

- Dlaczego nie?

- Bo wśród Konfederatów tylko cioty noszą kwiaty we włosach - Esmond wyszczerzył

się w uśmiechu. - Cioty i dziewczęta. Jeśli zatem nie chcesz przyciągnąć uwagi jakiegoś bogatego, starego rajcy - to znaczy, nie jako nauczyciel retoryki...

Adrian się roześmiał i walnął brata w ramię. Było to jak uderzenie w drzewo. - To ty jesteś ten śliczny w rodzinie - powiedział.

Minęli pole i wjechali pod łuki akweduktu biegnącego ponad drogą opadającą w płytką dolinę. Esmond znowu zacisnął usta, gdy obejrzeliby się za siebie na drogę znikającą w mgiełce upału.

- Aroganckie łajdaki - wymruczał.

- I lepiej naucz się panować nad językiem albo go stracisz w Vanbercie - powiedział Adrian. - Oni nie przepadają za Szmaragdowcami, którzy nie wiedzą, gdzie ich miejsce. Ruch na drodze stopniowo się potęgował. Gdy znaleźli się w odległości dnia drogi od samego Vanbertu, rzadko udawało im się jechać szybciej niż kłusem. *Wszystko przybywa do Vanbertu*, zacytował w duchu Adrian. W większości było prozaicznie: długie wozy z ziarnem i suszonym na słońcu mięsem, stada bydła tamujące ruch - spędzili połowę pewnego pamiętnego dnia za stadkiem kolebiących się gęsi w liczbie dziesięciu tysięcy - solone ryby, wędzone kiełbasy, warzywa, sery, masło i ogromne beczki z winem. Raz minął ich ze stukotem, brzękiem i potrzaskiwaniem bata, szybki, dwukołowy wózek, ze śniegiem w przymocowanej na nadwoziu izolowanej trocinami skrzyni. Jeszcze więcej batów trzaskało nad karawaną niewolników, skutych łańcuchami szyja w szyję, idących obok strażników o twardym spojrzeniu jadących wierzchem - większość z nich była barbarzyńcami z terytoriów Południowców. Wozy i karawany jucznych zwierząt, taczki i tragarze. Sól, żelazo i miedź, złoto, papier trzciniowy i przyprawy oraz więcej ras i języków niż Adrian znał. Raz nawet widział człowieka o czarnej skórze, krocącego w sięgającej kostek szacie z bawełny, ignorującego wytykanie palcami, szepty i śmiałych chłopaczków, którzy podbiegali, by dotknąć jego skóry i przekonać się, czy jest prawdziwa.

- Wciąż spodziewam się, że za następnym wzniesieniem zobaczę miasto - powiedział Esmond w piątym tygodniu ich podróży.

Adrian się uśmiechnął. - *Jesteś my* w mieście - rzekł. - Już od wielu godzin.

Esmond rozdziawił usta, a potem się rozejrzał. Wczorajsze ogrody warzywne przeszły w eleganckie podmiejskie posiadłości. Wzdłuż drogi stały wysokie mury z cegły i betonu, zwykle pobielone, tu i ówdzie poprzerywane ozdobnymi bramami z kutego żelaza i mosiądzu.

Przy każdej bramie znajdowały się co najmniej dwie stróżujące szablistozębne bestie na łańcuchach. Ich łby składały się w całości z paszczy i ogromnych, zachodzących na siebie par kłów często wykończonych brązem lub stalą. Strażnicy-ludzie w budkach byli także czasami przykuci za kostki do ścian. To sprawiało, iż napisy nad wejściem - WITAJCIE lub CHWAŁA GOŚCINNOŚCI - miały nieco pusty wydźwięk.

*Oznacza to oczywiście cie gość cinnieść wobec ludzi ich własnego pokroju*, pomyślał Adrian.  
- Czego się można spodziewać - powiedział - od ludzi, którzy mają w swoim języku słowo oznaczające „zabić co dziesiątą osobę”? I myślą, że ich protoplaści zostali wykarmieni przez szablobestie.

Vanbert nie miało skraju, do jakiego przywykli, żadnego muru znaczącego miejsce, w którym miasto przechodzi w wieś. Nie było nawet obrzeża z mogiłami, jak w miastach Szmaragdowców, jako że Konfederaci palili swoich zmarłych i trzymali ich prochy pośród żywych, w małych pojemniczkach pod ich woskowymi podobiznami. Adrian uważał to za dość okropne, lecz jak powiedział Bestmun: „Zwyczaj jest królem w każdej krainie”. Przedmieścia się zagęściły, ruch na drodze narastał. W oddali wznosiło się osiem słynnych wzgórz. Były one jedynymi wzniesieniami pośród budynków pokrywających ziemię w odległości większej niż dzień drogi we wszystkich kierunkach, Właściwie jedyne przerwy w kobiercu budynków stanowiły małe gaje otaczające świątynie - zwykle okrągłe, ze spiczastymi dachami albo kopułami na tych nowych - lub dziedzińce prawdziwych bogaczy; pobudowane nawet na osuszonych bagnach, które niegdyś pomagały wyżywić dawne Vanbert.

- Jest tu jednak smętnie - rzucił krytycznie Esmond, gdy poprowadzili swoje velipady na bok, aby przepuścić wóz załadowany bębniami kolumnowymi. - Cegła, małe sklepiki - nic tak naprawdę wspaniałego.

- Po prostu jeszcze nie widzieliśmy odpowiedniej części - rzekł Adrian.

Ulica, na której się znajdowali, rzeczywiście nie wyglądała jakoś szczególnie. Stały na niej pięciopiętrowe, ceglano-betonowe budynki mieszkalne, niezwykle jedynie przez swoje rozmiary. Schowane pomiędzy łukami, na parterze, znajdowały się sklepy. Piekarnie - tak przynajmniej myślał Adrian, dopóki nie zobaczył ołowianych żetonów, jakie obdarci klienci wymieniali na duże, okrągłe bochenki. *Zapomoga z pieczywa*, pomyślał kwaśno. *Zastuga podatków*. Resztę stanowiły tawerny albo małe restauracyjki z kotłami na zupe osadzonymi w

kamiennych ladach, sklepiki krawieckie lub kramy, gdzie szewcy robili przymiarki klientom, a potem pracowali za pomocą szydła, nawoskowanej nici i młoteczka. Byli też: sprzedający ostro pachnący ser, ptaki albo króliki lub anonimowe bryły mięsa. Tłumy mogłyby równie dobrze pochodzić z miasta Szmaragdowców, poza tym, że ich tuniki przykrywały obydwie ramiona, a kobiety nosiły na sobie mniej i kroczyły bardziej śmiało.

I wielkość tłumu. - Powiadają, że w Vanbercie jest z milion ludzi - wymruczał Adrian. Coś przyszło mu do głowy. - Jak, na Kuternogę, mamy znaleźć tego gościa, Redversa? Twarz Esmonda pobladła, gdy ten rozejrzał się dokoła. Nie było to problemem w Solindze - nawet jeśli nie znałeś miasta, mogłeś się kierować świątynnymi dachami Wysokiego Grodu lub dokami. W końcu wszystko znajdowało się nie dalej niż w odległości półgodzinnego spaceru od każdego innego miejsca wewnątrz murów. Vanbert nie miało nawet siatki biegnących pod kątem prostym ulic jak w nowszych miastach konfederackich. Było ono starożytne, a jego drogi zostały wytyczone przez ślady wielkobestii.

»Oto mapa« rzekło pomocnie Centrum. »Skręćcie, jak następuje.«

- Jakim cudem nagle stałeś się ekspertem, jeśli chodzi o ulice Vanbertu? - spytał w godzinę później Esmond.

Adrian się uśmiechnął. - Bogowie mądrości szepczą mi do ucha - powiedział, podnosząc wzrok na wysoki, gładki mur rezydencji. Tylko szczeliny na wyższych piętrach i okute żelazem drzwi z drzewa *bork* zwrócone były w stronę ulicy. Obok nich rozpięta się gburowaty, były uczestnik igrzysk, stukając okutą mosiądzem pałką o bruk, aby zniechęcić włóczędów.

Zsiedli z wierzchowców i podeszli do drzwi. - Chodźmy poszukać szczęścia - rzekł Esmond.

»I zmienić świat« wyszeptał Raj.

\* \* \*

- Musita trzymać wyżej, pani - powiedział nauczyciel. Grot włóczni dotykał lekko gardła uczennicy.

Helga Demansk skinęła krótko głową i uniosła małą, okrągłą tarczę. Odsunęli się od siebie i zaczęli krążyć. Miecz w jej dłoni był starym, szmaragdowym modelem, wykutym dla niej ze stali z Solingi, jednosiecznym - prócz obosiecznego sztychu - mniej więcej tak długim jak jej noga od palców stopy aż do połowy uda. Rękojeść była ze skóry ryby-piły, z dobrym



uchwytem, nawet przy pozbawionych palców irchowych rękawicach, na których noszenie należał jej ojciec - jeśli w ogóle miała mieć osobistego nauczyciela. Jej dłoń chroniona była przez gardę w kształcie dzwonu z dziurkowanego brązu. To oraz tarcza były jedynym ciężarem poza krótką tuniką. Nauczyciel nosił skórzany kubrak i mosiężny hełm z przyłbicą. Jego włócznia miała sztuczny grot ze skóry, lecz miecz Helgi był naostrzony niczym ostrze noża.

To go nie martwiło. Był przez piętnaście lat zawodnikiem w walkach na igrzyskach i dożył emerytury, zanim za bardzo spowolniał. Wygląd znajdującej się przed nim młodej, pięknej kobiety o pełnym biuście i płomiennych włosach bardziej go rozpraszał niż jej miecz, choć tak naprawdę nie była taka zła. Ten wygląd mógł go zabić równie dobrze jak klinga, jeśli by się zapomniał - *była* w końcu córką sędziego Demanska. Nie przeżywało się jednak tak długo jako zawodnik bez nauczania się samokontroli, a on miał parę bardzo miłych dziewczek służebnych, które zajmowały się jego potrzebami. To stanowisko było marzeniem zawodnika na emeryturze, a on nie zamierzał go ryzykować dla pary cycków, niezależnie od tego jak ładnie wyglądały, unosząc się i opadając pod przylepioną do nich cienką bawełną. Obydwoje walczących poruszało się, szurając bosymi stopami po ubitym piasku ćwiczebnej szopy. Na zewnątrz prażyło słońce, wpadając strumieniami biało-złotego światła przez szczeliny pomiędzy drewnem podtrzymującym dach. Wykonał fintę na raz-dwa, poczuł drżenie, gdy drzewce włóczni zostało odepchnięte na bok i sam wytrącił miecz z linii natarcia za pomocą własnej broni.

- Dobrze, panienko! - zawołał. - Niech się ruszają *razem*. Całkiem nieźle. Gdyby nie była córką szlachcica, mogłaby się nadać do zawodów - wystawianie przeciwko sobie żeńskich par było obecnie dodatkiem do bardziej wyrafinowanych zawodów, mimo tego, że niektórzy sędziowie kręcili na to nosami. A ona w dodatku wciąż ćwiczyła, prawie od roku - w Vanbercie i w tej wiejskiej posiadłości na zachodzie.

- Szybciej. Napieraj na mnie, przedostań się poza grot włóczni!

To wrzaski obudziły jego czujność. Było ich zbyt wiele, przeciągłych i przeraźliwych, a w tle coś jeszcze - ostre, gardłowe pokrzykiwania. Zamarł, a gdyby Helga nie powstrzymała zamachu miecza, rozplątałaby mu prawe ramię. - Co to? - spytała i odsunęła się, oddychając ciężko.

- Piraci - stwierdził krótko, odrzucając na bok ćwiczebną broń. Przy drzwiach stał stojak

z prawdziwymi włóczniami. Wziął jedną w rękę oraz kilka oszczepów.

- Jak...

- Znam wyspiarski. - Przy walkach poznał ludzi, którzy nim mówili - głównie niewolników i wyzwoleńców, którzy dobrze się urządzili. To był okrzyk bojowy Wyspiarzy; a oni *znajdowali się* przecież w odległości dnia marszu od wybrzeża - bliżej, jeśli brać pod uwagę rzeki, a wyspiarska galera mogła zapędzić się daleko na mielizny. - *Chodź my, kobieto!* Zamilkła, a on uchylił drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Znajdowali się jakieś dwieście jardów od głównego budynku - dużego domu z wysokimi oknami migoczącymi od ekstrawaganckiej ilości szkła, z kolumnadami wychodzącymi na ogrody, a nie na wewnętrzny dziedziniec jak w miejskim domu. Słyszał teraz więcej wrzasków, męski śmiech i dostrzegał poruszające się sylwetki... błyski w świetle słońca. Światło odbite od ostrzy kling i od metalowych ćwieków lekkich wyspiarskich zbroi, podobnych do tej, jaką sam miał na sobie. Wyglądała na to, że dyrygował tym mężczyzna z wysokim grzebieniem piór na hełmie. Jego towarzysze wynosili łupy z domu. Inni spędzali domowych niewolników w gromadkę, zaś niektórzy wyprowadzali zwierzęta i wozy z roboczej części plantacji obok kępy cyprysów.

- Tędy - syknął, czując w nozdrzach ostry zapach własnego potu. wypadli na zewnątrz, pokonali ogrodzenie nieużywanej zagrody, przeszli na drugą stronę i pobiegli przez łąkę, zmierzając pod osłonę pomarańczowego gaju. *Cholera*, pomyślał nauczyciel. *Urządę się na całe życie - uratuję córkę sę dziego...*

Dudnienie łap velipada sprawiło, że odwrócił głowę. Czterech mężczyzn jechało szybko za nimi. Piraci musieli zagrabić wierzchowce w pobliżu miejsca lądowania i pomknąć w głąb łądu, mając nadzieję na zaskoczenie jakichś bogaczy. Jeden z nich podnosił łuk, krótki, wzmacniany rogiem model, jakim posługiwali się Wyspiarze, lecz z grzbietu velipada nie mógł w nic trafić.

- Uciekaj! - krzyknął nauczyciel, podrzucił jeden z oszczepów w górę, pochwycił go i cisnął. - Ty głupia suko! - wrzasnął we frustracji, zobaczywszy, jak Helga zajmuje pozycję obok niego, wymachując mieczem i wykrzykując jakiś rodzinny okrzyk bojowy.

Oszczep trafił velipada pomiędzy szyję i bark. Ten upadł, a znajdujący się na nim mężczyzna zleciał, tracąc łuk. Natychmiast się podniósł, dobywając zza pasa krótki, zakrzywiony miecz. Pirat był żyłastym młodzianem, wyglądającym na sprawnego fizycznie. Miał brunatną twarz, złote kółko w zakrzywionym nosie i czarne włosy opadające warkoczem

na plecy. Nauczyciel wykorzystał szansę i zignorował go na moment, aby cisnąć drugim oszczepem. Wyrznął on ze słyszalnym łupnięciem w ramię mężczyzny na wierzchołku. Nauczyciel okręcił się desperacko, aby stawić czoła pieszemu młodzieńcowi, lecz zobaczył, jak ten pada do tyłu, a miecz Helgi wychodzi mu przez szyję. *Całkiem nieźle.*

- Pobiegniesz no, ty głupia cipo! - wrzasnął, sam się cofając. - Dzięki niech będą *bogom* - dodał, szczerząc zęby, gdy wreszcie go posłuchała.

Wyspiarze wyplatali się spod swoich wierzchowców, które szalały od zapachu tak dużej ilości krwi, rozdarte pomiędzy chęcią zaspokojenia apetytu a strachem. Jeden z wierzchowców zaraz napadł na pirata, który go skradł, pozostawiając nauczyciela stawiającego czoła dwóm mężczyznom. Jeden z piratów odwinął procę opasującą mu głowę i sięgnął do sakiewki u pasa. Nauczyciel natarł, uchylił się przed nadlatującym mieczem i rzucił się w lewo, trzaskając drzewcem włóczni w kolano mężczyzny, a potem dźgnął go mocno w miejsce, gdzie wiązadła skórzanego kubraka mocowały go do brzucha. Gdy grot wyszedł z powrotem, doleciał smród gówna, niezmiennie znajomy, a pirat wrzasnął od gwałtownego szoku wywołanego bólem.

*Ruszaj się, ruszaj, ruszaj!* - wrzasnął do siebie w duchu nauczyciel. Zbroja uciskała go w żebra. Nie miał już kondycji do tego rodzaju rzeczy. *Dalej, dalej.* Udało mu się odwrócić na czas, aby sparować cięcie miecza za pomocą guza na swojej tarczy i odskoczył do tyłu, by zrobić sobie miejsce do posłużenia się włócznią.

*Trzask.*

Wystrzelony kamień trafił go nad mostkiem. Świat poszarzał mu przed oczami, a tarcza i włócznia opadły, gdy utracił władzę w ramionach. Szermierz rąbnął go dwukrotnie, w obojczyk, a potem od dołu w bok uda. Nauczyciel upadł na ziemię, czując, jak odruchowo rozdziawia usta. Miał dość czasu, by zobaczyć, jak wloką Helgę, z jedną nogą bezwładną od uderzenia kamienia z procy.

Pirat przewrócił go na plecy nogą. *Co za całkowite popieprzenie,* pomyślał trener, patrząc, jak grot włóczni wznosi się nad jego twarzą. *Chyba jednak nie udało mi się ujść z życiem z walk.*

Uderzenie, a potem czerń.

\* \* \*

- Muszę przyznać, Konfederacji przewyższają nas, przynajmniej w tym - powiedział

Adrian, wylegając się w chłodnej wodzie.

Publiczne łaźnie w szmaragdowych miastach były zwykle małe i o charakterze użytkowym. To był pałac i to nie mały. Główny basen leżał pod wysoką kopułą. Płytki pokrywające jego wnętrze były posrebrzone, aby odbijać światło padające z okrągłych okien umieszczonych wokół podstawy kopuły. Ściany były z różanego i śnieżnobiałego marmuru, a pod *tym* znajdował się dziesięciostopowy pas płaskorzeźb. Posadzka zaś była wykonana z piętnastu różnych rodzajów kolorowego kamienia. Woda tryskała do basenu łukiem z ust bajkowych bestii z brązu. W rozchodzących się na trzy strony salach mieściły się sauny parowe, gorące wanny do kąpieli, pomieszczenia do szorowania i masażu, sale do gimnastyki i ćwiczeń oraz małe biblioteki...

*Było* dość hałaśliwie; ktoś zanieczyszczał atmosferę piosenką. Adrian stał pod strumieniem wody i nacierał się gąbką. Słyszał dochodzące ze stołu do masażu uderzenia rąk o ciało, stukot przyjacielskiej partyjki kości w rogu, postękiwanie przyszłych sportowców podnoszących ołowiane ciężarki, potężny plusk, gdy ktoś klapnął brzuchem w wodę w innym kącie basenu, pokrzykiwania sprzedawcy z tacą kiełbasek i marynowanych karczochów. Kiedy masz cały świat do łupienia, możesz sobie pozwolić na to, co najlepsze - rzekł Esmond. - Bezwstydni degeneraci - dodał.

Adrian się uśmiechnął, W publicznych łaźniach na ziemiach Szmaragdowców nie dochodziło do mieszania się płci... a w dodatku nie wszystkie znajdujące się tutaj kobiety były dziwkami. Pomyślał, że z pewnością przydawało to uroku otoczeniu, przyglądając się, jak obok przechodzi rudowłosa, posągowa dziewczyna mająca na sobie jedynie ręcznik przewieszony przez ramię.

- Chodźmy, zrobimy się słabi jak dziewczyny, jak będziemy się tak wylegiwać - powiedział Esmond.

Brat Adriana przyciągał wiele spojrzeń, gdy przechodzili do sauny parowej - głównie kobiecych. Gorąca komnata była pusta, jako że było dość wcześnie - łaźnie zapełniały się tak naprawdę po trzeciej po południu, gdy wolni ludzie kończyli pracę i przychodzili spotkać się z przyjaciółmi i spędzić miło kilka godzin przed obiadem. Mówiło się, iż w łaźniach Vanbertu można spotkać każdego, począwszy od kapłanki domowego ogniska po pana Zachodnich Wysp, i usłyszeć, co Rada ma zamiar uchwalić, zanim wiedzieli to sami radni.

- Nie szydź tak z konfederackiego bogactwa - rzekł Adrian. - Jako że sam położysz ręce

na jego części... Trzysta arnketów rocznie wraz z utrzymaniem, pokojem i służą! Z łatwością możesz z tego zaoszczędzić dwieście. Mając trzy tysiące, mógłbyś otworzyć własną *salle d'armes* w Solindze albo kupić gaj oliwny czy udziały w statkach.

Esmond wykonał niecierpliwy gest i czerpakiem chlusnął wodę na gorące kamienie w rogu pomieszczenia. Wzbił się zapach rozgrzanego cedrowego drewna z wiórów zmieszanych z żarzącymi się kamieniami, a gorąco uderzyło w nich niczym miękka pałka.

- Trzymaj - powiedział starszy brat, rzucając Adrianowi stępiony, zakrzywiony, brązowy nóż ze stojaka. - Wyszoruj mi plecy.

Adrian zaczął skrobać gładkie, prężące się mięśnie. - Poproszenie, żeby zrobił to niewolnik, kosztuje tylko miedzianego *dimeha* - drażnił się.

- Oni nigdy nie robią tego dobrze... mocniej.

- Co cię tak naprawdę gryzie, bracie?

Ten wzruszył szerokimi ramionami. - Na bogów, nie wiem, czemu Wilder chce nauczyciela. Jest powolnym grubasem w średnim wieku.

- Może chce nauczyciela władania bronią *dlatego*, że jest powolnym grubasem w średnim wieku? - zasugerował Adrian. - Z pewnością płaci wystarczająco dużo.

- Dla niego trzysta arnketów to tak jak dla ciebie czy mnie kupienie przyprawionej bułeczki na ulicy - stwierdził Esmond, a potem wzruszył ramionami. - Mam jednak otrzymywać dodatek za pracę ochroniarza - chroniąc jego i małżonkę, gdy będą wychodzić, i tak dalej. Przynajmniej jest to robota z mieczem u pasa.

- Czy zwykle nie najmują do tego starych uczestników walk? - spytał zaciekawiony Adrian.

- Ja jestem lepszy niż którykolwiek z tych gości z masą blizn - rzucił pogardliwie Esmond.

- I o wiele bardziej reprezentacyjny - wyszczerzył się w uśmiechu Adrian. - Trzymaj, teraz twoja kolej.

- *Reprezentacyjny!* - powtórzył z udawanym gniewem Esmond. - Proszę, pokażę ci, jak szorują takich z niewyparzoną gębą podczas zapasów na igrzyskach!

Obrócił się i natarł na Adriana z wysuniętymi ramionami, w pozie uczestnika walk.

Adrian przyjął taką samą postawę i zaczęli krążyć wokół siebie po rozgrzanych deskach.

Skończyło się to tak jak zawsze - młodszy mężczyzna legł twarzą do ziemi na deskach, waląc

wolną ręką o podłogę na znak poddania się.

- Pokój! Pokój!

- Pokój jest odpowiednią rzeczą dla nauczyciela retoryki - zaśmiał się Esmond, gdy pozwolił mu wstać. - Spłukujemy się i zanurzamy w zimną wodę, a potem będziemy musieli wracać. Trzeba przenieść nasze rzeczy z pokojów do domu Redversów. A tak przy okazji, to zdobyłem dla ciebie pozwolenie na korzystanie z biblioteki.

- Dzięki, bracie, wykorzystam to. Ale nie będę uczył, jak wygłaszać przemowy byłych generałów o kalafiorowych uszach ani ich pryszczatych synalków.

Esmond się zatrzymał.

- Nie będziesz?

- Nie, zamierzam pracować w sądzie.

- Jako urzędnik? - Esmond wyglądał na zaszokowanego. - To praca dla niewolników.

Adrian potrząsnął głową.

- Prowadząc sprawy.

- Ale.... - Skonsternowany wyraz twarzy. - To nielegalne, tylko obywatele Konfederacji mogą stawać przed sądami w Vanbercie.

Adrian poklepał się po skrzydełku nosa i mrugnął. - Teoretycznie. A w praktyce, jeśli oficjalnie odczytujesz mowę jakiegoś adwokata-obywatela, to jest to dozwolone.

- Nie zdziałaś wiele przed konfederacką ławą przysięgłych - ostrzegł Esmond, potrząsając głową. - I pomyśl, bracie. Nie wątpię, iż jesteś ekspertem od prawa Solingi, ale to jest Vanbert.

- No nie wiem, sporo się nauczyłem - rzekł Adrian. Przeszedł na język konfederacki: - I całkiem biegle mówię, prawda?

Niebieskie oczy rozwarły się. - Żadnego akcentu! - wykrzyknął brat. - Jak *to* zrobiłeś w cztery miesiące?

- Boska interwencja - zaśmiał się Adrian i walnął go w ramię. - Chodźmy się zanurzyć.

## **Rozdział drugi**

Rodzina Redversów miała w swym miejskim domu obszerną bibliotekę. Adrian skłonił się na powitanie niewolnikowi Szmaragdowcowi, który ją prowadził. Mężczyzna był pomarszczony, łysy, przygarbiony i ubrany w długą szatę, nieprzyjemnie przypominającą szatę uczonego z Gaju. Równie dobrze jego dziad mógł być uczonym, zniewolonym w jednej

z bezustannych wojen.

- Witam, świątły Salmanie - powiedział Adrian.

Odpowiedzią było prychnięcie i szybki, lekceważący ruch. Adrian przeszedł obok prostego stołu z drewnianego kłoca, gdzie pracował Salman, naprawiając, przepisując i utrzymując na swoim miejscu każdy z jakichś sześciu tysięcy zwojów. Rozciągająca się dalej biblioteka była niemal tak duża jak w Akademii i o wiele bardziej bogato wyposażona. Wysokie na dziesięć stóp regały wykonane były z prążkowanego drewna południowego klonu, spięte i wykończone pozłacanym brązem, a każda nakrętka śruby wykuta była na kształt twarzyczki leśnego ludka. Zwoje ułożono w znajomy sposób, każdy znajdował się w zagłębieniu na regale jak w plastrze miodu, tak samo jak trzymano butelki z winem. Zwoje były wykonane w większości z cienkiej koziej skóry, a nie z taniego, trzcinowego papieru. Dwa pałaki do rozwijania wykonano z kości *gordolny*, a małe przywieszki zwisające na sznureczkach z każdego z nich, zawierające tytuł zwoju wypisany srebrną kursywą, były z kości słoniowej i złota. Ściany po obu stronach były wielkimi taflami z czystego szkła, obramowanymi na skraju metalem, a tu i ówdzie ustawiono wygodne, wyściełane kanapy i stoliki o marmurowych blatach do użytku czytelników. Pachniało przyjemnie dobrze wyprawioną skórą, atramentem i woskiem do mebli.

*Jak do tej pory nieź le*, pomyślał krytycznie Adrian. Było to odpowiednie dla człowieka o ogromnym bogactwie i z pewnymi pretensjami do kultury. Posągi wzdłuż ścian, w każdym wykuszowym oknie, tego było już za wiele - przede wszystkim większość z tego stanowiły łupy z miast Szmaragdowców, i to ze świątyń.

*Tylko konfederacki rajca* pysniłby się posiadaniem w swoim gabinecie łupów ze świątyń. Posąg Gellerix, bogini namiętności, stanowił tego koronny przykład. Był ładny w jednej z jej świątyń, jednak naturalnej wielkości marmurowe przedstawienie aktu prokreacji nie sprzyjało szczególnie filozoficznemu spokojowi w przybytku nauki.

Adrian wzruszył ramionami, westchnął i wyminął posąg, przechodząc do rzędu zwojów prawniczych przypadków, które, jak wiedział, tam się znajdowały. A potem się zatrzymał, obrócił na pięcie i ponownie się zbliżył, kaszląc i odchrząkując.

Lady Tinia Redvers była opanowana i spokojna, gdy Adrian pojawił się po raz drugi, a jej długa, obcisła, jedwabna suknia - sama w sobie stanowiąca pogwałcenie każdego prawa przeciwko wystawności, jakie kiedykolwiek ustanowiła rada Konfederacji - udrapowana tak

ozdobnie, jak to tylko było możliwe. Tinja Redvers była kobietą lat około trzydziestu pięciu, z figurą, która w innej dekadzie byłaby po prostu uznawana jako tłusta, ale obecnie uważano ją za cudownie pulchną, i z masą spiętrzonych wysoko na głowie czarnych kędziorków. Pani Redvers wykazywała na tyle dobrego smaku, iż za ozdoby nosiła jedynie złotą naramienną bransoletę w kształcie węża i rubinowe kolczyki. Gdy się pokłonił, miała rozbawiony uśmiezek na pełnych wargach.

- Ach, mały Szmaragdowiec... jesteś bratem mojego ochroniarza, nieprawdaż?

- Mam ten zaszczyt, dostojna pani - rzekł, prostując się Adrian.

Esmond stał teraz przy kanapie, wyprostowany, w przyzwoitej, oficjalnej pozie. Miał na sobie nabijany pas z czarnej skóry, taką samą opaskę lędźwiową, wysoko wiązane sandały, miecz i sztylet. Ich rękojeści obfitowały w złoto i szafiry, lecz ostrza były wystarczająco funkcjonalne. Jego długie, jasne włosy były rozczochrane, a na szyi miał czerwony ślad. Adrian uniósł leciutko brew, co starczyło za uśmiech między braćmi. Uniósł ją nieco bardziej na widok dobrze skrywanej, zduszonej furii w spojrzeniu Esmonda.

- Gdy ty bronisz nas w sądach, a Esmond mieczem, jesteśmy z mężem *całkiem* bezpieczni - powiedziała kobieta i pstryknęła palcami.

Dwie pokojówki w długich, prostych sukniach z bawełny z Zachodnich Wysp - za które można by kupić dwa dobre velipady do jazdy - wychyły z jakiegoś miejsca, gdzie dyskretnie czekały. Lady Redvers oddaliła się w oparach bzu.

Adrian spokojnie przeszedł obok rzędu zwojów i znalazł *Komentarze Smantona do wczesnych edyktów zgromadzeń ludowych* oraz *Odnośne precedensy*, usiadł na kanapie i zaczął czytać, rozwijając zwój z lewej ku prawej.

- Nieco rozpraszają te perfumy - stwierdził po chwili. - I czy pod tym całym jedwabiem jest gorset? Trudno uwierzyć, że same tak sterczą.

Podniósł szybko wzrok, usłyszawszy pomruk brata. - Coś nie tak - było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Oczywiście, że coś jest nie tak - warknął Esmond, czerwieniejąc i pocierając ręką szyję.

- Przede wszystkim, nie przyjechałem tu, żeby być męską dziwką.

- Nie, przyjechałeś po to, by być nauczycielem walk - powiedział Adrian. - Może nauczysz naszego szacownego patrona używania podwójnego podbródka, aby dusił swych przeciwników.



- Wilder Redvers padłby na apopleksję, przebiegłszy trzy razy po bieżni treningowej, a co dopiero gdyby stoczył walkę w zbroi - rzucił gorzko Esmond. - *Modne* jest posiadanie nauczyciela walk, Szmaragdowca, zwycięzcy w odbywających się co pięć lat igrzyskach. W następnym roku modni będą filozofowie albo tańczące psy. A jego *żona*...

Adrian wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nie przesadzaj, ona nie ma osiemdziesiątki - a *ochroniarz* to tutaj całkowicie szacowny zawód. - To znaczy, pod warunkiem, że bycie kimkolwiek poza bogatym Konfederatem mogło być tu szacowne. - A Wilder Redvers padnie trupem także wtedy, gdy będzie musiał *to* robić.

Uśmiech mu zgasł, gdy Esmond się rozejrzał, starannie lustrując najbliższej położone części biblioteki. - Bracie, to nie dlatego poprosiłem, abyśmy się tutaj spotkali - *ona* się po prostu napatoczyła, niech to szlag. Musisz mnie wysłuchać. To jest poważna sprawa.

- *Jaka* sprawa? - spytał Adrian. - Poza zbliżającym się bankructwem naszego patrona, wyrokiem za wymuszenie i wykroczenie w sprawach służbowych oraz grzecznym zaproszeniem do otwarcia żył w kąpielni wystosowanym przez sąd polubowny? A o *tym* mówi się w sądach.

- Redvers nie zamierza siedzieć i czekać na człowieka ze sztyletem - stwierdził bez ogródek Esmond. - Słuchaj. - Jego głos przeszedł w szept. - Tego ranka...

\* \* \*

- Wpuścić Szmaragdowca - odezwał się głos zza drzwi.

Esmond zobaczył, że strażnicy nie są niewolnikami rodziny Redvers. Byli weteranami konfederackiej armii, posiwiątymi, przysadzistymi mężczyznami o nogach i ramionach jak sękaty drzewa. Nie były to gładkie mięśnie sportowca, jakie miał Esmond, ale wystarczyły, a assagaje połyskujące w ich rękach wyglądały na często używane.

- Taki wysoki, z włosami jak konopie, wygląda jak ciota z mieczem, panie? - spytał jeden z weteranów, opierając się o tarczę i szczerząc zęby w uśmiechu. - Daj nam całusa, śliczny chłopaczku.

- Wpuścić go, powiedziałem, ty głupku!

- Czy mamy mu zabrać miecz, panie?

- Wpuścić go!

Weterani wyprostowali się, stając na baczność. - Tak, panie! - rzucił jeden z nich.

Walnęli ostrzami assagai o guzy na swoich tarczach. - Przechodź, Szmaragdowcu!

Esmond wyprostował się i przeszedł przez pokryte płaskorzeźbami drzwi z brązu. Nigdy nie był w prywatnych apartamentach Redversów. Były mniej krzykliwe urządzone, niż się spodziewał... zapewne była to zasługa lady Redvers. Wysokie, kasetonowe sufity, przyzwoite freski - wykonane oczywiście przez artystę Szmaragdowca - i posadzki w geometryczne wzory. Kolumny prowadziły na balkony wychodzące na dziedziniec z krzewami róż i palmami oraz fontannami w kształcie morskich bogów. Tuzin otoman z brązu wykładanego srebrem, z jedwabnymi poduszkami, otaczał stół z wiśniami, figami i dzbanami wina; wylegiwał się na nich swobodnie tuzin konfederackich szlachciców. Brakowało tylko kamerdynerów, którzy powinni stać za otomanami, gotowi napełnić puchary, odegnąć muchę lub wypełnić polecenie.

Szmaragdowiec przyłożył pięść do piersi i skłonił się.

- Panie - powiedział, nagle mocno świadom swego rodzimego akcentu. - Wezwałeś mnie?

Jego oczy przebiegły po zebranej szlachcie. Wokół niskiego stolika znajdowało się jakieś dziesięć albo dwanaście milionów arnketów... ale co najmniej drugie tyle długów. Młody Mark Silva, któremu udało się zebrać stajnię najwolniejszych wyścigowych velipadów w Vanbercie i postawić na nie rodowe posiadłości. Johun Audsley, słynny generał i słynny rozgoryczony dawny zastępca Arka Markomana, jeszcze bardziej słynnego generała, który zmarł na emeryturze, nie pozostawiając niczego swej prawej ręce. Tows Annersun, który startował na każde obieralne stanowisko i któremu udało się obrazić tak wielu wysoko postawionych ludzi, że nie zdobył żadnego, mimo fortuny wydanej na łapówki, walki i darmowe wino... oraz jego szacowny patron Wilder Redvers we własnej osobie, dawny gubernator prowincji Solinga z ramienia Konfederacji, znany z wymuszeń zbir. Pulchny, łysiejący mężczyzna, po pięćdziesiątce; umięśniony niczym byk wielkobestii jako młodzieniec, teraz z ogromnym, obwisłym kałdunem i trzęsącym się cielskiem pod pachami. *Ale nie jest kompletnym głupcem*, upomniał się Esmond. Był nawet kiedyś kompetentnym generałem, w wojnach na zachodzie, dekadę temu.

Wydał też każdy grosik, jaki wycisnął ze swojej prowincji, próbując zostać mówcą na Zgromadzeniu Ludowym - jednym z dwóch sędziów, którzy rządili Konfederacją, tak jak się dało. To, że przegrał, wydawszy *tylko* pieniędzy, oznaczało, iż właściwie każdy ustosunkowany ród szlachecki w mieście i okolicy musiał zwrócić przeciwko niemu swoje

wpływy i klientelę.

A nie mając możliwości mówcy, był zgubiony. Jeśli nie dopadną go wierzyciele, to dostaną go sprawami sądowymi mieszkańcy prowincji, którym w stolicy uda się zdobyć dość patronów chętnych do doprowadzenia Redversów do upadku i uszczknięcia czegoś z posiadłości, które pójdą pod młotek.

- Usiądź tam, Esmondzie - powiedział Redvers. - Nalej sobie i mnie trochę wina, chłopcze.

*Mały Esmond, mały Szmaragdowiec*, pomyślał Esmond, lecz zacisnął zęby i zrobił tak, uśmiechając się.

- Sprowadziliśmy cię tutaj dla omówienia drobnej, politycznej kwestii - rzekł konfederacki szlachcic.

Esmondowi udało się nie zakrztusić winem. Polityka była domeną obywateli Konfederacji - *bogaty*ch obywateli Konfederacji, jeśli wyszło się poza poziom żyjących z zapomogi ludzi, sprzedających swoje głosy na Zgromadzeniu Ludowym. Desperacja sprawiła, że wzrok mu się wyostrzył, nabrał takiej samej podskakującej jaskrawości, jaką odczuwał przed igrzyskami. Jeden albo dwóch... nie, trzech gości nie było tymi, na których wyglądali. Wykończone fioletem tuniki i szaty, owszem, lecz w tych twardych, ukradkowych spojrzeniach nie było pańskiej arogancji jak u znajdujących się obok szlachciców. *Szefowie gangów*, pomyślał. Typy, które mogły otoczyć patrona opieką lub dopilnować, aby stronnicy drugiej strony zostali ciężko ranni lub po prostu zniknęli. Niektórzy z nich byli równie potężni co wielu sędziów albo generałów...

Pozostali szeptali pomiędzy sobą, skubiąc małe ciasteczka pełne orzechów i puree z bananów, popijając wino. *I patrzą c na mnie, niech bogini bę dzie moją tarczą .*

- Mój pan zaszczyca mnie bardziej, niż jestem tego godny - rzekł gładko Esmond. *Moż e nie jestem mówcą , ale całe życie słuchałem Adriana.* - Jeśli mój pan zechce otworzyć przede mną swój umysł, to z pewnością uczynię co w mej niegodnej mocy, aby mu pomóc.

Redvers skinął głową. - Jak może wiesz - zaczął - zostałem ostatnio oszukany - paskudnie oszukany - i przegrałem wybory na mówcę na Zgromadzeniu Ludowym. Przez korupcję! Nie mającą precedensu, pozakonstytucyjną korupcję! Ingerencja Rady!

Esmond rzucił szybkie spojrzenie na Audsleya. Mentor Audsleya, Markoman, był tym, który zakończył ostatnią rundę wojen domowych i to on przywrócił wpływy Radzie i

ograniczył Zgromadzeniom Ludowym... Audsley uśmiechnął się i skinął głową.

- Aby oczyścić państwo trzeba ognia. Sięgnięcia po drastyczne środki! Tylko tak sprawiedliwość, pokój i właściwy porządek zostaną przywrócone!

Poważne kiwanie głowami, błysk w oczach.

- Mój panie, oby sami *bogowie* wspomogli twą sprawę. - Esmond zerwał się na nogi, a potem przypadł na kolano, dobył i ofiarował swój miecz. - Widzę świt nowej ery dla Konfederacji!

- No; no, to bardzo ładnie z twojej strony, Esmondi - powiedział Redvers. - Widzisz, każdy z nas ma swoją rolę do odegrania. Radny Audsley zbiera wystarczające siły spośród weteranów Markomana - wielu z nich żyje w biedzie, mimo rozlicznych usług, jakie oddali państwu.

*Po tym jak przełuli swoje łupy i ziemskie nadania, wydają c bez opamiętania na dziwki, kość ci i wino*, pomyślał Esmond. Wrócili z zachodnich prowincji, zataczając się pod ciężarem złota... a właściwie to zataczali się pod nim niezliczeni niewolnicy, jakich wzięli. Markoman posłużył się nimi do wspięcia się na najwyższe stanowisko. Zwykle Konfederacja miała dwóch mówców - jednego ze strony Zgromadzenia Ludowego i jednego ze strony Rady. Markoman był jedynym mówcą od momentu, gdy przemaszerowali jego żołnierze i rozpoczęły się egzekucje oraz wygnania trwające aż do jego niespodziewanego przejścia na emeryturę. Zmarł zaś w łóżku, co było mocnym argumentem na poparcie tezy, iż bogowie rzeczywiście wtrącają się w ludzkie sprawy.

- Pozostali panowie powstaną zbrojnie w wyznaczonym dniu. Niektórzy opanują budynki publiczne, inni wzniesą pożary i zamieszki, aby odwrócić uwagę Miejskich Kompanii. A ty, mój drogi Esmondi... - Redvers się uśmiechnął. - Właśnie sobie uświadomiłem... w Vanbert ostatnimi czasy jest tak *wielu* cudzoziemców. Zwłaszcza Szmaragdowców. W *moim* domu jest ze dwudziestu albo i trzydziestu Szmaragdowców, czyż nie? A ty jesteś uważany przez nich za sławnego człowieka, prawda?

- Mam pewne niewielkie wpływy, to prawda, panie - rzekł Esmond. Zwycięzcę igrzysk *rzeczywiście* wielu znało z imienia. Nie było to dokładnie to, o co chodziło Redversowi, lecz Esmond nie miał zamiaru pomniejszać swego znaczenia. Już usłyszał zbyt wiele, by ujść z życiem, jeśli choć przez chwilę podejrzewaliby, że nie jest z nimi albo że mógłby nie być użyteczny.

- Zostaniesz za to wynagrodzony - rzekł, skinąwszy głową Redvers. - Cóż, nawet konfederackie obywatelstwo... może wąski kawałek ziemi i skromna posiadłość w prowincjach. - Rozpłynął się w uśmiechu, co pogłębiło bruzdy wzdłuż jego mięsistego nosa. - Musisz tylko wezwać Szmaragdowców i tym podobnych do powstania i zabicia w wyznaczonym dniu głównych sprawców korupcji. Ale *to* wywoła zamieszanie!

- Panie, to świetny plan - rzekł Esmond, głosem ściszym, lecz szczerym. - Proszę jednak... wybaczyć mi ignorancję... coż takiego będzie robił radca Ion Jeschonyk? Nigdy nie widziałem mówcy Rady na ulicach bez dwóch tuzinów własnych sług, z czego większość to wojskowi weterani i zawodnicy z igrzysk. A gdyby któryś z sędziów zbiegł i dotarł do lojalnych garnizonów... to znaczy lojalnych wobec nich...

- Ci Szmaragdowcy są bystrzy - rzucił przeciągle jeden z mężczyzn.

- Cóż, mój chłopcze, wszystkie te sprawy zostały przemyślane - rzekł pobłaźliwie Redvers. - Zaiste, to moja dłoń - wraz z paroma z obecnych tu moich przyjaciół - obali tyrana Jeschonyka. Widzisz, odwiedzimy go w domu, o trzeciej nad ranem, zanim przybędą jego klienci, by złożyć mu wyrazy szacunku. Zadźgamy go, gdy wyjdzie nam na powitanie, a gdy będzie już martwy, nikt nie ośmieli się podnieść ręki na tak wielu ojców państwa. A sędzia Demansk ma niedaleko od stolicy dwadzieścia tysięcy ludzi pod bronią, poborowych na zbliżającą się kampanię przeciwko Wyspiarzom.

- Sędzia Demansk jest po waszej stronie, panie? - Esmond starał się wyrazić w swym tonie pełny uwielbienia podziw. *Nie przesadz*, napomniął się. Jednak zadając się z tymi ludźmi, nie przesadzanie było niemal *niemożliwe*. .. a z drugiej strony szefowie gangów najpewniej się na to nie nabiorą. Jeśli Demansk był z nimi, to rzeczywiście mieli szansę na powodzenie.

- Sędzia Demansk... - Redvers się uśmiechnął - jest, powiedzmy, człowiekiem ambitnym, z którym... rozmawiano. Zatem, co powiesz, Esmond, mój chłopcze?

Esmond wstał i zsalutował Redyersowi, przykładając pięść do piersi. - Rozkazuj, panie, a powodzenie jest pewne, jakby przemówili sami bogowie.

\* \* \*

- Mówisz *poważnie*? - wykrztusił Adrian, gdy jego brat dokończył opowieść, przesuając dłonią po swych długich, kręconych włosach.

- Śmiertelnie - powiedział Esmond.

Adrian wpatrywał się w niego, zbulwersowany. - Och, Panienko z Gwiazd - wyszeptał. -  
Wszyscy oni zginą.

- To mnie nie wzrusza - stwierdził ponuro Esmond. - A tak w ogóle, to masz rację.

Jedynym powodem, dla którego nie zawiśli - właściwie to większości z nich pozwolono by na śmierć od noża, przez wzgląd na ich dość wysoki status społeczny - jest to, że Rada i mówcy są niemalże taką samą gromadą bufonów-amatorów jak oni sami.

Wysoka postać brata opadła na ławkę. - Jak, na bogów, udało nam się skończyć jako poddani tych ludzi?

- Mieli lepszą armię - rzekł z roztargnieniem Adrian. - I w tych czasach nie walczyli między sobą tak bardzo jak my. Znasz to powiedzenie: gdzie dwóch Szmaragdowców...

- ...tam trzy frakcje i wojna domowa - dopowiedział posepnie Esmond. - I niech to piekło pochłonie, my jesteśmy zamieszani w to... to popapranie. Nie dałbym im jednej szansy na dwadzieścia. Może i Konfederacja jest rządzona z Vanbertu, ale nie jest miastem-państwem ani monarchią. Nie można tak po prostu pojmać jednego człowieka, zająć kilka budynków i rządzić, albo paradować z małym ochroniarzem tak jak... jak on się tam nazywał. Jakiś tyran, ten, który przybył kiedyś do miasta z wielką dziewczyną przebraną za boginię?

- Petor Strattis - powiedział Adrian. Cztery wieki temu Strattis był szefem Solingi przez dwadzieścia trzy lata, a jego reformy położyły podwaliny pod późniejszą demokrację i Szmaragdową Ligę. - Zaczekaj, pozwól mi pomyśleć.

»Ocena Esmonda Gellerta jest niesłychanie trafna« powiedziało Centrum, z odcieniem zaskoczenia w swym maszynowym głosie. »Stochastyczna analiza wskazuje, że prawdopodobieństwo przewrotu zakończonego powodzeniem wynosi osiem procent plus minus trzy.«

Szare oczy Raja otworzyły się w umyśle Adriana. »Ten twój brat to nadzwyczajny młodzieniec« rzekł z podziwem. »Cieszyłbym się, mając go za młodszego oficera. Ma naturalny talent i myślę, że ludzie by za nim poszli. Hmm... trzeba się nad tym zastanowić. Centrum?«

»Owszem. Musimy dokonać przeszacowania długofalowych planów... Jednakże zasadniczy system poglądów Esmonda Gellerta stanowi przeszkodę w jego użyteczności jako narzędzia.«

*Mój brat nie jest narzęciem!* - pomyślał z zaciętrzewieniem Adrian. *On jest ludzką*

istotą .

»Ludzkie istoty mogą być narzędziami ludzkości« pomyślał łagodnie Raj. »Nie ma większego zaszczytu. Lepiej służyć ludzkości niż chciwości jakiegoś polityka lub mitowi, który zmienia się w popioły pełne martwych dzieci.«

*Przepraszam, pomyślał Adrian. Co możemy zrobić ?*

»Cóż, Redversowie i jego przyjaciele mają jedną zaletę« rozmyślał Raj. »A właściwie dwie. Po pierwsze, są skorumpowani, niemoralni, krótkowzroczni i całkowicie samolubni. Odpowiedzialni szlachcice nie posłuchaliby cię, gdybyś opowiedział im o wstrząsających ziemią innowacjach - zobaczyliby nie tylko natychmiastową korzyść, lecz uświadomiliby sobie, iż mogliby zdestabilizować system, a ci, którzy są lojalni wobec czegoś więcej niż siebie samych, są lojalni wobec tutejszego systemu. Po drugie, oni są zdesperowani. Będą się czepiać brzytwy, bo jeśli przegrają, czeka ich wanna pełna zabarwionej na czerwono wody.«

Adrian uniósł głowę. - Czy zdradzili ci cokolwiek na temat czasu tego... powstania?

- Nie stanie się to od razu. Chcą przeciągnąć na swoją stronę Demanska, jeśli to tylko możliwe. Poza tym, jeszcze parę miesięcy - wątpię, aby sami wiedzieli dokładnie. Czemu pytasz? Czy sądzisz, że uda nam się przedtem umknąć na Zachodnie Wyspy?

- Nie, myślę, że mam pomysł - rzekł powoli Adrian. - Ale potrzebuję trochę czasu, aby się udał.

Jedna ze służebnych lady Redvers wróciła do alkowy, w której siedzieli bracia. - Och, Esmondzie, tak się przestraszyłam - zaczęła, mówiąc czystym szmaragdowym z wyższych sfer.

A potem dostrzegła Adriana i zamarła. Esmond podszedł śmiało do niej i ujął ją za rękę. - Bracie, to jest Nanya. Niegdyś z rodu obywateli Penburga.

Adrian uklonił się z powagą. Penburg został złupiony po rewolcie sześć lat temu, gdy Wilder Redvers był gubernatorem prowincji Solinga. Każdego dorosłego mężczyznę posłano na pal, a resztę sprzedano w niewolę. Adrian uniósł brew, sygnalizując: *Czy wiesz, jakie podejmujesz ryzyko?* Gdyby lady Redvers się dowiedziała... to zabicowanie na śmierć byłoby najlepszą rzeczą, jaka mogłaby oczekiwać Nanyę. Zabicie wolnego rezydenta Solingi takiego jak Esmond byłoby bezprawiem... lecz to nie powstrzymałoby tej damy i uszłoby jej to bezkarnie.

- I, jeśli bogowie pozwolą, moja żona - ciągnął dalej Esmond.

Nanya spojrzała na niego z uwielbieniem, a jej ogromne, brązowe oczy nabrały miękkiego wyrazu. Adrian przymknął oczy. *Dajcie mi siłę*.

»Damy, synu« przemówił bezgłośnie Raj.

\* \* \*

Sądy w Vanbercie rosły wraz z miastem. Najwyższy z nich - Zgromadzenie Sądu

Apelacyjnego - mieścił się w nowym, marmurowym kompleksie położonym niedaleko od Świątyni Podwójnego Boga, na Wiosennym Wzgórzu. Budynek ten postawiono w przesadzonej formie klasycznego szmaragdowego stylu, przystosowanego do potrzeb sądowych instytucji Konfederatów. Dwa kwadratowe bloki z obu stron mieściły długie korytarze, po których adwokaci, klienci i petenci mogli się przechadzać i rozmawiać i gdzie mogli załatwiać interesy. Były one proste jak świątynie Szmaragdowców, otoczone przez ogromne kolumny wspierające konfederacki wynalazek - beczkowe sklepienie sufitu. Sufit był pokryty kasetonami i połączony, a wysokie okna biegly dokoła, pod okapem. Nawet w pochmurny, zimowy dzień taki jak dziś, światło rozpraszało się na wyklepanych złotych liściach, w pozbawionym cieni blasku, oświetlając blady marmur ścian, kolumn i posadzki. Oba korytarze łączył sąd, tworząc kwadratowe C, z zakrytym amfiteatrem w centrum. W konfederackich sprawach sądowych ławy przysięgłych były spore - teoretycznie w ławie mógł zasiadać każdy obywatel, choć wymóg ofiary oczyszczającej wykluczał biednych - siedzieli oni pod adwokatami i sędziami, niczym publiczność na walkach gladiatorów. Adrian często myślał, iż to porównanie ma sens nie tylko w jednym wymiarze. Choć miało bardziej subtelny charakter, to starcie konceptu i cytatów odbywające się w dole było równie brutalne jak to za pomocą miecza czy włóczni albo kłów i zębów. Wyraz twarzy przysięgłych też był podobny. Oprócz tego, że nikomu nie płacono za oglądanie igrzysk, podczas gdy przysięgli otrzymywali pensję, nie licząc łapówek lub pieniędzy od patronów.

Ważna sprawa sądowa mogła być prawie tak kosztowna jak miejskie wybory.

Adrian zebrał wokół siebie swoją prostą, białą opończę i ruszył ku niskiemu, symbolicznemu, metalowemu ogrodzeniu, otaczającemu dysk słoneczny osadzony w mozaice posadzki sądu. Akustyka była wspaniała - słyszał szeptane rozmowy na górnych ławkach, a nawet zaspane beknięcia zawsze niechlujnych gapiów ucinających sobie drzemkę.

Człowiek z ceremonialnym batem i toporem zatrzymał go przy wejściu. - Jeśli przychodzisz przemawiać, wykaż się obywatelstwem - odezwał się znudzonym głosem. Jego



atrybuty miały przypominać o władzy sędziowskiej pozwalającej karać i zabijać, lecz już dawno nie używano ich w tym miejscu.

- Przychodzę nie po to, by przemawiać, lecz przekazać słowa kogoś innego - powiedział Adrian, modulując głos tak, jak nauczyło go Centrum. Komputer usunął także ostatnie ślady delikatnego akcentu Szmaragdowców. Teraz w jego głosie pobrzmiwały przeciągłe, wyraźne samogłoski jak u rodowitego Konfederata - i to mówiącego dialektem wyższych sfer.

- Przejdź zatem - powiedział strażnik.

Adrian postąpił dalej, w bezgłośnych sandałach z koźlęcej skóry, i wykonał głęboki ukłon przed ławą sędziowską. Dzisiaj, jak zobaczył, wszyscy ławnicy byli starszymi mężczyznami, o pobrużdżonych, surowych twarzach, z kłaczkami włosów na brodzie i pełnych dezaprobaty spojrzeniach.

- Wydaje się być w porządku - rzekł starszy sędzia, przyjrzawszy się zwojowi, który upoważniał Adriana do przemawiania w imieniu adwokata-obywatela. - Sądzę, iż musimy pozwolić małemu Szmaragdowcowi przemówić. Nie wiem, na co schodzi Vanbert.

Dziewczyna kosztuje więcej niż miecz, śliczny chłopaczek więcej niż rozłóg ziemi, dzbanek importowanego sosu rybnego więcej niż dobry zaprzęg do pługą i jeszcze pozwalają cudzoziemcom przemawiać w sadach, gdzie niegdyś prezentowali się konfederaccy dżentelmeni. Niedługo pozwolą im służyć w wojsku. No dalej, Szmaragdowcu, dalej.

W jego głosie pobrzmiwała dezaprobatą. Adrian skłonił się ponownie.

- Zetknęliśmy się tu - zaczął - ze sprawą, która jota w jotę przypomina szacowną...

Przemawiał swobodnie, z początku konwersacyjnym tonem. Już to samo było śmiałym posunięciem - zwykle przemawiano na modłę oratorską, grzmiącym głosem, z prawą stopą wysuniętą i wyciągniętą ręką, podczas gdy druga ścisnęła przednią fałdę oponczy. Posługiwał się dość śmiałym, awangardowym stylem, przynajmniej we wstępie.

Podpowiedzi Centrum przepływały mu przez głowę. Precedensy, alegorie, fragmenty wierszy lub nieporadne rymy, które uchodziły za poezję w tym kraju. Czuł, jak znika chłód sędziów przysięgłych, widział, jak mężczyźni pochylają się do przodu z zaciekawieniem.

- Piękne słówka mające ukryć zwyczajną prawdę - rzekł wreszcie adwokat drugiej strony.

- Jednakże *Dessin* i *Chrosis* jasno stwierdza, iż prowincjonalne zrzeszenia nie mają wedle regulaminu prawa do wysuwania *obywatelskiej* petycji przed tym szacownym sądem.

Obywatele! Wnoszenie takich odwołań jest *waszą* prerogatywą!

*Odwoływanie się do konfederackiej dumy rzadko zawodzi*, zauważył Adrian. Spodziewał się tego.

- Obywatele! - odparł. - Obywatele... jakaż duma, jakaż chwała, jakaż siła tkwi w tym prostym słowie. Obywatele Konfederacji Vanbertu! Wy macie prawo wzywać przed sąd i puszczać wolno, to wasza ręka dzierży assagaj sprawiedliwości. To nie podlega dyskusji. Szacowny adwokat Rolniczego Syndykatu Podatkowego ze Smellton ma całkowitą rację. Samo prowincjonalne zgromadzenie - nie mające prawa głosu w tym sądzie - nie może uzurpować sobie prawa do przedstawiania *obywatelskiej* petycji jako takiej.

- He? - Usta głównego sędziego poruszały się, jakby przeżuwał coś bezzębnie. - Czy uznajesz sprawę za przegraną, Szmaragdowcu? Czy to nakazał ci przeczytać - w jego głosie znowu dało się słyszeć pogardę, tym razem wobec prawniczej fikcji - twój „pryncypał”?

- Ależ w żadnym razie, dostojni sędziowie, nie uznaję sprawy za przegraną. Bowiem - przeszedł na formalny styl - mimo iż moja skromna osoba jest jedynie rzecznikiem mego pryncypała, który *jest* obywatelem wspaniałej Konfederacji, to ta petycja przedstawiona jest w imieniu następujących prawowitych obywateli, których nazwiska znajdują się na dziesięcioletniej liście: przemawiam za Jusina Samberta, Augina Meltona...

Ciągnął dalej, a jego głos wznosił się ku powale. Głowy w rzędach ławy przysięgłych zaczęły się kiwać i zbliżać do siebie, szepcząc potakująco.

- Sprawiedliwość! Ta surowa bogini z toporem i biczem w dłoni, straszna postać, nieugięta w swej prawości, przygląda się nam nawet teraz!

Adrian zabrał się za podsumowanie swej mowy. Gdy zamilkł, z opuszczoną głową i wyciągniętymi rękoma, przysięgli wstali i zaczęli klaskać, a hałas odbijał się echem od kopuły w górze. Nakryte głowy sędziów zbliżyły się do siebie, usta poruszały się niesłyszalnie w tym hałasie.

- Petycja została przyjęta do rozpatrzenia - rzekł starszy sędzia, spoglądając na Adriana ze swego wysokiego siedziska. - Przysięgli i sędziowie się zgadzają. - Co właściwie gwarantowało, iż petycja zostanie rozpatrzona pomyślnie... a to oznaczało, iż na Rolniczy Syndykat Podatkowy zostanie nałożona miażdżąca grzywna. - Sprawa zamknięta.

Adrian wychodził powoli, mimo wszechogarniającego impulsu, aby pognać na korytarz i wypić szklankę lemoniady albo rozcieńczonego wina. Żeby pracować w sądzie, trzeba było mieć gardło z mosiądzu i pęcherz wielkości dzbanka wina. Zamiast tego szedł, uśmiechając

się i kłaniając, wymieniając kilka grzecznościowych słówek z jakimiś od dawna praktykującymi adwokatami i ich klientami.

*Widać, jak są zaskoczeni, pomyślał z ironią. Jak to się stało, że Szmargdowcowi poszło tak dobrze w miejscu, gdzie powinni błyszczeć prawdziwi mężczyźni?*

Podejrzał, że jeśli kiedyś Konfederacja zostanie zniszczona, to dlatego, że ktoś po prostu nie zdoła się oprzeć pokusie walnięcia obciążoną ołowiem pięścią w twarz, na której maluje się ten tępy grymas samozadowolenia i wyższości. Nie można przetykać złości w nieskończoność.

- Ach, młody Adrian - odezwał się jakiś głos.

Poczuł zimne ukłucie strachu, takie, które sprawia, że ściska cię w żołądku i jądra próbują się wcisnąć w brzuch. *Właś nie tak to zaplanowałem*, powiedział sobie w duchu.

- Panie - rzekł, odwracając się i kłaniając. Wilder Redvers we własnej osobie. Jego pulchna postać owinięta w opończę radcy z szerokim fioletowym wykończeniem robiła wrażenie.

- Słyszałem rekapitulację twojej mowy. Jestem pod wrażeniem, dużym wrażeniem - konfederacki adwokat nie zrobiłby tego lepiej. Widzę, iż pozwolenie ci na korzystanie z mojej biblioteki było mądrą decyzją, tak, mądrą.

- Jestem wdzięczny po wsze czasy, panie - rzekł Adrian. Rozejrzał się dokoła. - Czy mógłbyś poświęcić mi chwilę swego czasu?

- Cóż... zapewne.

- Sam na sam, panie. To bardzo delikatna sprawa.

Wyraz pulchnej twarzy o zakrzywionym nosie zmienił się.

*Podejrzał, że coś wiesz, ostrzegł go Raj. Przypomnił sobie, że jesteś bratem Esmonda.*

W myślach Adrian przyznał mu rację. *A jeśli li jego podejrzenia okażą się uzasadnione, będę martwy w przeciągu godziny*, pomyślał. A nawet jeśli się nie potwierdzą. *Muszę się teraz okazać użyteczny.*

- Jak pewnie wiesz, panie, zbieram notatki do kroniki - powiedział. Twarz Redversa lekko się rozluźniła; było to tradycyjne hobby prawników. - I w bardzo starych kronikach natknąłem się na pewną informację, która może być ważna dla państwa. Oczywiście, nie śmiałem sam tego oceniać, ale pomyślałem od razu o tobie - moim patronie, obywatelu o wysokiej pozycji i wpływach, kompetentnym, aby wydać osąd w takich sprawach.

- Mój chłopcze, ciesz się, że okazujesz taką mądrość i dojrzałość - rzekł cicho Redvers. - Inni mogą być biegli w sztuce krasomówstwa, rzeźbienia w marmurze tak, że zdaje się być jak żywy - lecz jedynie Konfederacja otrzymała od bogów mandat do rządzenia, oszczędzając pokornych i ujarzmiając dumnych - powiedział.

*Robi wraź enie, gdyby nie to, że wiem, iż jest to cytat*, pomyślał Adrian z walącym pulsem, odczuwając suchość w gardle. Podeszli do jednej z nisz w ścianie, w którym znajdował się mały, chryzelefantynowy posążek boga wojny, wywijającego archaiczną włócznią, heroicznie nagiego, ze stopą spoczywającą na martwym barbarzyńcy z południa.

- Odnalazłem serię wzorów chemicznych, znanych tylko nielicznym, wybranym starożytnym - zaczął Adrian. - Wiedza od dawna zaginiona.

Redvers skinął głową. Wykształconym ludziom było dobrze wiadomo, iż przed Erą Żelaza była Era Złota, której wspaniałość została zapomniana.

- Za pomocą urządzeń opartych na tych wzorach chemicznych, armia będzie niezwyciężona - będzie mogła zmieść siły wielokrotnie większe od niej samej. A te wzory chemiczne są całkiem proste. W przeciągu trzech miesięcy - *sześć ciu miesięcy cy, ale nie starajmy się być zbyt realistyczni* - pod warunkiem, że będzie się miało potrzebne materiały i rzemieślników, można by wyposażyć tak siły, aby zapanować nad Zachodnimi Wyspami albo barbarzyńcami z południa... wielkie dobrodziejstwo dla państwa i oczywiście wieczna sława i chwała dla dowódcy.

Redvers stał całkiem nieruchomo, opuściwszy powieki. - I przyszedłeś do swego patrona z tą wiedzą, bardzo słusznie, mój chłopcze, bardzo słusznie.

»Kupi to« powiedział Raj, a jego głos w myślach był równie beznamienny jak głos Centrum.

»Prawdopodobieństwo zgody dziewięćdziesiąt dwa procent plus minus pięć« dodało Centrum.

\* \* \*

- Co u diabła wygaduje ten Szmaragdowiec? - rzucił opryskliwie jeden z wielmożów. - Niezwyciężona broń... co ma na myśli? Lepszą katapultę, coś tego rodzaju?

Rodzina Redversów była wystarczająco bogata, aby w ogrodach ich miejskiego domu znajdował się taki odosobniony zakątek, którego nie da się dostrzec ani podsłuchać z głównego budynku. Adrian wolałby przeprowadzać tę próbę gdzieś poza miastem... lecz

Centrum stwierdziło, że Redvers niebezpiecznie się niecierpliwi.

Na kawałku trawnika przed nimi znajdował się dąb oraz krąg przypominających strachy na wróble manekinów odzianych w tuniki-kolczugi i hełmy konfederackich żołnierzy. Przed nimi spoczywał prosty dzbanek, zamknięty glinianym dyskiem przebitym bawełnianym knotem, który Adrian namoczył w roztworze, jaki pokazało mu Centrum...

Wzdrygnął się na ten widok - jedno ze wspomnień Raja. Wizje tego, co wybuch *pocisku* albo *bomby* może zrobić z ludzkim ciałem.

- W dzbanku znajduje się moja mieszanka, panowie - powiedział Adrian. - Otaczają...

- Streszczaj się, Szmaragdowcu! Wiesz, że nie jesteśmy aptekarzami.

- Tak, panie. Jeśli panowie zechcą przejść za tę barykadę...

Adrian podszedł do dzbanka, mrugając w ostrym słońcu, z zapaloną lampką oliwną w dłoni. Trzymał ją za uchwyt, a drugi koniec przytknął do knota. Ten zaczął skwierczeć i dymić paskudnie śmierdzącym, błękitnym dymem, a on się odwrócił i ruszył - starał się nie biec, szlachta musi być *pod wraź eniem* - ku grubym sosnowym balom barykady.

- Hej, no - odezwał się jeden z nich, gdy Adrian schował się z wdzięcznością za grubym drewnem. - Jak mamy zobaczyć, cokolwiek to jest, jeśli się tutaj kulimy?

Mężczyzna zaczął się podnosić. Adrian zacisnął rękę na jego ramieniu i pociągnął go znowu ku dołowi. Pomogło mu zaskoczenie, jako że konfederacki szlachcic nie mógł sobie nawet *wyobrazić*, że Szmaragdowiec mógłby położyć na nim swoje dłonie.

- Ty...

ŁUBUDUP.

Dźwięk był głośniejszy niż grom, głośniejszy niż cokolwiek, co Adrian kiedykolwiek słyszał, na tyle głośny, że ból przeszył mu uszy. Spodziewał się tego. Pozostali ludzie nie. Miecz Esmonda błysnął dobywany ruchem tak szybkim, że aż ledwo widocznym. Jeden czy dwóch konfederackich szlachciców rzuciło się na ziemię, przykrywając uszy rękoma. Inny odwrócił się i pognął ku willi, lecz potknął się o nogę krzesła, i teraz leżał, szlochając i uderzając rękoma o ziemię. Większość z nich po prostu stała i patrzyła po sobie. Audsley, dawny generał, zebrał się w sobie, potrząsnął ramionami, aby ułożyć opończę i wyszedł z barykady.

Zatrzymał się, wpatrując w przednią część bali. Zostały w nich wyżłobione dziury; wsadził w jedną mały palec i wyszarpnął go.

- Jest gorące - powiedział. - Co to jest?

- Ołowiana kulka, podobna do pocisku z procy, panie - rzekł Adrian. - Ciśnięta za pomocą demonicznej siły mieszaniny ze starożytnych wzorów chemicznych. I to sto stóp od wybuchu. Gdyby człowiek stał bliżej...

Adrian uśmiechnął się i rozłożył ręce. Audsley i pozostali ruszyli ku miejscu, gdzie przedtem spoczywał dzbanek. W miękkiej, czarnej ziemi wyłobiony był głęboki do kolan lej, a kawałki darni zostały rozrzucone po całym zakątku ogrodu. Przód dębu błyszczał bielą, kora była zryta i odłupana wybuchem. Kawałki i odłamki zbroi na strachach na wróble zostały porozrzucane dookoła. Jeden hełm wbił się w samo drzewo, a trzy cale grzebienia podtrzymującego pióra wcisnęły się w żywe drewno. Audsley zbadał kolczugę, wsadzając ostrożnie palec w dziurę pomiędzy żelaznymi ogniwami.

- Cóż... - powiedział.

- Pomyśl, panie, o katapultach ciskających dziesiątki takich pocisków w ciasne formacje piechoty - zachęcił go Adrian. - Albo jeszcze lepiej w kawalerię.

- Tak, widzę to - powiedział Audsley. Uśmiech pojawił się na jego pobrużdżonej i ogorzalej twarzy. - Redvers, myślałem, że marnujesz nasz czas, ale tak nie jest. Wspaniały z ciebie człowiek, wspaniały!

Wielmoże zgromadzili się dokoła Wildera Redversa, waląc go po plecach i śmiejąc się niczym ludzie ocaleni przed śmiercią... co właściwie mogło być prawdą. Adrian się odwrócił, czując wzrok na swoich plecach. Esmond stał obok barykady, spoglądając na zniszczenie spowodowane przez bombę, a potem na miecz, który wciąż ścisnął w dłoni.

\* \* \*

- Co właściwie mam tu robić? - spytał Esmond, oglądając się przez ramię. Ty masz swoje diabelskie maszyny, którymi się zabawiasz, ale ja powinienem wrócić do miasta.

- Nie martw się - powiedział Adrian. - Ona jest o wiele bardziej bezpieczna, jak cię *nie ma*, niż jak tam jesteś.

Esmond pokiwał ponuro głową. - Pytanie w dalszym ciągu jest aktualne.

Znajdowali się dwa dni drogi od przedmieść Vanbertu i godzinę jazdy zwirową drogą skręcającą z wojskowego traktu na zachód od miasta. Od godziny podróżowali po ziemi Redversa. Mijali wioski niewolników, tłocznie wina, kopalnię ałunu, pola, gdzie żółte kłosa były w większości zżęte i ustawione w stogi, pastwiska i sady, gdzie pęczniały owoce... a

teraz skręcali w brukowaną aleję prowadzącą do willi Wildera Redversa, jednej z wielu w jego posiadaniu. Był to ładny budynek, zwyczajny prostokątny blok z kolumnowym portykiem od frontu i zwykłym, klasycznym ogrodem z tyłu. Z przodu znajdowała się mocno przycięta murawa pastwiska, upstrzona drzewami i wysadzana cyprysami aleja.

- Dwie sprawy - powiedział Adrian. - Po pierwsze, tutaj większość wyższej statusem służby jest pewnie Szmaragdowcami. Trzeba, abyś się nimi zajął.

- Czemu? Jesteś Szmaragdowcem tak samo jak ja. - Ale ja nie jestem zwycięzcą igrzysk i nie wyglądam, jakby powrócił Wielki Nethan - rzekł. - Na boginię, bracie, myślę, że się rumienisz.

To wywołało bezwiedny krzywy uśmiezek. - A poza tym - ciągnął dalej Adrian - ktoś musi dowodzić jednostką, która się tym posłuży - i strażą, która dopilnuje, żeby nikt nas w tym czasie nie zaszedł od tyłu.

Esmond spojrzał na niego. - Bzdura. Redvers nigdy nie pozwoli, żeby coś takiego dostało się w ręce grupki cudzoziemców.

- Pozwoli - rzekł Adrian. - Kiedy zobaczy, jak *oni* na to zareagują.

Skinął głową w lewo, ku dworowi. Znajdujące się tam pastwisko było przedtem zapewne przeznaczone dla velipadów pana. Teraz pokrywały je skórzane namioty stojące w zgrabnych rzędach, a każdy był odpowiedniej wielkości, by pomieścić oddział składający się z ośmiu ludzi.

- Weterani Markomana, którzy przyłączyli się do Audsleya - powiedział Esmond. - Muszą tu być ze trzy bataliony... powiedzmy jakieś półtora tysięcy ludzi.

- I żaden z nich nie przyzna, że może się nauczyć *czegokolwiek* od cudzoziemca - powiedział Adrian. - Uwierz mi.

*I moim niewidocznym doradcom, dodał. Nigdy o nich nie zapominaj.*

\* \* \*

- To małe coś ma kogoś *zabić* ? - ryknął śmiechem żołnierz.

Rękojeść jego assagaja podskoczyła, gdy poruszył grubymi ramionami. Był w pełnym ekwipunku: kolczuga, sztylet, włócznia, tarcza na plecach i hełm z przebiegającym poprzecznie pióropuszem. W zaroście na jego kwadratowej szczęce i gęstych włosach opadających na pocięte bliznami przedramiona sporo było siwizny, lecz pod całym tym ciężarem żelaza, drewna i skóry poruszał się swobodnie. Należał do elity Audsleya -

pomniejszy dowódca w wojnach Markomana. Nie było dość ekwipunku, aby wyposażyć wszystkich ochotników zbierających się w posiadłości Redversa.

- Tak, panie - przytaknął Adrian. - Zapala się to - wskazał na zapalnik wychodzący z małego dzbanka na wino - rzuca i pada na ziemię. Wierz mi, to jest niebezpieczne.

Przypominająca bochen chleba ręka podrzucała bombę w górę i w dół. - Gdyby słowa były klingami, to wy, Szmaragdowcy, rządilibyście światem - zaśmiał się. - W swoim czasie pokonałem wielu Szmaragdowców, od Północnego Łańcucha aż po morze - im mniej gadania, tym potężniejsze ciosy. - Wzruszył ramionami. - Och, cóż, skoro generał mówi, że mamy to wypróbować, to, na dekolt Gellerix, tak zrobimy. Podaj mi krzesiwo.

Niedaleko stało trzynastu żołnierzy, opierając się swobodnie na swoich tarczach. Adrian zobaczył, jak jeden z nich wrywa ździebło do zucia z sięgającej łydki trawy.

Adrian się uśmiechnął, wręczył żołnierzowi krzesiwo i cofnął się kilka kroków. Ten uśmiechnął się na to i skrzesał ogień. Strzeliły iskry, a przy trzeciej próbie zapalnik zapłonął, plując błękitnym dymem.

- Dziwnie pachnie - powiedział żołnierz z pewnym zaciekawieniem, podnosząc dzbanek.

- Proszę teraz cisnąć, panie - rzekł spokojnie Adrian, cofając się jeszcze parę kroków. - W stronę pastwiska, ku tej dzikiej jabłonce, jeśli zechcesz.

- Może nie zechcę - powiedział weteran. - Nie szarp się za opaskę lędźwiową, Szmaragdowcu.

Mocno umięśnione ramię poleciało do tyłu i wystrzeliło ku przodowi, a dzbanek poszybował, ciągnąc za sobą dym. Odsuwając się, Adrian znalazł się za lekkim wyrzuceniem w ziemi. Wiedziony rozsądkiem szybko padł na brzuch. Rosa przesiąkła mu przez przód tuniki, chłodząc skórę. Jak się tego spodziewał, weteran pozostał wyprostowany. Uniósł jednak swą tarczę i wyglądał zza niej.

*Łup.* Dźwięk wybuchającego granatu był paskudnym trzaskiem. Adrian wiedział również, jak on wygląda - czerwona, strzelająca iskra i obłoczek szarawo-czarnego dymu. Tym razem był jednak o wiele za blisko, więc twarz miał mocno wciśniętą w trawę i koniczynę. Coś uderzyło w ziemię z ciężkim łupnięciem. Adrian podniósł wzrok i zobaczył, że żołnierz leży na plecach, z rękoma przyciśniętymi do twarzy, a pomiędzy nich wypływa krew. A potem mężczyzna zwiotczał, waląc piętami o darń. Wśród przyglądających się, jakiś żołnierz ciągle kwiczał, głośniejszy niż ranny velipad.



Adrian podszedł do martwego mężczyzny. Miał ochotę się uśmiechnąć, dopóki nie zobaczył, co zostało z jego twarzy.

\* \* \*

- Idioto! Powinienem od razu nabić cię na pal. Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę, jak cenny jest czterech wyszkolonych żołnierzy?

Adrian i Esmond skłonili się nisko, ich głowy znalazły się na wysokości stopy generała Audsleya, spoczywającej w stalowej pętli strzemienia. Wielkie, owłosione, przypominające spodki łapy jego vel i pad a poruszały się na trawie przed nimi, każda wyposażona w siedem stępionych pazurów. Czuli w nozdrzach mocny, cynamonowo-piżmowy zapach zwierzęcia, a nagi ogon z pęczkiem futra zaczął wymachiwać wściekle, gdy bestia wyczuła nastrój swego pana.

- O, dostojny panie - rzekł cicho Adrian. - W pełni zdaję sobie z tego sprawę, moje wielce unizone przeprosiny. Posługiwanie się tymi urządzeniami to bardziej kwestia sztuki mechanicznej niż prawdziwa żołnierka. Czy mógłbym - ponownie - prosić pokornie, aby przeznaczono do nich bardziej odpowiednich ludzi? Wyzwolenicy, nawet niewolnicy, byłiby bardziej odpowiedni.

- Uzbroidź niewolników? - rzekł Audsley rozgniewanym tonem. Minęły dopiero dwa pokolenia od Wielkiego Buntu. Ojciec Audsleya był młodym oficerem, gdy sędzia Carlos kazał nadziać na pal sześć tysięcy ludzi, jacy przeżyli ostatnią bitwę, wzdłuż drogi z Vanbert do Capeson.

- *Wyzwolonych* niewolników - powiedział Adrian. - I może... są jacyś cudzoziemcy wśród procarzy rekrutowanych przez wielką armię Konfederacji jako lekkie oddziały, czyż nie? Część z nich byłaby bardzo odpowiednia. Jeśli wolno mi się naradzić z mym panem Redversem...

Audsley nachmurzył się. Redvers dostarczał zbyt wiele pieniędzy, aby można go było lekceważyć. - Zajmij się tym zatem. I niech się trzymają z dala od prawdziwych żołnierzy! Szarpnął łbem vel i pada, wywołując protestujące pobekiwanie i strzyżenie wielkich, okrągłych uszu. Esmond stał milcząco, aż Audsley znalazł się poza zasięgiem słuchu.

- Za każdą zniewagę, za każdą ujmę, dostanę konfederacką wątrobę - rzekł w końcu. Adrian skinął głową. - Mamy teraz taką szansę - powiedział. - Jeśli tylko uda nam się dostać to, czego mi potrzeba.

- Nie wiem, czy to bogowie, czy demony powiedziały ci, gdzie znaleźć wzory tego czegoś - rzucił szorstko Esmond. - Ale, *na bogów*, dostaniesz, czego ci trzeba.

\* \* \*

- To proste - rzekł Esmond do swej publiczności składającej się z czterech osób. - To jest nasza szansa.

- Nasza szansa na co? - spytał pomocnik zarządcy posiadłości.

Był Szmaragdowcem-wyzwoleńcem. Jego symbolicznym szefem przełożonym był jednonogi konfederacki weteran, który od dziesięciu lat nie trzeźwiał od śniadania. Spotykali się w jego biurze, przyjemnym pokoju o otynkowanych ścianach, w którym znajdowały się zwoje i dziesiątki pokrytych woskiem, składanych, drewnianych tabliczek używanych do tymczasowych zapisków. Okratowane okno wychodziło na kuchenny ogród. Jego palce bawiły się liczydłem na biurku, gdy pochylił się do przodu i odezwał, podrygując nerwowo. Weszła niewolnica z tacą kubków i dzbanków z winem i wodą. Zarządca odegnał ją niecierpliwie i nalał sobie.

Esmond podniósł się i stanął przodem do nich. Miał na sobie zbroję lekkiej piechoty Szmaragdowców, tunikę z trzech warstw skóry szablobestii, wygotowanej w wosku i occie, zapinaną guzami z brązu, z brązowymi naramiennikami oraz wysoko wiązane sandały.

- Będzie kolejna wojna domowa wśród Konfederatów - powiedział.

Zarządca zbladł. Tak jak i główny dozorca bydła, nadzorca robotników polowych i kobieta, która zarządzała służbą domową.

- Nie możemy jej powstrzymać, nie możemy stanąć na uboczu - ciągnął dalej Esmond. - Wszyscy wiecie, co przywiózł tutaj mój brat.

- Śmierć - wymruczał hodowca bydła.

- *Wszystkim* nam jest dany przedsmak śmierci - powiedział Esmond. - Ale w tym przypadku zginie strasznie dużo Konfederatów.

- Co z tego? Już przedtem były wojny domowe. Penburg powstał w trakcie jednej z nich. Wojny dobiegły końca, a wtedy Konfederaci zdeptali każdego, kto się buntował, niczym mrówki butem.

Esmond skinął głową. - Tak mogłoby się stać, gdyby nie było mojego brata - rzekł śmiało. - Jak sądzicie, dlaczego pomagamy w tym idiotycznym przewrocie?

- Bo kazał wam wasz patron - powiedział zarządca.

- Gówno velipada. Moglibyśmy zwędzić kilka tysięcy arnketów i podążyć ku Wyspom - nasz ojciec tam handlował i mamy znajomości w Kielichu. Za kilka miesięcy to szaleństwo Redversa dobiegłoby końca, a cała jego własność przypadłaby na rzecz państwa. Patrzył, jak wzdrygnęli się, słysząc to. Sprzedaż na aukcji, rozdzielone rodziny... a wyzwoleńców zawsze podejrzewano, gdy człowieka sądzono za zdradę. Ich zeznania wydobywano na mękach lub za pomocą płonących drzazg wsadzanych pod paznokcie.

- Ponieważ mój brat wyrówna szanse, wojna potrwa dłuższy czas - ciągnął dalej Esmond.

- Wiele może się zdarzyć. Na przykład jedna albo druga strona może stać się tak zdesperowana, iż zaproponuje ustępstwa miastom Szmaragdowców... mogą się nawet z nich wycofać, zostawiając im przynajmniej symboliczną niepodległość, jak było z Ligą Sznura. Mogą też osłabić się nawzajem tak bardzo, że prowincje będą mogły się zbuntować i *wygrać*. A przynajmniej, jeśli Redvers i Audsley wygrają, my osobiście zostaniemy wynagrodzeni. Zarządca spojrzał na swoich podwładnych. - Cóż, przynajmniej warto tego posłuchać - mruknął. - Opowiedz nam więcej. Czego tak właściwie potrzebuje twój brat? Wszyscy słyszeliśmy wybuchy i plotki.

\* \* \*

Adrian przyciskał chustkę do nosa. Była nasycona octem, lecz mimo tego smród dochodzący z dna kupy gnoju był powalający. Z tyłu stajni pańskich wyścigowych velipadów znajdował się rząd takich stosów. Nie zazdrościł niewolnikom pracującym w polu, których przydzielono do tego zadania, mimo iż byli człapiącymi tępakami o pustym spojrzeniu. »Kilka lat spędzonych w tym podziemnym więzieniu, w którym ich trzymają, uczyniłoby to samo z większością ludzi« zwrócił uwagę Raj.

*Przepraszam, pomyślał Adrian.*

- Czy nigdy nie wyrzucacie gnoju na pola? - spytał głównego dozorcę bydła.

Hodowca pochodził z Wysp, był niskim mężczyzną o brązowej skórze, pomarszczonym, lecz nadal zwinnym. W jego konfederackim pobrzmiewał silny gardłowy akcent. - Niewiele - powiedział. - To miejsce jest za duże, aby się to opłacało, zbyt wiele kłopotu z wleczeniem tego na odległe pola. Czasami, jak zaczyna przeszkadzać, wrzucamy go do rzeki.

- Przestańcie! - powiedział Adrian.

Podszedł do podstawy stosu. - Tutaj - stwierdził, pokazując.

Ziemię pokrywały szare kryształki podobne do ziarenek cukru. - Tego chcemy, tych

kryształków - saletry. Zebrać to i włożyć do beczek.

\* \* \*

- Ależ, panie, jesteś dżentelmenem - nie możesz tego robić! Ton głosu stolarza był zszokowany i przy ganiający. Adrian się uśmiechnął. - Obawiam się, że muszę - powiedział ze zrozumieniem.

Balia była starą kadzią na wino, na tyle dużą, iż mogła pomieścić kilkaset galonów.

Ustawiono ją w szopie pół mili od domu, na wszelki wypadek. Niewolnicy montowali nad nią prostą maszynę: sworzeń na belce umieszczonej w górze, ze zwisającym drągiem obracającym łopatki wewnątrz beczki. Siły napędzającej dostarczało dziesięciu kolejnych niewolników, z których każdy popychał długą żerdź przymocowaną u góry drąga, koło miejsca, gdzie ten obracał się na żelaznym sworzniu osadzonym w belce dachu.

Adrian cofnął głowę i otrzepał ręce. Były na nich odciski i kilka drzazg. Zaskoczyło go, jak mało mu to przeszkadzało, gdy jedną wyciągnął zębami. Nie chodziło o ból. Od każdego uczonego z Gaju oczekiwano, iż będzie panował nad potrzebami swego ciała. Chodziło o *zhań bienie się* fizyczną pracą.

- Mój ojciec był kapitanem własnego statku, gdy zaczynał - powiedział gwoli wyjaśnienia.

*Choć robił to, aby jego synowie nie musieli tego robić*, pomyślał. Jedyne wolny czas dawał człowiekowi swobodę w rozwijaniu umysłu lub kształtowaniu ciała jako sportowiec... a nie było lepszego nadzorcy niewolników niż pusty żołądek. Dlatego też wszyscy najlepsi filozofowie zgadzali się co do tego, że praca fizyczna i jej wymogi są całkowicie poniżające. Bestmun utrzymywał, iż praca powinna być zlecona tym, których natura predysponowała do niewolnictwa... oczywiście w tamtych czasach Szmaragdowcy rzadko bywali niewolnikami.

- Robicie to w ten sposób - ciągnął dalej. - Bierzecie *trzy* z tych beczek - wskazał na te, w których znajdowała się saletra, ugotowana, wysuszona i zmielona ponownie - i dwie tej mocno sproszkowanej siarki; w posiadłości znajdowało się gorące źródło - i jedną z tych z pyłem węglowym i wkładacie je do środka. Trzy, dwie i jedną, trzy, dwie i jedną, aż wielka beczka będzie pełna w dwóch trzecich. I cały czas jak to robicie, łopatki muszą się kręcić. Odwrócił się i zbliżył swoją twarz do twarzy stolarza. - A ja będę przychodził od czasu do czasu, żeby *sprawdzić*, czy robicie to jak trzeba, a pan będzie *bardzo, bardzo rozgniewany*, jeśli powiem mu, że nie. Zrozumiano?

Stolarz kiwnął głową; był równie nerwowy co kot w pobliżu szablobestii. Większość niewolników w posiadłości była ostatnimi czasy nerwowa, mając pod bokiem tyłu żołnierzy. Żaden z żołnierzy nie troszczył się zbytnio o własność Wildera Redversa.

- A oni *wciąż* nie pracują jak trzeba, chyba że się nad nimi stoi - rzucił z frustracją Adrian.

»A dlaczego mieliby to robić?« odparł Raj.

W myślach Adriana pojawiła się wizja - parowóz, tak to nazywali... na rodzinnym Bellevue Raja. Masa metalowych rur, kół i części, poskręcana i stopiona razem. Człowiek z batem bił innego człowieka, prawie nagiego, w żelaznej obroży na szyi.

»Niewolnik ma motywację do niszczenia, chyba że jest tchórzem lub jest wyjątkowo dobrze prowadzony. A wystarczy tylko zwykłe niedbalstwo.«

\* \* \*

Velipad był zwierzęciem z posiadłości i znał alejki lepiej niż jego jeździec. Każde włości tak rozległe miały własnych rzemieślników. Redvers trzymał ich w rzędzie warsztatów niedaleko od chat, w których mieszkała siła robocza zajmująca się domem i gospodarstwem na plantacji. Adrian zatrzymał się i postukał palcami stóp w łokcie velipada. Zwierzę przypadło do ziemi i młodzieniec zsiadł. Z kuźni kowala pracującego w brązie dobywał się zapach gorącego metalu. Eksperyment wykazał, iż bomby wystrzelone z katapulty rozpadały się, jeśli umieszczano je w glinianych garnkach o sensownej grubości. Redvers narzekał na wydatki na płyty z brązu, aż pokazali mu kilku tych, którzy przeżyli efekty połączenia oparów prochu z otwartym płomieniem.

Problem w tym, że kowal pracujący w brązie miał kłopot ze zrozumieniem tego, iż można wyrabiać duże ilości jednakowych pojemników bez ozdabiania ich i zbytniego wysiłku.

»Czemu tak jest?« odezwał się znowu Raj. »Ten człowiek wyrabia piękne przedmioty, bo sprawia mu to przyjemność. Nie przejmuje się zbytnio politycznymi ambicjami Redversa ani wygodą kogokolwiek innego. Dlaczego miałby wypuszczać taśmowo wyroby, które nie dają mu satysfakcji? Nie otrzyma za to większej zapłaty.«

Adrian znowu westchnął. Raj i Centrum poddawali go szkoleniu o wiele mniej przyjemnemu niż wykłady w Gaju na temat dobra i piękna... lecz ich pojęcie właściwego porządku było o wiele bardziej osadzone w praktyce.

Zmylił krok. - Dam mu premię! - powiedział. - Oczywiście pod stołem. - Fundusze Redversa to pokryją.

»Uczysz się, synu. Uczysz się.«

\* \* \*

- Uff!

Mężczyzna jęknął, wyrznąwszy plecami o mocno ubitą ziemię wybiegu. Esmond odsunął się, dysząc. Pod prawym okiem miał draśnięcie, z którego sączyła się krew, a jego lewy kciuk był boleśnie wykręcony. Sześciu mężczyzn, którzy zdecydowali się napaść na swego nowego pracodawcę, było w znacznie gorszym stanie, choć niektórzy wykazali się całkowitym mistrzostwem w nieformalnym, wolnym stylu walki.

- Jeszcze jacyś głupcy wśród szukających roboty? - spytał.

Wokół wejścia na wybieg zebrało się trzydziestu mężczyzn. Wszyscy byli Smaragdowcami. Żaden niezbyt młody - większość z nich była o parę lat starsza od niego - i wszyscy dość zacięci w walce. Wielu z nich miało na sobie włóczkowe czapki z kutasikami, i bogini jedna wiedziała, jak wylądowali tak daleko od morza. Żeglowanie na statkach kupieckich pływających za granicę było głównym sposobem na to, aby Smaragdziec mógł się w tych czasach nauczyć władać bronią. To lub zaciągnięcie się u któregoś z panów z Wysp jako najemnik... lub jako pirat, nie żeby w tej części świata istniała pomiędzy nimi duża różnica. Paru zaciągało się do wojska w pomocniczych siłach lekkozbrojnych procarzy Konfederatów.

- Dobrze - powiedział, gdy nie zgłosiło się więcej ochotników. Wyciągnął prawą dłoń, a jego służący rzucił mu włócznię. Stary model Smaragdowców, długa na sześć stóp, o wąskim, zaostrozonym grocie. - A teraz przekonajmy się, kto umie posługiwać się tym dźgaczem. Potem przejdziemy do oszczepu, procy, miecza i noża.

Proces selekcji trwał całe popołudnie, podczas gdy gorące, letnie słońce prażyło eukaliptusy o mocno pachnącej żywicy, ocieniające pastwisko. Gdy Esmond skończył, jego oczy błyszczały dwa razy mocniej - błękitem wyzierającym z maski czerwonego pyłu, poprzecinanej strużkami potu. Mężczyzna wciągnął głośno oddech i wsadził głowę w spoczywające na zrębie studni wiadro z wodą. Potem wylał sobie resztę płynu na szyję i rzucił wiadro do kolejnego napełnienia.

- Raduj się! - rzucił sucho, gdy podszedł jego brat z wyrazem intensywnego skupienia na

twarży i drzewcową procą w rękach. - Znowu ci się udało oberwać w tył głowy?

- Nie, myślę, że zaczynam to łapać - odezwał się z powagą Adrian, a jego chuda, inteligentna twarz się zaróżowiła. - To nie jest tak skomplikowane, jak już się złapie teoretyczne podstawy.

Esmond prychnął. - Broń to jest coś, czego się uczysz skórą, mięśniami i kośćmi, a nie głową - powiedział.

- Och, nie wiem - rzucił spokojnie Adrian. - Wiedza o zasadach działania zawsze ułatwia nauczenie się czegoś. Proszę, pokażę ci.

Proca, którą trzymał młodszy Szmaragdowiec, była popularną bronią przez wzgląd na swoją prostotę i niewielkie rozmiary, ale do jej używania potrzebne były takie same umiejętności jak do posługiwania się łukiem. Drewniane drzewce długości czterech stóp, dwa jedwabne sznurki długości jarda - skórzane też mogły być, ale nie sprawdzały się tak dobrze przy wilgotnej pogodzie - oraz irchowa kieszeń na amunicję. Esmond zamrugał oczami nieco zaniepokojony, gdy jego brat wrzucił ołowianą kulę w kształcie migdała do kieszeni procy i pozwolił, by ciężenie napięło sznurki. Ramiona Adriana były wystarczająco dobrze umięśnione, szczupłe i żyłaste; będzie mógł mocno wystrzelić pocisk. To, gdzie ten polecą, to już inna kwestia i palce Esmonda zacisnęły się na pojedynczym uchwycie małej, okrągłej tarczy, jaką trzymał w lewej ręce.

- To drzewo - powiedział Adrian. - Tuż pod tą rozwidloną gałęzią. - Wywinął procą pełne koło, zanim wypuścił wolny sznurek.

Gumowiec, o którym mówił, znajdował się w odległości stu pięćdziesięciu stóp. Zadrzał i dało się słyszeć mocne *łup*; sam pocisk poruszał się zbyt szybko, by można go było dostrzec - stanowiąc zamazany łuk. Kawałek kory oderwał się i odpadł, odsłaniając romboidalną dziurę w jasnym drewnie eukaliptusa.

Esmond znowu zamrugał. *Prosto w cel.*

- Nieźle, braciszku, nieźle - powiedział. - Nie chciałbym, żeby jeden z nich walnął mnie w głowę. *Bo mój mózg rozbryznąłby się na całe jardy dookoła.*

- Och, to nie jest takie trudne. Jak już powiedziałem, rozumiem zasadę działania... i gdy rzucam, jest tak, jakby duchy wskazywały mi, gdzie spadnie pocisk. Będę - będziemy - ciskać granaty - ciągnął dalej. - Będą bardziej skuteczne niż ołowiane kule.

- Może nam się uda - rzekł Esmond, uśmiechając się leniwie.

- Jeśli Demansk przybędzie ze swoimi czterema regimentami - powiedział z powagą

Adrian. - Powiedziałbym, że...

Przechylił głowę na bok, jakby nasłuchiwał. Esmond zauważył to, bo był to zwyczaj, jakiego Adrian nabrał, od kiedy przybyli do Vanbertu.

- ...mamy szansę pół na pół, jeśli przyciągniemy - nasz szacowny patron i jego przyjaciele - Demanska. To znaczy pięćdziesiąt procent szans na przedłużającą się wojnę, a nie na natychmiastową katastrofę.

- Bez niego, cholerne nic - stwierdził Esmond.

- Och, nie jest aż tak źle. Tak naprawdę, to mamy wtedy szansę jak jeden do dwunastu.

\* \* \*

- Gdzie jest pan? - zabeczał zarządca.

- W areszcie domowym, ty głupcze. Mam ze sobą pięćdziesięciu ludzi. Daj im jedzenia i wina i wyślij wiadomości do dowódców batalionów, żeby natychmiast się tu ze mną spotkali. Twarz Johuna Audsleya stężała niczym maska pośmiertna wyrzeźbiona z brązu. Głowa oficera obróciła się z mechaniczną precyzją katapulty osadzonej na czopie, gdy Esmond skłonił się i zasalutował.

- Panie, jak wygląda sytuacja?

- Kto, na demony... och, Szmaragdowiec z zabawkami. Cóż, chłopcze, ktoś się wygadał. Tows Annersun, jak sądzę - nigdy nie potrafił trzymać gęby na kłódkę, gdy się zabawiał. Teraz mówca wie o wszystkim.

- Radca Annersun powiedział mówcy Jeschonykowi? - spytał Esmond.

- Nie, ty idioto, ale sypiał z córką tego człowieka i *ona* mu powiedziała. Szybko zareagował, tyle przyznam temu staremu łajdakowi... przestań marnować mój czas, zbierz swoich Szmaragdowców i przygotuj ich zabawki, jeśli się na coś zdadzą.

- Panie! - zasalutował Esmond.

Konfederat zignorował go, przechodząc obok ze swoją świtą; wszyscy wyglądali jak ludzie, którzy odbyli szybką i daleką jazdę, a kilku miało bandażę przesiąkniętą czerwienią. Esmond, zamarłszy, stał na schodach przez całe trzy minuty. *Niesamowite, o ilu rzeczach moż na myśl leć naraz*, stwierdził. A bezosobowo: to katastrofa dla spisku. Jeschonyk żyje, tak jak i większość Rady. Pewnie właśnie przeprowadzają mobilizację, niezależnie od tego, jak wypaliły pozostałe części planu Audsleya. Miał on tutaj i w sąsiednich posiadłościach prawie



dwadzieścia tysięcy ludzi, lecz tylko niecała jedna trzecia była w pełni wyposażona, a organizacja była kiepska. I...

*Nanya.* Pozostawiona sama sobie w miejskim domu Redversa, z sądowymi strażnikami, i zapewne także siłami Miejskich Kompanii. Jeśli mówca stwierdzi, iż Redvers jest zbyt niebezpieczny, aby pozwolić mu żyć, to przeczeszą także jego dom...

Esmond obrócił się na pięcie, zbiegł ze schodów i wypadł na zewnątrz przez skrzydło dla służby. Jego ludzi skoszarowano w wolnych kwaterach dla służby. Podnieśli wzrok, gdy wpadł do środka. Większość z nich wyciągnięta była na swoich siennikach. Zamarły ręce pracujące nad ekwipunkiem i ostrzące klingi, zagrzechotały gotowe do rzucenia kości.

- Jusha! - ryknął. - Pełny ekwipunek, brać wierzchowce, pierwsza kompania ma być gotowa do wyruszenia za piętnaście minut z jednym luzakiem dla każdego człowieka. Pełne sakwy granatów i pięć jucznych zwierząt z dodatkowymi. Manierki, ale żadnej żywności ani spania - ruszamy z marszu prosto do walki. *Wykonać!*

Szkolił tych ludzi już od czterech miesięcy. W długim pomieszczeniu zapanował chaos, z którego narodził się porządek. Poszedł do swego własnego pokoju - klitki za przepierzeniem - i wyciągnął, co potrzebował: pęk oszczepów do przewieszenia przez ramię, hełm, bojowe rękawice z mosiężno-ołowianymi ochraniaczami na kostki palców. I mapę Vanbertu - może z powrotem nie będą mogli obrać prostej drogi.

- Jesteśmy gotowi, panie.

- Zatem jedziemy - powiedział, ruszył ku wyjściu i wskoczył na siodło, opierając dłoń o jego kulę, ignorując ciężar broni i skórzanego kubraka. Uniósł dłoń i skierował przed siebie. - Za mną!

\* \* \*

- Nie, nie, nie!

Adrian Gellert odwrócił się i walnął otwartą dłonią o ścianę szopy. Niewolnicy podnieśli wzrok znad prochu przesypywanego do małych beczulek, a potem zwrócili głowy z powrotem ku pracy. Ostatnie cztery miesiące nauczyły tych, którzy przeżyli, iż zajmowanie się prochem *nie* jest czymś, czego nie robi się w całkowitym skupieniu. Ostry, zjadliwy zapach siarki wypełniał powietrze w stodole.

- Nie, nie, powiedzcie mi, że mój brat nie jest tak głupi jak bohater ulicznego eposu!

Adrian zamilkł, zapanował nad oddechem i przycisnął ręce do twarzy. *Samobójstwo,*

pomyślał. *Nie uda mu się przedrzeć do Vanbertu i uciec z Nanyą - zamieszki, chaos, uliczne walki.*

»Prawdopodobieństwo powodzenia trzydzieści pięć procent plus minus siedem« powiedziało Centrum.

Zaskoczenie uwidoczniło się w umyśle Adriana. Głos Raja wtrącił się w myślach: »Jeśli zamierzasz zorganizować najazd na wielkie miasto, to zamieszki i powstanie uczynią to znacznie łatwiejszym.«

W świadomości Adriana pojawiła się wizja: Wschodnia Rezydencja, stolica rodzinnej krainy Raja na Bellevue. Żołnierze w niebieskich mundurach strzelali zza barykady w uczestników zamieszek. Nad lufami ich karabinów pojawiały się obłoczki białawego dymu. Ludzie wrzeszczeli, wili się, padali i krwawili przed tym prowizorycznym fortecznym parapetem... a z tyłu za żołnierzami banda złodziei spokojnie ładowała na czekający wóz meble, bele materiału i zastawę stołową z rezydencji.

- Muszę mu pomóc - powiedział Adrian. - Zachowuje się jak idiota, ale to mój brat... w jaki sposób *to* zwiększa szanse?

W jego głowie nastąpiła długa cisza. Zdawał sobie sprawę, iż Raj rozmawia z Centrum na poziomie i z prędkością wykraczającą poza możliwości jego pojmowania.

»Powiedz mu« rzekł wreszcie Raj.

»Prawdopodobieństwo zakończonej powodzeniem próby ruszenia z odsieczą wzrasta do pięćdziesięciu trzech procent plus minus pięć przy twoim udziale oraz pełnym wsparciu ze strony Raja Whitehalla i mnie« powiedziało Centrum. »Jednakże jest to niepotrzebne ryzyko - dla ciebie i naszej misji - które nie posuwa w żaden znaczny sposób naszej głównej sprawy.«

Jak na Centrum była to długa przemowa. W głosie Raja pobrzmiwał cień rozbawienia:

»Centrum nauczyło się mi ufać, jeśli chodzi o ocenę ludzi. Zrobisz to, synu. Sam tak bym postąpił, gdybym był na twoim miejscu i gdybym żył - a my równie dobrze możemy udzielić ci wszelkiej możliwej pomocy.«

Adrian skinął głową, znowu wystrasząc niewolnika z lejkiem, i wyszedł w jasne słońce poranka. - Fered! - krzyknął. - Zbierz procarzy. Potrzebuję ich pomocy.

### **Rozdział trzeci**

Ulice Vanbertu zdawały się być dziwnie znajome, pełne motłochu i ostrej woni dymu z rzeczy, które nie powinny były się palić. *Jak w wizjach*, pomyślał Adrian.

»Scenariuszach« poprawiło go Centrum. »W wielo-zmysłowych, neurologicznie stymulowanych, holograficznych symulacjach prawdopodobnych rezultatów wyliczonych za pomocą stochastycznej analizy.«

*No właś nie*, pomyślał Adrian. *W wizjach*. Raj zaśmiał się cicho w zakątku jego umysłu. Była to jedyna humorystyczna rzecz w Vanbercie tego dnia. Jadący wierzchem grenadierzy Adriana - setka mężczyzn, nowych i starych wyzwoleńców - ze swoimi procami i mieczami, wyglądali na tyle po wojskowemu, by odstraszyć zwykły motłoch, mimo iż wyraźnie w większości byli Szmaragdowcami. Wielu uczestników zamieszek, jacy wylegli tego dnia, nie było zwyczajnymi mieszczuchami. Adrian wyrzucił rękę w górę i kolumna zatrzymała się na końcu uliczki, grupując się nieskładnie.

- Na pohybel Jeschonykowi! - wykrzykiwali przebiegający obok mężczyźni w obszarpanych tunikach. - Na pohybel Jeschonykowi! Niech żyje mówca Redvers! *Niech żyje Byk Redvers! Ś mierć Jeschonykowi!*

Uczestnicy zamieszek nie byli właściwie uzbrojeni, choć wiele noży, którymi wymachiwano, było znacznie dłuższych niż te, jakimi wygodnie kroić się jedzenie. Niektórzy wywijali pochodniami, inni żelaznymi rożnami lub pogrzebaczami albo pałkami zrobionymi z kawałków mebli lub konarów ozdobnych drzew. Sporo z nich zatrzymywało się od czasu do czasu, aby wyrwać kostkę ulicznego bruku; a tych ludzi były *tysią ce*. Tu i ówdzie widać było człowieka z procą owiniętą wokół szyi; sporo lekkozbrojnych procarzy w wojsku Konfederatów rekrutowano z biedoty miejskiej. Jakaś zgraja wysforowała się przed tę tłuszcę, waląc w zamknięte okiennice sklepów. Od czasu do czasu dały się w odpowiedzi słyszeć łupnięcia i wrzaski, stanowiące kontrapunkt dla wściekłego pomruku motłochu. Adrian wyciągnął szyję. W odległości stu jardów z tyłu stał wóz, pełen bukłaków z winem. Mężczyźni w liberiach niewolników z domu jakiegoś wielmoży wciskali je w wyciągnięte ręce, a tuzin strażników w pełnych zbrojach utrzymywał swego rodzaju porządek w czasie rozdawania.

Szmaragdziec odwrócił głowę w drugą stronę, gdy napływający motłoch się zatrzymał. Przed ludźmi stał podwójny szereg członków Miejskiej Kompanii. Na komendę wykrzychaną przez podoficera z poprzecznym czerwonym pióropuszem na hełmie prawe ramiona żołnierzy powędrowały do tyłu.

- Ciskać!

Dla podkreślenia rozkazu ryknęła zakręcona tuba. Oszczepy wyleciały w górę, a potem spadły w przednie szeregi tłuszczy. Haczykowane groty pomyślane tak, by przebić się przez tarcze i zbroje, były pchane umieszczonymi za grotem ołowianymi ciężarkami i silnymi ramionami wyrzucających. Przednie szeregi uczestników zamieszek rozleciały się jak szklany dzbanek uderzony młoteczką. Ludzie padali martwi lub wrzeszczący, szarpiąc za zaostrzone żelastwo tkwiące w ich ciałach. Znajdujący się pośród nich procarze mogli pomóc w przełamaniu cienkiego szeregu uzbrojonych mężczyzn, lecz byli zbyt stłoczeni, aby posłużyć się swoją bronią.

»Z drugiej strony, ten motłoch nie ma żadnej spójności, więc nie może jej stracić« stwierdził Raj. »Tylko ci, którzy znajdują się z przodu, ci, którzy widzą, co się dzieje, mogą być na tyle przestraszeni, aby uciekać, lecz nie mają gdzie.«

- Ciskać. Ciskać. Ciskać.

Dziesiątki ludzi ściśniętych z przodu tłuszczy zostało powalonych. Inni ciskali grad kocich łbów, lecz te po prostu uderzały o wielkie, półkoliste tarcze. Padł rozkaz i tylny szereg Miejskiej Kompani uniósł swoje tarcze, tworząc dach. Oszczepy zniknęły. Kolejna chrapliwa komenda i prawa ręka każdego z mężczyzn poleciała za lewy bark. Przeciągły szelest i dobyli długich i lśniących jasno assagai.

Ulica miała szerokość zaledwie dwudziestu stóp. Żołnierze miejscy mogli nacierać prawie tarcza w tarczę, dźgając. Wojsko konfederackie wygrywało już, mając mniejsze szanse, zabijając niezdyscyplinowanych barbarzyńców, aż opadały im ze zmęczenia ramiona, a tu motłoch nie miał dość miejsca, aby wykorzystać swoją liczbę przeciwko ich flankom albo tyłom.

- Jeffa - powiedział Adrian, podnosząc głos tak, żeby niósł się ponad rykiem motłochu.

*Szkolenie w retoryce w końcu się przydaje*, pomyślał, oblizując suche usta. Gniewny ryk tłumu dotknął czegoś pierwotniejszego i głębszego niż jakiegokolwiek szkolenie, czegoś leżącego u podstawy kręgosłupa i moszny. Ciepłego, trzepoczącego słabo, ukłucia lęku.

- Czterech procarzy i zapalający - powiedział, dotykając przednich łap swego wierzchowca. Zwierzę przycupnęło, prychając bełkotliwie z zaniepokojenia.

Adrian ruszył do przodu, a jego ludzie za nim. Z przodu uliczki było trochę wolnego miejsca, lecz nie będzie to długo trwało, gdy większość tłumu zda sobie sprawę z tego, co się dzieje i będzie próbowała uciec. Było ich tylu, iż cokolwiek, co stanie im na drodze, skończy

jako kolejna tłusta plama na brudnej nawierzchni ulicy.

- Gotowi...

Odczepi! własną drzewcową procę i włożył do jej kieszeni granat ze zwisającym lontem. Pozostałych czterech procarzy poszło w jego ślady, rozsuwając się tak, żeby nie ukrzywdzili się wzajemnie swoją bronią.

- Celem jest żołnierska formacja - odezwał się znowu, czując lekkie, odległe zdziwienie, że jego głos brzmi spokojnie i stanowczo.

- Zapalić.

Zapalający przechodził od człowieka do człowieka, przytykając zwój lontu do zapalników. Zapalniki zaskwierczały, buchając błękitnym dymem, lecz były one i tak bardziej niezawodne niż pierwsze, jakich próbował.

- *Rzucać* .

Adrian wywinął drzewcem nad głową, trzymając obydwoma rękoma i wystrzelił przy cichym głosie w ucho - naprowadzanie Centrum na cel. *On* musiał tylko sprawić, żeby drzewce poruszało się we właściwej płaszczyźnie. Puścił sznurek, a granaty wyleciały łukiem. Jego poleciał ku podoficerowi, który dowodził siłami blokującymi drogę, i wybuchł dokładnie na poziomie jego klatki piersiowej. Pozostałe poleciały w półtorej sekundy później i tylko jeden roztrzaskał się na ziemi, zanim wybuchł. Wywołało to efekt, jakiego przedtem nie widział, wybuch ognistego oparu sięgającego na wysokość pasa.

Przedni szereg motłochu był równie spanikowany jak żołnierze, którzy przeżyli; a ci uciekali - albo kuśtykali lub czołgali się, uciekając - od miejsca wybuchów tak szybko, jak mogli. Przedni szereg motłochu *nie mógł* uciekać, choć niektórzy z tłuszczy próbowali, obracając się i przepychając przez zwartą masę ludzi znajdujących się za nimi. Niektórzy z nich zostali przewróceni i stratowani, gdy ściśnięty tłum ruszył do przodu, tworząc z ciał żołnierzy Miejskiej Kompanii plamy na bruku. Adrian widział, jak kilku bardziej zmyślnych podnosi tarcze, hełmy i assagaje, mijając ciała.

Adrian się odwrócił i spojrzał na swoich procarzy. Szczęrzyli zęby w uśmiechu, zaśmiewali i walili po plecach. Jeden odtańczył *kodaksa*, wywijając hołubce i pstrykając palcami.

- Zamknąć się! - rzucił, a jego głos był niczym trzaśnięcie bata. Zrobili tak, zamilkli, przestępując z nogi na nogę, a ci wierzchem popatrywali po łękach siodeł. - Teraz widzimy,

co może działać nasza broń. Ruszajmy.

\* \* \*

- Panie, jeśli pojedziesz, podążę za tobą. Ale nie wiem, ilu ludzi tak robi.

Esmond spojrzał na Jusha. Jego zastępca był posiwiąłym mężczyzną w średnim wieku, niższym od swego dowódcy, lecz szerszym w barach, o kołyszącym się chodzie żeglarza i z blizną, która podwijała mu górną wargę, odsłaniając pozółkły kieł.

Esmond pokiwał w milczeniu głową, a potem spojrzał na miejski dom Redversów po drugiej stronie ulicy. Przed frontowym wejściem stali ludzie z Miejskiej Kompanii, blokując ulicę z obu stron, a zwiadowcy donosili, że kolejna setka rozstawiona była dookoła tylnych murów i wjazdu dla wozów. Znajdowali się tam też strażnicy sądowi. Nie byli to prawdziwi żołnierze - nawet Miejskie Kompanie to nie byli *prawdziwi* żołnierze - choć ich szeregi składały się z wielu spleconych weteranów - mimo to byli to uzbrojeni ludzie.

*Powiedzmy dwustu, razem dwustu pięć dziesięć ciu, pomyślał. Ponad połowa w ś rodku, a to miejsce zaprojektowano tak, aby oparło się atakowi.* Na zewnątrz wszędzie był gładki mur, wysoki tutaj na trzy piętra, miał nawet dziesięć stóp tam, gdzie nie otaczał niczego poza ogrodem na dziedzińcu. Wąskie okna na trzecim piętrze posłużyły dobrze za szczeliny strzelnicze fortu.

Esmond przełknął słony pot. - Oto, co zrobimy - powiedział. - Natarcie na to miejsce byłoby samobójstwem - jest ich zbyt wielu, zajęli pozycję. Zatem zwiążemy ich siły dywersyjnym atakiem; najpierw granaty. Wtedy ruszę ja, z sakwą granatów, i cisnę ją w drzwi.

Które były umieszczone w murze wychodzącym na ulicę, tworząc małą niszę.

- Jeden będzie zapalony. Widziałeś, co są w stanie zrobić. Potem, jak już wywali drzwi, wrzucimy przez nie więcej granatów i wpadniemy za nimi - przez piekielną dolinę popiołów, człowieka. To będzie jak przygwożdżenie ogłuszonej ryby.

Jusha spojrzał na niego. - Mam nadzieję, że możesz od niej dostać coś, czego nie kupisz każdego dnia za pół arnketa - westchnął. - W porządku, panie. Braliśmy twój żołd i twoją broń. Przygotujmy się.

\* \* \*

- Nie udało się, co, bracie? - powiedział Adrian.

- Nie. Co jest *nie tak* z tym cholerstwem? - spytał Esmond, patrząc gniewnie na drugą

stronę ulicy.

Przykucnęli za kamienną ladą sklepiu z zupą, usadowionym naprzeciwko rezydencji Redversa. Adrian czuł fasolówkę wciąż bulgoczącą w wielkich kadziach i odczuwał na kolanach i brzuchu niemal boleśnie żar węgla. Bezwiednie rozerwał na pół mały bochenek chleba i sięgnął ponad zatłuszczonym marmurem, by zanurzyć go w zupie.

- Z granatami wszystko jest w porządku - powiedział Adrian. - Tylko nie posługiwałeś się nimi jak trzeba. Siła wybuchu przenosi się po najmniejszej linii oporu.

Esmond wpatrywał się w niego, powstrzymując gniew. - Znam każde z tych słów - powiedział. - Ale nie rozumiem sensu.

- Siła granatów idzie tam, gdzie jest najłatwiej. W powietrze, a nie w masywne drzwi. Trzeba, aby wybuch miał miejsce w zamkniętym pomieszczeniu, żeby zdziałał coś przeciwko drzwiom albo murom.

- Och - powiedział Esmond.

Na ulicy, przed pobrudzonymi sadzą ścianami wielkiego domu leżały ciała; w większości należały do strażników sądowych i ludzi z Miejskiej Kompanii, lecz parę także do Szmaragdowców, najemników Esmonda. Mężczyźni zginęli od oszczepów ciśniętych przez wąskie okna trzeciego piętra. Szczęki Adriana poruszały się mechanicznie, gdy przyglądał się

temu widokowi. Centrum rysowało na nim diagramy z zielonych linii, zapisując odległości i trajektorie.

- Ulica jest za szeroka na rzut oszczepem, nawet z wysoka - rzekł w zamyśleniu. - Ale dla dobrych procarzy jest to możliwe. Ta kratka z brązu ponad głównymi drzwiami wychodzi na hol, prawda?

- Tak.

- W porządku. Oto, co zrobimy.

Esmond znowu na niego spojrział. Nie gniewnie, lecz ze zdumieniem i zaciekawieniem.

*Uch-och*, pomyślał Adrian. *Na włóczęgi Panny, zaczął mówić jak Raj.*

Miło było wiedzieć, gdy chodziło o takie rzeczy, że w jego głowie żyje doświadczony generał. Adrian sporo czytał o historii w trakcie pobytu w Akademii w Gaju, ale to Esmond interesował się sprawami wojskowymi.

- Jeffa - ciągnął dalej. - Czterech najlepszych ludzi. Celem są okna na trzecim piętrze. Na mój rozkaz, nie wcześniej. Pozostałe dwie sekcje mają przerzucić granaty przez dach i zobaczyć, czy uda im się je cisnąć na drugą stronę kalenicy, żeby stoczyły się na dziedziniec. Bracie, każ się przygotować swoim ludziom - nie będziemy mieć wiele czasu.

Czekał, gdy przekazywano wiadomości do grupek mężczyzn ukrytych za wystawami sklepu i gazonami. Po tej stronie ulicy znajdowała się rezydencja podobna do Redversowej, lecz, jak wielu zamożnych ludzi, jej właściciel wynajmował stoiska wzdłuż ulicy na sklepy. W chwilę później wróciła wyszczazana wiadomość.

- Oblali moich ludzi wrzątkiem - powiedział zimnym tonem Esmond, ze wzrokiem utkwionym w nieprzyjaciela. - Pożalują tego. - Na lewym ramieniu miał wściekle czerwoną pręgę.

»Dobry człowiek z twojego brata« powiedział Raj. »Ma wiele na głowie, ale nie zapomina o swoich podkomendnych.«

- To prawda, bracie - powiedział Adrian. - Strasznie tego pożalują. Podniósł głos. - Na trzy... raz... dwa... trzy.

Procarze wypadli na ulicę. Oszczepy i dziury posypały się z okien, lecz odbijały się od bruku, krzesząc iskry. Jeden czy dwa trafiły w szczeliny pomiędzy kostkami, brzęcząc niczym wściekle osy. Adrian zapalił lont swojego pierwszego granatu od pochodni trzymanej przez pomocnika i zamachnął się...



»Teraz.«

Całe godziny ćwiczeń powiązały mechaniczny głos Centrum z jego palcami. Rzut poszedł w bok, ukosem w górę. Gliniany dzbanek przeleciał przez jeden z otworów w kracie z brązu nad frontowymi drzwiami rezydencji Redversa i wybuchł tuż przed tym, zanim doleciał do drewnianej, wewnętrznej okiennicy.

*Trzask. A potem trzask... trzask... trzask*, gdy trzy kolejne wleciały łukiem w okna fasady na trzecim piętrze. Z jednej ze szczelin strzelniczych wyleciał krwawiący tułów człowieka, wlokąc za sobą strzępy ramion i zostawiając strużkę krwi na osmalonym dymem pobielonym murze. Po drugim granacie dało się słyszeć jedynie wrzaski, a trzeci dodał język ognia.

- Musieli mieć nad ogniem garnek wrzącego oleju - wymruczał Adrian. I dodał głośniejszym głosem: - Jeszcze raz!

Poleciało więcej granatów ku oknom i kolejny tuzin albo i więcej ponad kalenicą. Jego własny trzasnął w wybrzuszoną się kratę z brązu i w deszczu drewnianych drzazg i kawałków metalu odbijających się ze świstem i piskiem od ściany i ulicy wywalił jej róg. Jego kolejny granat przeleciał przez ten otwór i głuchy ryk powiedział mu, iż wybuchł wewnątrz holu.

- I jeszcze raz... dobra. Nacieramy!

Przyłączyli się do niego Esmund i dziesiątki jego ludzi. Rozpłaszczyli się przy ścianie, lecz z okien na górze nie posypały się oszczepy ani nie polał się olej, Adrian zapalił kolejny granat i cisnął go ręką od dołu przez potrzaskaną kratę. Był to jeden z tych z czerwoną otoczką, wyladowany ołowianymi kulkami wsadzonymi do podwójnej łuski, dokoła prochu. Czuł, jak wbijają się w tekowe drewno wewnętrznej strony drzwi.

Esmonda podsadzono do góry na skrzyżowanych włóczniach. Chwycił za kamienne krawędzie, które przedtem podtrzymywały kratę i zajrzał do środka.

- Wszystko w porządku - powiedział i przeciągnął się przez otwór, nogami do przodu, z niesamowitym wdziękiem sportowca. Usłyszeli, jak zaklął lekko po drugiej stronie, szarpiąc się z wykrzywioną zasuwą, a potem drzwi się otworzyły.

Adrian zajrzał przez nie i przełknął ślinę. Ludzie musieli tu być dość ciasno stłoczeni, gdy przeleciał pierwszy granat. Inni próbowali odciągnąć rannych, gdy wylądował między nimi ten ostatni, który wrzucił Adrian.

Esmund był obryzgany krwią po kolana, niczym posąg boga wojny Wodepa, stojący w

gotowości z tarczą i mieczem. Na jego twarzy malowała się kamienna obojętność.

- Tędy - powiedział, pokazując.

Główne schody prowadzące na drugie piętro zaczynały się po drugiej stronie dziedzińca westybulu. W dawnych czasach nad basenem znajdowała się świetlna studnia, wpuszczająca wodę do domowego użytku. Obecnie był tam świetlik, a basen stanowił ozdobę... choć teraz już niezupełnie, od kiedy wylądował w nim granat i kolorowe pływaki zostały rozmaślane na kolumnach i mozaikach. Jakiś ranny człowiek doczołgał się aż do schodów i paskudnie umierał. Czarny dym buchał z podestu.

- Och, chroń nas, Panno, to miejsce płonie - wykrztusił Adrian.

- A czego się spodziewałeś?? - *rzucił ostro* Esmond. - Ruszajmy.

- Zaczekaj. - Adrian oderwał pas materiału z dołu tuniki i zamoczył go w wodzie z dekoracyjnego baseniku przed zawiązaniem go sobie dookoła nosa.

- Dobry pomysł - powiedział Esmond, idąc wraz z innymi w jego ślady. - Niech połowa z was odda swoje granaty i idzie za nami - ciągnął dalej, zwracając się do ludzi. - Reszta niech ma ulicę pod czujną obserwacją, w razie przybycia nieprzyjacielskich posiłków.

Woda cuchnęła mocno, lecz była użyteczna, gdy przedarli się do góry, na drugie piętro, w żar pieca. Pożar wybuchł od strony ulicy i drzwi w tej części rzygały ogniem. Jednak szybko przemieszczał się ku północno-zachodniemu węglowi budynku, pomykając po suchych jak pieprz cedrowych belkach sufitu i gipsowych ściankach, stanowiących większość wewnętrznych przepierzeń w tym wielkim domu. *A farba fresków jest na bazie oleju z siemienia lnianego, przypomniał sobie Adrian, I te gobeliny... chroń nas Panienko!*

W kucki przeszli przez korytarz wokół centralnego dziedzińca, ku apartamentom żony Redversa, gdzie będzie jej osobista służba. W połowie drogi natknęli się na prowizoryczną barykadę z mebli, a za nią znajdowało się sześciu dyszących i pokasłujących żołnierzy Miejskiej Kompanii.

- Możemy... - zaczął Adrian. Jego brat zignorował go jednak.

- *Nanya!* - krzyknął, niczym jakiś okrzyk bojowy, i skoczył.

Adrian ruszył za nim, z mieczem w jednej spoconej dłoni i tarczą w drugiej. *To nie jest moje właś ciwe zadanie*, pomyślał.

Jego brat natarł. Adrian rozwarł szeroko oczy; poczuł też w myślach zaskoczenie Raja.

Miecz poruszał się szybko, zamazaną smugą, a za nim deszcz czerwonych kropelek

rozbryzgujących się po jasnych stiukach ścian. Jakiś mężczyzna wrzasnął, wpatrując się w kikut ramienia odciętego w łokciu. Kolejny poleciał do tyłu, gdy ostrze Adrianowego miecza przeorało mu czoło, a potem upadł, zwijając się i drgając. Podczas wyszarpywania swojej broni, Esmond kopnął następnego napastnika w krocze, a potem złamał mu pochylony kark skierowanym w dół ciosem skraju tarczy. Adrian natarł na człowieka wycofującego się z twarzą wykrzywioną z przerażenia i z nagim assagajem w dłoni. Żołnierz Miejskiej Kompanii zawył i rzucił się do ucieczki, ściskając rozcięte przedramię. Adrian podniósł wzrok i zobaczył Esmonda spychającego dwóch pozostałych Konfederatów w głąb korytarza. Jeden z nich poleciał w tył uderzony wysadzaną mosiądzem tarczą Esmonda. Ten skoczył wysoko w górę i obydwoma nogami spadł na żebra mężczyzny. Udało mu się odskoczyć na czas i odbić swoją tarczą ostatnie pchnięcie assagaja. A potem jego miecz wyskoczył niczym lepki język kermitoida. Konfederat wlepił wzrok w klingę przechodzącą mu przez klatkę piersiową, a potem osunął się w tył i twarz mu zwiotczała.

- *Nanya!* - zakrzyknął znowu Esmond i pognał do przodu.

Adrian ruszył za nim, zatrzymując się tylko po to, aby wziąć manierkę i zerwać szmatę. Namoczył ją i przyłożył do ust i nosa, podczas gdy Esmond gnał przez wzbierający dym i żar ku rodzinnym apartamentom. Prowadzące do nich drzwi były zamknięte na klucz. Miecz Esmonda wbił się prosto w zamek. Stał pękła, gdy nim kręcił, lecz to samo stało się z mechanizmem zamka.

Adrian był tuż za nim. Zobaczył, co zrobił jego brat, gdy drzwi rozwarły się i buchnął płomień, który opalił im brwi. Kobiety kuliły się na środku pokoju, tuląc do siebie, niektóre wciąż były przytomne. Miały tylko czas, aby zobaczyć mężczyzn w drzwiach, zanim spadła na nie płonąca belka i kupa tynku.

- *Nanya!* - wrzasnął po raz ostatni Esmond, z pianą na ustach.

Adrian musiał walnąć go trzy razy w tył głowy skrajem tarczy, zanim Esmond się osunął. Złapał brata pod pachy i odciągnął go do tyłu, sparaliżowany strachem, że uderzył zbyt mocno.

Ale *musiał* go uderzyć. Nic, poza pozbawieniem przytomności, nie powstrzymałoby Esmonda od wpadnięcia do tego pokoju, a nawet sami *bogowie* nie wyciągnęliby go stamtąd żywego.

## **Rozdział czwarty**

Pył. Za każdym razem, gdy Adrian przypominał sobie odwrót na zachód, powracało wspomnienie pyłu zatykającego mu nos i jego gryzącego posmaku w ustach. Po jakimś czasie przyzwyczał się do spania w trakcie jazdy, kiwania się w siodle w pół śnie. Obudziły go krzyki.

Przesunął ręką po twarzy, rozmazując czerwony pył i pot. Esmond stał w strzemionach, patrząc przed siebie.

- Właśnie przyjechał posłaniec - powiedział nieco bardziej ożywionym głosem niż w ciągu ostatniego tygodnia. Jednak wciąż czegoś w nim brakowało...

»Młodości« powiedział Raj. »To przytrafia się nam wszystkim. U niego została wydarta wcześniej i boleśniej niż u innych.«

- Oto nadjeżdża kawaleria - kontynuował Esmond.

Jeźdźcy na velipadach jechali na czele kolumny, gdzie mogli się rozciągnąć, żeby osłaniać piechotę. Adrian zamrugał pozlepianymi powiekami, przyglądając się, jak rozwijali wachlarz na niskich, pofalowanych wzgórzach przed nimi. Byli w większości barbarzyńcami z południa, najemnikami służącymi dla żołądu i przygody pod konfederackimi oficerami.

Zwiadowcy... pomyślał, przyglądając się, jak ich velipady kłusują przez dojrzałe, stojące zboże niczym statki sunące przez morze żywego brązu - *cholera, myślę heksametrem* - jeśli wysyłają kawalerię, aby osłaniać główne siły, to przyda się też lekka piechota

Szmaragdowców.

Podjechał jeden z trybunów Audsleya, skubiąc nerwowo szkarłatną szarfę otaczającą jego umięśniony tors.

- Przygotować się - powiedział, wskazując swoją laską ku zachodowi. - Nieprzyjaciel zbliża się dużymi siłami z zachodu. Jest w odległości nie większej niż trzy mile.

- Trzy mile? - spytał ostro Esmond. - W stosunku do kawalerii czy do głównych sił? Ilu? Kto nimi dowodzi?

Legat spojrział z góry, zza swego arystokratycznego nosa. Był mniej więcej w ich wieku, młody szlachecki skowronek, podążający za swym patronem na wojnę, nieprzywykły do takiego tonu ze strony zwykłego najemnika Szmaragdowca.

- Dowodzi sędzia Demansk - rzekł przeciągle. - Ale to nie powinno ciebie obchodzić, Szmaragdowcu. Nie ty będziesz z nim pertraktował.

Obrócił velipada i wbił w niego pięty. Esmond prychnął. - Jeśli sędzia Demansk

kiedykolwiek w tym tkwił - a pozwolę sobie wątpić - to *teraz* z pewnością wykaże się swoją lojalnością wobec państwa. Za pomocą naszej krwi i kości.

»Prawdopodobieństwo dziewięćdziesiąt siedem procent plus minus dwa« dodało pomocnie Centrum w myślach Adriana. »Prawdopodobieństwo zbliżone do pewności, w ramach możliwości analizy stochastycznej.«

*Mogę tu zginąć*, uświadomił to sobie jasno Adrian. Nagle widział, wyczuwał węchem i czuł przez skórę o wiele wyraźniej niż kiedykolwiek w życiu; zapach stratowanego jęczmienia i pyłu, ciężkie człapanie częściowo uzbrojonych „ochotników” Audsleya sto kroków w tyle, śpiew wrzaskuła.

»Prawdopodobieństwo pięćdziesiąt dwa procent plus minus trzy« powiedziało Centrum. »Zostałeś przed tym ostrzeżony.«

- Wszyscy ludzie poznają przedsmak śmierci - wyszeptał.

- *Ś mierz, jak diabli* - rzucił Esmond, szczerząc się w uśmiechu przez sklejoną potem pył.

Podniósł się w strzemionach i zawołał do swoich ludzi: - To te biedne, żałosne, nieświadome niczego bydlaki będą ginąć, no nie, chłopaki?

Ludzie zaczęli wiwatować. - Stanąc w gotowości i pamiętajcie, czegoście się nauczyli na szkoleniu! Nie mają niczego, co może się równać z naszymi piorunami ani z naszymi jajami. W gotowości!

\* \* \*

Sędzia Demansk mruknął, podniósłszy wzrok znad składanego stolika na mapy rozłożonego na niewielkim wzniesieniu. Zgniecione łodygi jęczmienia pod jego podkutymi ćwiekami sandałami były szkliste i nieco śliskie, a on pociał się pod pancerzem z brązu, jaki tradycja nakazywała nosić generałowi.

- Oto nadchodzą, głupcy - wymruczał.

Audsley był kiedyś kompetentnym dowódcą, jak mógł się wpakować w coś takiego?

*Dobrzy konfederaccy ż olnierze zginą przez to, że Audsley i jego przyjaciele nie mogą spłacić swoich długów, pomyślał. A tymczasem Wyspiarze najeżdżą ają wybrzeż e, a barbarzyńcy powstają na południu. Co za marnotrawstwo. Co prawda, państwo przypominało obecnie gniazdo żmij, wszystkie stare zwyczaje ginęły, ale żeby do tego doszło...*

*To było jak zaproszenie do rozpierduchy, pomyślał zimno Demansk. Kiedyś - i to już niedługo - silny człowiek przechwyci władzę albo wszystko się rozpadnie, gdy generałowie*

będą walczyć o kości Konfederacji jak kraby w wiadrze. Albo pojawi się jeden silny człowiek, który położy kres niekończącej się rywalizacji, albo też będzie się ona ciągnąć, dopóki Południowcy i Wyspiarze nie rozstrzygną we wzajemnej walce, kto oskubie kości cywilizacji. *Audsley jednak nie jest tym człowiekiem.*

*Czy ja jestem?* - przebiegło mu przez głowę, lecz Demansk z wysiłkiem odegnał tę myśl. Nawet, jeśli nim był, to nie nadszedł jego czas. Jeszcze nie.

Obrócił głowę w jedną i w drugą stronę. Jedwabna chustka, która chroniła jego skórę od otarcia o skraj zbroi, była przepocona od gorąca i urażała go.

*Dziesięć tysięcy cy ludzi*, pomyślał. Dwie brygady regularnej piechoty, nie w pełnej sile. Powiedzmy wszystkiego razem sześć tysięcy. Był to trzon jego sił, czekali w formacji ze spokojną cierpliwością wołu. Kompanie ustawione w potrójnym szeregu, każdy batalion mający kompanię w rezerwie; ludzie klęczeli, opierali tarcze o ramiona. Pióropusze na hełmach powiewały na wietrze. Tu i ówdzie podoficer szedł wzdłuż szeregu, sprawdzając, mundury i ustawienie. *I trzy bataliony jako rezerwa ogólna*, pomyślał. To powinno wystarczyć. Wyczuwał regularnych, gotowych w jego dłoni niczym znajome narzędzie, za które człowiek łapie instynktownie w ciemności.

Tysiąc kawalerii. Najemnicy, Południowcy pod komendą konfederackich oficerów. Brakowało im surowej dyscypliny i ciszy jego brygad piechoty. Panowała ogólna jednolitość wyposażenia - kolczugi, tarcze w kształcie trójkąta, hełmy, lance i długie miecze - ale poza tym każdy człowiek ubierał się po swojemu. Mieli oczywiście nieco dyscypliny, więcej niż banda barbarzyńców, co jednak nie znaczyło wiele. Musiał też przyznać, iż każdy z osobna był wysoko wyszkolonym wojownikiem. W większości byli to synowie kasty wojowników-Południowców. *Audsley nie ma wcale kawalerii.*

Przed głównymi siłami ustawiały się lekkie wojska, harcownicy z oszczepami, procami, łukami, okrągłymi tarczami i assagajami. Nie mieli siły oporu takiej jak ciężka piechota, ale jeśli dopisze im szczęście, to sami wygrają tę bitwę.

Zmrużył oczy. Trzon sił Audsleya stanowiła regularna formacja, która wyglądała na dobrze wyposażoną - jedna pełna brygada, powiedzmy cztery albo pięć tysięcy ludzi. Będą to weterani, lecz ostatnio niewiele ćwiczeni, a ekwipunek był zbieraniną. Na flankach wlokło się więcej jego zwolenników, nie wyposażonych odpowiednio i bez szczególnego porządku. Osiem albo dziewięć tysięcy, lecz oni stanowili bydlę idące na rzeź. Z przodu znajdowali się

ludzie wyglądający na lekką piechotę najemników.

- Zgnieść mi ten motłoch - powiedział Demansk ostrym tonem, z obrzydzeniem i niecierpliwością. - Pogonić velipady!

*Niech Południowcy zarobią na swój ż ołd*, pomyślał. Każdy zabity buntownik to o jedno mniej zagrożenie dla jego cennych, wyszkolonych ludzi... a *każ dy Południowiec, który zginie, to o jednego mniej do najazdu na naszą granicą za parę lat*.

Adiutanci polowi pomknęli od grupy dowodzenia. Kilka minut później kawaleria zaczęła kłusować do przodu po obu flankach, w dowolnej kolejności. Konfederacy oficerowie ustawili ich w szeregi, a potem trysnęła ziemia, gdy kłus przeszedł w cwał, a później w powolnie rozwijany galop. Ruszyła fala opuszczanych lanc.

\* \* \*

- Oto nadciągają jeszcze bardziej barbarzyńscy barbarzyńcy - powiedział Esmond pewnym siebie głosem. - Boże Cieni, przyjmij naszą ofiarę - mimo iż ma pchły.

Adrian nie przyłączył się do śmiechu, jaki zabrzmiał wśród tych Szmaragdowców, którzy usłyszeli jego brata; rozszedł się on po luźnej formacji, gdy ludzie powtarzali to swoim sąsiadom. Sam miał sucho w ustach, przyglądając się, jak szereg jasnych grotów wypada z pyłu...

»Straszne, prawda?« wyszeptał głos Raja. W umyśle Adriana pojawił się obraz: inne pole bitwy i *tysią ce* ludzi jadących na ogromnych psach, które już widział. Mężczyźni w stalowych hełmach i napierśnikach, potężne chłopcy z brodami i blond włosami, niektórzy mieli wielkie skrzydła wyrastające z tyłu zbroi. Ryczący ludzie i wierzchowce; wstrząsający ziemią grzmot łap wypełniający mu myśli.

Przed nimi - przed nimi i trochę na prawo od punktu obserwacyjnego Raja - mężczyźni w niebieskich mundurach i miskowatych hełmach pochylali się nad dziwnym urządzeniem, przypominającym rydwan, nazywanym przez Raja działem.

- Pyszny cel - rzucił jeden z nich, szczerząc się w uśmiechu i spluwając przez brązowe, nierówne zęby. Odsunął się i złapał za sznur biegnący z tyłu działa. - Dziewięćset metrów, szrapnelem... ognia!

Adrian zamrugnął i pokiwał głową, uśmiechając się w duchu. Kilku procarzy spojrzało na niego dziwnie, ale można się było spodziewać, że człowiek, który sprawiał cuda, będzie... czasami zachowywać się dziwnie.

- Przygotować lonty! - Ludzie od zapalników zakręcili żerdziami, w których zatknięty był lont i smużki ostrego, błękitnego dymu uniosły się w powietrze. - Zapalić!

Każdy przytknął lont do zapalnika granatu i knoty zapaliły się, skwiercząc. Ruchy towarzyszące wkładaniu okrągłych, brązowych, glinianych naczyń do kieszeni procy cechowała duża ostrożność. Zapalniki miały się palić przez siedem sekund, ale nie można było na nich jeszcze całkowicie polegać.

- Wybrać cele...

Procarze unieśli drzewca proc, wybierając miejsca w nacierających formacjach. Widać było teraz wyraźnie wyszczerzone kły velipadów i krzyczące, ściągnięte twarze za kratownicami hełmów.

- Strzelać!

Proce wyposażone były w drewniane, na jard długie drzewce, a jedwabne sznury na ich końcach miały dwa razy taką długość. Każdy człowiek wykręcił drzewcem i sznurkami pełne koło, co sprawiło, że w rzut zaangażowana była siła nie tylko ramion, ale także barków i tułowia. Jednofuntowe bomby nie poruszały się z taką niesamowitą prędkością jak ołowiane pociski. Te kawałki metalu w kształcie migdałów mogły przebić się przez tarczę i pancerz, zabijając znajdującego się za nimi człowieka. Granaty wyskoczyły jednak tak szybko, że ludzie podnieśli wzrok i unieśli tarcze.

*Trzask. Trzask. Trzasktrzasktrzask...*

Wyskoczyły wściekle czerwone trzaskające iskry, słabe w świetle południowego słońca, widoczne tylko na tle obłoczków brudnego, szaro-czarnego dymu. Velipady stawały dęba i kwiczały świszcząc wobec tego hałasu i nieznanego im smrodu siarki. Nie dało się dostrzec ani usłyszeć kawałków twardej gliny i ołowianych kulek rozbryzgujących się zbyt szybko, aby uchwycić to oko, ani fali uderzeniowej wywołanej przez granaty. A potem ludzie i zwierzęta kwiczeli, gdy te kawałki wbijały im się w ciało. Dyscyplina natarcia przerodziła się nagle w chaos. Mężczyzna w zbroi i ciężki bojowy velipad ważyli ponad tonę. W pełnym galopie *nie byli* w stanie szybko zawrócić ani przeskoczyć przez kłębiącą się stertę pokiereszowanych ciał, która nagle pojawiła się przed pazurzastymi łapami wierzchowca. Wysiłki jeźdźców mające zawrócić zwierzęta, tylko spotęgowały panujący chaos, gdy pazurzaste łapy wyslizgiwały się spod obracającego się ciężaru, który je spowalniał. Co gorsze, lansjerzy z tyłu formacji nie widzieli niczego w chmurze pyłu przed sobą i poganiali



swoje velipady do przodu.

A ponad głowami kłębiącej się, miotającej masy wybuchła druga salwa granatów. Padły kolejne velipady, zwiększając barierę z łamiącego kości ciężaru tarzającego się i kopiącego w płątanie ciał. Kolejna salwa i kolejna...

- Panienko, uciekają! - wykrzyknął Esmond.

- Rzeczywiście - odparł Adrian, szczerząc się w uśmiechu i waląc go po pokrytym pancerzem ramieniu. Starannie unikał patrzenia na strefę śmierci przed sobą.

\* \* \*

- D... ddd... demoniczny piorun! - wyjąkał kurier o twarzy koloru serwatki, jaka skapywała z form, gdy mleczarki wyciskały twaróg przy wyrobie sera.

- Opanuj się! - warknął sędzia Demansk, osłaniając oczy dłońmi. Gdy okazało się to niewystarczające, wskoczył na swojego velipada i stanął w strzemionach.

Coś rzeczywiście stało się z jego kawalerią. Wisiała ogromna chmura pyłu, a z niej dobiegały niesamowite odgłosy... i wypadali najemnicy-Południowcy, niektórzy poganiali swoje velipady, inni wlekli się piechotą, wszyscy wrzeszcząc w bezrozumnej panice.

- Goniec - powiedział. - Jeśli ci imbecyle spróbują zakłócić formację, puścić w nich salwę dziryków.

Był to rozkaz, który jego regularna piechota wykona z zapalem i entuzjazmem. Nikt nie lubił Południowców.

Demansk omiół wzrokiem tyle pola bitwy, ile dało się zobaczyć. - I rozkaz ogólny - ciągnął dalej. - Nieprzyjaciel ma jakąś zapalającą broń. - Piraci z Wysp posługiwali się takimi: nafta, tłuszcz z morskiej bestii i niegaszonego wapna - składników, które płonęły nawet pod wodą, - Przypomnij oficerom, że może ich ona jedynie zabić.

W tych czasach degrengolady wiele mogło ujść płazem.

Nawet jego własna klasa nie uchroniła się przed rozkładem.

Ale, dzięki bogom, nie wybaczano uciekania z pola walki.

\* \* \*

- Nadchodzą - powiedział Adrian, oblizując suche wargi.

»Poszukaj drogi odwrotu« odezwał się beznamiętny głos Centrum.

*Co takiego?*

»Zrób tak, chłopcze. Klęska wisi w powietrzu« potwierdził Raj.

- Esmondzie - wyszeptał Adrian. - Powinniśmy przygotować drogę odwrotu.

Brat obejrzał się na niego, a jego oczy były niczym szafiry w oblepionej pyłem twarzy. -

Adrianie - powiedział - czasami myślę, że to *ciebie* Szarooka obdarzyła generalskimi zdolnościami. W porządku, zobaczymy.

Pomyślał chwilę, zawołał dwóch podoficerów i szeptem wydał polecenia. Pokłusowali ku tyłom.

Szmaragdowcy znajdowali się po prawej stronie pozycji buntowników, pomiędzy w pełni wyposażoną brygadą Audsleya a bezkształtną zbitką ochotników. Pył opadł nieco, a z niego wychynęło, maszerując, wojsko Demanska. Ich szereg mienił się i lśnił światłem, blaskiem słońca odbitym od grotów dziryków trzymanyh w prawych dłoniach i od grzebieni hełmów, sztandarów oraz przyćmionego błysku naoliwionych ogniw koleczug.

- O rany, czyż nie są śliczni - powiedział Esmond.

Adrian przyłączył się do śmiechu, jaki zabrzmiał w szeregach Szmaragdowców.

*Ciekawe, czy pozostali są równie zdenerwowani jak ja, pomyślał.*

:»Większość z nich« wymruczał Raj. »Ci, którzy nie są głupi, zbyt pewni siebie albo bardzo doświadczeni.«

Adrian oblizwał wargi, czując smak potu ściekającego mu po twarzy spod lekkiego hełmu i powiedział: - Wybrać cele. Mierzyć w oficerów i sztandary - i w tych z poprzecznymi kitami na hełmach. Wczekajcie, wczekajcie.

\* \* \*

- Teraz!

Procarze strzelali tak szybko, jak ładowacze nadążali z wkładaniem zapalonych granatów do kieszeni ich broni. Pociski spadały łukiem ku pierwszemu szeregowi konfederackich regularnych; spojrzenia powędrowały nerwowo ku górze spod skraju hełmów. Rogi ryknęły swoją ostrą, hałaśliwą muzykę, i cała formacja przyspieszyła do truchtu - nie był to równy szereg, lecz kręty wąż z brązu i stali, który nacierał jednocześnie z łoskotem, utrzymując linię natarcia, mimo lekkich nierówności pola jęczmienia.

*Trzask. Trzask. Trzasktrzasktrzasktrzask...*

Bomby wybuchły i dwustujardowy odcinek konfederackiej linii zniknął w dymie i paskudnych czerwonych ognikach. Wrzaski rozbrzmiewały głośniejsz niż eksplozje, gdy ostry metal i glina wbijały się w ludzkie ciało.

...a z dymu wymaszerowali ci, którzy przeżyli, wciąż posuwając się tym samym równym truchłem. Ludzie wybiegali z drugiego i trzeciego szeregu. Cała formacja zafalowała i zwarła się po zatkaniu dziur. Następcy z łatwością zajęli miejsce w szyku. Adrian usłyszał ostre komendy oficerów i żołnierzy zamykających szereg, lecz żadnych krzyków, oprócz tych dobiegających od rannych ludzi - i to nie wszystkich.

- Cholera! - zaklął z uczuciem Esmond. A potem dodał głośniejszym głosem: - Co za cel!

Nawrzucacie im, chłopaki.

Adrian wywinął drzewcem swojej procy dokoła głowy, celując w sztandar w czwartym szeregu najbliższego konfederackiego batalionu, niesiony przez człowieka z wyprawionym łbem szablitozębnej bestii na hełmie. Bomba poleciała bezbłędnie, wybuchając na wysokości pasa, zanim chorąży miał czas, aby zrobić coś więcej, niż drgnąć. Dym litościwie skrył to, co stało się później, lecz Adrian zobaczył, jak drąg z uniesioną poślaczoną ręką zachwiał się i upadł do tyłu. A potem chorągiew znowu się podźwignęła. Podniósł ją jakiś żołnierz, oparł sobie o biodro i potruchtał do przodu.

Esmond kręcił głową tu i tam, starając się obserwować całe pole. Cofnął się o sześć kroków.

- Batalion przed nami kieruje się na prawo! - krzyknął do brata. - Ale lada chwila...

- *Vanbert! Vanbert!*

Okrzyk był głośny, a regularni buntowników po lewej zwarli szyki i podnieśli tarcze, nagle jeżąc się zabarwioną na cynobrowo skórą i mosiądzem, zmieniając formację w ogromnego, pokrytego łuskami smoka. Ochotnicy po prawej od Szmaragdowców próbowali zrobić to samo - większość z nich miała przynajmniej tarcze - ale brakowało im instynktownej spójności prawdziwych jednostek bojowych.

Przed nimi formacja nacierających też zafalowała. Adrian poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku, gdy zdał sobie sprawę dlaczego - cała linia frontu ruszała na lewą nogę, przygotowując się do...

- VANBERT! VANBERT! - ryknęli żołnierze z przedniego szeregu, okręcając się ku przodowi i wyrzucając w górę ramiona gotowe do rzutu.

Odgłos siedmiu tysięcy mężczyzn krzyczących jednocześnie był niczym cios w brzuch. Świsł, gdy siedem tysięcy ramion cisnęło siedem tysięcy obciążonych ołowiem oszczepów, sprawił, że Adrianowi jądra wcisnęły się w brzuch.

»Głowy w górę, chłopaki« odezwał się głos Raja, chłodny i spokojny w jego umyśle. Niewiele pocisków z tej salwy trafiło w Szmaragdowców - granaty wyczyściły zbyt mocno linię frontu przed nimi. Ludzie padali, tu i tam. Inni przeklinali i odrzucali na bok tarcze, gdy haczykowate ostrza z ołowianą kulą za grotami wbiły się i nie dało się ich wyszarpnąć. Z lewej salwa uderzyła o uniesione tarcze brygady Audsleya, większość odbiła się od zakrzywionych powierzchni albo metalowego pokrycia, niektóre waliły o kolczugę, a jeszcze inne wbijały się w ciało.

- Rozwaliło ich - stwierdził Esmond.

Patrzył na prawo, tam, gdzie salwa przeorała się przez bezkształtną masę częściowo uzbrojonych ochotników. To, co się tam stało, przypominało szklany dzbanek uderzający o skałę, tylko że to, co się wylało, było czerwiejsze od wina. Niewielu ochotników miało broje, a żaden nie ustawił się tarcza w tarczę w zwartej formacji, która stanowiła jedyną nadzieję powstrzymania większości pocisków.

- VANBERT! VANBERT!

Kolejna salwa i znowu rozbrzmiały konfederackie trąby, skomplikowaną wznosząco-opadającą nutą. Bataliony zwrócone ku ochotnikom dobyły assagaje z przeciągłym, świszczącym chrzęstem i zaczęto biec do przodu.

- Już czas - powiedział Esmond, z twarzą zbielełą wokół ust - z wściekłości, jak uświadomił sobie Adrian; zdał też sobie sprawę z wysiłku woli, jaki go kosztowało wydanie rozkazu odwrotu, zamiast zostać i dać się zabić Konfederatom. Skinął głową ku prawej, gdzie skrzydło Demanska miało zaraz skosić skraj rozpadającej się formacji buntowników.

- Masz rację, bracie - powiedział Adrian. Podniósł głos. - Jeszcze jedna salwa, żeby ich zniechęcić, ludzie, a potem zostawiamy Konfederatów samych sobie.

Poleciały bomby, równie celne, co pierwsze strzały. Inni ludzie pomagali rannym, którzy wciąż mogli się ruszać lub zadawali miłosierny cios bezradnym. Adrian przełknął dumę. Jego najemnicy, wyzwoleńcy i cała ta zbieranina, zachowywali spokój, mimo iż wielogłowa bestia znajdowała się prawie w odległości ramienia od nich.

Lekka piechota Esmonda rozciągnęła się, aby osłaniać grenadierów, unosząc oszczepy.

- Dać im popalić, a potem ruszamy!

Esmond się odwrócił, uniósł oszczep i cisnął go tak umiejętnie, że niemal bez wysiłku.

Ten poleciał w twarz konfederackiego podoficera. Wykończony wachlarzem hełm stoczył się

do tyłu. Salwa, która potem nastąpiła, sprawiła, iż Konfederaci na chwilę się zawahali.

Szmaragdowcy odwrócili się i oddalili w zwartej formacji, zmierzając na tyły i ku zachodowi - za nadal stojącymi nieruchomo szeregami brygady Audsleya.

Ten sam polowy adiutant, co wcześniej, zatrzymał się przed nimi, ściągając wodze.

Adrian poczuł smrodliwy oddech wszystkożernego velipada, gdy ten przypadł na tylnych nogach, orząc powietrze wielkimi, przytępionymi szponami.

- A dokąd to się wybieracie?! - krzyknął młody konfederacki wielmoża. - Wracać na stanowiska, wy szmaragdowe szumowiny...

*Łup.*

Oszczep Esmonda przebił się przez lekki pancerz z brązowych łusek podbitych płótnem, z odgłosem przypominającym siekierę uderzającą w drewno. Konfederat wybałuszył oczy, a potem jego wzrok ześliznął się ku smukłemu jesionowemu drzewcowi wystającemu mu z brzucha. Żołnierz zsunął się z siodła z takim wyrazem pełnego konsternacji oburzenia, jakby nie mógł uwierzyć, że zwykły najemnik Szmaragdowiec ośmielił się podnieść na niego rękę.

- Za każdą zniewagę, za każdą ujmę, pošlę tuzin z nich w Cienie - wymruczał Esmond, łapiąc velipada. Mężczyzna wskoczył na siodło wierzchowca ze swobodnym wdziękiem. - Za Nanyę nie starczy wszystkich ich żywotów.

Adrian przełknął ślinę na dźwięk głosu brata, nawet w tej sytuacji. Za nimi dał się słyszeć donośny, świszczący chrzęst, gdy z kolei ludzie Audsleya dobyli swoich assagai, a potem łoskot jak we wszystkich kuźniach świata, gdy doszło do walki wręcz. Zaryzykował rzucenie spojrzenia przez lewe ramię, Ochotnicy padali niczym wielkobestie pod toporem ofiarnika, lecz było ich tak wielu, iż zajmie to trochę czasu... wzbijał się ogromny kurz i panowało potężne zamieszanie. Bez Centrum, które rysowało mu obrazy przed oczami, wszystko to byłoby dla Adriana jedynie bezkształtną masą stali, krwi i krzyków - ponownym przyjściem Chaosu i Pierwotnej Nocy.

- Gdy ludzie Demanska wykończą motłoch, to skręca, aby zejść regularnych Audsleya od tyłu! - krzyknął do Esmonda. - Jeśli wydostaniemy się z nami na czas...

- Ano właśnie - powiedział Esmond, wyglądający jak objawienie boga wojny Wodepa na narowistym koniu, ze zbroją zbryzganą krwią.

*Ja też jestem nią zbryzganym, uświadomił sobie Adrian, ścierając krew. Ja też.*

- Zwinąć żagiel! - rzucił Adrian.

Szyper *Mkną cego po falach* wzruszył ramionami. - Na maszt - zawołał. - Zwinąć żagiel. Statek, jaki porwali, był podobny do tych, które ich ojciec wyprawiał z Solingi przez większość ich życia: długi na sto stóp, miał czterdzieści w najszerszej części kadłuba, był w całości zakryty pokładem, z jednym wysokim masztem i jednym dużym kwadratowym żaglem. Adrian nie sądził, aby jego ojciec tolerował zielony nalot wodorostów, jaki wystawał wszędzie dookoła ponad błękitną wodą, czy zęzy śmierdzące tak mocno, iż ich zapach przyćmiewał morski zapach jodu. Łabędzia szyja wyginająca się ponad nimi była standardem, lecz niebiesko-złota farba łuszczyła się i była spłowiała. Mimo to kadłub nie przeciekał i płynęli szybko z leżącego na zachodnim wybrzeżu portu Preble. Adrian oblizwał suche wargi, mrużąc oczy i popatrując ponad upstrzonym bielą błękitem Zachodniego Oceanu. Nie mieli czasu, aby załadować dodatkowe zapasy wody i przy dwustu ludziach na pokładzie zeszli do kubka wody dziennie - zielonej, mulistej i przy takim jej niedomiarze smakującej lepiej niż jakiegokolwiek wino.

Wielka reja zleciała w dół ze stukotem, towarzyszyły temu przekleństwa znajdujących się na pokładzie najemników-Szmaragdowców, którzy musieli uskakiwać jej z drogi. Teraz, gdy opuszczono żagiel, Adrian lepiej widział zbliżającą się do nich jednostkę.

Nie był to statek kupiecki. Kadłub był niski, długi i smukły niczym wąż, z gorejącymi oczami i wyszczerzonymi zębami wymalowanymi ponad taranem z brązu, który wystawał z wody przy każdym wyskoku ku przodowi. Na odsadniach znajdowały się siedzenia wiosłarzy, którzy obsadzali dwa rzędy długich wiosł, gdy żagle były zwinięte. Teraz był gotowy do krążenia po morzu, z postawionym masztem i żaglem pomalowanym na ten sam niebiesko-szary kolor co kadłub. Dwie obsadzone ludźmi lekkie katapulty stały koło dziobu, gotowe do wyrzucenia kamieni albo dzbanków ognia. A po obu stronach pomostu znajdowały się dwie balisty, gotowe do wyrzucenia olbrzymich oszczepów. Gromadka mężczyzn koło rumpla jaśniała od pióropuszków, złota i powiewających płaszczy ufarbowanych na słynny fiolet Zachodnich Wysp. A na fladze nad nimi znajdował się stylizowany grzywacz panów Wysp.

Żagiel tej jednostki opadł jakby za pomocą magii, zgrabnie zwinięty - spora załoga, załoga okrętu wojennego. Esmond podszedł do brata, osłaniając oczy dłonią. Gdy to zrobił, wiosła wystrzeliły z burt tamtego okrętu i uderzyły w wodę razem niczym kończyny stonogi,

wzbijając pianę z fal. Smukły kadłub pomknął do przodu, a potem wykonał zgrabny skręt, zwracając się taranem w stronę kupieckiego statku, obracany wiosłami i podwójnymi rumplami; słyszeli *łup... łup... łup* nadających rytm młoteczków uderzających w kłodę służącą za bęben.

- Birema<sup>3</sup> - powiedział Esmond. - Dwudziestu wojowników, stu dwudziestu wiosłarzy, trzydziestu marynarzy. Nie mogą być daleko od domu. Myślę też, że to królewski okręt, a nie korsarz. Bardzo dobrze wyszkolona załoga.

Adrian skinął głową, choć to, iż był to królewski okręt, nie miało większego znaczenia, jeśli chodziło o Wyspiarzy. Każdy okręt króla mógł się zmienić w piracki, jeśli nadarzyła się okazja.

Jeden z oficerów na pokładzie podniósł tubę do mówienia. Zawołał do nich w konfederackim, akcentowanym, lecz zrozumiałym.

- Ahoj! Co to za statek?

- *Mkną cy po falach* z Preble - powiedział kapitan. - Zmierzamy do Kielicha.

- Jaki ładunek?

W głosie pobrzmiwała podejrzliwość. Na pokładzie kupieckiego statku było zbyt wielu uzbrojonych ludzi, ale wyraźnie nie był to także okręt piratów ani nadbrzeżnych najeźdźców. To nakazywało ostrożność. Nawet po zakończonym powodzeniem staranowaniu, okręt wojenny narażony był na abordaż. Trochę pecha, taran, który uwięźnie w deskach 3 Birema - dwuwiosłowiec. (przypis tłum.)

naruszonego statku i ich pokład zaroi się od ludzi z *Mkną cego po falach*. W taki sposób konfederackie statki pokonały flotę Królestwa mimo żeglarskiego kunsztu Wyspiarzy, zaczepiając się hakami i zmieniając bitwę morską w walkę na lądzie.

Adrian postąpił do przodu, odzywając się w języku wyspiarskim. Poczul, jak Esmond zeszywniał z zaskoczenia. Było to naturalne, bo do tej pory uważał on, że Adrian zna tylko kilka słów.

- Nasz ładunek to odważni ludzie - powiedział. - Przybyliśmy służyć królowi Casullowi IV, panu Wysp, najwyższemu autokracie, wybrańcy Boga Słońca i Lemare z morza, w walce przeciwko złodziejom i tyranom z Vanbertu. Jesteśmy Adrian i Esmond Gellertowie z Solingi.

Jednostki były teraz na tyle blisko siebie, że Adrian dostrzegł, jak rozwarły się szeroko

oczy oficera osadzone w śniadej twarzy o haczykowatym nosie. Kita z przodu jego turbanu zakołysała się, gdy odwrócił się, by rozprawiać gorączkowo z innymi.

- Słyszeli o nas i to nie tylko przez wzgląd na ojca - szepnął mu do ucha Esmond.

- Teraz pytanie brzmi, czy zechcą się przypodobać Konfederatom, czy dźgnąć ich w oko

- odpowiedział mu szeptem Adrian.

Wspaniale ubrany oficer odwrócił się z powrotem, a słońce odbijało się od połączanych łusek jego zbroi. - Król, niech żyje wiecznie, musi o tym usłyszeć - powiedział. -

Przeniesiecie się na *Rozpruwacza*.

- Szacowny panie, pozostaniemy z naszymi ludźmi - przemówił po wyspiarsku Esmond, powoli i z cięższym akcentem. - Ale chętnie złożymy nasze losy u stóp króla, któremu bogowie dali wielkie królestwo.

Nastąpiła chwila pełna napięcia, gdy zwarli się spojrzeniami. Pióra znowu się zakołysały, gdy kapitan Wyspiarzy skinął głową. - Dobrze. Płyńcie, jak szybko się da.

\* \* \*

- Wejść - powiedział król Casull.

Sala audiencyjna była mała i nieoficjalna. Jedną z jej ścian stanowiła otwarta krata z rzeźbionego marmuru wychodząca na miasto Kielich. Na pozostałych znajdowała się mozaika z morskimi potworami - z których większość istniała naprawdę, jak przekonał się o tym Casull w czasie lat spędzonych jako szyper i admirał, zanim poprzedniego króla spotkał koniec w ostatniej wojnie z Konfederatami - znajdował się tam hebanowy stolik wykładany masą perłową, wyszywane poduszki, taca suszonych owoców oraz dzbanki z winem i wodą. Dziewczyna w przezroczyściej szacie klęczała w kącie, pobrzękując na *jitar*, a przy wejściu stało dwóch strażników - czubki ich ogromnych, zakrzywionych szabel opierały się o podłogę przed ich butami, a ich ręce spoczywały w gotowości na rękojeściach. Pałeczka kadzidełka płonęła na tacce z rzezanego brązu, mieszając się z wonią kwiatów w ogrodach na zewnątrz i smrodem smoły bijącej od leżącej w dole zatoki.

Dwóch mężczyzn weszło przez drzwi, a za nimi eunuch-szambelan, w szacie jeszcze wspanialszej niż ich odzienie.

- O królu, obyś żył wiecznie! - zakrzyknęła cała trójka, rozciągając się na podłodze.

Srebrne egrety z przodu turbanów obu kupców zadzwoniły o marmurową mozaikę posadzki, podobnie jak rubin w turbanie eunucha. *Pałacowemu szambelanowi może i brakuje*



„klejnotów”, ale nie okazji do zdobywania szlachetnych kamieni. Casull uśmiechnął się lekko do siebie na ten żarcik słowny i wykonał gest ręką. Inna dziewczyna podniosła się z milczącym wdziękiem i ruszyła, by nalać gęste, słodkie wino do maleńkich czarek wyrzeźbionych z przypominających klejnoty zębów *salpeska*.

- Powstańcie, przyjaciele - powiedział serdecznie Casull. Jego ojciec powiedział mu kiedyś, że nawet jeśli musisz człowieka zabić, to bycie uprzejmy nic nie kosztuje. - Mówcie. Wasz król wysłucha waszej opowieści.

Kupcy się podnieśli, usiedli na poduszkach ze skrzyżowanymi nogami i wzniesli czarki, które wręczyła im niewolnica - obiema rękami, poddańczym gestem, zanim pociągnęli z nich ze smakiem. Obydwaj byli mężczyznami w średnim wieku z siwizną w kręconych, natłuszczonych brodach. *Enri i Pyhar Lowissonowie*, przypomniał sobie Casull. *Bracia*. Ich ojciec hodował niegdyś ryby, a jego synowie zrobili na tym fortuny... i na najazdach podczas chaosu panującego w czasie wojen z Konfederatami. Służyli też sprawnie w kampaniach Casulla przeciwko wyspom, które oderwały się od królestwa, gdy jego poprzednik był zajęty na lądzie.

- Wiedz, królu, iż od dawna handlowaliśmy z Solingą - odezwał się Enri, starszy z tej dwójki.

Casull skinął głową. - Suszone ryby, materiały i przyprawy w zamian za wino, ziarno i suszone mięso - powiedział. - I dodatkowo ruda cynku, stalowe pręty i różne wyroby rękodzielnicze.

Kupcy zamrugali oczami i skłonili głowy z szacunkiem.

- Kontynuujcie - rzekł król.

- Od lat handlowaliśmy z niejakim Zeke Gellertem z Solingi - ciągnął dalej Enri. - Zmarł w zeszłym roku, lecz jakiś czas temu wymieniliśmy się *tesserae*.

4 Egreta - ozdoba z piór i drogich kamieni, (przypis tłum.)

Casull ponownie skinął głową, w milczeniu. Przekonał się już, iż często było to bardziej skuteczne niż mówienie. *Tesserae* były drobiazgami - zwykle z kości słoniowej - którymi wymieniali się goście-przyjaciele w kraju Szmaragdowców. Taki symbol przełamywano na pół; gdy pokazywano drugą połowę, gość-przyjaciel był zobowiązany do udzielenia pomocy i schronienia człowiekowi, który to przyniósł, a obowiązek ten był dziedziczny. A przynajmniej tak uważała większość Szmaragdowców. Wyspiarze byli bardziej... elastyczni.

Mimo to, odprawienie dziedziców ich gościa-przyjaciela nadszarpnęłoby reputację Lowissonów na ziemiach Szmaragdowców.

Enri obliział usta i pociągnął łyżeczek wina. - Cóż, królu, Adrian i Esmond Gellertowie przybyli do Kielicha, domagając się od nas gościny... i prosząc o przedstawienie samemu królowi.

Zawahał się, a król przemówił: - Adrian i Esmond Gellertowie, którzy wzięli udział w rebelii Audsleya na konfederackim terytorium, tak - rzekł. - Są uważani za buntowników w Konfederacji. Nie pierwszy to raz, gdy wygnańcy z lądu uciekają na Wyspy.

*Choć z adnych innych wygnańców nie poprzedziły takie pogłoski, pomyślał Casull. Broń przypominająca błyskawice bogów, grom i ogień pozostawiające ludzi w strzępach... Może w tym coś być, pomyślał. Jednak mniej niż głosi plotka, inaczej Audsley stałby się panem Vanbertu.*

Rozmowa się ciągnęła, zawiła i niebezpośrednia; ta trójka mogła być ludźmi, którzy sami wszystko osiągnęli, lecz w swej podróży po śliskiej drabinie kariery zdobyli oprócz bogactwa także ogładę. Na Wyspach nie było tak jak na lądzie, gdzie życie człowieka było ustalone od dnia urodzenia. Tutaj marynarz albo wieśniak mógł dokończyć żywota w pałacu z haremem, jeśli dopisało mu szczęście i *nous*, lecz jednocześnie każdego dnia zionęła przed nim przepaść niepowodzenia, zaś noże rywali były zawsze ostre i gotowe do ataku.

Casull uśmiechnął się i kiwnął głową. *Tak, pragniecie skorzystać z łaski, jaka może spaść na Gellertów, pomyślał. Tak, ale jednocześnie nie pragniecie uniknąć winy za ewentualne niepowodzenie, jeśli są tylko chwalipiętami. Tak, te pragnienia się ze sobą kłócą - jeśli bowiem będziecie czekać zbyt długo, to z pewnością cię przegracie. Pię kny dylemat.*

W końcu zaklaskał w dłonie. - Łaskawie udzielę tym Szmaragdowcom audiencji - powiedział. - Gadanie nic nie kosztuje, a skradzionych towarów nigdy nie sprzedaje się ze stratą.

Jego spojrzenie powędrowało ku miastu schodzącemu po zboczach, od pałacu do okrągłej zatoki. *A ja potrzebuję każdej pomocy, pomyślał.* Wyspy nie są zjednoczone, a nawet gdyby były, to i tak Konfederaci będą przewyższać ich mieszkańców trzydziestokrotnie.

Umiejętności żeglarskie i odległość utrzymywały niepodległość Wysp, ale... jak brzmiało to stare powiedzenie? A, tak.

*Ilość sama w sobie jest jakoś ciążą.* Pochwyci obiema rękoma każdą przewagę, jaka się pojawi, przygotowując się do nieuchronnej walki.

## Rozdział piąty

*Robi wrażeńie*, pomyślał Adrian, przerywając nerwowe przechadzanie się. Mężczyzna podniósł wzrok na zbocze wulkanu.

Rezydencja gościa-przyjaciela ich ojca znajdowała się koło doków - Lowissonowie lubili trzymać się blisko źródeł swego bogactwa. Jak większość budynków w Kielichu, wykonana była z kamiennych bloków wulkanicznego tufu, otynkowanych i pobielonych lub pomalowanych. Dach domu był płaski. Mieszkańcy spali na nim w upalne lato... albo przechadzali się w oczekiwaniu na wieści od króla. Inne budynki rozciągały się w górę stromego zbocza, wzdłuż dróg wyłożonych kocimi łbami lub kamiennymi płytami, czy też wąskich, krętych i mocno błotnistych - oprócz Drogi Procesji prowadzącej z doków do wielkiej, masywnej świątyni Lemare, bogini morza. Budynki leżały rozsiane niczym kości rzucone przez bogów, schodząc po zboczach kostkami jaskrawej bieli, szmaragdowej zieleni, fioletu, błękitu i karmazynu. Zwracały się gładkimi ścianami ku ulicom, skupiając się wokół rozlicznych małych i dużych dziedzińców. Mur mógł skrywać wszystko: rezydencję księcia kupców, zatłoczony dom czynszowy czy warsztaty rzemieślników. Ponad niektórymi ogrodzeniami można było dostrzec kołyszące się wierzchołki drzew, a za nimi znajdowały się piękne ogrody i fontanny z rzeźbionego jadeitu tryskające chłodną wodą... albo powiewające pranie i rozwrzeszczane dzieciaki.

Same ulice też były zatłoczone - prawie nadzy tragarze zgięci wpół pod ogromnymi ładunkami, karawany wyspiarskich, karłowatych velipadów z podobnymi ciężarami, sprzedawcy wody i słodyczy, gawędziarze, bogaci kupcy z klejnotami, w jedwabiach, paradujący dumnie marynarze z pirackich galer z zakrzywionymi kordami u pasa i wzmocnionymi rogiem łukami przerzuconymi przez ramię, kapłani z głowami ogolonymi i pomalowanymi w zygzakowate pasy... Tu mijala cię bogata kurtyzana niesiona w lektyce wspartej na ramionach czterech muskularnych niewolników, gruchająca czule i karmiąca orzeszkami trzymanymi w zębach jaskrawo upierzonego ptaka; a tam jakiś uczony zatrzymał się, aby kupić kubek rozcieńczonego wodą wina, podczas gdy jego studenci zebrali się z tyłu i prowadzili dyskusję, wymachując rękoma, posługując się niesionymi zwojami do gestykulacji - lub dzielenia się nawzajem po głowie...

Kielich zajmował trzy czwarte obwodu starodawnego wulkanicznego krateru tworzącego jego zatokę i nadającego mu nazwę; wystające ostre krawędzie sprawiały, iż mury miejskie

były niepotrzebne. Wielka przestrzeń kaldery<sup>5</sup> pełna była statków: galer, posuwających się niczym na pajęczych nogach ku bazie marynarki wojennej na północnym nabrzeżu, jedno-masztowców do połowu ryb i rzędów boi wyznaczających hodowle ryb. Ponad budynkami wznosiły się zbocza innych wulkanów. Szczyt Boga Słońca był najwyższym ze wszystkich, zwieńczony wiecznym śniegiem i wypuszczający długi pióropusz dymu w lazurowe niebo. Niższe zbocza pocięte były tarasami sadów granatów, *mangustan* 6, pomarańczy, fig. Na wyższych znajdował się gęsty, zielony las, źródło cennego drewna i budulca do konstrukcji statków.

Adrian odwrócił się do brata... i zamarł na moment, zaszokowany. *Esmond* wyglądał staro, pomyślał. *Przynajmniej na trzydziestkę*. Mężczyzna miał głębokie bruzdy biegnące do nosa od kącików ust, a jego niebieskie oczy były bez wyrazu, gdy tak czekał.

*Co może na powiedzieć?* - pomyślał. Szkoła w Gaju uczyła, że miłość do kobiet jest słabością, zakłóceniem równowagi, której mędrzec stale poszukuje. Nie sądził jednak, iż *Esmond* w swym żalu chciałby tego wysłuchiwać - wyraźnie kochał Nanyę w ten obsesyjnie namiętny sposób, który *Bestmun* krytykował, a który doprowadził do tego, że tysiąc statków pożeglowało i sprowadziło gniew boży na miasto *Windhaven* w starożytnych eposach.

*Problem w tym, iż on powie, że było warto, mimo bólu*, stwierdził Adrian. *Dziękuję ci niech będa bogom, że przynajmniej od tego jestem wolny*. Pomyślałby tak z większym przekonaniem, gdyby nie poczucie tęsknej zazdrości...

Jego gospodarz oszczędził mu kłopotliwej przemowy. - Chodźcie - powiedział, uśmiechając się. - Król was wysłucha, szczęśliwcy.

Wzrok Adriana powędrował na chwilę ku wulkanowi. Zbocza takich gór miały cudownie żyzną glebę... jednak wszystko, co człowiek tam wyhodował, mogło zostać zniszczone przez ogień i popiół w każdej chwili.

»Nigdy nie mówiliśmy, że to będzie łatwe, chłopcze« powiedział Raj.

Adrian wziął głęboki oddech i z kolei sam się skłonił.

- Król czyni nam zaszczyt - zaczął.

\* \* \*

5 Kaldera - zapadły stożek wulkaniczny, (przypis tłum.)

6 Mangustan (*Garcinia Mangostana*) - drzewko pochodzące z Indii Wschodnich, rodzące soczyste owoce o

czerwono-brunatnej skórce i brzoskwiniowo-ananasowym smaku, (przypis tłum.)

- Król czyni nam zaszczyt - powiedział ponownie Adrian, gdy usiedli niezgrabnie; nie przywykli do siedzenia ze skrzyżowanymi nogami.

- Król skończył już z ceremoniami - powiedział Casull, rozpierając się na stercie poduszek. - O każdej porze dnia mogę zobaczyć ludzi walących głowami o podłogę, ludzi mających coś ciekawego do powiedzenia spotykam o wiele rzadziej, a ja wolę, żeby ważne wieści nie były wykrzykiwane na otwartym *durbar*. Nawet Konfederacji udaje się czasami znaleźć kompetentnego szpiega.

Dzień zrobił się ciepły. Król był zadowolony z wachlarzy z pawich piór nagarniających mu na twarz trochę powietrza i delikatnej mgiełki z fontanny na dziedzińcu. Pałac królów Wysp był norą, która przez cztery wieki rozrastała się poprzez nawarstwianie. Każdy nowy monarcha dodawał coś, a niewielu coś burzyło. Ta komnata była otwarta z obu końców - smukłe kolumny z kapitelem z koralowca wychodziły na korytarz i taras z widokiem na zewnętrzne ogrody, a wlatująca bryza czyniła znośnymi te upalne popołudnia pory deszczowej. Z podwyższenia, na którym siedział, Casull widział miasto leżące za Szmaragdowcami i czarne chmury burzowe budujące się na wschodnim horyzoncie.

*Strasznie odpowiednie*, pomyślał.

- Ten... granat, tak go nazywacie? Ten granat robi wrażenie. Na morzu taka broń może mieć decydujące znaczenie - przynajmniej przy paru pierwszych starciach, gdy nieprzyjacieli nie będzie do nich przyzwyczajony ani nie będzie miał własnych.

Król mówił po szmaragdowemu w wykształconej wersji arystokracji Solingi, a nie gwarą wilków morskich, Wyspiarski młodszego Szmaragdowca był imponująco biegły, ale nie można było pozwolić, aby uważał, że ma do czynienia z prostakiem, zwykłym samozwańczym kapitanem piratów. Casull zmrużył w myślach oczy, oceniając tego Adriana Gellerta. Na pozór młodzieniec był młodym uczonym z Gaju, lecz było w nim coś jeszcze... *Jest twardszy, niż moż na się spodziewać*, pomyślał. *I bardziej spostrzegawczy - nic mu nie umyka.*

Jego brat wyglądał na pozór bardziej groźnie. *Wojownik*, stwierdził Casull, *nie tylko sportowiec*. Wszystkie raporty pochodzące z lądu i od szpiegów rekrutujących się spośród szynkarzy, dziwek i graczy, którzy mieli kontakt z najemnikami, jakich przyprowadzili Gellertowie, mówiły, że jest on obdarzony *baraka* - zdolnością inspirowania ludzi w czasie bitwy. A poza tym rozumem. Z pewnością *wyglądał* jak wcielenie Wodepa, starożytnego

boga wojny ludzi z lądu.

Młodszy Szmaragdowiec się skłonił. - Królu, granaty to *najmniejsza* rzecz, jaką możemy uzyskać za pomocą nowej... nowej *zasady* wykorzystywanej w tej wybuchowej broni.

Casull uniósł brwi. Słowo to oznaczało w szmaragdowym *ukryty powód*, a on nie całkiem rozumiał, jakie miało to zastosowanie.

- Mów dalej - rzekł łagodnie, poskramiając niecierpliwe wiercenie się swego syna Tenny'ego. Niech chłopak nauczy się cierpliwości, to jedna z zalet władcy.

- Jeśli mój pan król łaskawie spojrzy na to - ten pierwszy nazywamy armatą, służy do ciskania żelaznych kul i ogromnych granatów, do rozwalania statków albo burzenia murów fortu...

W dwie godziny później Casull ponownie odchylił się do tyłu. - Naprawdę interesujące - powiedział. Zwrócił spojrzenie ku Esmondowi. - A ty, młody paniczku, co masz do powiedzenia?

Esmond się uśmiechnął, choć uśmiech nie sięgnął jego zimnych, niebieskich oczu. - Mój brat jest uczonym - powiedział. - Ja walczę. Udało mi się zabić sporo Konfederatów przez ostatnie sześć miesięcy. Zamierzam zabić ich jeszcze dużo więcej. - Jego pięść spoczywająca na kolanie zacisnęła się. Blizny i oparzenia na jej powierzchni odznaczały się bielą na opalonej skórze. - Za każdą zniewagę, za każde poniżenie, jakie zadali mnie i mojemu miastu, odpłacę im krwią - mają u mnie dług wykraczający poza to. Gdy zginie ostatni żołnierz w płonących ruinach Vanbertu, a Konfederacja stanie się wspomnieniem, wtedy, *być może*, uznam, że rachunek został wyrównany.

Casull skinął w zamyśleniu głową. Widział już przedtem nienawiść, ale nie aż tak zapięklą. *Szkoda*, pomyślał. Człowiek, którego tak zżera nienawiść, zwraca się przeciwko sobie. Może mieć dużo szczęścia, lecz ono szybko się skończy i porwie go bieg życia. *Ale mogę się nim posłużyć*.

Zaklaskał. - Wysłuchajcie rozkazów króla! - powiedział nieco formalnym tonem. *Wakil* pochylił się do przodu, z piórem wzniesionym w gotowości nad stroną papieru z trzciny.

- Rozkazem króla ten oto szlachetny wojownik Esmond, syn Gellerta z Solingi, ma zostać wcielony do wojska króla, aby dowodzić regimentem morskich szturmowców. Otrzyma on rangę dowódcy pięciuset - tylu bowiem ich będzie, łącznie z ludźmi, których przyprowadził ze sobą. Zwykły żołd i udział w łupach.

Esmond znowu się skłonił, tym razem z bardziej szczerym uśmiechem.

Casull zwrócił spojrzenie ku młodszemu mężczyźnie. - Będziesz miał okazję do zademonstrowania swojej nowej broni - powiedział. - Rozkazem króla, Adrian Gellert zostaje przyjęty na dwór w randze uczonego doradcy, ze zwykłym uposażeniem i dodatkowymi dochodami z racji stanowiska. W celu konstruowania swojej broni może on korzystać z królewskiego przywileju całkowitej władzy, zakupując ziemię, najmując rzemieślników i żądając od kupców dostaw potrzebnych materiałów... siarki, powiedziałaś? I metali. Może wykorzystywać królewską posiadłość, która zostanie mu przyznana oraz królewskie statki, w granicach rozsądku. Za wszystkie towary i robociznę zapłaci się oczywiście po rynkowych cenach.

Król Wysp był teoretycznie władcą absolutnym. W praktyce zawsze było tylu pretendentów, że monarcha, który rozgniewał zbyt wielu potężnych kupców i właścicieli statków, przekonywał się, iż despotyzm łatwo daje się utemperować za pomocą zabójstwa połączonego z zamachem stanu. Z pewnością nie zamierzał podejmować takiego ryzyka dla niesprawdzonych pomysłów tego Szmaragdowca. Jednak potencjalny zysk byłby z pewnością ogromny.

- Ach... - Adrian wyglądał na niepewnego. - Mój panie królu, te prace będą wymagały znacznych funduszy - powiedział. - Nawet na cele demonstracyjne. Jak...

Casull uśmiechnął się do Enriego i Pyhara Lowissonów. - Wasi patroni - oczywiście także z patriotycznego obowiązku - pożyczą wam fundusze na rozsądny procent. Nie więcej niż piętnaście procent, składanych rocznie.

Dwaj kupcy z Wysp skrzywili się. Był to procent od pożyczki pod zastaw statku, bez premii od ryzyka.

- Jeśli broń mnie zadowoli, nagrodzę cię sownie, a oni otrzymają podwójny procent z królewskiego skarbcza, oczywiście wraz z moimi łaskami.

Uśmiechnął się do Szmaragdowców i dwóch Wyspiarzy. Niewypowiedziane pozostało, że jeśli broń *nie* spełni oczekiwań, to nic nie dostaną, a Lowissonowie będą mogli próbować, ile wlezie, otrzymać zadośćuczynienie od swoich pozostających bez grosza gości.

Casull zaklaskał. - Audiencja dobiegła końca!

\* \* \*

- Na psa! - rzucił najemny oficer. - Czy król przysłał nam ślicznego chłopaczka do

zabawy?

- Król przysłał mnie tutaj, abym dowodził - powiedział Esmond. - Nazwisko i ranga. Najemnik poczerwieniał. - Jestem Donnuld Grayn i to ja tutaj dowodzę, teraz, jak Stenson nie żyje, na psa!

Esmond oparł dłonie o pas z mieczem i zlustrował mężczyznę wzrokiem. Sądząc po akcencie, pochodził on z Liny, miasta od niepamiętnych czasów wrogiego Solindze - nie żeby to teraz miało znaczenie - a sądząc po wyglądzie, bliźnie zachodzącej na bliznę, spędził w tym fachu większość ze swoich trzydziestu kilku lat. A sądząc po jego przekrwionych oczach...

- Czy zwykle jesteś pijany tak wcześnie w ciągu dnia? - spytał Esmond. - Czy jesteś po prostu głupi?

- Achhh! - rzucił zaciętrzewiony mężczyzna, a jego dłoń powędrowała do rękojeści miecza. - Wyrwę ci za to wątrobę i płuca, ty napuszony solingiański łajda...

Pomruk przeszedł w skowyt, gdy kciuk i palec wskazujący Esmonda zacisnęły się na jego nosie i skręciły nim mocno, z kontrolowaną siłą. Tak jak Esmond się tego spodziewał, najemnik zapomniał zupełnie o swojej stali i rzucił się na niego z kościstą pięścią.

Ręka Esmonda odtrąciła ją na bok, a jego prawa pięść wbiła się w brzuch przeciwnika z szaloną precyzją palestry<sup>7</sup>. Gdy mężczyzna zgiął się wpół, solingianin zrobił krok w bok i kantem dłoni wymierzył mu kolejny cios, za uchem. Najemnik padł na ziemię niczym kukielka, której przecięto sznurki. Leżał, oddychając ze świstem, u stop zwycięzcy.

Zwycięzca podniósł wzrok. Przyglądał się temu tłum Szturmowców, wraz z markietankami i dziećmi tłoczącymi się w koszarach. Niektórzy się uśmiechali, inni spoglądali gniewnie, większość wahała się pomiędzy jednym a drugim.

- Ty! - rzucił Esmond. - Nazwisko i ranga, żołnierzu.

Mężczyzna zeszywniał. - Eward, panie. Zamykam szereg, druga kompania.

- Ewardzie, zaprowadź kapitana Grayna do jego kwatery. Musi to odespać. Trębacz - ciągnął dalej - odegraj *stanąć w szeregu*.

Trwało to o wiele za długo i musiał oddelegować paru swoich ludzi, żeby odepchnęli z drogi cywilów. Wreszcie około czterystu mężczyzn stało na ubitej glinie placu manewrowego; z trzech stron otaczały go koszary, a z czwartej mur. Esmond przeszedł wzdłuż szeregów spoconych, skonsternowanych ludzi, zatrzymując się to tu, to tam.



*Nieź le*, pomyślał. Mniej więcej pół na pół, oszczepników i procarzy. Wszyscy mieli płócienne kubraki z powszywanymi pomiędzy warstwy materiału żelaznymi płytkami, krótkie miecze i lekkie, otwarte, miskowate hełmy. Większość z nich wyglądała na będących w niezłej kondycji, a król Casull z pewnością nie traciłby srebra na nieudaczników. Z tego co słyszał, wielu z nich opuściło miasta Szmaragdowców z powodów zdrowotnych lub też za usilną namową swych krewnych. Wojna i Konfederacja pozostawiły na południu wielu złamanych ludzi.

- W porządku - powiedział w końcu, stając przed nimi z lewą ręką spoczywającą na rękojeści broni i płaszczem przerzuconym przez ramię. - Nazywam się Esmond Gellert. Ciche szepty. Zauważył to, lecz nie odczuwał przyjemności, jaką mogło mu to przynieść 7 Palestra - miejsce w starożytnym Rzymie lub Grecji przeznaczone do nauki zapasów i walki. kilka miesięcy temu. Zawsze był dumny ze sławy, jaką zdobył jako zawodnik w Igrzyskach Szmaragdu - po cóż ludzie poddawaliby się rygorom gimnazjonu, jeśli nie dla nieśmiertelnej sławy? Teraz jednak traktował tę sławę jak swój wygląd. Było to coś, co zauważał z chłodną obojętnością i wykorzystywał jako narzędzie. *A niektórzy z nich pewnie słyszeli też o wojnie toczącej się na lądzie.*

- Wiecie, a przynajmniej powinniście, jeśli zauważacie cokolwiek poza wodą, kośćmi do gry i cipkami, iż nadciąga wojna. Pewnie z Konfederatami. - Kolejny cichy pomruk. - Sam z nimi walczyłem, niedawno, tak jak i ci ludzie, którzy są ze mną. - Wskazał ruchem głowy swoich ludzi. - Są twardzi, owszem, ale nie mają dziesięciu stóp wzrostu, a krwawią tak samo na czerwono jak każdy człowiek, jak się go dźgnie. Król chce, aby ta jednostka była gotowa do walki i, na bogów, tak będzie - albo wszyscy zginiemy, starając się o to.

Skinął głową, gdy dał się słyszeć ostatni pomruk. Niepotrzebne było mówienie czegoś więcej. Będą czekali, aby się przekonać, czy mówi na poważnie, czy tylko dla samego gadania.

- Na początku ruszamy na mały marsz ćwiczebny. Za dwadzieścia minut stawić się w gotowości do wymarszu. Rozejść się!

\* \* \*

- Pfuj, ale śmierdzi - stwierdził Enri Lowisson.

- Pomyśl o tym jako o zapachu pieniędzy - powiedział Adrian, śmiejąc się radośnie. Jaskinia znajdowała się w połowie zbocza Gunnung Daberville, głównego

wulkanicznego stożka, który górował ponad portem Kielicha. Za dzunglą i sadem, z wejścia do pieczary widać było samo miasto, mury z bastionami, niemal okrągłą zatopioną kaldere tworzącą zatokę, a dalej całe mile usianej żaglami wody. Jednak jego interesowało to, co znajdowało się w środku, w czeluściach fumaroli<sup>8</sup>, która wiła się w głębiach góry niczym zamrożone jelito.

Znajdujące się trzydzieści stóp w górze sklepienie pieczary nie było zbudowane z tej samej porowatej szaro-zielonej skały, co reszta jaskini. Zamiast tego było brązowe, gruzelkowate... i *poruszało się*, gdy gnieźdzące się tam za dnia świergotniki kręciły się nerwowo podrażnione przez światło i ciepło pochodni niesionych przez grupę. Delikatne skapywanie pozostawiało glutowate białe plamki na podłodze, zwiększając warstwę, która liczyła sobie przynajmniej cztery stopy grubości. Było to źródło zjełczałego, ostrego od amoniaku smrodu, sprawiającego, iż kilku członków grupy oddychało przez własne tuniki.

8 Fumarola - wyziewy wulkaniczne wydobywające się z kraterów i szczelin wulkanicznych, (przypis tłum.)

- To, czego potrzebujemy, saletra, będzie skupione w niższych warstwach - powiedział Adrian, kopiąc twardą, wyschniętą powierzchnię pokrywającego ziemię guano świergotników. - Wykopiemy to, przewieziemy na dół, a potem wypłuczemy saletrę w systemie koryt i tac.

- To będzie kosztowne - ostrzegł Enri.

Obejrzał się za siebie, a Adrian skinął głową. Drogi prowadzącej w dół właściwie nie było. Gdyby dojazd był łatwiejszy, rolnicy przysliby wykopać guano jako nawóz, jak zrobili to w kilku jaskiniach poniżej. Świergotniki wylatywały wielkimi stadami nocą, aby żerować nad morzem na maleńkich fosforyzujących rybkach. Powracały o świcie, aby spać oraz gnieździć się i rozmnażać w porze godowej - obecnie większość samic miała maleńkie potomstwo chwytające się miniaturowymi pazurkami ich futerka na brzuchu.

- Opłaci się. Tutaj jest tego tyle, że starczy na całe pokolenie. - Spojrzał w dół zbocza i nagle pojawiła się na nim siatka rysunków.

»Tutaj« powiedziało Centrum. »I tutaj.«

Adrian drgnął i przyszedł do siebie, zdając sobie sprawę z ciekawskich spojrzeń, jakimi obdarzali go Enri i pozostali ludzie.

- Istnieje sposób, aby uczynić to łatwiejszym - powiedział. - Widzicie, jak ten pofałdowany grzbiet opada do podnóża wzgórz?

- Zbudować drogę? - spytał Enri. Potrząsnął głową. - Nie sądzę, aby było to praktyczne rozwiązanie.

- Nie, zbudujemy kolejkę - powiedział Adrian. Słowa wypadały jedno po drugim, towarzysząc serii pojawiających mu się bezgłośnie przed oczami obrazków; nagle *poją* ł rysunki Centrum. Właściwie to główne założenie... *Dlaczego nie pomyśleliś my o tym wcześniej niej?* - zastanawiał się. *Bę dzie to o wiele łatwiejsze.*

Problem w tym, że znał odpowiedź na to pytanie. „*Myś l nie powinna być zbrukana nę dnymi, godnymi pogardy troskami ludzi, których ż ywoty zostały sprowadzone z drogi cnoty przez przymus pracy*”. Co, w praktyce, oznaczało *każ dego, kto nie był właś cicielem ziemskim mieszkają cym z dala od ź ródła swych dochodów*; nie było to coś, co przyszłoby mu do głowy, zanim Raj i Centrum zagnieździli się w jego głowie, lecz to była jego własna myśl.

- Położymy dwie szyny z twardego drewna, przybite do podkładów - powiedział. - Będą po nich zjeżdżały wózki, na kołach z wieńcem. Gdy będą puste, można je z łatwością wciągać na górę.

Enri skrzywił się. - Och, to będzie *kosztowne*. Tracze, stolarze, metal na gwoździe, wszystkie te sznury...

- Nie, będą z tego zyski - powiedział Adrian. - Po tym, co wydobędziemy, w dalszym ciągu pozostanie szlam dobry na nawóz. Pomyśl, ile można za to dostać w ogrodach położonych dokoła miasta.

Enri rozpromienił się. - A król oczywiście zapłaci... w końcu.

\* \* \*

- Ciekawe! - rzucił kowal.

*Cóż , dzie ki niech bę dą za to Szarookiej Pani!* - pomyślał w duchu Adrian. *Przynajmniej nie słyszę tutaj tak czę sto „ale czegoś takiego nigdy nie robiono za czasów naszych ojców”.*

Kuźnia zajmowała parter domu znajdującego się koło doków. Z tyłu, po drugiej stronie dziedzińca, były kwatery dwóch żon kowala, jego dzieci, dwóch czeladników oraz trzech niewolników. W kuźni mieściło się ogromne, okrągłe, ceglane palenisko sięgające pasa, a za nim znajdowały się miechy i różne kowadła. Frontowe wejście można było zamknąć kratownicą przypominającą nieco spuszczaną kratę, która była teraz podciągnięta. Przy ścianach znajdowały się warsztaty, stojaki na narzędzia, imadła wraz z nakładkami na ich szczęki i jeszcze więcej kowadeł różnych kształtów i rozmiarów. Było piekielnie gorąco -

oprócz skórzanego fartucha i rękawic kował miał na sobie tylko opaskę lędźwiową ze skręconego materiału, a niewolnik poruszający miechami miał na sobie jeszcze mniej. Pachniało rozgrzanym olejem z kadzi do hartowania, płonącymi węglami, rozgrzanym metalem i potem.

- Ciekawe, niech mnie przeklnie Kuternoga, jeśli tak nie jest - powiedział kował. - Ta rurka, której potrzebujesz, ma być długa na sześćdziesiąt cali?

- Sześćdziesiąt cali długości, o grubości cala i jednej czwartej. Myślałem, że możesz okręcić pręt dokoła żelaznego trzpienia, rozgrzany do czerwoności, a potem zgrzać ogniskowo.

- Hmmm.

Kował podszedł do stołu roboczego i przyniósł miecz. Był on niemal wykończony, wymagał nałożenia rękojęści i gardy; zakrzywiona broń z rozszerzającym się sztychem, mająca ponad jard długości, bułat z rodzaju tych noszonych przez królewską gwardię. Adrian zagwizdał z podziwem, przyjrawszy się z bliska metalowi. Miał on falisty wzór na powierzchni klingi, wykonanej ze skręconych razem żelaznych i stalowych prętów, podgrzanych, bitych młotem, składanych w pół i znowu skuwanych... powtarzano to raz po raz, aż metal miał tysiące warstw.

- Popatrz.

Wbił czubek klingi w podłogę, oparł o nią nogę i nacisnął. Pod mokrą, brązową skórą jego masywnych, muskularnych i szerokich barów wystąpiły mięśnie niczym postronki. Klinga zgięła się prawie w pół... a potem odskoczyła z powrotem, drgając ze świstem, gdy ją puścił.

- To dobra stal - powiedział szczerze Adrian. - Twarda i elastyczna.

Kował obrzucił go zakłopotanym spojrzeniem. Jego twarz wyglądała, jakby sama została wykuta z surowego żelaza, za pomocą jednego z młotów kowalskich porozstawianych po dużym pomieszczeniu.

- Nie jesteś zwyczajnym wydelikacowanym Szmaragdowcem dżentelmenem - powiedział. - Nigdy nie spotkałem takiego, który myślał, *jak* coś zostało zrobione.

Adrian się uśmiechnął. - Mam niezwykłych przyjaciół - powiedział. - Czy możesz zrobić to, o co proszę?

- Och, oczywiście. Kuternoga jest mi świadkiem. Chodzi o to, przyjacielu, że będzie to

wymagało *czasu*. Trzeba trzech tygodni na wykonanie dobrej klingi - nie licząc ostrzenia, polerowania i obsadzania; zlecam wykonanie tego. Ja i tak nie nadaję się do delikatnej roboty z mosiądzem i kością słoniową... i tyle samo czasu na te... jak one się nazywają?

- Lufy arkebuzów - podsunął pomocnie Adrian.

- Na jedną z tych rurek. Będzie to też kosztowało tyle samo, co dobra klinga.

- Gdybym zapłacił dodatkowo, żebyś najął więcej pracowników, to czy mógłbyś zrobić więcej?

Potrząsnął stanowczo głową. - Nie, panie. Zasady cechowe. - Widząc minę Adriana, ciągnął dalej: - Ale, panie, ja lubię złoto i srebro jak każdy, a od czasu do czasu lubię zrobić coś nowego. To, co mogę zrobić, to *zlecić* robotę. W bractwie są dziesiątki mistrzów kowalstwa. Niewielu tak dobrych jak ja sam, jeśli mogę tak powiedzieć, ale prawie. Jest też mnóstwo czeladników, których *moglibyś my* podnając, odciągając od ich zwykłych zajęć i którzy robiliby prostsze elementy. Powiedzmy... trzydzieści w trzy tygodnie, a potem tyle samo co tydzień. Pójdzie szybciej, jak do tego przywyknijemy.

Adrian westchnął. - Cóż, jeśli tylko tyle da się zrobić...

»Rzemieślnik nie jest do końca szczery« zwróciło uwagę Centrum. Pojawił się obraz jego twarzy, ze strzałkami pokazującymi zmiany temperatury i rozszerzenie źrenic. »Czynnik kłamliwości wynosi dwadzieścia siedem procent plus minus siedem. Podejrzewam, że jedynie ustala początkowe stanowisko negocjacyjne.«

*Och*, pomyślał Adrian. Był synem kupca, lecz większość swego życia spędził między uczonymi z Gaju. *Co powinienem zrobić ?*

»Cóż, ja też nie byłem handlowcem« odezwał się w myślach rozbawiony głos Raja. »Ale targowałem się sporo z markietankami. Proponuję, abyś powiedział, iż to nie wystarczy, aby ten projekt się opłacał. Będzie krzyczał i zmieni swoje warunki. Potem zwróc uwagę, iż będzie on mógł wraz z przyjaciółmi sprzedawać muszkiety także gdzie indziej...«

\* \* \*

- Co to jest, doniczka? - spytał odlewnik.

- Nie, to jest broń - odparł Adrian, zduszając pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl.

- Którą nakazał mi skonstruować król - dodał.

- Niech żyje wiecznie! - powiedział rzemieślnik, nie odrywając wzroku od modelu, który Adrian wyrzeźbił z miękkiego drewna.

Dłonie Szmaragdowca trzęsły się lekko, gdy go rozciągał. *Niedostatek snu*, pomyślał w duchu, gdy model rozsunał się w połowie.

- To jest - zamilkł, sfrustrowany. *Jak się mówi „przekrój” po wyspiarska?* - pomyślał.

»Chłopcze, nie ma na to określenia. W twoim języku też nie ma na to nazwy« powiedział Raj.

- ...to, jak będzie ona wyglądała po przecięciu przez środek - powiedział Adrian. *Czy aż tak się zmieniłem w przeciągu roku?*

Odegnął niejasne poczucie niepewności, które pojawiło się na moment, leżąc niczym grudka zimnej owsianki z prosa za mostkiem. Szkoła w Gaju nauczała, iż rozsądny człowiek nie wątpił w to, że sam *jest*.

Obrabiacz mosiądzu prowadził rozleglejsze interesy niż którykolwiek z kowali: był kupcem i jednocześnie zarządzał warsztatem. Żelazo było o wiele częściej spotykane niż miedź czy cyna. Natomiast po to, by handlować brązem, trzeba było mieć kontakty z odległymi miejscami. Stąd też magazyn przyłączony do jego domu i dziedziniec z czerwonych płytek oraz fontanna, ten wyspiarski symbol statusu. Jednak turban mężczyzny wykonany był ze zwykłej bawełny, zaś znajdujące się pod nim oczy były ciemne i chytre.

- Przypomina rurkę zamkniętą z jednej strony - powiedział, oglądając model. - Wiesz, ta sztuczka mogłaby okazać się użyteczna przy robieniu początkowych modeli odlewniczych różnego typu... a metal na zewnątrz rurki robi się znacznie grubszy, zbliżając się do zamkniętego końca. Ale co to takiego jest?

- To jest cienka dziura biegnąca z zewnątrz - to zagłębienie - do rurki od strony zamka. Zamkniętego końca - dodał, widząc, jak mężczyzna zmarszczył brwi.

- Hmm. Cóż, w brązie byłoby łatwiej *wywiercić* ją potem. A po co są te małe, wypełnione rurki odchodzące pod kątem prostym od tej głównej?

- Dowiesz się - powiedział Adrian, uśmiechając się lekko.

»Dobrze. Nie chcemy, aby zbyt wiele informacji wydostało się za wcześnie, a zdziwiłbym się, gdyby niektórych z nich nie dało się kupić« powiedział Raj.

*Albo wszystkich*, odparł Adrian.

\* \* \*

- Cóż, robisz pompy z ciasno wpasowanymi tłokami, prawda? - spytał Adrian.

- Oczywiście, czcigodny panie - odpowiedział obrabiacz metalu. - Przez docieranie - to denko tłoka wykonuje ostatni etap wytaczania, pokrywa się go *naxium* - w waszym szmaragdowym nazywa się to szmergiel, jak sądzę. To daje ciasne wpasowanie.

- Cóż, zatem w ten sposób sprawimy, aby ten silnik pracował - rzekł Adrian, zmuszając się do radosnego tonu.

- Tak, ale naprawdę nie sądzę, aby dało się to zrobić za pomocą żelaza - odparł obrabiacz metali. - Żelazo jest zbyt twarde i zbyt trudno je odlewać, czcigodny panie. Na Boga Słońca, mówię prawdę.

Adrian westchnął i ukrył twarz w dłoniach. *Plecy mnie bolą*, pomyślał. Nigdy, przenigdy nie przyzwyczaję się do siedzenia ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach.

- W porządku - powiedział. - Zaczniemy od użycia brązu do wyrobu tłoków. Na początek chcemy dwa: sześć cali średnicy i cztery stopy długości. Ale trzony tłokowe będą musiały zostać wykonane z żelaza - kutego żelaza.

- Hmm-auhm - powiedział Wyspiarz. Nazywał się Marzel, był pulchnym, małym człowieczkiem w turbanie koloru tabaki.

Wyspiarz podniósł model, jaki wykonał Adrian, stając nad maszynką do wyrobu żołnierzyków. Model przedstawiał jeden pionowy cylinder, z trzonem tłokowym wystającym na górze. Trzon łączył się jednym końcem z belką. Belka podparta była na środku obrotowo, a na jej drugim końcu znajdował się drugi trzon, napędzający ramię, które z kolei poruszało kołem łopatkowym.

- Widziałem takie koła wykorzystywane do poruszania kamieni szlifierskich - powiedział Marzel. - To jest to samo, tylko działa odwrotnie, prawda?

*Dzięk ci, Szarooka Pani*, pomyślał Adrian. *Wreszcie ktoś, kto rozumie, o czym mówię!*

- Właśnie! - rzekł na głos. - Para popycha tłok, tłok popycha belkę w górę i w dół, a korba obraca to dookoła, zaś koło - po jednym z każdej strony - popycha statek.

- Hmmm-auhm - zastanawiał się znowu Marzel. - Wiesz, czcigodny panie, można by to wykorzystać również do napędzania kamieni szlifierskich.

*Hekatomba wołów dla ciebie, Pani Mą droś ci*. A na głos powiedział: - Tak, można by.

Pomyśl o tym jak o drewnie na opał, które przeradza się w przedmiot, tak jak człowiek albo velipad przemienia *jedzenie* w energię.

Marzel roześmiał się na głos. - Ach, czcigodny panie, jesteś obdarzony boską mądrością!

- Powrócił do studiowania modelu. - Przekonajmy się zatem, czy to zrozumiałem. Para uchodzi przez te zawory *tutaj*, z każdego końca cylindra. Gdy tłok się porusza, odkrywa te dwa rzędkie otworów *tutaj* na środku cylindra, pozwalając ujść parze.

Adrian skinął głową, a rzemieślnik powrócił do planów, przesuając palcem po liniach na trzcinowym papierze, a potem odnosił to do modelu.

- Czcigodny panie - powiedział wreszcie - podoba mi się to, co zaprojektowałeś. - Wy, Szmaragdowcy, jesteście tacy bystrzy! Tak, podoba mi się pomysł wytwarzania tego. Ale nie jestem pewien, czy *da się* to zrobić w świecie rzeczy realnych. W... jak to mówicie wy, Szmaragdowcy? W świecie czystych form, owszem, to będzie działało tak, jak mówisz. Ale widzisz, to ma tyle zaworów, tyle rurek, tak wiele *spojeń*. Zatrzymanie wody w czymś takim, powiedzmy w fontannach i dziwacznych metalowych bestiach w Ogrodzie Osobliwości w królewskim pałacu, już to jest trudne. Zatrzymanie gorącej pary... czy uda się wykonać dostatecznie precyzyjne łączniki? Nawet przy udziale najlepszych rzemieślników? A te części będą *duż e*.

Adrian pokiwał głową, szanując uczciwość mężczyzny i jego odwagę wyrażania wątpliwości *tutaj* w pałacu, zamiast powiedzenia ulubieńcowi króla tego, co ten chciał usłyszeć.

- Jestem pewien, że jeśli ktokolwiek potrafi to zrobić, to ty, Marzelu Therdzie, jesteś tym kimś - powiedział. - I jestem pewien, że to *da się* zrobić. - Rozłożył ręce i uśmiechnął się. - A jeśli tak nie będzie, to ja odpowiadam za to głową, nie ty.

Marzel podniósł się i wykonał gest będący oznaką szacunku, kłaniając się ze złożonymi dłońmi. - Może... może dobrze by było najpierw wypróbować *model* tego czegoś, tego łopatkowca na gorącą wodę?

- Silnika parowego.

- Zatem tego silnika parowego. Nie model zabawkę, choć był on użyteczny. Model *uż ytkowy*, wystarczający do napędzania małej łodzi, takiej na dziesięciu wioślarzy?

»Prawdopodobieństwo powodzenia projektu parowego tarana wzrosło do sześćdziesięciu jeden procent plus minus siedem« powiedziało Centrum. »Jak zawsze stochastyczna analiza nie może w pełni zrównoważyć zmienności czynnika ludzkiego.«

Adrian się uśmiechnął. Gdyby był to głos ludzki przemawiający głośno, a nie nadprzyrodzona maszyna szepcząca mu w myślach, to przysięgłby, że dało się w nim słyszeć



rozdrażnienie - podobnie jak u jednego z profesorów teorii politycznej w Akademii, gdy mówił o Konfederacji Konstytucyjnej Vanbertu; nie powinna działać, ale *działała*.

- Myślę, że masz rację, Marzelu - powiedział. - Jeśli mógłbyś mi przynieść szacunkowe wyliczenia, za...

- Trzy dni, czcigodny panie.

- Trzy dni, świetnie.

Pożegnali się zwykłymi, wyspiarskimi, kwiecistymi zapewnieniami o wzajemnym szacunku. Tym razem były one szczerze. Gdy Wyspiarz sobie poszedł, Adrian podniósł się i okrążył jeszcze raz model statku znajdujący się na stole. Przedstawiał on jednostkę będącą skrzyżowaniem galery i statku kupieckiego, która była pięć razy dłuższa niż szersza. Jej dziób kończył się taranem ukształtowanym jak przecinak ślusarski, nie było też na niej wiosła ani żagla. Zamiast tego po obu stronach kręciły się dwa wielkie łopatkowe koła, a kadłub pokryty był całkowicie pokładem przypominającym skorupę żółwia. Tę z kolei pokrywały ośmiokątym niczym łuski jakiegoś ogromnego węża, znacząc miejsca, gdzie zostaną ręcznie przybite żelazne płyty. Górny, pochyły pokład był przerwany przez dwa kominy, jeden z lewej i jeden z prawej. Pomiędzy nimi znajdowała się niska, okrągła wieżyczka, z otworami obserwacyjnymi dokoła.

Esmond podniósł się z kąta, gdzie siedział w milczeniu. - Bracie - odezwał się łagodnie. - Czy to naprawdę *zadziała!*

- Nie wiem - powiedział Adrian. - *Myślę*, że tak. Proch się sprawdził...

- Tak. - Esmond zamilkł. - Wiem, że niewiele ci pomagałem... od czasu Vanbertu - powiedział z wahaniem.

Adrian odwrócił się i chwycił go za ramiona. - Och, nie. Tylko ocaliłeś mi życie z pół tuzina razy w czasie odwrotu, wydostałeś nas wszystkich żywych, zdobyłeś dla nas statek, miotałeś się niczym sam Wodep, gdyby miał dość rozumu, żeby słuchać Szarookiej...

- Bracie, martwię się o ciebie - powiedział bez ogródek wyższy z Gellertów. - Nie... znałem cię całe życie. Tak, jesteś tym mądrzejszym z nas, o tak, jesteś uczonym, z którego Gaj może być dumny. Ale wszystkie te, te *rzeczy*, które wymyślasz od czasu, gdy ojciec zmarł...

- Te *rzeczy* są naszą jedyną szansą na zemstę na Konfederacji - powiedział Adrian, miotając się w duchu. *Nie mogę powiedzieć prawdy nawet własnemu bratu, który jest dla*

*mnie nie tylko bratem krwi, ale i serca.* Po pierwsze Esmond byłby po prostu przerażony, że jego brat oszalał. A nawet gdyby *uwierzył*, to czy by *zrozumiał*? Te pojęcia były wystarczająco trudne do przyswojenia dla Adriana, a on miał dwie bezcielesne inteligencje, które przemawiały prosto do niego.

Odrzucał pewne lęki, które od czasu do czasu nachodziły go nocą. *A co, jeśli li rzeczywiście cie oszalałem? A co, jeśli li to są demony, o jakich wspominają starodawne opowieści ci?*

Twarz Esmonda stężała. - Masz rację - powiedział. - Dziękuję *bogom*, że wpadłeś na te pomysły. - Uśmiechnął się. - Wybacz mi moją słabość.

- Wybaczylbym ci o wiele więcej niż troskę o mnie, Esmondzie.

\* \* \*

Okrzyk był głośnym wrzaskiem, niczym trąba bojowa. Adrian Gellert wyskoczył z niskiego, miękkiego łóża, jakby go wyrzucono z procy, nie do końca przytomny. Nagle uświadomił sobie, że stoi boso na zimnym marmurze, mając w dłoni obnażony sztylet, który zawsze trzymał pod poduszką.

*Niczego nie słyszeć*, pomyślał. Niczego poza nocnymi odgłosami Kielicha: owady, ptaki, delikatny szmer fontanny pluskającej na dziedzińcu w dole, obwołującego wartownika, gdy jego zakończona żelazem laska stukała o kamienie nawierzchni.

A potem wrzasnęła kobieta; blisko, na korytarzu. Adrian w przeciągu paru sekund znalazł się za drzwiami swojej sypialni, a jego stopy ślizgały się na gładkich kamieniach posadzki.

Jeden z wartowników Lowissonów znalazł się tam niedługo po nim, mając na sobie tylko pludry, wyglądając głupio z ogoloną głową - nie było czasu na wdzianie turbanu - lecz z zakrzywioną szablą w gotowości w dłoni. Adrian zignorował go i wpadł do pokoju brata.

Drzwi odbiły się od jego ramienia i wyrznęły o framugę, a wzrok Adriana omiótł pomieszczenie. Było ciemne - zgasła nawet nocna lampka przy łóżku. A potem pojawił się jasny zielonkawy blask, gdy Centrum spotęgowało światło padające na jego siatkówki.

Adrianowi zrobiła się gęsia skórka z obrzydzenia, jakie to w nim wywołało, ale teraz nie było czasu na nic innego poza działaniem.

Esmond Gellert siedział wyprostowany na łóżku, a jego muskularna pierś unosiła się i opadała, lśniąc potem. Oczy miał rozwarte i wpatrywał się przed siebie, a w dłoni trzymającej poduszkę tkwił rozerwany materiał. Kobieta, Wyspiarka, kuliła się naga przy przeciwległej

ścianie, szlochając.

- On spał! - zakrzyknęła, spoglądając w ciemnościach ku drzwiom. - Staralam się, przysięgam!

- Idź - rzucił łagodnie Adrian w jej języku, podnosząc się z przysiadu i pozwalając, by sztylet opadł mu wzdłuż nogi. - Idź. To nie twoja wina.

Pomknęła, zbierając po drodze ubranie. Adrian podszedł do łóżka. - Esmondzie - rzucił ostro. - Esmondzie, to ja. Co się stało?

Jego starszy brat otrząsnął się jak pies wychodzący z rzeki. - Sen - wyszeptał cicho. - To musiał być sen. Rany, co za sen...

- Jaki sen, Esmondzie? - spytał ostrożnie Adrian.

- Nanya. Ogień... - Twarz mu się zmieniła, wykrzywając się. - Oni *sploną*.

- Kto splonie?

- Vanbert. Konfederaci. Oni *wszyscy*. Sploną, *sploną*.

- Esmondzie, jest późno. Czy sądzisz, że teraz już zaśniesz?

Esmond znowu się wzdrygnął i coś na kształt człowieczeństwa pojawiło się z powrotem w jego wzroku. - Co... och, wybacz, bracie. Zły sen. Tak, to będzie długi dzień.

\* \* \*

- Inaczej ten człowiek zostanie wbity na pal - powiedział Casull. - Jest przestępcą.

Adrian westchnął. Nie było to coś, na co miał ochotę, ale z drugiej strony... cóż, *on sam*, gdyby dano mu wybór, wolałby być zastrzelony, niż żeby wsadzili mu zaostrowany pal przez odbyt.

Obecny był król Casull oraz jego najstarszy syn Termy - dwudziestoletnia wersja swego ojca, oprócz tego, że chłopak miał miękki zarys szczęki i nadąsaną minę. Była obecna także gromadka wyspiarskich admirałów, kapitanów statków, najemnych oficerów i jakaś dwudziestka zaciekawionych procarzy Szmaragdowców Adriana. Trzej z nich służyli za obsługę arkebuza. Adrian zmrużył oczy w ostrym blasku słońca. Pierwszy cel znajdował się na barce unoszącej się na wodzie w odległości dwudziestu jardów, przywiązany do pala, z ustawioną przed nim tarczą konfederackiej piechoty. Królewska gwardia trzymała tłumy z dala od tej części doków marynarki.

- Te mają dwuosobową załogę - ciągnął dalej Adrian. - Ładuje sieje... w ten sposób.

Skinął na swoich ludzi. Broń była osadzona na trójnogu z obrotowym ramieniem.

Kanonier nacisnął na kolbę i broń się obróciła. Złapał i trzymał za lufę, podczas gdy ładowacz zębami otworzył papierowy nabój i wsadził go wraz z ważącą osiem uncji ołowianą kulą do długiej lufy. A potem obrócił ją znowu, wyciągając rożek zza pasa.

- Widzisz, panie królu, matą panewkę z prawej strony? Tam wędruje drobno zmielony *proch do podsypki*. A potem ten kurek z kawałkiem krzemienia w uchwycie szczękowym opada z powrotem...

- Ach, tak - odezwał się Casull. - Krzesiwo, jakim posługują się podróżni.

- Tak, panie królu. Krzemień uderza o tę część stali w kształcie litery L, odpychając ją znad panewki - iskry spadają na proch - proch się pali, a płomień przedostaje się przez małą dziurkę do lufy i zapala główny ładunek.

Podniósł nieco głos. - Panowie, będzie słyhać głośny trzask, trochę przypominający grom.

Czujne kiwanie głowami, ciemne oczy błyszczące zaciekawieniem. *Wiesz, pomyślał, to Królestwo Wysp wydaje się lepszym miejscem do zapoczątkowania „postępu” niż kontynent. Oni są o wiele mniej... ograniczeni, jakbyś to ty powiedział.*

»Nie« powiedziało Centrum. W jego przesłaniu pobrzmiwało więcej pewności niż zwykle. »Ta kultura jest zbyt intelektualnie bezkształtna.«

Adrian poczuł znajome zakłopotanie i frustrację. Raj się wtrącił: »Pewnie, że przyjmą i będą używać wszystkiego, co wygląda na użyteczne. Ale są czystymi pragmatykami. Twoi filozofowie Szmaragdowcy zapędzili się w pułapkę - są zapatrzeni we własne tyłki i starają się odnaleźć przyczyny w słowach, w języku. Ale oni przynajmniej *myśl* łą o budowie rzeczy. Tak samo Konfederaci, kiedy w ogóle myślą - nauczyli się tego od was. Wyspiarze po prostu nie są tym zainteresowani. Dla nich wszystko to, co pokazałeś, jest tylko cudowną nową sztuczką, którą można dorzucić do worka z łupami.«

»Zgadza się, choć było to luźne sformułowanie« powiedziało Centrum.

*Hmmm*, pomyślał Adrian. Tym razem poczuł w myślach cudowne napięcie przed kulminacją, gdy *niemalż e* pojął tę kwestię; było to niczym seks tuż przed orgazmem, tyle że jeszcze lepsze. *Ale mają sporo tego... jak to się nazywa? Społeczna mobilność ?*

»Zgadza się« powiedziało Centrum. »I to w nadmiernej ilości.«

»Oczywiście, że możesz się tutaj wybić« powiedział Raj. »Ale to nie będzie trwało wiecznie. Wszystko tu zależy od tego, jak upadną kości do gry - łaska władcy, zakończony

powodzeniem piracki najazd. To miejsce jest tak niestabilne jak woda, podczas gdy ład jest z granitu. Z granitu można jednak wyrzeźbić nowy kształt, woda tylko przecieknie ci przez palce.«

Adrian wrócił z powrotem do świata realnego. Ta rozmowa w myślach zajęła tylko kilka sekund, lecz zaczął przyciągać spojrzenia. Większość z nich była tolerancyjnie rozbawiona - uczeni z Gaju mieli solidną reputację tych, którzy zatopieni są w sprawach innego świata.

*Gdyby tylko wiedzieli*, pomyślał w duchu. A na głos powiedział: - Ognia!

Strzelec ostrożnie nacisnął spust. Dął się słyszeć cyk-syk, gdy kurek opadł i spłonka zapaliła się, wypuszczając z boku mały płomyczek i obłoczek brudnawo-białego dymu. A potem nastąpiło *bdannggg*, gdy arkebuz wystrzelił. Chmura dymu z głównego ładunku była na tyle duża, że skryła na sekundę cel przed wzrokiem Adriana. Stojący obok niego Esmond zagwizdał bezgłośnie z ulgi; kula nie chybiła. Brwi Casulla także powędrowały w górę. Wyspiarscy oficjale śmiali się i walili Adriana po plecach. Osiem uncji poruszającego się z dużą prędkością ołowiu wywaliło dziurę wielkości pięści w konfederackiej tarczy, przebijając się przez metalowe pokrycie, sklejkę i twardą skórę, a potem usunęło cały szczyt głowy celu, rozbryzgując różowo-szarą pianę i białawe odłamki kości.

Adrian przełknął ślinę. - Widzisz zatem, panie królu - powiedział. - Wielu takich arkebuzerów mogłoby oczyścić pokłady nieprzyjacielskiego statku, poza skutecznym zasięgiem łuczników.

- Ale nie poza zasięgiem katapult i balist - powiedział Casull. - Mimo to, jest to straszna broń. Te arkebuzy? Tak, arkebuzy - mogą strzelać szybciej od katapult i możemy ich umieścić więcej na statku. Konfederacka piechota morska zawsze stanowiła dla nas problem, niech Bóg Słońca przypiecze im jaja. Jesteśmy lepszymi żeglarzami, ale oni przeważnie wdrapują się na pokład i zajmują statek, który ich staranował.

- Królu, to dopiero początek - powiedział z uśmiechem Adrian. - Dalej będzie o wiele większa wersja arkebuza, przeznaczona do użytku przeciwko statkom i fortecom.

Ciemne brwi króla wyglądały, jakby próbowały wspiąć mu się na czoło. - Pokaż mi! - rozkazał.

- Oto ta broń - powiedział Adrian, dając znak. Przyciągnęło ją pół tuzina ludzi; rura z brązu mająca siedem stóp długości, osadzona na niskim wózku z błyszczącego, twardego drewna. - Nazywam to *armatą*.

Załogi barek w wojskowej zatoce znowu miały zajęcie. Tym razem przyholowali małą i strasznie starą galerę. Miała przechył, a robotnicy z doków zdjęli z niej większość osprzętu. Zakotwiczyli ją przy boi dwieście jardów w głąb zatoki.

Tymczasem ludzie Adriana byli zajęci przy dziale. Adrian komentował to na bieżąco na potrzeby Casulla: - Najpierw, jak widzisz, panie królu, do otworu - lufy - wsadza się płócienną torbę pełną prochu. Następnie wsadza się wojłokową zatyczkę, aby utrzymywała ładunek w miejscu.

Załoga wsadziła torbę na miejsce za pomocą długiego kija, postępując zgodnie przy wpychaniu. - A teraz kanonier wsuwa długą, stalową igłę przez *otwór do zapalania*, żeby przebić torbę i wypełnia otwór i tę małą panewkę na górze działa *prochem* - drobnoziarnistym - *na podsypkę* .

- A oto jest to, co będzie ciskać armata - powiedział. Załoga przerwała na sekundę, aby pozwolić królowi zobaczyć, co robią.

- Kule z brązu? - spytał Casull. - Czy kamień nie byłby równie dobry i o wiele tańszy?

- Będziemy używać kamiennych kul do uderzania w mury fortecy - powiedział Adrian.

Lane żelazo byłoby jeszcze lepsze, lecz jedyne piece mogące je wyrabiać, znajdowały się w Vanbercie i nie było ich wiele. Wszystkie huty żelaza na Wyspach były, jak nazywało je Centrum, *kataloń skimi kuź niami*, wyrabiającymi kute żelazo.

- To jednak jest *pocisk*, panie królu - podkreślił Adrian.

- To znaczy, że jest pusty w środku?

- Mój pan widzi równie przenikliwie co oko Boga Słońca. Jest wypełniony prochem, a to

- wskazał na drewniany korek z boku metalowej kuli, z przechodzącym przez niego sznurkiem - jest *lont*. Jest to kawałek sznurka nasączony saletrą; gdy armata wystrzeli, zapala go główny ładunek. A potem, za dziesięć sekund, sznurek przepala się aż do ładunku w środku.

Gdy rozmawiali, obsługa przymocowała wielokrążek armaty do pacholów cumowych osadzonych w kamieniu doków i wycelowała za pomocą okutych żelazem drewnianych dźwigni, na które działowi napierali z całych sił. Kanonier spojrzał ponad lufą za pomocą prostego celownika ze szczerbinką, a potem odsunął się i poprawił znajdujący się pod zamkiem armaty klin kontrolujący kąt podniesienia lufy.

- Jeśli mój pan sobie tego życzy, może wykonać pierwszy strzał - rzekł Adrian, kłaniając

się. - Jeśli pan król ma ochotę, proszę stanąć mocno z boku - armata poleci gwałtownie do tyłu po wystrzale. I - ciągnął dalej, podnosząc głos na użytek zebranych dygnitarzy - tym razem hałas będzie o *wiele* głośniejszy.

Casull wyszczerzył się w uśmiechu niczym rekin, przytykając kawałek lontu znajdującego się na końcu długiego kija do małej kupki drobnoziarnistego prochu. Ten zapalił się z przeciągłym *sssszzzzzz* i zaraz, w ułamek sekundy później...

BAMMMMM!

Tym razem niektórzy wyspiarscy magnaci cofnęli się przestraszeni, szepcząc przekleństwa albo modlitwy. Działo odskoczyło do tyłu, aż zatrzymały je drgające ze świstem sznury powstrzymujące, wyrzucając chmurę dymu przeszytą ostrzem czerwonego ognia. Zerwał się wiatr, a dym zwiało na bok na czas, by dostrzegli drzazgi i kawałki szkieletu wylatujące z galery-celu. A potem, w trzy sekundy później nastąpił kolejny *trzask*, przytłumiony przez drewno, w którym zagłębił się pocisk. Jedna czwarta burty lekkiej galery eksplodowała na zewnątrz. Gdy dym rozwiał się, oczom zebranych ukazała się przechylona na jedną burtę galera... Statek płonął.

Casull wydał z siebie okrzyk radości i podkasał szatę jedną ręką, pstrykając palcami i podskakując przy początkowych krokach hulaszczego tańca *kodaks*. Widać było, że zanim został królem, był żeglarzem. Jego syn stał, mrugając oczami, z czerwonymi wypiekami na białych policzkach. Piraccy admirałowie i najemni dowódcy przeklinali, spluwali i walili się nawzajem po plecach.

Król przestał pierwszy, obrócił się i potrząsnął pięścią w stronę wschodu. - Zobaczycie, kto teraz pójdzie na dno, wy żrące rzepy wieśniaki! - zakrzyknął.

A potem odwrócił się do Adriana, z błyskiem w oku. - Co jeszcze masz dla mnie, cudotwórco?

Adrian uśmiechnął się cierpko. Problem ze zdobyciem reputacji magika polegał na tym, że trzeba było ją utrzymywać, a gdy spodziewano się po tobie nieomyślności... Esmond przyglądał się pożądliwie płonącej galerze i powoli na jego twarzy pojawiał się wyraźny uśmiech.

- Istnieją dwa inne rodzaje pocisków, jakie może wystrzelić armata, panie królu - powiedział Adrian. - Lite kamienne kule, z ciężkiego bazaltu albo granitu. One zwałą mury fortów, tak jak katapulty, ponieważ jednak uderzają one o wiele mocniej z większej

odległości, robią to szybciej. Drugi typ to *kartacz*. Jest to skórzana torba pełna ołowianych kulek, przypominających pociski z arkebuza, lecz jest ich sto. Wyobraź sobie, jak się rozpryskują, wpadając w zwartą formację ludzi - batalion konfederackiej piechoty albo sekcję żołnierzy piechoty morskiej, mających dokonać abordażu.

Casull kiwnął pożądliwie głową. A sądząc po wyrazie twarzy, Esmond to właśnie sobie wyobrażał.

- Dlaczego nie zrobiłeś ich dla konfederackich wielmożów, gdy dla nich pracowałeś? - spytał monarcha.

- Po pierwsze, panie, nie miałem czasu. Po drugie, oni nie traktowali mnie wystarczająco poważnie, aby dostarczyć mi tego, co potrzebowałem. Do tych armat trzeba dużo brązu, a brąz jest kosztowny - na to jedno ważące dwadzieścia cztery funty działo potrzeba ponad *dwie* tony brązu.

Casull stęknął, jakby uderzono go w brzuch, tracąc nieco ze swej radości. - To *jest* coś, co wymaga przemyślenia - powiedział. - Nie chodzi tylko o pieniądze, ale o sam brąz - nie ma go zbyt wiele, będziemy musieli importować... - Ponownie walnął Adriana w ramię. - Mimo to, zrobiłeś wszystko to, co obiecałeś, i nie tylko. A jest jeszcze jakiś cud, który złoży świat u moich stóp?

»Nagle się zrobił ambitny, co?« zauważył Raj.

Adrian skinął głową - obydwu istotom, z którymi się porozumiewał. - Tak, mój królu. Następna rzecz to drobny przedsmak tego, czym będzie napędzany parą statek pełnych rozmiarów...

Usłyszał dźwięk *czuff... czuff... czuff*. Pojawiła się dwunastowiosłowa łódź, którą kazał przerobić. Pośród wyspiarskich wodzów dały się słyszeć szepty; ludzie ci *rozumieli* morze i statki. Widział, jak gapie pokazują na ster i sterownicę wzdłużną, które zainstalował, rozprawiając nad ich zaletami, a potem dały się słyszeć głośniejsze pomruki, gdy zdali sobie sprawę, że łódź płynie prosto pod wiatr z szybkością siedmiu węzłów, odrzucając spienioną wodę z obu stron dziobu i kół ubijających powierzchnię zatoki z obu burt. Czarny dym bił kłębamii z wysokiego komina przymocowanego za pomocą lin odciągowych z przodu i z tyłu niczym maszt.

- Pomyśl, mój panie, o statku pełnych rozmiarów - powiedział Adrian. - O pokładzie pokrytym drewnianą skorupą i żelaznymi blachami i wzmocnionym żelazem taranem. Nie ma



narażonych na atak wioseł, nie da się dokonać abordażu, nie przejmuje się wiatrem, przyływem ani prądem...

Casull był wojownikiem, który spędził większość swego długiego życia, prowadząc walkę na morzu, bądź przygotowując się do niej.

- Opowiedz mi więcej - powiedział, oddychając ciężko.

## **Rozdział szósty**

- Szkoda, że nie miałeś okazji wypróbować swoich nowych zabawek na morzu - powiedział Esmond.

- To wystarczy - rzekł Adrian.

Archipelag rządził - mniej więcej; a przynajmniej pobierali pieniądze za ochronę; sumy pobierane przez dyrektorów Flakonu były znacznie mniejsze niż te pochodzące z Kielicha: Niewiele tamtejszych wysp miało dość ziemi, aby uprawiać zboża, były nisko położone, a co za tym idzie suche, pokryte lasem i zaroślami, a nie dżunglą. Aby to zrównoważyć, mieli kopalnie, a połowy na płytkich wodach dokoła były doskonałe. Wyspy stanowiły też bardzo wygodną bazę do najazdów na kontynent. Flakon był największą wyspą i jedyną, która mogła stawić mocny opór królewskim siłom.

- Widzę teraz czemu - powiedział Adrian, opierając się dłonią o maszt transportowca, w miejscu, gdzie ten przechodził przez grotmarsel. Przebywał na morzu już na tyle długo, że kołysał się naturalnie do wtóru bujania się statku, spotęgowanego przez maszt o wysokości sześćdziesięciu stóp. Obydwaj przywykli też już do smrodu z zęzy i ciasnoty oraz niemiłosiernego gorąca od odbijającego się od wody słońca, które opaliło ich obydwu tak, że byli o parę tonów ciemniejsi.

- Jest to twardy orzech do zgryzienia - powiedział do brata.

Esmond zamruczał potakująco. - Zatoka w kształcie litery U - wyszeptał, częściowo do siebie. - Wszędzie dookoła stromy, skalisty teren. Cholernie trudno wprowadzić tam ludzi, nie mówiąc już o murach na szczycie. Popatrzmy... portowy mur odchodzący od doków wygląda, jakby pierwotnie był rzędem kamiennych magazynów. Ulice - czynszówki, rezydencje i co tam jeszcze, fatalnie - a potem sama cytadela na tym niskim wzniesieniu.

Esmond przyglądał się z uwagą, mrużąc oczy, a potem popatrzył na mapę, którą dostarczyli szpiedzy króla Casulla. - Zaraz, to jest ciekawe - powiedział.

- Co takiego?

- Ta mapa pokazuje zrujnowaną wieżę na tyłach muru cytadeli - nie obsadzoną. Co za niedbalstwo.

Adrian zajrzał przez pokryte zbroją ramię brata. - To pozwala na panowanie nad murami cytadeli? - spytał.

- Na to wygląda. Znajduje się tysiąc jardów od tylnych murów cytadeli, powiedzmy, jakąś jedną czwartą mili od wewnętrznej strony umocnień zwróconych w stronę zatoki - powiedział. - Hmm. Oczywiście znajduje się poza zasięgiem łuczników i procarzy, a nie da się tutaj ustawić odpowiedniej liczby machin oblężniczych.

Podniósł wzrok i przez chwilę jego uśmiech sprawiał, iż wyglądał znowu młodo - był tym młodzieńcem, który stawał, aby ukoronowano go na igrzyskach. - Ale oni nie wiedzą o twoich zabawkach, prawda?

»Z tego twojego brata jest bystry chłopak« powiedział Raj. »Ma dobre oko do terenu. To szalenie istotne. Nikt nie toczy walk na blacie stołu, a wzniesienie o wysokości sześciu stóp może mieć decydujące znaczenie.«

- Nie, nie wiedzą - powiedział Adrian, odpowiadając uśmiechem. *Och, niech to szlag*, pomyślał w duchu.

\* \* \*

Król Casull podniósł wzrok na płonącą fortecę przy wyjściu z zewnętrznej zatoki

Flakonu. Był to niski, masywny, bryłowaty budynek osadzony sprytnie na skalistych turniach i stromiznach z osuwającymi się kamieniami, usytuowany tak, żeby spuszczać deszcz strzał oraz płonącą oliwę i naftę na siły próbujące wdrapać się ku bramie po zboczach usianych kamykami i głazami. To jednak wcale nie pomogło, gdy pociski z moździerza Adriana Gellerta wylądowały za blankami. Uniosła się gruba kolumna tłustego, czarnego dymu, przepełniona wonią rzeczy, które nie powinny się palić. Zapach, który był mu mocno znajomy, na który składały się stare drewno, farba, skóra, płótno, wino, olej do gotowania i ludzkie ciała.

- Jak radzisz poprowadzić natarcie na miasto i cytadelę, generale Gellercie? - spytał Casull.

- Jeśli król będzie tak łaskawy - powiedział Esmond - to teraz pošlemy *kanonierki*.

Czekały one za królewską galerą, utrzymując pozycje leniwymi uderzeniami wiosel.

Dziesięć wiosel z każdej burty, dwóch ludzi przy każdym. Jedna armata strzelała ku przodowi

ponad dziobem. Długa, pochylona, drewniana prowadnica sięgała ku tyłowi, niemal aż do śródokręcia. Pozwalało to broni wrócić na miejsce po wystrzale i zostać przymocowaną w środku ciężkości, gdy kanonierka znajdowała się na morzu. Załoga zamachała z szacunkiem, zobaczywszy, że padł na nich królewski wzrok.

- A zaraz za nimi pošemy transportowce z żołnierzami. Armata będzie strzelała litymi pociskami, aż rozwali bramę albo zrobi odpowiednią wyrwę w murze.

Casull skinął głową. Często lepiej było rozwalić mur, jeśli się dało - gruz stanowił naturalną rampę dla szturmujących żołnierzy, a brama miała zwykle jakieś paskudne nieregularne podesty i nieprzyjemne niespodzianki czekające na oddział szturmowy.

- To otworzy przed nami miasto - powiedział Esmond. - A te działa są duże - zaciągniecie ich na wewnętrzny kraniec cytadeli dyrektorów będzie trudne. Większość znajduje się w zasięgu strzału z łuku z murów, a całość znajduje się w zasięgu kuszników.

Skinął głową w stronę Flakonu. Dwie wysokie półkoliste wieże zwrócone w stronę miasta wznosiły się znad skrajów cytadeli. Ona sama tworzyła łuk; cały wewnętrzny kompleks, gdzie rezydował władca, miał kształt nieregularnego klina, a pałac i wieża zajmowały zewnętrzny, wąski kraniec.

- Cóż, królu mój - powiedział Esmond. - Razem z bratem wymyśliliśmy coś, co może skutecznie odwrócić uwagę ludzi na blankach.

\* \* \*

- Proszę bardzo, panie - powiedział kapitan transportowca. Adrian skinął głową, przyjmując wyraz twarzy podobny do tego, jakim posługiwał się Esmond. *Stanowczy, pewny siebie, panują cy nad sytuacją , ale nie nieprzyjazny ani z dystansem*, nakazał sobie. Ludzie schodzili na brzeg po kolei. Niewielka, półkolista plaża była zbyt mała, aby przyjąć statek albo więcej niż kilkudziesięciu ludzi na raz. *Trzystu ludzi* nie wydawało się być dużą liczbą, dopóki nie zobaczyło się ich razem tak jak teraz. Najpierw na brzeg zeszła setka morskich szturmowców: oddział wypadowy Esmonda - lekka piechota z mieczami, tarczami i oszczepami. Dwustu arkebuzerów i procarzy ciskających granaty schodziło za nimi wolniej. Obciążeni byli ciężką bronią i amunicją. Adrian usłyszał łoskot i grad przekleństw dobiegające z sieci przerzuconej przez burtę statku, po której ludzie schodzili do łodzi. *Długie, niewygodne i cięż kie*, zanotował w myśli. Za małą zatoczką wznosiły się kamienne wzgórza pokryte kolczastymi zaroślami... a za

nimi zrujnowana wieża, skąd Adrian miał za zadanie „zabawiać” nieprzyjaciela, żeby ten nie przeszkadzał w głównym szturmie. Adrian potrząsnął dłonią kapitana, poprawił sobie worek z granatami i przeskoczył przez burtę.

- Stopy tutaj, panie - rzucił radośnie jeden z procarzy-Szmaragdowców.

\* \* \*

- Co to za *odgłos*?

- Dziewięćdziesiąt *dziwięć*, *sto* - powiedziała Helga Demansk, kończąc serię pompek.

- Och, przestań już, Helga, i chodź zobacz - powiedziała Keffrine.

Kobieta, która była kiedyś rozpieszczoną córką sędziego Konfederacji, zdjęła nogi z oparcia krzesła i poczłapała ku wysokiemu, zakratowanemu oknu. Gdy stała na palcach, widziała dachy Flakonu, w dole, pod cytadelą. Gdy podskakiwała i chwyciła za kraty, mogła widzieć znacznie więcej. I tak właśnie zrobiła, skacząc niemalże tyle, ile miała wzrostu i utrzymując się z łatwością. Strząsnęła kasztanowe włosy z oczu i wyjrzała, mrużąc powieki w jasnym świetle poranka, odbijającym się od morza i dachówek.

- Och, jesteś *taka silna* - powiedziała Keffrine, trzepocząc rzęsami. - Czy jednak nie sądzisz, że po tych wszystkich ćwiczeniach ktoś powinien zrobić ci masaż pleców?

- Daruj sobie, Keffie - odparła Helga, wykrzywając usta z rozbawieniem i rozdrażnieniem jednocześnie. - Jeszcze nie jestem tak zdesperowana.

- Poczekam - uśmiechnęła się młodsza dziewczyna. - Nigdzie się nie wybieramy.

Na to Helga o mało co się nie wzdrygnęła. Nawet gdy umierał dyrektor, nikt z haremu nigdzie nie odchodził, poza przejściem na emeryturę... co oznaczało, iż zostaną zamknięte razem, aż ostatnia z nich umrze ze starości i nigdy nie zobaczą prawdziwego mężczyzny aż do śmierci - nawet tak obrzydliwej ropuchy jak dyrektor. Zmusiła się do myślenia o teraźniejszości, ze wstrętem myśląc o rozciągających się przed nią zmarnowanych latach. Mogło być gorzej. Jeszcze parę pokoleń temu harem wyspiarskiego magnata towarzyszył mu aż do grobowca, z kubkiem cykuty, jeśli dopisało im szczęście.

*Ciekawe, co to za hałas?* - pomyślała Helga. *Wszechmocny ojciec niebios, mam już dosyć czekania.*

Nie sądziła, iż bycie niewolnicą sprzedaną do haremu pirackiego przywódcy może być nużące - spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego. Dyrektor Flakonu był starym, grubym, strapionym i przepracowanym przywódcą piratów, choć miał pięćdziesiąt konkubin, jak

wymagał tego zwyczaj i prestiż. Po brutalności pirackiej załogi - jak w legendach - i podróży tutaj, uważała to za wybawienie... przez pierwsze cztery miesiące w tym wypełnionym aksamitnymi poduszkami i wonią lawendy więzieniu, gdzie nic, zupełnie nic się nie działo. Był basen długości jakichś sześciu kroków, gdzie mogła popływać, było kilka zestawów do gry w szachy i talie kart, nie było żadnych książek - wyspiarskiemu wodzowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że kobieta chciałaby sobie *poczytać*. Po całym roku, jedynie trzymanie się reżimu ćwiczeń i udawanie, że zamierza uciec, sprawiało, że nie zwariowała i powstrzymywało od uduszenia kogoś, kto po raz siedemsetny powtarzał tę samą bezmyślną plotkę, wydawał z siebie ten sam piskliwy chichot po usłyszeniu tych samych głupich żartów, uprawiał to samo niedorzeczne flirtowanie z cielecym wzrokiem, to samo...

Wezwanie do apartamentów dyrektora przynajmniej oznaczało, że *wychodziła* wieczorem, mimo iż pod strażą. Zwykle ta stara kupa smalcu i tak nic nie mogła zrobić. - Dym znad zatoki - powiedziała w zadumie Helga. - I chyba słyszę... tak, to bęben alarmowy.

Pod oknem ledwo było widać kawałek ogrodu i mur. Przebiegało przez niego tuzin mężczyzn; łucznicy, w kolczugach z brązowych łusek i spiczastych hełmach, prowadzeni przez oficera z dobytą szablą.

Konfederacka kobieta puściła kratę i opadła na podłogę, a jej wargi ułożyły się, jakby miała zagwizdać.

- Sądzę, że to wojna - powiedziała. - Czy nie krążyła pogłoska, że dyrektor ma kłopoty z królem w Kielichu?

Keffrine pokiwała potakująco głową, a jasne, przycięte włosy zakołysały się nad uszami, wydzielając mocną woń werbeny. Helga zmarszczyła lekko nos. Wciąż nie podobał jej się sposób, w jaki wyspiarskie kobiety zlewały się perfumami. To i pacykowanie się kosmetykami stanowiło tutaj główne zajęcia, wraz z intrygami i romansami. Nie można się było nawet wystroić, jako że tradycja wymagała, aby mieszkanki haremu nosiły cieniutkie spodnie i błyszczące staniki.

- Czy to nie ekscytujące? - zapiszczała Keffrine.

Helga westchnęła. *Cóż, moż na się było tego spodziewać*.

Keffrine była prezentem od wicedyrektora Deneuve i urodziła się w *jego* haremie. To otoczenie było wszystkim, co znała. *A ja myślę, że prowadzę życie w domowym zaciszu.*

- Może się zrobić jeszcze bardziej ekscytująco, czy ci się to podoba, czy nie - powiedziała Helga. - Chodź, lepiej porozmawiajmy z najstarszą siostrą.

Stara nietoperzyca była wiedźmą pierwszej wody, ale przebywała tutaj, od kiedy dyrektor miał szesnaście lat, a on *mówił* jej różne rzeczy. Jeśli ktokolwiek wiedział...

- Tak, chodźmy! - Keffrine chwyciła Helgę za rękę i pociągnęła korytarzem, mijając łuki i mozaiki, podążając do głównego, okrągłego pomieszczenia, gdzie jakiś tuzin innych kobiet wylegiwał się na otomanach, pogryzał przysmaki lub też pluskał się leniwie w basenie wokół rzeźby młodzieńca, któremu z trzymanej muszli wytryskiwała ciepła, wonna woda. Światło z góry przenikało przez kasetonową, kamienną kopułę.

Helga poczuła, jak szybciej bije jej serce. *Moż e być im nie w smak to, jak bardzo stanie się to ekscytują ce*, pomyślała. *Ale każ da zmiana to szansa. Jestem tu o wiele, wiele za długo.*

Keffrine, na przykład, zaczęła wyglądać kusząco.

*O wiele, wiele za długo.*

\* \* \*

- Och, co za przepiękna, przepiękna pozycja - wysapał Simun.

Adrian skinął głową, sam zdyszany, mimo iż był o dwadzieścia lat młodszy i mniej objuczony. To, że wieża była w ruinie, oznaczało, iż zapadły się niektóre wewnętrzne piętra, gdy ogień albo gnicie zniszczyło belki. Jednak centralne schody były z kamienia, wciąż jeszcze w niezłym stanie. Tak jak i najwyższe piętro, gdzie blanki nadal sięgały pasa. Da to osłonę arkebuzerom i wspaniałe oparcie dla ich broni; ustawiali się teraz, przekomarzając się przyjacielsko o najlepszą pozycję do strzelania. Piechota morskich szturmowców zajęła teren wokół podstawy wieży, wtapiając się w pokryte karłowatą roślinnością zbocza. W powietrzu wyczuwało się lekką woń siarki z czarnego prochu granatów i pudeł z ładunkami oraz ostry zapach dzikich, zgniecionych ziół. Było teraz ciepło i owady brzęczały wśród kwiatów; latacze śmigały, próbując je pochwycić.

Flakon zaś leżał przed nimi niczym plastyczna mapa. Adrian widział, jak ludzie wpadali i wypadali pospiesznie z dwóch pozostałych wież, które zakotwiczały mur cytadeli zwrócony w stronę zatoki; inni zbierali się na samym murze, widać też było ruch w położonych dalej wąskich, krętych uliczkach. W górze niebo było rozpaloną bielą i błękitem. Dostrzegał nawet sztandary powiewające na kanonierkach w zatoce i pianę, gdy odmierzane uderzenia stonogi ich wioseł burzyły wodę. Gdy się tak przyglądał, obłoczek dymu wydobył się z jednostki na

przedzie. Niedługo potem do jego uszu dobiegło głucho, głębokie *lubudub*, przypominające zatraskujące się w oddali ogromne drzwi. Nieco głośniejsza eksplozja dobiegła z okrętu ustawionego wzdłuż doków, przed murem od strony morza. Zatem początkowo strzelali pociskami. Dym i odłamki wzbily się ponad umocnieniami wokół zatoki, a smukła galera zaczęła płonąć i tonąć w miejscu zacumowania, z przetrąconym kręgosłupem. Nie opadnie głęboko, mając tylko sześć stóp wody pod stępką, ale dzięki temu pożar zostanie w większości ugaszony.

Kiedy uderzyła czwarta salwa, zaroilo się od maleńkich mróweczek, gdy pozostałe załogi umykały na brzeg, ku furtom wypadowym obok głównej bramy.

- Ach, już ich wykurzyliśmy z fortów w zewnętrznej zatoce, ponie - zaśmiał się Simun. - Ach, takom walkę to lubiem, ponie - ciągnął dalej najemnik w średnim wieku. - Żadnego ryzyka, żadnej paskudnej walki wręcz.

Adrian uśmiechnął się w odpowiedzi. *Dziwne*, pomyślał. Miał tak niewiele wspólnego z tym człowiekiem, jak było to możliwe przy dwóch istotach tego samego gatunku, płci i narodowości, lecz na swój sposób stali się dobrymi przyjaciółmi...

»To wynika ze wspólnego ryzykowania życia, synu« pomyślał z rozbawieniem Raj.

»Niestety, jest to jeden z powodów, dla których wojna jest możliwa.«

- To swego rodzaju komentarz na temat ludzkości - wymruczał Adrian.

- Co takiego, ponie?

- Tylko żałowałem, że nie jesteś piękną kobietą, podoficerze - rzucił szybko Adrian.

Simun się zaśmiał. - Cóż, wtedy byłbym tu nie na miejscu, nie, ponie? Wszystko ma swoje miejsce, tak, tak. - Spojrzał na minarety, kopuły i ogrody cytadeli-pałacu znajdujące się przed nimi. - Choć mówią, że dziewczyny z haremu smakowicie pachną, ano. Hej, ponie, nie powinieneś tego robić!

Adrian zignorował rękę, która pochwyciła go z tyłu za pas z bronią, gdy on sam wychylał się przez kruszący się, poszarpany zewnętrzny mur wieży. - Simun! - rzucił ostro Adrian. - Czy widzisz tę linię tam na ziemi, prowadzącą od wieży do murów cytadeli?

Podoficer z szacunkiem, lecz stanowczo wciągnął go z powrotem i sam wyjrzał. -

Hmmm, teraz jak mi żeś, ponie, pokazał, to tak. Może to stary mur? Ale trudno powiedzieć, po co miałby tu być - tylko jeden. To nie wygląda na mur idący wzdłuż drogi, co miałoby sens...

Adrian wyciągnął szyję. Linia biegnąca przez karłowate zarośla była nieregularna, tylko ślad pośród roślinności, brak niskich, kolczastych, karłowatych drzewek w środku i bardziej gęsta ich linia po obu stronach.

Zamarł, gdy lodowata obecność Centrum przepełniła mu oczy. Na chwilę świat stał się labiryntem linii, punkcików i przesuwających się kropek - mignięcie czegoś zbyt rozległego i obcego, by zdołał to pojąć. A potem przeszło w schemat - wyraźne białe kreski rysujące ścieżkę po zboczu, a obok przekrojowy diagram ukazujący tunel o łukowatym, kamiennym sklepieniu.

»Osłonięte przejście, umieszczone w dole, aby utrudnić wykrycie.« W głosie inteligentnej maszyny pobrzmiewała nieludzka pewność... jednak zawsze tak było, nawet wtedy, gdy przyznawała się do rzadko popełnianego błędu. »Ponieważ przestano regularnie korzystać z tej wieży, pierwotna, górna warstwa ziemi pokrywająca strop uległa częściowej erozji.«

- Tak, na Szarooką Panią! - stwierdził Adrian.

Simun wpatrywał się w niego jednocześnie z zaniepokojeniem i nadzieją - Szarooka była także boginią wojny, a konkretnie forteli i spisków, w przeciwieństwie do prostolinijnej przemocy Wodepa. Adrian wiedział, iż najemnicy-Szmaragdowcy, których ze sobą sprowadził, uważali, iż stale się z nią kontaktował, a nowi żołnierze Esmonda szybko poddawali się temu przesądowi.

- To jest tunel, osłonięta droga do cytadeli - powiedział Adrian.

- Ho, *ho!* - rzucił Simun. - Kto pierwszy, ten lepszy... ale nie, ponie, nawet Wyspiarze nie zostawiliby tego otwartym - i to jeszcze jak to miejsce nie jest obsadzone garnizonem, co to, to nie.

- Sprawdzimy - powiedział Adrian. - Nie zaszkodzi.

Simun skinął głową. - *Tak, wiem, że Esmond wyznaczył cię na mojego psa stróża*, pomyślał bez urazy Adrian - w końcu był *młodszym* bratem i to nie wyszkolonym do wojaczki. Z drugiej jednak strony ciekawość była charakterystyczną cechą Szmaragdowców; i nawet tacy zawodowcy jak Simun mieli jej w sobie sporo, jeśli w grę wchodziło ich rzemiosło.

- Ano dobrze, ponie, ale idziem razem, ja z oddziałem.

- Proszę bardzo.



- Miasto Flakon jest atakowane - powiedziała spokojnie najstarsza siostra.

Chór pisków i chichotów zamarł, przechodząc w niepewne szepty, gdy wystąpiła do przodu postać znajdująca się koło przywódczyni haremu - był to prawdziwy mężczyzna, jeden z niewielu, jakich Helga widziała, odkąd przestąpiła te progi. Żołnierz, należący do osobistej gwardii dyrektora, jeden z żołnierzy niewolników zakupionych w dzieciństwie i wychowanych w pałacu; odziany od stóp do głów w czarną, lakierowaną płytową zbroję, z rozszerzającym się nosalem hełmu skrywającym jego twarz. Mężczyzna oparł sztych ogromnego, zakrzywionego miecza o dywan i złożył dłonie na jego rękojeści.

- Nie martwcie się! - powiedziała ta tęga, odziana w szatę kobieta w średnim wieku. - Będziemy towarzyszyć naszemu panu we wszystkim.

Helga stała daleko z tyłu, pośród młodszych i bezdziejnych członkiń haremu - nawet w takiej chwili znalazła moment, aby podziękować Bogini Matce za tę łaskę. Choć krążyła plotka, że wszystkie niedawne ciążę były wynikiem tego, że dyrektor pod osłoną ciemności przysyłał swojego młodszego brata...

Helga, stojąca ramię w ramię z Keffrine, poczuła, jak druga dziewczyna zaczęła się nagle trząść. Konfederatka stwierdziła, iż nie musi wysłuchiwać reszty przemowy najstarszej siostry.

- O co chodzi? - wyszeptała jej ostro do ucha, a potem uszczypnęła w ramię, aby wytrącić ją z transu. - Keffrine, o co chodzi?

- Onn... onnii...

- *Keffrine!*

Kilka innych kobiet obrzuciło ją wzrokiem pełnym dezaprobaty, gdy podniosła nieco głos. Wydawało się, że to sprawiło, iż Keffrine doszła nieco do siebie. Opuściła wzrok i wyszeptała:

- Oni myślą że mo... mo... możemy *przegrać* - powiedziała.

- I co z tego?

- To, co najstarsza siostra powiedziała o towarzyszeniu swemu panu.

- Co, na wygnaniu? Okup...

Prostoduszne błękitne oczy zwróciły się ku niej, a łzy potoczyły się po ślicznych policzkach.

- Nie. Honor dyrektora nie pozwala na to, aby inni mężczyźni dotykali jego kobiet.

Poderżną nam g... g...

Po cichu, rozpaczliwie, Keffrine zaczęła szlochać, i nie była w tym odosobniona.

*Poderżną nam gardła*, uświadomiła sobie Helga Demansk.

Tak kończyło się to zdanie. I wszystko inne.

\* \* \*

Blokada na końcu tunelu nabrała matowej, zielonkawo-srebrzystej barwy, jaka pojawiała się przed oczami Adriana, gdy Centrum potęgowało dostępne światło. Wiązało się to jakoś z ekstrapolowaniem na podstawie częściowych danych... Mężczyzna otrząsnął się z poczucia dziwności, które sprawiało, że tężał mu kark, i postukał w beton i gruz ręką sztyletu, przykładając ucho, aby posłuchać. Tylko głuchy stukot doleciał do ucha przyciśniętego do porowatej, szorstkiej powierzchni, lecz Centrum przemawiało z ogromną pewnością: »Blokujący segment ma grubość od pięciu do ośmiu i pół stopy. Za nim tunel znowu ma takie same wymiary.«

W głowie pojawił mu się obraz; osłonięte przejście po drugiej stronie bloku, pełne grubych pajęczyn i kurzu, a za nim drewniane drzwi.

*Skąd to wiesz?* - spytał.

»Echolokacja« odpowiedziało Centrum. »Twoje słuchowe receptory odbierają wiele informacji, których nie jesteś świadom. Obliczając czas i kąt przechodzenia dźwięku przez lity materiał i poza nim, mogę wywnioskować kształty i związki przestrzenne pomiędzy przedmiotami.«

*Och.* Jak większość wyjaśnień Centrum, stawiało ono więcej pytań, niż dawało odpowiedzi - dźwięk mógł się odbijać? *W każ dym razie...*

»Jedna dziesięciofuntowa beczka prochu umieszczona u podstawy usunie przeszkodę« powiedziało Centrum. »Prawdopodobieństwo zawalenia się stropu tunelu wynosi dwadzieścia siedem procent plus minus siedem.«

- Nie zaszkodzi - zastanawiał się na głos Adrian.

»Jesteś pewien, że tego chcesz, chłopcze?« spytał Raj. »To właściwie nie jest twoja dziedzina.«

Adrian skinął głową. *Tam, pod murami, jest mój brat*, odparł stanowczo Adrian, przełykając ślinę w wysuszonych ustach, mocno świadom zapachu mokrego kamienia i

własnego potu.

- Simun - powiedział. - Niech przyjdzie tu ktoś z kilofem - dwóch ludzi z kilofami i jeden z łomem. I beczką prochu oraz - skonsultował się ze swoimi niewidzialnymi przyjaciółmi - dziesięcioma stopami lontu. *Natychmiast!*

\* \* \*

Odległy łomot przybliżył się teraz, stał się głośniejszy; bardzo przypominał grom. W tle Helga Demansk wychwyciła coś o wiele mniej osobliwego niż grom z jasnego, błękitnego nieba - powarkujące głosy, ostry dźwięk bitewny metalu uderzającego o metal, z głuchym echem kling walących w tarcze. Konkubiny klęczały w milczeniu w rzędach, zgodnie ze starszeństwem. Weszło jeszcze kilku odzianych w czarne zbroje gwardzistów dyrektora. Jeden z nich miał pobladłą twarz i obandażowane przedramię, inny kulał. Światło słoneczne wśliznęło się w nakrapiany cień panujący pod kopułą, woda pluskała w basenie, wszystkie bardzo swojskie obrazy, powleczone teraz niemal nadprzyrodzoną warstewką przerażenia. Wszedł kolejny mężczyzna, a metalowe podbicia jego wojskowych butów odbijały się głośnym echem na kafelkach i marmurze, cichsze, gdy przechodził po kolorowych dywanach. Spojrzał na dowódcę gwardzistów stojącego nad najstarszą siostrą, przełknął ślinę i skinął gwałtownie głową.

- Nadszedł czas! - rzucił ostro dowódca.

- Nadszedł czas - powiedziała spokojnie stara kobieta. - Pójdę pierwsza, aby pokazać moim siostram, iż nie ma się czego lękać.

Podniosła głowę. Żołnierz wyprostował się i uniósł klingę. Światło słoneczne odbiło się od świecącego jasno ostrza, gdy zamierzył się starannie i zamachnął, stękając z wysiłku. Dało się słyszeć mokre chrupnięcie. Krew bryznęła na pozlacane mozaiki na ścianie, na młode wełnobestie brykające po wiosennej łące. Keffrine wrzasnęła.

- Czas się stąd zabierać - wymruczała Helga i zaczerpnęła ustami, głęboki oddech.

\* \* \*

- W porządku - powiedział Adrian do zmartwionego arkebuzera. - Zostawiam ci dwudziestu najlepszych strzelców, a każdy będzie miał pod ręką załadowaną broń. Powinni być w stanie dawać przyzwoity ogień przez jakieś pół godziny, a tyle tylko będzie nam potrzebne.

Mężczyzna skinął głową, zasalutował i wbiegł z powrotem na górę po schodach. Adrian

spojrzał na pozostałych mężczyzn znajdujących się koło niego: Simun, Tohmus, dowódca oddziału morskich szturmowców, wraz z resztą jego strzelców, trzymających teraz kordy i małe, okrągłe tarcze.

- Słuchajcie! - powiedział Adrian. - Bądźcie przygotowani na bardzo głośny...

ŁUBUDUP.

Dym i gruz buchnął z wejścia prowadzącego z tunelu do piwnic pod wieżą, przysłaniając jej mrok i oprószając ich wszystkich żwirem i odłamkami skały.

Adrian znowu się odezwał, głosem, który w jego własnych uszach brzmiał cicho po ogromnym huku eksplozji w ograniczonej przestrzeni tunelu. - Simun, Tohmus, nie tłoczyć się. Pójdę pierwszy.

Ruszył przed siebie, pokaszując, machając na próżno ręką. Od strony morza wiała silna bryza, od strony zablokowanego - uprzednio - przejścia, pachnąca olejkiem z paczuli i kwiatami w tle siarczanego smrodu prochu. Blokada leżała rozrzucona na sto jardów do tyłu od miejsca, w którym zamykała tunel, w postaci kłujących w palce stóp odłamków, których fragmenty odbiły się od załomów ścian. Za nią znajdowała się komora, którą ukazała dziwaczna echolokacja Centrum, lecz drzwi zwisały w drzazgach na poskręcanych zawiasach. Przed nimi znajdował się długi, biegnący w dół korytarz, a potem klatka schodowa, do której z góry przenikało światło słoneczne.

A po obu stronach stały beczki. Jedna była rozwalona. Owocowa woń wina wypełniała ograniczoną przestrzeń. Ponad baryłkami wisiały szynki w siatkach, wiązki ziół, worki z owocami...

- Na *cipkę* Gellerix - wyszeptał znajdujący się obok Simun. - Anrew, Mattas, wybierzcie sześciu ludzi, na których można polegać i *pilnujcie* tego, słyszycie? - Zwrócił się do Adriana:

- Wybacz, ponie, nie chcemy kusić chłopaków za bardzo. I, ponie? Dobrze by było teraz dobyć miecza.

Adrian tak zrobił, ściskając w lewej ręce małą, okrągłą tarczę obramowaną mosiądzem. Rozejrzał się dokoła. - Magazyny...

Centrum podświetliło jeden z bocznych korytarzy, odchodzących z wielkiej, łukowato sklepionej piwnicy. Znajdowały się tam okute żelazem drzwi osadzone w murze, z masywnym zamkiem - było to kosztowne i rzadko spotykane rozwiązanie.

- Simun, tu też postaw strażę. Myślę, że warto będzie się temu przyjrzeć. - Teraz ruszamy

prosto na górę - powiedział, wskazując na schody.

\* \* \*

Keffrine wciąż szlochała, z zaciśniętymi powiekami i wypływającymi spod nich łzami;

Helga czekała...

... aż z tuzin kobiet rzuciło się do ucieczki, gdy żołnierze podeszli do przedniego szeregu.

*Najstarsza pewnie wiedziała, że tak zrobią*, przemknęła jej przez głowę myśl. Pewnie dlatego pierwsza się poddała, aby oszczędzić sobie widoku tej hańby. Zebranie przeszło w chaos uciekających kobiet i znękanych, lecz zdeterminowanych gwardzistów. Błysnęły klingi, nie wykonujące już w porządku zaplanowanych egzekucji - mężczyźni wymierzali w szale ciosy przebiegającym obok lub drżącym błagalnie przed nimi postaciom.

Helga sama też ruszyła - bokiem, ku wysokiemu, rzezanemu mosiężnikowi, z którego wznosiła się smuzka kadzidła. Chwyciła go u podstawy i pchnęła, przewracając na ścianę wysoką jak człowiek konstrukcję. Rozżarzone węgielki posypały się na cienkie draperie i płomienie zaczęły lizać ściany.

- Pożar! - wrzasnęła po wyspiarsku. - Pożar!

Zbliżał się do niej gwardzista, z klingą w dłoni. Obejrzał się - choć nie był żeglarzem ani mieszkańcem miasta, to odczuwał zdrowy respekt przed niekontrolowanym płomieniem - a gdy znowu odwróci! wzrok, dostał prosto w twarz drugim mosiężnikiem, którym zamachnęła się obiema rękami. Mosiądz zetknął się z ciałem i kością z głośnym łupnięciem. Helga pochwyciła upadający miecz. Miał inny kształt niż te, do których przywykła, był też za ciężki, lecz to nie powstrzymało jej przed zadaniem mężczyźnie krótkiego, skutecznego pchnięcia pod brodą.

- No *dalej* - krzyknęła na Keffrine, chwytając ją za rękę.

Ciągnąc za sobą szlochającą dziewczynę, pognąła ku wyjściu prowadzącemu do piwnicznych magazynów.

\* \* \*

- Utrzymuj ludzi w karbach - powiedział Adrian.

Z pomieszczenia u szczytu schodów dobiegały wrzaski. *Kobiece* wrzaski, a takie męskie krzyki i wyraźny, nieprzyjemny odgłos stali wbijającej się w ciało.

- *Ruszamy!*

Dobiegające dźwięki były na tyle głośne, że dopiero po kilku uderzeniach serca

zauważono wroga nadciągającego przejściem. Adrian zwolnił z zaskoczenia na widok tego, co zobaczył przed sobą; pomieszczenie udekorowane z przepychem wykraczającym nawet ponad wyspiarskie standardy, pełne uciekających, wrzeszczących kobiet - *umierają cych* kobiet - i żołnierzy w polakierowanych na czarno zbrojach, próbujących wyróżnić je wszystkie. Dziesiątki kobiet leżało na podłodze, rannych lub martwych. Mdląca mieszanka zapachów: perfumy, kwiaty, krew, gówno...

A tuż przed nim jedna z nich *walczyła* z dwoma żołnierzami. Kobieta o rudych włosach, która, mógłby przysiąc, urodziła się jako Konfederatka, a nie Wyspiarka. I całkiem nieźle sobie radziła...

Odbiła pchnięcie, z obiema dłońmi na rękojeści długiej szabli. Drugi żołnierz też się rzucił, tyle że na mniejszą, jasnowłosą kobietę, znajdującą się u boku tej pierwszej i sztych jego klingi przebił się przez jej plecy. Rudowłosa krzyknęła i cięła go przez twarz, krew i iskry trysnęły z miejsca, gdzie klinga odbiła się ze zgrzytem od nosala hełmu zabójcy.

- *Zmiataj z drogi... panie!* - ktoś krzyknął Adrianowi do ucha.

Ludzie pognali, wymijając go. On sam skoczył przed siebie, odbił szablę mężczyzny walczącego z rudowłosą i natarł swoim własnym mieczem wykonanym w szmaragdowym stylu, z koszykową gardą. Odziany w czarną zbroję mężczyzna zniknął w wirze walki, a w sekundę później Adrian zobaczył, jak przewracając się, wpada do basenu z fontanną w środku pomieszczenia, z oszczepem wystającym mu z szyi. Walka była krótka, trzech najemników przeciwko Wyspiarzowi tutaj, czterech tam - miażdżąca przewaga. Wrzaski nie ustawały i teraz zobaczył, jak jego własni ludzie gonią za kobietami. Zdecydowanie nie mieli na myśli rzezi, ale...

- Hej ty! - rzucił. Jeden chwycił od tyłu kobietę - dziewczynę - z rudymi włosami, obejmując rękoma jej piersi. - Hej ty! Puść tę kobietę!

- Poczekaj na swoją kolejkę - zaczął najemnik.

»Weź ich teraz w karby, inaczej nigdy ci się nie uda« powiedział Raj.

- Dobra.

Adrian postąpił dwa kroki do przodu i wyróżnął niedoszłego gwałciciela w twarz rękojeścią miecza. Kość chrupnęła od uderzenia, a ząb się ukruszył. Miał dość czasu, by zobaczyć, jak na twarzy kobiety odmalowało się zdumienie, a potem rzucił jej swój miecz, aby mieć wolną rękę.

Wyciągnął granat z sakiewki, glina była chłodna i porowata w dotyku. Drugą ręką wyszarpnął lont z metalowej kasetki u pasa, zakreślił nim, aby zapalony koniec jasno się zarzył i przytknął go do zapalnika. Odczekał trzy sekundy, a potem wrzucił go delikatnie do basenu.

ŁUBUDUP.

Woda - i kawałki martwego mężczyzny zwisającego z fontanny - rozbryznęły się po pomieszczeniu. Woda sprawiła, iż odłamki nie były śmiertelne... a przynajmniej nie całkowicie.

Cisza zapadła po odbijającej się echem eksplozji. Adrian trzymał lont przy zapalniku kolejnego granatu.

- Jeśli natychmiast nie zostanie przywrócona dyscyplina - powiedział, nieco zaskoczony spokojem pobrzmiewającym w swoim głosie mimo ogromnego, trzymanego na wodzy napięcia - to zapalę ten granat i wrzucę go do sakwy z innymi.

- Wtedy wszyscy zginiemy! - zawył jeden z morskich szturmowców.

- O to chodzi - przytaknął Adrian. - Mamy do stoczenia bitwę, *tam*. Czy komuś to nie odpowiada?

- Nie, panie.

Dał się słyszeć chór potakiwań, a mężczyźni, którzy pochwycili kobiety, puścili je, ustawili się w szeregu i ruszyli ku drzwiom.

- Simun.

Mały najemnik podszedł, utykając i przyciskając połą tuniki do cięcia biegnącego wokół uda - było to miejsce w zbroi lekkiej piechoty narażone na obrażenia, chronione jedynie przez nabijane ćwiekami skórzane pasy wojskowego kiltu.

- Simun, zbierzcie rannych, którzy mogą chodzić. Zabezpieczyć ten teren i niech lekarz zajmie się... och, już się zajmuje.

Mężczyzna kazał ułożyć na zaimprovizowanych noszach sześciu poważnie rannych i dwa razy tyle mieszkanek haremu. Niektóre zdrowe kobiety pomagały mu, rozdierając prześcieradła.

- W każdym razie, panuj nad sytuacją.

Simun skinął głową. - Dobre posunięcie, panie - powiedział. - W takiej sytuacji nie skusiłaby mnie nawet sama Gellerbt.

- Będę z oddziałem - ciągnął dalej Adrian. - Do zobaczenia, jak to wszystko się skończy.

- Ja też idę.

Adrian się obejrzał, zaskoczony, i napotkał spojrzenie zielonych oczu. Dziewczyna o rudych włosach podała mu jego miecz. Zabrała podobną broń i małą tarczę jednemu z trupów. Cieniutki strój haremowy lepił się jej do ciała, głównie od krwi, której smugi miała też na twarzy, w miejscach, gdzie odgarnęła swoje miedziane włosy, żeby przewiązać je kawałkiem materiału.

- Panienko...

- Pierdolić to - powiedziała. Mówiła po szmaragdowemu, z lekkim konfederackim akcentem, i to akcentem z wyższych sfer. - Jestem... córką żołnierza i byłam tutaj przez rok,



niech to przeklnie Wszechmogący Ojciec, i zamierzam zabić *paru* wyspiarskich sukinsynów.

- Córka żołnierza? - spytał Adrian.

- Mam na imię Helga. Mój ojciec... walczył w armii sędziego Demanska.

Adrian uniósł brwi, uświadamiając sobie pewne rzeczy.

»Naprawdę jest dobra w posługiwaniu się mieczem« zauważył Raj.

Co oznaczało, że *nie była* tym, za kogo się podawała - córką żołnierza od dawna będącego w służbie Konfederacji. Kobiety z tej klasy społecznej nie szkoliły się w walce na miecze - a już na pewno nie w klasycznym stylu Szmaragdowców. Robiły to niektóre bogate kobiety. Było to bardzo modne w ostatnich paru latach, co wywołało skandal wśród konserwatywnej szlachty. Kilka kobiet wystąpiło nawet na Igrzyskach Vanbertu, w walkach do pierwszej krwi, aż dokonujący reform sędzia zabronił takiego postępowania. *Szlachcianka*, pomyślał.

»Obserwuj« powiedziało Centrum.

Na jej twarzy wyświetliła się siatka, wyskoczyły linie konturowe. Obok pojawiła się twarz sędziego Demanska i strzałki wskazujące na podobieństwo.

»Biorąc pod uwagę płeć, prawdopodobieństwo bliskiego pokrewieństwa wynosi dziewięćdziesiąt siedem procent plus minus jeden« powiedziało Centrum. »Tak bliskie pewności, jak na to pozwala ta pospiesznie wykonana analiza.«

*A Demansk... jedna z jego córek została porwana w czasie pirackiego najazdu i nie została wykupiona*, pomyślał Adrian. Demansk miał kilku synów, ale była to jedyna córka, o której kiedykolwiek słyszał...

Analiza zajęła sześć sekund. - W porządku, panno Helgo - stwierdził krótko. - Możesz być pewna mojej ochrony. - Ten dworski zwrot wydawał się dziwnie niestosowny w tym pomieszczeniu pełnym złoceń i krwi. - Ale trzymaj się blisko mnie i nie wchodź mi w drogę. - Nie będę - powiedziała. Poruszyła swobodnie mieczem trzymanym w dłoni. Była to standardowa broń w szmaragdowym stylu, jednosieczna, z gardą z prętów z brązu. - Ale to może wejść w drogę paru osobom.

\* \* \*

- Przestali się wycofywać, panie - wydyszał Donnuld Grayn.

- To jasne - stwierdził Esmond i odgryzł kawałek skórki pomarańczy trzymanej w dłoni. Drugi owoc podrzucił swojemu zastępcy.

Esmond wycisnął sobie sok prosto do ust, odrzucił skórkę, obmył dłonie w ozdobnej fontannie i wysuszył o skraj tuniki. Wrzawa bitewna narastała na znajdującym się przed nimi dziedzińcu, a z daleka dobiegł słaby, lecz wyraźny dźwięk wybuchu jednego z granatów Adriana. Esmond uśmiechnął się szerzej. Z ledwo widocznej wieży dobiegł kolejny, powolny, wymierzony strzał z arkebuz. Z tyłu dał się słyszeć wrzask - gdzieś na blankach, które obszedł, gdy poprowadził swoich ludzi prosto przez wyłom w murze. Niesamowite, co mógł zdziałać cały, ciągnięty przez woły, wóz pełen prochu wprowadzony do rowu pod murami. Sucha fosa tylko skupiła piekielną moc prochu na kamieniu.

*Braciszek nie próż nował*, pomyślał Esmond, podnosząc znowu swój miecz oraz tarczę i naciągając hełm, który odepchnął z czoła. Strużki zimnego potu ściekały z gąbkowej wyściółki, a świat skurczył się do jasnej szczeliny w kształcie litery T... on zaś czuł, że *żyje*. Nie czuł się tak, od kiedy zginęła Nanya, poza momentami walki.

- Cóż, na co czekacie?! - rzucił, wchodząc na kolejny dziedziniec.

Pałac dyrektorów Flakonu był zbudowany na takim samym planie ogólnym, co dom króla w Kielichu, lecz był starszy - starszy i nie tak centralnie rozplanowany, gdyż rósł powoli przez wieki. Właściwie był to ciąg połączonych dziedzińców, czasami przedzielonych wąskimi alejkami dla służby. Czasami domy sięgały nawet trzech pięter. Niektóre były ozdobne, z fontannami i mozaikami, inne były roboczymi składami, magazynami, warsztatami lub koszarami gwardii. Ten, do którego prowadziła łukowata brama znajdująca się przed nimi, należał do tych bardziej wyszukanych; tym lepiej - wysoka fontanna na środku zaopatrzy jego żołnierzy w czystą wodę, gdy już zajmą ten dziedziniec.

- Nie *podnoś* się, panie - powiedział oficer.

Ludzie znajdujący się tutaj poruszali się za kolumnami arkad wokół podwórca, przemykając pomiędzy miejscami chronionymi przez kamień. Zrobiło się bardziej tłoczno, gdy jakaś setka posiłków, jakie ze sobą sprowadził Esmond, wmaszerowała pomiędzy zatrzymany oddział szturmowy.

- Mają tam łuczników - ciągnął dalej oficer. *Nazywa się Maklin*, pomyślał Esmond.

Postarał się przynajmniej zapamiętać nazwiska wszystkich oficerów. - Są dobrzy i nie ruszają się ani na jotę.

Esmond pokiwał w zamyśleniu głową spoglądając na kilka ciał leżących na otwartej przestrzeni. Żołnierze byli przebici strzałami o czarnych piórach, choć mieli na sobie

skórzane kubraki wzmocnione łuskami. Sądząc po kierunku strzału, zostali trafieni przez ludzi stojących na balkonach drugiego piętra, pięćdziesiąt jardów na wschód. Pomiedzy kolumnami parteru połyskiwały groty włóczni gotowych na przyjęcie każdego, komu uda się przebiec przez otwartą przestrzeń pod gradem strzał. Wielu wyspiarskich łuczników używało wygiętych łuków wzmocnionych kośćmi z paszczy morskich potworów. W rękach zawodowca taki łuk miał *potężną* siłę uderzenia.

- Musimy odwrócić ich uwagę - powiedział Esmond. - Maklin, postaw dwudziestu pięciu ludzi z każdego końca tej arkady. - Łuki i kolumny biegły z czterech stron dziedzińca. - Niech zbliżają się do wroga, przemykając od kolumny do kolumny. Donnuld, wycofaj się i ruszaj na górę, na drugie piętro - niech ci pieprzeni łucznicy mają coś do roboty poza wybieraniem celów. Zabierz kompanię.

Esmond czekał z cierpliwością kota, gdy wypełniano rozkazy. Odczuwał lekkość, moc i siłę w umyśle i ciele. Na swój sposób *przypominało* to igrzyska.

- Dobra, ludzie - powiedział, gdy usłyszał narastającą panikę w głosach dobiegających z drugiego piętra, po przeciwnej stronie. Jakiś łucznik wychylił się, aby strzelić do mężczyzny przemykającego od kolumny do kolumny. Gdy wymierzył i naciągnął łuk, oszczep wbił mu się w plecy i ciało wygięło się, a potem upadło z łoskotem na podwórzec w dole.

- Dobra, ludzie - odezwał się znowu Esmond, podnosząc głos. - Na co czekacie, żeby wróg posłał wam tyle strzał, byście mogli otworzyć sklep łuczniczy? *Za mną!*

Przy ostatnim słowie skoczył do przodu, robiąc uniki i lawirując, jakby to były zawody w bieganiu w zbroi na igrzyskach. *Są takie chwile*, pomyślał, gdy naostrzone niczym szydło drzewce odkruszyło marmur koło jego prawej kostki, *gdy moż na biec tylko ś rodkiem, prosto przed siebie.*

Z rykiem przypominającym morze uderzające o skały, żołnierze znajdujący się z tyłu wybiegli z ukrycia, sunąc tuż za nim. Wysforował się przed nich, aż prawie doszło do zwania. Posypał się na niego grad ciśniętych włóczni. Odbił jedną z nich w powietrzu własną tarczą, skręcając przy fontannie. A potem zwolnił, odbił kolejną, i wraz ze szurmowcami uderzyli razem na szereg włóczni Wyspiarzy.

Jedna z nich poleciała do przodu, mierząc w jego brzuch. Odbił ją na bok, jego ciało wykonało gładki skręt, a potem walnął guzem tarczy w znajdującą się za nią twarz. Trzasnęła kość. Zignorował ранego mężczyznę i z biegu przeszedł w wypad. Długi miecz, który miał w

dłoni, wbił się w gardło. Przekreślił go i wyszarpnął mimo spazmatycznego uścisku mięśni. Krew bryznęła łukiem niczym woda tryskająca z węża, gdy mężczyzna obrócił się, padając. Szabla świsnęła w jego kierunku, ruch dostrzeżony kącikiem oka. Esmond zatoczył koło tarczą, przesuwając ją tak, żeby nie zasłaniała mu twarzy i nie blokowała widoczności. Stała uderzyła i sypnęła iskrami, odbijając się od ćwieków na skórzanej powierzchni, boleśnie wykręcając mu nadgarstek lewej ręki. Esmond automatycznie pchnął ku dołowi, ruszył do przodu, odbił włócznię mieczem i pozwolił, aby jej ostrze i drzewce ześliznęło się po mieczu, a sam wyrzucił rękojeścią w twarz znajdującego się za nią mężczyzny.

- Do mnie, szturmowcy! - zakrzyknął. - Odrzucić ich!

*I rzeczywiście* odrzucali ich w kotłowaniu i zamieszaniu. Wyspiarze cofali się o krok, potem kolejny i następny; wrzeszczące, wyszczerzone we wściekłym grymasie twarze ze spiczastymi brodami i groty włóczni, zakrzywione miecze i noże. Mężczyźni zwarci w walce pierś w pierś, nie było teraz miejsca na uniki, czysta, krańcowa przemoc, ciosy zadawane i otrzymywane. A potem znaleźli się w cieniu kolumn arkad, wyminęli je i rozlali się po ogromnym pomieszczeniu - które było salą audiencyjną, podobną do tej, jaką miał Casull w Kielichu - nagle rozbijając się na grupki walczących mężczyzn.

- Zbiórka, zbiórka! - zawołał Esmond.

Znajdujący się obok niego sygnalista wyciągnął róg zza pasa i odegrał wezwanie. Chaos stopniowo przechodził w porządek, ludzie zbierali się koło swoich towarzyszy, małe grupki zostały wytrzebione, aż znowu pojawiły się dwa wyraźne zgrupowania żołnierzy. Jego oddział powiększał się, gdy napływali kolejni ludzie, a żołnierze z Flakonu wycofali się i zgrupowali dokoła wysokiego tronu z oparciem wysadzonym pawimi piórami. Zauważył z zadowoleniem, że niektórzy trzymali straż przy *tylnych* wejściach do pomieszczenia. Adrian był tam na pewno. *Jak, w imię Wodepa, przedostał się przez mur? Potem się nad tym zastanowisz.*

Donnuld Grayn podbiegł, dysząc, wraz ze swoją kompanią. Kilku z żołnierzy wymachiwało inkrustowanymi łukami i kołczanami wyszywanymi perłami, nosili też u pasa sztylety w srebrnych pochwach.

- Dopadliśmy tych pieprzonych łuczniczków - stwierdził Grayn, oddychając ze świstem. -

Tam na górze nie mogli do nas za bardzo celować - to był dobry pomysł. Myślę, że to jakaś gwardia dyrektora - wielu z nich było Południowcami, może niewolnikami z wojen.

Esmond skinął głową. - Przebiliśmy się przez skórę i teraz zbliżamy się do jądra.

Zobaczmy, jak bardzo są zdeterminowani.

- Miejmy nadzieję, że nie za bardzo - powiedział oficer Cable, pocierając ręce o kilt, by je wysuszyć. - Niech Wodep mnie oślepi, nigdy nie widziałem niczego podobnego do niektórych z tych pokoi - pałac dyrektora to marzenie łupieżcy.

- Najpierw doprowadźmy walkę do końca - powiedział Esmond. - Poddajcie się! - zawołał do obrońców.

Odpowiedzią był ryk i stek wyzwisk, kilka rzuconych bojowych toporów, wypuszczanych oszczepów i strzał. Ludzie postawili wokół niego tarcze, gdy Esmond się uchylił. Słyszał, jak włócznie odbijają się od nich ze stukotem. Jeden człowiek wpadł na niego, cofając się niechętnie, gdy drzewce wbiło się w jego tarczę z potężnym łupnięciem, a grot przeszedł przez mocne warstwy skóry wielkobestii i metalowe pokrycie.

- Gdzie zatem jest wasz dowódca?! - zawołał Esmond, znowu się prostując. - Niech wyjdzie i zmierzy się ze mną, jeśli się odważy!

Szmaragdowiec zdawał sobie niejasno sprawę z zamieszania, jakie zapanowało z tyłu.

Doleciało do niego imię Casulla, ale król mógł poczekać. Mężczyzna w średnim wieku wystąpił z tłumu żołnierzy z Flakonu, z zakrwawioną szablą w ręce i porąbaną tarczą w drugiej.

- Jestem Francois Clossaw, dyrektor Flakonu, zgodnie z prawem dziedziczenia! - zawołał, dłonią w rękawicy pocierając rozcięcie na policzku.

Miał prostą, lecz bogato wyglądającą zbroję, tak samo pociętą i pokiereszowaną jak on sam. Miał wąsy zwinięte i spiczaste niczym rogi oraz kozią bródkę, jednak jej koniec został dzisiaj w jakimś momencie odcięty i broda była nieco postrzępiona. *Hmm*, pomyślał Esmond. Raporty mówiły, że dyrektor Flakonu ma koło siedemdziesiątki i waży prawie dwa razy tyle co ten mężczyzna.

- Sądziłem, iż dyrektorem jest Antwoin Clossaw - rzucił lekkim tonem Esmond.

- Mój brat nie żyje, został zabity przez waszą magiczną broń tchórzy. Dopóki syndycy Flakonu się nie spotkają i nie zdecydują co do sukcesji, ja jestem dyrektorem. I żaden cudzoziemiec nie zasiądzie na tronie Flakonu, póki ja żyję!

- To można zmienić - wymruczał Esmond. - Jestem generał Esmond Gellert, dowódca regimentu morskich szturmowców, wolnych towarzyszy Szmaragdowców - brzmiało to nieco

bardziej elegancko niż *najemni zabójcy* - trzykrotny zwycięzca Igrzysk, wolny obywatel Solingi. Niech to się rozstrzygnie tu i teraz.

Franzois przełknął ślinę i rozejrzał na boki. Wyglądało na to, że jego ludzie byli gotowi do ostatecznej walki... ale wyraźnie nie podchodzili do tego z entuzjazmem.

- Obiecujesz oszczędzić moich ludzi, jeśli przegram? - spytał.

Esmond skinął głową i kontynuował, słysząc wzbierający za nim pomruk. - Nie mogę ręczyć za życie ani posiadłości waszej szlachty - powiedział. - Te są w rękach mojego pana, króla Wysp Casulla - *Wszystkich* Wysp. Pomruki przeszły w szept. - Jeśli jednak chodzi o zwykłych żołnierzy, to tak, ręczę za to. Amnestia i służba dla tych, którzy przysięgną wierność. Dobrze walczyli, mimo wszystko.

- A jeśli wygram, zagwarantujesz nam bezpieczne przejście do portu.

- Tak - powiedział Esmond. - Taki rozkaz wydaję mojemu podoficerowi, w obliczu Szarookiej Pani i na mój honor. - Casullowi trudno będzie złamać taką przysięgę, a regiment nieźle by się wściekł, gdyby tak się stało. Znowu dał się słyszeć pomruk, ale on go zignorował i postąpił do przodu.

- Czy mogę zobaczyć twoją twarz? - spytał Franzois.

Esmond odsunął hełm i pozwolił, aby światło spłynęło na jego rysy. Wyspiarz się uśmiechnął.

- Prawdziwy bohater Szmaragdowiec - rzekł i pociągnął szybko ze skórzanej piersiówki, jaką podał mu jeden z towarzyszy. - Mój pra-pra - nieważne - jeden z moich przodków walczył przeciwko solingianom w Wąskich Przesmykach. Zapisał, iż nie był to dobry pomysł.

- Moi przodkowie także walczyli w Wojnach Ligi - rzekł uprzejmie Esmond.

Wykorzystał czas, by oprzeć miecz o biodro i starannie osuszyć dłoń i rękojeść. - Obie strony wyszły z tego z honorem, lecz to przeznaczenie przędzie nieć każdej wojny.

Nasunął hełm z powrotem, uniósł i wysunął miecz, a małą tarczę podsunął sobie pod brodę. Franzois skinął głową i przyjął pozycję bojową, zamachnął się mieczem w górę i do tyłu i wysunął tarczę. Esmond przyglądał się, jak mężczyzna trzyma broń, ruchom jego stóp, ułożeniu grubych, masywnych ramion.

*Szybki, ciężki mężczyzna, pomyślał; była to rzadka i niebezpieczna kombinacja. A jego miecz jest mocno wysłużony.*

- *Uważaj, na wszechojca!* - krzyknęła Helga do Adriana.

Gizarma wyrznęła w powierzchnię jej tarczy. Za tym ciosem, który wyleciał z zaciemnionej alkowy, kryła się ogromna siła i mocne pragnienie zadania śmierci; nie przypominało to ćwiczeń w posiadłości. Na chwilę została pozbawiona czucia w lewym ramieniu, a potem poczuła paląco-pulsujący ból promieniujący od nadgarstka i łokcia prosto ku ramieniu. Broń - wielka, prosta brzytwa na drzewcu o długości sześciu stóp, ze sztychem i hakiem na końcu - rąbnęła w stiuk ściany dziedzińca, a ją obsypał deszcz gipsu i odłamków cegieł. Uderzający mężczyzna pozostał zgięty wpół, ogromnie zaskoczony tym, że jego pęd *nie* został zatrzymany przez cel. Rzuciła się do przodu wyćwiczonym odruchem, z wysuniętym mieczem. Jej całe ciało zrobiło wypad z lewej stopy, podążając za sztychem i ramieniem, podczas gdy prawa stopa powędrowała w dół, a kolano zgięło się, by przydać uderzeniu dystansu. Miękki, mocny opór, jaki napotkał sztych, przechodząc przez obojczyk żołnierza i tak był nieprzyjemną niespodzianką, tak jak i zgrzyt stali ocierającej się o kość gdzieś w ciele mężczyzny.

Tak jak i niespodzianką było uderzenie na odlew drzewcem broni. Żelazny pierścień wbił jej się boleśnie w udo.

- Au! Pieprzona świnió! - wrzasnęła, kręcąc i szarpiąc bronią, chcąc ją wyrwać.

Krew, która na nią bryznęła, po prostu nałożyła się na wysychającą, lepka maź pokrywającą ją od gardła aż po golenie. Nauczyła się ignorować zapach... przez większość czasu, Stęknęła, zapierając się nogą o wciąż drgające ciało i pociągnęła - odgłosy rozdierania i pękania były bardziej odczuwalne przez rękojęć niż słyszalne.

- Czy nigdy nie patrzysz, gdzie idziesz?! - warknęła na... *Adriana Gellerta*. Konfederacka mądrość ludowa przekazywała, iż Szmaragdowcy nie mieli głębi ani prawdziwych jaj. Dziś zobaczyła jednak dostatecznie dużo, aby zacząć poważnie w to wątpić. Mówiono także, że szmaragdowi miłośnicy mądrości potrafili wpaść do studni, zapatrzywszy się w gwiazdy, i jeśli Adrian był ich typowym przedstawicielem, to przynajmniej *to* było częściowo prawdą, wykrzywiła usta, starając się odzyskać oddech. Oczywiście że wcześniej fantazjowała o tym, jak zostanie uratowana. Zwykle był to jej ojciec lub jakiś przystojny, dobrze urodzony młody trybun w hełmie z czubem i grawerowanym napierśniku. Ten szczupły młody Szmaragdowiec z rozmarzonymi niebieskimi oczami, potarganymi włosami wymykającymi się spod otwartego hełmu i kawałkami żelaznych płyt wystających spod skórzanej kurtki bez

rękawów, słuchający głosów, których nikt inny nie słyszał, stanowił pewien kontrast z tym wyobrażeniem.

*Cóż, z pewnością cię dobrze jest mieć go w pobliżu*, pomyślała, zerkając kącikiem oka na najemnych żołnierzy tłoczących się, aby wpaść na następny dziedziniec.

Choć *oni* już raczej nie patrzyli na nią jak pies na kotlet. Kilku z nich ryknęło śmiechem na widok tego, jak się szarpała, wyciągając klingę z Wyspiarza.

- Dobra robota, panienko! - rzucił jeden z uśmiechem. - Temu panu potrzeba kogoś do opieki.

Zaczerwieniła się i odwróciła od ich śmiechu. - Co to jest? - spytała, wskazując na sakwę u jego pasa z okrągłymi, przypominającymi dzbanki przedmiotami, z których każdy wyposażony był w zwisający sznurek.

- Nazywam je *granatami* - rzucił zamyślony Adrian. Wyglądało na to, że zwykle tak się odzywał i poklepał je. - Mają w środku proch, który znalazłem w pewnych... starodawnych zapiskach, bardzo starodawnych. Jest przydatny do wielu *rzeczy*.

- Takich jak te przypominające grom odgłosy, które przedtem słyszałam? - spytała.

Spojrzał na nią, a zamyślenie zniknęło, gdy zamrugał oczami i przekazał jej manierkę, którą ktoś mu podał. Wzięła ją i pociągnęła łyk. Wino zmieszane z wodą bardziej przypominało ocet, ale dobrze i miło podziałało na kleistą suchość w ustach.

- I owszem - powiedział. Minęła sekunda, zanim zauważyła, że przeszedł ze szmaragdowego z akcentem z Solingi, jakim posługiwali się uczeni, na czysty dialekt patrycjuszowskiej klasy konfederackiej z Vanbertu. - One *wybuchają*, to znaczy wydzielają dużo szybko rozprężającego się gazu, który wypycha wszystko, co jest naokoło. W granatach gaz ten rozrzuca kawałki obudowy o wiele szybciej niż strzałę albo pocisk z procy. Jeśli wsadzisz trochę do rury z brązu zamkniętej z jednej strony, to ten gaz wypchnie *dużo* y kawałek metalu albo kamienny pocisk - na tyle duży, żeby rozwalić statek albo zburzyć bramę czy mury.

Helga zagwizdała bezgłośnie. - Ha, czyż to nie *pożyteczne* - stwierdziła. - Ludzie mojego ojca... to znaczy ludzie z kompanii mojego ojca... nazwaliby to jednak oszukaństwem, a nie walką *fair*.

Adrian wzruszył ramionami. - Nie lubię walki - powiedział po prostu. To sprawiło, że Helga znowu zamrugała oczami. Niewielu mężczyzn, jakich znała, by się do tego przyznało -



to znaczy *prawdziwych* mężczyzn. Szmaragdowiec ciągnął dalej: - Kiedy już muszę walczyć, walczę, żeby wygrać. Walka *fair* jest dla idiotów i Konf... - to znaczy dla tych, którzy są na tyle silni, by uważać, że i tak wygrają.

Helga pokiwała powoli głową. - Wiesz, to jest naprawdę sensowne - powiedziała i poczuła dziwne zadowolenie, dostrzegając wyraz orzechowych oczu Szmaragdowca. - Oczywiście, jestem kobietą, a my nie możemy sobie pozwolić na idiotyzmy, w jakie pakują się mężczyźni.

- Rozumiem - rzekł Adrian i odsunął się od ściany, o którą się opierał. - A teraz, myślę, że czeka nas - a przynajmniej mnie - walka, w którą *muszę* się włączyć.

Odgłosy zmagania znowu przycichły. Przechyliła głowę, nasłuchując. - Walczy dwóch mężczyzn - powiedziała. - To dziwne; prawie jak pojedynek. - Uśmiechnęła się po szelmowsku do Szmaragdowca. - Ocaliłeś mi życie, ale wygląda na to, że potrzebny ci ktoś obok, by oddać ci tę samą przysługę - i to często.

- Prawda, panienko - rzucił jeden z żołnierzy.

- Posłuchaj jej, panie - przyłączył się drugi.

Adrian się wyprostował. - Ruszajmy - powiedział. - Jego szczodroblowość nie płaci za podpieranie ścian. - Omiótł wzrokiem pomieszczenie, a jego spojrzenie znowu nabrało nieobecnego wyrazu. - Tędy prowadzi droga do sali tronowej. Piętro wyżej, w lewo, a to jest przedsionek - pewnie próbowali się tędy wydostać.

- Skąd on to *wie*? - wyszeptała Helga do mężczyzny stojącego obok z sakwą granatów, gdy dowódca odwrócił się i ruszył zwawo ku podestowi u stóp schodów.

- Przekonasz się, że pan Adrian wie prawie wszystko, czego mu trzeba - rzekł z niewzruszoną pewnością mężczyzna. - Widzisz, przemawia do niego Szarooka Pani. Oczy Helgi rozwarły się szeroko.

\* \* \*

Esmond zatrzymał się i pchnął, a potem szybko odzyskał równowagę, przechodząc do fenty, gdy Francois odbił pchnięcie swoją tarczą i ciał na odlew z prawej, nacierając, stąpając ciężko raz-dwa-trzy i wywijając mieczem tak, że rysował w powietrzu srebrne X. *Dobra, zobaczymy, czy uda ci się to utrzymać*, pomyślał posępnie Szmaragdowiec, cofając się. Raczej nie miał dobrego zdania o wyspiarskiej sztuce walki na miecze - ostrze, wypad i żadnej filozofii. Francois, dyrektor na kilka godzin, był jednak najlepszym mistrzem

tego stylu, z jakim Esmond się spotkał, i to przyzwyczajonym do wykorzystywania go przeciwko stylowi walki na miecze Szmaragdowców, bardziej zorientowanemu na sztych. Czekał, wywijając mieczem, cofając się, przesuając lekko stopy, stawiając je pod kątem prostym. Trzask-dzyń-trzask i szabla wyrznięła w tarczę, zadzwoniła o jego klingę, oderwała się od niej z przeciągłym zgrzytem i odbiła się od hełmu i naramiennika Esmonda, pozostawiając siniaki, a on poczuł piekące draśnięcie na przedramieniu.

*Dobra stal*, pomyślał z roztargnieniem - pozostała ostra jak brzytwa po całym dniu roboty. Tutaj na Wyspach mają dobrych płatnerzy.

Oblicze Francois'a było teraz fioletowe, a usta pod rozszerzającym się nosalem hełmu rozwarte. Esmond czekał, cofnął się raz jeszcze... a potem rzucił się do ataku, pakując w to całą siłę swoich napiętych mięśni; moc wyskoku z wysuniętej do tyłu nogi, z nadgarstkiem ustawionym w pozycji przekazującej siłę ku uderzającemu sztychowi miecza.

Wyspiarz się zatrzymał, z klingą w dalszym ciągu wzniesioną do kolejnego cięcia.

Poleciała ona w dół i zatrzymała się, gdy Esmond wyszarpnął sztych z wewnętrznej strony jego uda. Sądząc po tryskającej krwi, przeciął tętnicę. Szmaragdowiec cofnął się i uniósł swój miecz ponownie, salutując.

- To był dzielny człowiek - wymruczał, gdy ciało wierzgało i wypróżniało się w zwyczajny przy umieraniu, mało godny sposób.

- *Esmond! Esmond!*

Gwałtownie uniósł głowę. To skandowanie rozpoczęło się w czasie walki, lecz nie było na nie miejsca w mocnym niczym diament skupieniu towarzyszącemu śmiertelnemu pojedynkowi. Wywrzaskiwali to ludzie, wymachując w powietrzu pięściami i bronią.

- Esmond! Esmond!

Ryk odbijał się echem od murów ogromnego pomieszczenia falami pomieszanych dźwięków, gdy ostatni obrońcy byli rozbrajani i wyprowadzani. Krzyczeli nie tylko jego szurmowcy, ale także żołnierze królewscy - nie robiła tego tylko grupka wielmoży znajdująca się wokół króla Casulla, choć wielu z nich wymachiwało mieczami, salutując. Czynił tak nawet sam król, i to z uśmiechem; widać było rozcięcie na jego twarzy i krew na mieczu - Casull był wojownikiem, którego pochwały warte były szacunku i Esmond zachwiał się nagle, gdy uświadomił sobie prawdę.

*Niech mnie unurzają w gównie!* - pomyślał. *Nie tylko wygrałem, ale wygrałem w pię knym*

stylu, i to kiedy sam wielki szef patrzył. Do zachodu słońca ta nowina obiegnie całe królewskie wojsko i flotę.

Esmond się pochylił i ściągnął hełm Francois'owi. Na skroni martwego mężczyzny widniała fioletowo-złota obręcz; przez chwilę przyciskał mu powieki, aby zasłonić wpatrujące się niewiażąco oczy, a potem powstał, unosząc wysoko symbol władzy nad Flakonem. Skandowanie powoli ustawało, aż zamilkło, zapadła cisza pełna szelestów, skrzypień i podzwaniania, gdy uzbrojeni ludzie przestępowali z nogi na nogę i szeptali między sobą. Z mieczem i tarczą w prawej dłoni i obręczą w lewej, Esmond przeszedł przez salę tronową do miejsca, gdzie stał Casull. Przypadł na jedno kolano i wyciągnął przed siebie obie ręce.

- Mój królu - powiedział powoli, wyraźnie, niosącym się daleko głosem. - Flakon należy do ciebie!

Dał się słyszeć kolejny radosny ryk. Okrzyki „Casull!” i „Esmond!” mieszały się ze sobą, wraz z „Niech to szlag!” i „Łupić! Łupić!”.

Casull wziął obręcz z krzywym uśmiechem na twarzy, mrugnął lekko, gdy ich spojrzenia się spotkały.

- Cóż, jesteś nie tylko wojownikiem, ale i mistrzem widowiska - wymruczał, przyjmując symbol władzy. - Może kiedyś znajdziesz własne królestwo. Człowiek będący jednocześnie aktorem i wojownikiem jest urodzonym władcą.

Casull wyprostował się, przyjął miecz Esmonda i uderzył nim mocno w zbroję na obu jego ramionach.

- Gdy mam takie miecze jak twoje, mój tron jest bezpieczny! - zawołał. Zabezpieczony przed wszystkimi oprócz ludzi, którzy noszą te miecze, pozostało niewypowiedziane pomiędzy nimi - było to jednocześnie ostrzeżenie i wzajemne zrozumienie. - Niech te gamoniowate konfederackie chłopcy się wmieszają, jeśli się tylko ośmielą. Niech wszyscy ludzie wiedzą, że zatrzymujemy to, co jest nasze, my i nasza dzielna szlachta oraz żołnierze. Powstań, czcigodny Esmondzie Gellercie!

Esmond otworzył nieco szerzej oczy, a jego ludzie zaczęli głośniejsze się radować. *Cóż, to krok w górę*, pomyślał. Właśnie z cudzoziemskiego kapitana najemników wspiał się na najniższy szczebel wyspiarskiej szlachty. *Pamiętaj jednak, że to, co król dał, król może odebrać*. Sądząc po palących, zawistnych spojrzeniach zebranych wokół niego dworzan,

zdobył także od razu grono wrogów. Gdy Esmond powstał, krzywy uśmiezek Casulla - który pojawił się tylko na chwilę, aż król odczuł ból zasklepiającego się rozcięcia na twarzy - powiedział Szmaragdowcowi, że on także zdawał sobie z *tego* sprawę.

Casull przeszedł przez pomieszczenie, aż do podwyższenia z tronem Flakonu, i odwrócił się, aby przyjąć salut wojowników wypełniających teraz wielką salę po brzegi.

. - Niech żyje nasz król, król Wszystkich Wysp! - zakrzyknął Esmond.

\* \* \*

Helga przyglądała się końcowi pojedynku z szeroko otwartymi oczami, zwłaszcza po tym, jak Esmond Gellert ściągnął hełm po zwycięstwie. *Och, mamusiu!* - pomyślała, zerkając na Adriana. Tak, istniało rodzinne podobieństwo, ale... *Cóż, jeśli li prawdę mówią stare opowieści ci o Szmaragdowcach-filozofach, to pewnie prawdą jest także to, co mówią o zwyciężcach igrzysk, może nawet opowieści o spłodzonych przez bogów bohaterach są prawdziwe.* Jednakże jak każdy z nowoczesnym wykształceniem wierzyła - przynajmniej świadomie - iż starzy bogowie byli tylko wcieleniami Jednego. A wystarczyło, by ten tylko istniał, nie musiał bowiem nic robić.

Patrząc na Esmonda Gellerta, łatwo było przypomnieć sobie stare opowieści z książek i to, co opowiadała jej niańka. Ten drugi Szmaragdowiec był potężnym mężczyzną, ale nie miał solidnej muskulatury, do jakiej przywykła u żołnierzy albo sportowców. Poruszał się jak wielki, złocisty kot, a jego rysy mogły zostać wyciosane przez solingiańskiego rzeźbiarza z minionego Złotego Wieku, jaki nastał po Wojnach Ligi.

Ale czegoś... czegoś mu *brakowało*. Żywotności, jaka malowała się w oczach jego brata, nawet gdy był zamyślony. To poczucie spotęgowało się, gdy podniecenie walką zniknęło z jego twarzy tak, że jeszcze bardziej przypominała posąg - pomalowany marmur, z ukrytą pod nim martwością. Oprócz tego, że marmur nie skrywał oceanu bólu...

*Przestań fantazjować*, nakazała sobie w duchu. *Skoncentruj się*. Adrian powiedział, że znajduje się pod jego opieką i, o dziwo, wierzyła mu. Ale sam *Adrian* może potrzebować opieki. Czy król go ochroni? A jego brat? Cofnęła się o krok. Nie podobała jej się ta sytuacja, żałowała też, że nie ma płaszcza.

- Adrianie! - rzucił Esmond, podchodząc i odsuwając na bok wielmoży oraz wyższych rangą oficerów. Nieco życia powróciło na wyrzeźbione rysy jego twarzy. - Bracie! Na *Cienie*, jakżeś się tutaj dostał?

- Znalazłem stary tunel prowadzący do tej wieży - powiedział Adrian, rumieniąc się z zadowolenia, gdy pochwycili się za przedramiona. - Wysadziłem blokadę odrobiną diabelskiego proszku i poszedłem szukać kłopotów, aż w końcu znalazłem ciebie. Esmond się zaśmiał. - Tak sobie *myś lałem*. Ludzie z Flakonu zachowywali niezłą dyscyplinę przy wycofywaniu się. Nieźle opierali się działom, nawet strzałam z ukrycia na tyłach, a potem poszli w rozsypkę.

- Ludzie tak się zachowują, gdy się ich zaatakują od tyłu - powiedział Adrian. - Widzę, że udało ci się okryć dobrze zasłużoną sławą.

Esmond znowu się zaśmiał. Nieco chrapliwie, jakby nie robił tego bardzo często. Złapał mniejszego mężczyznę za ramię i popchnął opierającego się do przodu, aż znaleźli się przed tronem. Helga posuwała się do przodu nie nachalnie. Odruchowo odtrąciła tarczą ciekawską dłoń uderzeniem w nadgarstek i zignorowała gniewny okrzyk, który dał się słyszeć.

- Mój królu - powiedział Esmond. Nie krzyczał, lecz podniósł głos jak do przemawiania na forum, co podpatrzył u wyszkolonego w retoryce brata i co przydawało się także na polu bitwy; bardziej prawdopodobne, iż przyciągnie uwagę tym niż zwykłym ryknięciem, bowiem szmer rozmów narastał w sali tronowej.

- Mój królu - ciągnął dalej, uśmiechając się. - Oto mój brat, Adrian Gellert, który dobrze ci się przysłużył. Nie tylko urządzeniami, które powaliły mury i bramy Flakonu, lecz także przez zajęcie cytadeli od tyłu, przechodząc przez ukryty tunel i blokując ucieczkę dyrektora Francois'a.

Casull spojrzał, odrywając się od konsultacji prowadzonych z admirałami, którzy dostarczyli mu flotyllę zajętych w nienaruszonym stanie statków.

- A zatem dobrze mi się przysłużył - rzekł łaskawie król, machnięciem ręki odganiając lekarza, który próbował mu zszyć rozcięcie na policzku. - Gdyby dziedzic dyrektora - pretendent do tego tronu - uciekł, to zwycięstwo nie byłoby pełne.

Obrzucił Esmonda twardym spojrzeniem. Gdyby dyrektor wygrał walkę, Casull musiałby pozwolić mu odejść... co dałoby taki sam rezultat oraz niekorzystny dodatek w postaci barwnej opowieści, która zapewne przyciągnęłaby wolnych strzelców, ceniących sobie obdarzonego szczęściem dowódcę.

- Odczujesz moją wdzięczność - ciągnął dalej Casull.

- Mój królu - rzekł Adrian. - Wybacz, że tak od razu liczę na twą wdzięczność, lecz jest

łaska, o którą *chciałbym* prosić.

Casull uniósł brew. Skorzystanie z jego propozycji tak od razu było nieco obcesowe. -

Proś - powiedział.

Adrian sięgnął za siebie bez oglądania się. Helga pisnęła cicho, gdy jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu i pociągnęła ją do przodu. Palce były smukłe, lecz nadspodziewanie silne, a ich ciepło przenikało przez chłodną krew na tkaninie jej stanika.

- Dostałem się tutaj przez harem dyrektora - *byłego* dyrektora - powiedział. - Jeśli Wasza Wysokość będzie tak łaskaw, prosiłbym o przydzielenie tej kobiety mnie.

Helga przełknęła ślinę. *Cholera, to pewnie lepsze niż harem*, pomyślała. Kobiety w krainie Szmaragdowców były trzymane krócej niż w wyższych sferach Konfederacji, ale traktowano je o wiele lepiej niż na Wyspach... a Adrian nie zaprotestował w żaden sposób, gdy podniosła miecz i ruszyła wraz z nim, by wyrzucić zemstę. Nawet jej *podziękował*.za to, że chyba ocaliła mu życie - wiedziała, że fakt zawdzięczenia tego kobiecie rozwścieczyłby większość mężczyzn.

*Choć jak na człowieka, który nie zwraca uwagi na otoczenie, ma oczy z tyłu głowy*, pomyślała, przez chwilę skonsternowana. *Wyczuwało* się, że jego brat Esmond odbierał otoczenie przez skórę, jak kot. Przy Adrianie miało się wrażenie, że można by podejść do niego i walnąć go w głowę. Tylko, że to by się nie udało, drgnąłby i podniósł wzrok, przygotowany na to, sądząc z tego, co już widziała. Jakby ktoś do niego mówił i zwracał uwagę zamiast niego.

Słowa króla sprowadziły ją boleśnie do sytuacji, w jakiej ona sama się znalazła.

- To nieco nietypowe, ale skoro to królewskie łupy... - powiedział. A potem spojrzał na Helgę i roześmiał się. - Widzę, że dawnemu dyrektorowi nie obca była odrobina perwersji. Ta kobieta wygląda jak chłopak z cyckami albo markietanka... nie, sądzę, że to muskuły akrobatki. Cóż, typ sportowy, jeśli taki się lubi. Ale co, na Boga Słońce, ona wyprawia z tym mieczem?

W głosie króla pobrzmiwało rozbawienie i lekka pogarda. Adrian odpowiedział z wystudiowaną uprzejmością: - Głównie zabija żołnierzy z Flakonu, mój królu. Pięciu... - Przechylił głowę na bok. - Nie, sześciu, i pewnie jeszcze dwóch, królu. Chyba ocaliła mi też życie.

Król ryknął śmiechem. - Nie możemy więc pozbawić naszego mistrza-wynalazcę

ochroniarza - rzekł. - Ależ proszę bardzo...

- Wybacz mi, królewski kuzynie - odezwał się jeden z wielmożów. Był to wysoki i smukły mężczyzna o brązowych włosach, który miał już czas na zdjęcie zbroi. Jego wyściełany, skórzany kubrak jeszcze śmierdział potem. - Jeśli wolno?

Casull kiwnął niepewnie głową i wyspiarski szlachcic zszedł po dwóch schodkach z podwyższenia, lustrując Helgę powoli wzrokiem od stóp do głów.

- Jak powiadasz, to dosyć perwersyjne... i ciekawe. Zgodnie ze starożytnym prawem - ciągnął dalej, mierząc Adriana zimnym spojrzeniem - oficerowie wybierają łupy dla siebie wedle starszeństwa - a sędzę, że przewyższam rangą tego cudzoziemca.

Casull zacisnął usta ze złości, Rozejrzał się dokoła po kręgu dworzan i zobaczył wiele potakiwań i uśmiezków. *Oczywiś cie*, pomyślała Helga. Cudzoziemiec, nagle wyniesiony tak wysoko, musiał wzbudzić niechęć - każdy wyspiarski dwór był gniazdem węży nawet w normalnej sytuacji. A Adrian, w przeciwieństwie do swego brata, nie popisał się dopiero co publicznie widowiskowym, bohaterskim czynem godnym Wodepa.

- Chyba że - powiedział wielmoża - chciałbyś się o nią ze mną pojedynkować? Nie? Tak też sądziłem. - Szlachcic miał kilka kolczyków z kośćmi i czaszkami i poruszał się jak... *Jak brat Adriana, Esmond*, pomyślała Helga. *Nie! Nie pójdę do kolejnego wyspiarskiego haremu! Nie!*

Wyspiarz postąpił do przodu, a Helga się sprężyła.

- Ależ - rzekł spokojnie Adrian - ja *wnoszę sprzeciw* i jeśli trzeba, *bę dę* z tobą walczył. Zwracam się jednak do naszego króla, którego życzeniom wyraźnie się przeciwstawiasz, mój panie... Sawtre, czyż nie?

Sawtre uśmiechnął się, zaczerwienił, a jego dłoń opadła ku mieczowi. - Wtrącasz się w sprawy *prawdziwych* mężczyzn, mały Szmaragdowcu przesiewający gnój? Lepiej wróć do swoich zabawek. Wszyscy powinniśmy brać pod uwagę konsekwencje naszych decyzji, nieprawdaż? W końcu jesteś tym, co robisz. A my *wiemy*, czym ty jesteś.

Adrian przełknął ślinę, potrząsając głową raz, a później *drugi*. *Jakby znowu z kimś rozmawiał... nie zgadzają c się z tym kimś*, pomyślała Helga, która poczuła ulgę, słysząc jego słowa, a potem przerażenie na myśl o pojedynku z tym wyszkolonym zabójcą.

- Myślę, że o czymś zapominasz, mój panie - odezwał się cicho Esmond.

- Tak?

- Zapominasz, że jeśli w jakikolwiek sposób skrzywdzisz mego brata, to cię zabiję i nasikam na twój grób - rzekł Esmond, sam się uśmiechając. Jego oczy nabrały takiego samego gorączkowego blasku, jaki miały w czasie pojedynku z dyrektorem Francois'em i Sawtre zawahał się przez chwilę.

- Nie odważysz się, Szmaragdowcu - rzekł cicho.

- Zdziwisz się, na co się odważę - odparł Esmond głosem równie spokojnym.

Znajdujący się za nim szturmowcy zastygli w napięciu, wymieniając spojrzenia z orszakiem wojowników Sawtre'a, Mężczyźni ci zaczęli przysuwać się do swego pana; jeden z nich pognał, aby sprowadzić pozostałych, którzy zajmowali się grabieżą w pałacu.

- Przepraszam - przemówiła głośno Helga. Sawtre nawet nie odwrócił wzroku. Helga stuknęła skrajem tarczy o jego miecz. - *Przepraszam. Ty, dupku w kubraku od zbroi!*

To wywołało zdumiony chichot w tłumie zgromadzonym wokół tronu. Nawet Casull, który podniósł się częściowo ze złości i rosnącego niepokoju wobec nagłej wizji stoczenia na jego oczach walki z kimś z królewskiej krwi, spojrział na nią.

Szlachcic obrzucił ją rozzłoszczonym spojrzeniem, - Zamilcz, kobieto, w przeciwnym razie dostaniesz jeszcze gorsze lanie.

- Och, wybacz, potężny panie, wyspiarski piracie, głupszy niż psie gówno, ale o czymś *zapominasz*.

- *O czym?*

Na surowej twarzy Sawtre'a malowało się głębokie zdumienie. Nie mógł *uwierzyć*, że to się działo, że kobieta przeciwstawiła mu się publicznie. Jego dłoń powędrowała do pasa. Jednak nie ku rękojeści miecza, jak zrobiła to chwilę przedtem, lecz do zwisającego z niego bicia z rzemyków.

- *O tym* - powiedziała Helga i wykonała pchnięcie od dołu. Twarz lorda Sawtre'a wyrażała zdumienie jeszcze głębsze niż przedtem. Jego dłoń powędrowała ku mieczowi, dotknęła rękojeści, zaczęła dobywać broń. *Hej, naprawdę niezły refleks*, pomyślała Helga, pomogło jej to odegnąć myśl, iż najpewniej właśnie wydała na siebie wyrok śmierci. *Wolę być martwa*, pomyślała, na dźwięk donośnego, mokrego odgłosu przypominającego uderzenie topora rzeźnickiego, gdy klinga wbiła się od dołu, tuż nad lewym biodrem mężczyzny. Usta i oczy Sawtre'a zaokrągliły się w wyniku szoku, gdy Helga upuściła tarczę, położyła obie dłonie na rękojeści i szarpnęła klingą w górę, wykręcając ramiona i plecy.



Uwolniła klingę. Czuć było mocny smród gówna, a wyspiarski szlachcic zwałił się na kolana i chwycił za wypływające różowo-czerwone wnętrzości.

- Zamilcz, kobieto, powiedziałaś? - powiedziała Helga, dysząc z wysiłku. - Spróbuj *teraz* sobie pomilczeć, ty dupo velipada.

Miecz śmignął w górę, a Helga podniosła zgiętą prawą nogę i opadła na nią ciężko; klinga poleciała ku dołowi, rozbryzgując czerwone kropelki i trafiła w szyję mężczyzny. Sawtre osunął się zwiotczają na posadzkę, a jego krew rozlała się karminem na białym marmurze i zielonym malachicie schodów.

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Adrian wpatrywał się w nią i znowu wyglądał, jakby z kimś rozmawiał. Jego brat także się w nią wpatrywał, widząc w niej po raz pierwszy osobę, a nie symbol, o który jego brat chciał walczyć. Oczy miał szeroko rozwarte z podziwu wobec tego, co właśnie zrobiła. Król Casull zamarł, zastanawiając się nad czymś innym. Jego głos przerwał narastające pomruki.

- Cóż, wydaje się, że *to* zmilczał - stwierdził, rozpierając się na tronie i opierając porośnięty zarostem podbródek na zwiniętej pięści. - I wiecie co? Już od dawna sobie myślałem, że Sawtre jest dupą velipada.

Zaśmiał się, a potem odrzucił głowę w tył i roześmiał się głośno. Natychmiast przyłączyli się niektórzy dworzanie, pozostali to podjęli, aż w całej sali ryczano ze śmiechu.

*Wszechojczy Vanbertu, najwiękkszy i najlepszy - ale z nich piraci!* Nawet spędziwszy rok na Wyspach, czasami zapominała...

Helga poczuła, jak ramiona zaczynają jej drżeć w spóźnionej reakcji. Adrian ponownie położył dłoń na jej plecach, łagodnie, ostrożnie, lecz stanowczo.

- A teraz, jeśli mój król wybaczy - odezwał się Adrian.

- Ależ oczywiście, mój Żelazny Kuternego - rzekł Casull, czyniąc odniesienie do kulawego kowala bogów. - Zatrzymaj lisicę, jeśli chcesz. Radzę nic odwracać się do niej plecami, ale - znowu parsknął śmiechem - to na nic się nie zdało temu oto lordowi Sawtre'owi, czyż nie?

Uniósł dłoń i zawołał, przekrzykując rozbawionych dworaków: - A teraz, moi panowie lordowie, przed nami miasto do złupienia!

\* \* \*

- I za lorda Adriana, ulubieńca Szarookiej, przynoszącego ze sobą zwycięstwo,

najlepszego pana, za którym może podążać wojownik! - zakrzyknął Simun, unosząc puchar. Arkebuzerzy z Bandy Błyskawicy - sami wymyślili tę nazwę - odpowiedzieli gromkimi wiewatami. Adrian się uśmiechnął i skinął głową. Przypominało to posiadanie stada oswojonych szabliskożębnych bestii - było czasami przerażające, ale z pewnością lepsze niż gdyby miało się ich przeciwko sobie. Długa sala pałacowa była nimi wypełniona, a także służbą i kobietami - ochotniczkami, no prawie, biorąc pod uwagę alternatywę - i zapachami jedzenia i wina, pospiesznie wymytych najemników natartych pachnącą oliwą oraz palących się kadzideł, wonnych latarni i girland... Światło migotało na surowych, pokiereszowanych twarzach, na ekwipunku oddziału i na stosach tobołów z łupami spiętrzonych pod ścianami, zgrabnie owiniętych w płótno z wypisanymi atramentem nazwiskami właścicieli. Byli gotowi do wyruszenia z rana.

- Za jego brata, za którego pośrednictwem Wodep znów zstąpił na ziemię - rzekł lojalnie Simun. - Nie można źle wyjść, mając przywódców, którzy są w łasce u bogów - to mądre.
- Niech żyje lord Adrian, który nauczył nas władać błyskawicami! - zakrzyknął ktoś inny.
- Niech żyje lord Adrian, który sprowadził nas do tego pałacu, w którym możemy pławić się w złocie!

To wywołało *prawdziwie* entuzjastyczne wiewaty. Okazało się, iż piwnica z winem, przez którą przeszli, była jakimś pomniejszonym skarbcem, zawierającym zapewne fundusze do zarządzania haremem dyrektora. Właściwie, to powinno to zostać oddane do ogólnego podziału, ale wszyscy się zgodzili, że oznaczałoby to kierowanie się zasadami aż do przesady. Było tego prawie tyle, co wynosił roczny żołd każdego z ludzi w jednostce, nie licząc tego, co zgarnęli w innych miejscach w ciągu dnia.

- A teraz zostawię was, abyście mogli sobie poucztować, jak na to zasłużyliście - rzekł Adrian.

Towarzyszyły temu kolejne dobrodusze okrzyki. Nie żywili do niego urazy za to, że nie brał udziału w zabawie. Zaczęli odczuwać pewną dumę z dziwaczności dowodzącego nimi uczonego z Gaju. Teraz nikt już nie wątpił, że mimo tego kim był, ma dość jaj. To się sprawdziło, przynosiło szczęście. Nie mieli więc zamiaru naprawiać tego, co nie było zepsute.

- Nie będzie to sympozjon9 dżentelmenów, co, panie? - powiedział Simun. Rzucił mu rozbawione, lubieżne spojrzenie. - Uważaj panie na jej miecz, zanim swój wyciągniesz!
- Adrian opuścił komnatę przy wtórze pełnych sprośnych rad porykiwań, zaczerwieniony,

uśmiechając się lekko. Jego własne komnaty były zapewne przedtem pokojami kapitana królewskiej gwardii, znajdowały się na piętrze i miały także płaski dach, otoczony przez mur 9 Sympozjon - w starożytnej Grecji druga część zebrania towarzyskiego, jedynie z udziałem mężczyzn, w

czasie której po spożyciu posiłku zajmowano się rozmowami urozmaiconymi śpiewem i występami aktorów

oraz tancerzy, (przypis tłum.)

sięgający głowy, z niską balustradą wychodzącą na dziedziniec do musztry. Balkon obstawiony był roślinami w donicach, a kwitnąca winorośl spływała gąszczem ku brązowej terakocie. Po gorącu i zapachach odczuwalnych w głównej sali, woń kwiatów była lekka i odświeżająca. Mury zasłaniały płomienie i tłumiły dźwięki dochodzące z pozostałej części Flakonu, pozostawiając widoczne jedynie gwiazdy w górze, liczne i jasne.

- Ach - powstrzymał się przed powiedzeniem *panno Demansk*. Szarooka wie, iż nie chciał, aby Helga wiedziała, że on wie. - Wolna kobieto Helgo. - Tym samym pokazał, że uważają za wolną obywatelkę Konfederacji, a nie niewolnicę, która zmieniła pana. Helga skinęła głową, pokazując, iż zauważyła to miano, a on mówił dalej: - Kazałem przygotować dla ciebie trochę rzeczy, możesz wziąć sobie tę komnatę koło schodów. Jutro wyruszamy.

- Cóż, właśnie się nad tym zastanawiałam - powiedziała Helga, wchodząc w krąg żółtego światła, jakie rzucała na terakotę mosiężna kula z bawełnianym knotem wypełniona oliwą. Miała na sobie czystą tunikę - męskie ubranie, ale nie było wątpliwości co do płci znajdującej się pod nią osoby. Spływające po plecach długie, miedziane kędziory zdobiła girlanda z fioletowych kwiatów. Trudno było pamiętać, jak wyglądała, gdy odtrąciła przeznaczoną dla niego gizarmę, skąpana we krwi... *I to z łatwością cię. Bogowie mi są wiadkiem, że byłem wtedy przerażony*. Choć oczywiście nie w połowie tak przerażony jak wtedy, gdy wyzwał Sawtre'a.

Adrian odchrząknął, zadowolony z panującego mroku. Głos dobiegł z klatki schodowej, towarzyszył mu gromki wybuch śmiechu, a potem skoczna melodia *kordaksa* wygrywanego na lirze. Sznur niosących pochodnie mężczyzn, w większości wspierających się na swych towarzyszkach - kobietach z miasta - choć było też paru chłopców - wypadł na dziedziniec budowli i zaczął więc się w tańcu dokoła fontanny i z powrotem do sali. Wyśpiewywali coś, czym powtarzało się jego imię, ale nie mógł rozróżnić co, przez wzgląd na odległość, trunek i pomieszanie głosów nie nawykłych do śpiewania w chórze.

*Ciekawe*, pomyślała odległa część umysłu Adriana-uczonego. Nigdy przedtem nie widział właściwie zwycięskiego *komosu*, choć stare eposy były ich pełne. To nie bardzo przypominało opisy podawane przez poetów. Poeci nie wspominali o mężczyznach zatrzymujących się, żeby zwymiotować lub padających z upicia jak kłody.

Są dżę , że raczej tak właś nie naprawdę to wyglą dało, nawet w *Wojnie Tysią ca Okrę tów*, pomyślał.

- Ach, uhm. - *Och, Gellerix, kiepsko mi idzie.* - Z pewnością nie zamierzam narzucać ci się siłą, wolna kobieto Helgo - powiedział wreszcie.

Helga się uśmiechnęła. - To bardzo szlachetnie z twojej strony - powiedziała, uprzejmie skinąwszy głową. Gest ten byłby na miejscu na kolacji w domu Audsleya w Vanbercie, tyle że znajome jego żony nie miały takiego stylu. - Zapewniam cię, że siła nie jest potrzebna.

- Ach, uhm. - *Och, Gellerix.* - Ach, naprawdę nie musisz się czuć w żaden sposób zobligowana, wolna kobieto Helgo - udało mu się wydusić.

- *Lubisz kobiety, prawda, Adrianie?*

Adrianowi zachciało się śmiać na widok jej nagle zmartwionej miny. - Cóż, owszem. Nie wierz we wszystko, co słyszysz o Szmaragdowcach, ja-ummm.

- Jesteś dokładnie odpowiedniego wzrostu - powiedziała Helga, przerywając pocałunek. - O dwa i pół cala wyższy ode mnie... Słuchaj, Adrianie, nie jestem dziewicą, moje szanse na małżeństwo i tak są gówniane, przez rok byłam zamknięta z sześćdziesięcioma kobietami, a ja *nie lubię* dziewcząt... *lubię* zaś ciebie. Jesteś fascynującym mężczyzną. Nie jesteś też kimś, kogo wybrał mój ojciec - to *mnie* się podobasz, jak już powiedziałam. - Uśmiechnęła się szerzej. - Czy mówię wystarczająco jasno?

- Aż zanadto - powiedział i porwał ją na ręce.

## **Rozdział siódmy**

- Preble - powiedział król Casull.

Potem postukał wskaźnikiem o stolik na mapy. Znajdująca się na nim skóra wielkobestii ukazywała wyspę w kształcie pestki brzoskwini, pokrytą budynkami, z przechodzącym przez środkiem pasmem błękitnej wody. Duszki wiatru wydymające policzki narysowano, by wskazywały przeważające wiatry, a kreska na wschodzie stanowiła wybrzeże kontynentu. Wokół króla stało kilku mężczyzn: jego dziedzic Tenny, Esmond, Adrian oraz wielki admirał Wysp, brat przyrodni Casulla, który popierał go w tym wyścigu po koronę i który nie miał

własnych synów. Chłodna, wieczorna bryza rozwiała zasłony, ukazując zatokę Kielicha, zapchaną statkami, a smród smoły docierał nawet tak daleko od przystani. Robiło się ciemno, lecz połyskująca czerwień podświetlała chmury wiszące na ciemnofioletowym niebie - było to odbicie lawy z kraterów znajdujących się ponad miastem.

- Zajmowaliśmy Preble za czasów mojego poprzednika, Casulla III, niech jego dusza spoczywa w pokoju z Bogiem Słońce - ciągnął dalej Casull. - Sędzia Markoman zabrał ją nam wraz z dawnymi dobrami królów Wysp na kontynencie. Zaledwie mila od wybrzeża - widać tu stare miasto - ale to jest świetna baza marynarki wojennej, prowadzą też ożywioną wymianę handlową. Moi szpiedzy, których mam na Preble wielu, donoszą, iż znajduje się tam tylko mały konfederacki garnizon, niecały batalion.

Wokół stołu zapadła cisza. Księżę, następca tronu, odchrząknął. - Na Preble powstała silna grupa lojalna wobec królów Wysp - powiedział. - Wystosowali do mnie zaproszenie, abym przybył i uwolnił ich od tyranów z kontynentów, a potem rządził nimi tak, jak należy rządzić ludźmi.

- I żeby nie musieli już płacić daniny Konfederatom - dodał Casull. - Jest ona ciężka. Konfederaci tak naprawdę nie rozumieją morskiego handlu... są właściwie rolnikami. Adrian pokiwał głową wraz z Esmondem. *Bez wą tpienia puszczono w obieg trochę złota z Kielicha, aby zebrać tę grupę rojalistów, powiedział Raj. Ale owszem, wyglą da to na dobrą okazję do przetestowania konfederackich sil.*

»Prawdopodobieństwo początkowego powodzenia wynosi siedemdziesiąt siedem procent plus minusz dziesięć« wtrąciło Centrum. »Wysoki stopień niepewności wskazuje na kilka czynników, przede wszystkim...«

*Póź niej o tym porozmawiamy*, pomyślał stanowczo Adrian. A na głos rzekł: - Mój królu, może uda nam się zająć Preble - powiedział. - Czy jednak zdołamy utrzymać wyspę?

Termy wydał lekko dolną wargę. Adrian przeklął się w duchu; powinien był ująć to bardziej taktownie. Casull pokiwał głową.

- Oto jest pytanie - rzekł. - W normalnych okolicznościach, nie. Wyspa znajduje się zbyt blisko kontynentu, konfederackich armii i ich floty. Flota nie stoi w gotowości - to znaczy jest ogołocona z takielunku i wciągnięta do hangarów - ale dość szybko mogą ją wypuścić w morze.

- Z marynarzy będą dobrzy poganiacze bydła - zauważył Tenny. Jego ojciec zmarszczył

brwi.

- To prawda, ale nie lekceważ ich liczebności ani dyscypliny, ani tego, jak walczy ich piechota, jak już dostanie się na twój pokład - poprzedni królowie Wysp tak zrobili, na swoje nieszczęście. - Casull III, na przykład, zapłacił za to życiem. - Za pomocą nowej broni szacownego Adriana *moż e* mamy szansę jej utrzymania.

Adrian przesunął palcem po wąskiej cieśninie. - Jak tu jest głęboko, mój królu?

- Ach, widzisz problem. Płytko - przesmyk jest pełen mielizn. Niemożliwy do przebycia dla okrętów wojennych, ale dobry dla płaskodennych barek przewożących oddziały szturmowe.

- Mogą spróbować postawić groblę - rzekł w zamyśleniu Adrian. - Jeśli zagonią do kopania wystarczającą liczbę wieśniaków.

Casull skrzywił się lekko. - To byłoby jeszcze gorsze. Niech ich diabli porwą, zawsze starają się zmienić morze w ląd.

- Na boga trójzębu, tym razem tego pożałują - rzekł z pewnością siebie Esmond. -

Większość nowej broni Adriana ma odpowiedni zasięg, aby zmienić cieśninę w *piekło*.

- I tak oddamy ich w ręce Cieniom - zaśmiał się Tenny, oblizując usta. - A ja będę królem na Preble.

- Pod moją władzą - dodał sucho Casull, a książę spuścił wzrok. Ojcobójstwo miało na Wyspach długą tradycję. - Wysyłając ciebie, mój synu, daję ludziom z Preble zapewnienie, iż będą wolnymi poddanymi, a nie własnością, z której się wszystko wyciska.

- A co z miejską milicją? - spytał Esmond. - W mieście tej wielkości powinno ich być... jakieś dziesięć tysięcy.

Casull skinął głową. - Na początku nie będą się włączać - powiedział. - Nie, jeśli nasz plan powiedzie się tak, jak się tego spodziewamy. Potem nie będą mieli *wyboru*, tylko przyłączyć się i walczyć dla nas.

- Oczywiście, jeśli Konfederaci będą myśleć, że ci z Preble nie są lojalni - powiedział Esmond. - Rozumiem, mój panie, że szturmowcy mają znaleźć się na czele tego przedsięwzięcia? - Skłonił się Tenny'emu. - Pod dowództwem twego walecznego syna.

- Oczywiście - Casull się rozpromienił. - A twój brat będzie z tobą, aby dopilnować rozstawienia nowej broni, mającej bronić naszego nowego miasta. My nadpłyniemy z flotą. Dwaj Szmaragdowcy uśmiechnęli się i skłonili przed królem Wysp. Adrian nie

potrzebował głosów z zaświatów, aby wiedzieć, co myśli król: jeśli kości źle upadną, straci tylko jednego syna, którego można zastąpić, i kilku najemników-Szmaragdowców; jeśli się powiedzie, to zdobędzie jedno z najbogatszych miast na Zachodnim Morzu.

»Król musi tak myśleć, chłopcze« powiedział Raj. Adrian zobaczył szare oczy, o znużonym, lecz rozbawionym spojrzeniu. »Nigdy nie musiałem nim być, za co dziękuję Bogu.«

- Kiedy uderzamy? - spytał Esmond.

- Jak tylko się da. Gdy zbierze się flota, zaroi się tutaj od szpiegów Konfederatów, przyciągniętych jak muchy do gówna velipada, a to jest logiczny krok. Nakarmię ich tuzinem sprzecznych historyjek. W ten sposób nawet gdyby dowiedzieli się prawdy, to może zagaść ona w nawale pozornie prawdziwych kłamstw. Lecz mimo to lepiej uderzyć, zanim postanowią wzmocnić wszystkie nadbrzeżne garnizony.

Esmond skinął głową. - Zatem, jeśli moi panowie pozwolą, oddalimy się wraz z bratem, aby zająć się przygotowaniem. Morscy szturmowcy będą gotowi do wypłynięcia za trzy dni.

- Moja Banda Błyskawicy w przeciągu tygodnia - powiedział Adrian. - Trzeba mi czasu na zmodyfikowanie części sprzętu i zebranie pozostałej.

\* \* \*

- Co jej dałeś? - zaśmiał się Esmond, miażdżąc w dłoni orzech.

- Cóż, tego chciała - rzekł, broniąc się Adrian.

- Kwiaty, zajęczka, klejnoty, to rozumiem. Ale ty dałeś jej *m iecz*?

- Cóż, ten, który miała, nie był dobrej jakości - wyjaśnił Adrian.

Był zmęczony. Obydwaj byli, mając tyle roboty do wykonania. Pomiędzy otomanami, które zajmowali, na niskim stoliku stał lekki posiłek: oliwki, suszone ryby, oliwa i chleb do maczania w niej oraz rozcieńczone wino. Pomieszczenie było pobielone, z wzorkiem niebieskich listków biegnącym dokoła górnej krawędzi, a drzwi wychodziły na ogród pełen bzu. Równie dobrze mogło to być w Solindze, nawet zapach morza był swojski, poza subtelnym dysonansem w dźwiękach oraz śladową wonią dziwnych przypraw i bujnej roślinności towarzyszącą portowemu smrodowi. Kolejny stół, znajdujący się w przeciwległym końcu pokoju, zavalony był pokrytymi woskiem dyptykami i 10, zwojami, kawałkami trzcinowego papieru i modelami.

Esmond oderwał kawałek z długiego bochenka chleba. - Cóż - powiedział z premedytacją

i braterskim okrucieństwem - ten miecz wystarczył do skutecznego wyprucia flaków lordowi Sawtre'owi. Jeśli już musiałeś zadać się na stałe z kobietą, i to Konfederatką, wybrałeś przynajmniej obdarzoną niezwykłymi talentami. - Zaśmiał się. - Przynajmniej nie jest żoną Audsleya ani córką sędziego Demanska.

Jego brat może i nie był uczonym z Gaju, mającym w głowie odwieczną maszynę i ducha starożytnego generała, ale był Szmaragdowcem i w dodatku nie głupim - co oznaczało, że był ważnym obserwatorem.

- Zaczekaj chwilę! - powiedział Esmond, nieco się unosząc. - Gównu w Cieniach, ona *jest* córką Demanska - tą porwaną przez piratów.

- Zamknij się! - warknął Adrian.

Zaszokowany, Esmond zamilkł na chwilę. Adrian rzadko przemawiał ostro. Tym razem wyraźnie przez moment walczył o odzyskanie panowania nad sobą, a było to na tyle rzadkie wydarzenie, że oczy jego brata rozwarły się szeroko.

- Nie będziesz już o tym mówić - rzekł chłodno.

- Ale dlaczego? - spytał Esmond.

- Bo nie chcę, żeby myślała, że posługuję się nią, aby mieć jakiegoś haka na jej ojca.

Czego, tak przy okazji, nie robię i robić nie będę.

Esmond zamrugał ze zdumienia swymi niebieskimi oczami. - Ale dlaczego, bracie, jeśli - no nie. *Nie* mów mi, że podrapał cię jeden z kotów Gellerix i złapałeś gorączkę!

Adrian spuścił wzrok. Bawił się suszoną figą. - Można tak to nazwać. Można też powiedzieć, że lubię ją i szanuję - odparował.

- Adrianie, bracie, proszę, pomyśl. - Esmond zamilkł na chwilę i prychnął. - Podkradam ci rolę, jak aktor... ale, naprawdę, pomyśl, bracie. Przynajmniej małżeństwo nie wchodzi w rachubę... och, Gellerix! - przerwał, widząc wyraz twarzy Adriana.

- Esmondzie, czy masz pojęcie, *jak nudna* jest rozmowa z większością kobiet?! - warknął Adrian. - Jak nudna *jest* większość kobiet? To nie ich wina, bogowie to wiedzą, większość z 10 Dyptyk - dwie połączone zawiasami tabliczki zamykane jak książka, o pokrytych woskiem ściankach,

służące w starożytności do pisania, (przypis tłum.)

nich jest cały czas zamknięta i nie wykształcona, ale...

Przerwał, widząc zdumioną minę Esmonda. *Twoja Nanya była niczym drżąca gołą bica*, pomyślał z bezsilną złością. *I bogowie wiedzą, że Wodep mieszkają cy w twojej duszy uczynił z*



*tego faktu uosobienie kobiecość ci. Ja, mój bracie, jestem z innej gliny.*

- Ona jest...

Obrzucili się niebezpiecznymi spojrzeniami, wymieniając niewypowiedzianym przesłaniem: *jeś li nie bę dziesz jej nazywał dobrami z drugiej rę ki, ja nie powiem niczego o Nanyi, i to by było na tyle*, pomyślał Adrian.

- Adrianie - powiedział powoli Esmond. - Córka Demanska to Konfederatka, nie tylko z urodzenia. *Wychowano* ją na ich starych opowieściach, obcowała z pośmiertnymi maskami Demansków, którzy byli sędziami i mówcami jeszcze za czasów, gdy Vanbert było wioską z błota i wikliny. Jak sądzisz, co będzie czuła, gdy dowie się, że walczysz o to, aby obalić Konfederację Vanbertu?

*Od czasu do czasu powinienem sobie przypominać , jak bystry jest Esmond*, pomyślał Adrian, krzywiąc się. Jego brat nie miał temperamentu uczonego, ale był obdarzony przynajmniej taką samą siłą myśli jak jego młodszy brat i ogromną zdolnością koncentracji.

- Przyjdzie czas, aby się z tym zmierzyć - powiedział powoli. - Słuchaj, Esmondzie... czy nie mogę mieć paru dni? Tylko paru?

- Oczywiście - powiedział Esmond, a w jego oczach pojawił się wyraz udręki, - Sam wiem, jak krótki jest to czas.

Na zewnątrz zabrzmiał stukot kroków i zadźwięczały głosy. Jeden z nich był wysokim, czystym sopranem. Weszła Helga Demansk, mająca tym razem na sobie kobiecy strój - długą, błękitną suknię z kapturem okrywającym splecione w warkocze włosy przewiązane czarną wstążką.

- Adrianie! - powiedziała, wręczając koszyk z zakupami służącej. - Pasuje! Och, witaj, Esmondzie.

- Helgo - odezwał się Adrian, nieco się podnosząc i schylając głowę. - Co pasuje?

- Pancierz i hełm - powiedziała. - Wykonują tu dobre wyroby z metalu, muszę to przyznać, mimo iż są z nich pirackie psy. - Adrian skrzywił się lekko i rozejrzał. - Och, nie martw się, Adrianie - ciągnęła dalej. - Oni są *dumni* z bycia piratami.

- Ale nie psami - rzekł.

- Czy powiesz mi już, gdzie zmierza ta nowa ekspedycja? - spytała, z zielonym błyskiem w oku. - W takim tempie Casull wkrótce zdobędzie wszystkie wyspy.

- Czy tak ci spieszo, pani, do zabijania ludzi? - spytał Esmond.

Tym razem Helga nieco odwróciła wzrok. - Cóż, nie - powiedziała. - Niezupełnie. Ale to jest... ekscytujące. Wiesz, o co mi chodzi?

- Niestety tak - zgodził się Esmond.

Helga sięgnęła do koszyka. - I popatrzcie, co znalazłam - ciągnęła dalej bardziej radośnie.

- Egzemplarz *Wojny Tysiąca Okrętów*. Utrzymywałam się przy zdrowych zmysłach, między innymi recytując spore kawałki tego z pamięci, ale już tak dawno nie miałam niczego do czytania.

Esmond się roześmiał. - Ty i mój brat zostaliście dla siebie stworzeni przez bogów, pani. Nawet gdy staraliśmy się ująć z życiem, jechały z nami dwa juczne velipady obładowane zwojami.

Helga się zaśmiała, lecz także nachmurzyła lekko. - Z tego, co słyszę, ten idiota Audsley doprowadził do śmierci wielu dobrych ludzi - powiedziała. - Cholerny zdrajca... i oczywiście stracił głowę, gdy spotkał... sędziego Demanska. Demansk jest *prawdziwym* generałem i leży mu na sercu dobro państwa.

»Zgadza się« powiedziało Centrum. »Dlatego też istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż będzie wrogo nastawiony do naszych innowacji. Jednakże dobrze byłoby uzyskać jego pełniejszy psychostatyczny profil. Obiekt Helga Demansk byłby tu nieocenionym źródłem danych.«

*Zamknij się, do cholery*, pomyślał Adrian. Czuł, jak Raj się z nim zgadza; było to osobliwe, pozawerbalne porozumienie, niczym duchowy odpowiednik zobaczenia wyrazu twarzy człowieka.

- Przepraszam - ciągnęła po chwili Helga. - Czasami zapominam, że jesteście Szmaragdowcami.

- Szmaragdowcy i Konfederaci są tu na Wyspach prawie jak bracia krwi - rzucił lekko Adrian. Była to na swój sposób prawda, ale z drugiej strony całkowite kłamstwo.

Helga spotkała się z nim spojrzeniem i uśmiechnęła, a zmartwienia rozplynęły się w tym momencie słodszy niż miód. Po chwili Esmond chrząknął i wstał.

- Cóż, wiem, kiedy jestem trzecim kołem u rydwanu - powiedział. - Zatem do jutra, bracie.

\* \* \*

- Zbliżamy się nieco do kontynentu, prawda? - powiedziała Helga.

- To *jest* kontynent - odparł Adrian.

Galera sunęła tylko pod żaglem, przysadzistym, kwadratowym żaglem popychającym jej smukły kadłub ku wschodowi. Adrian stał na pokładzie, otulając ramionami i płaszczem stojącą obok niego kobietę. Nie poruszał się, bowiem gdy stał nieruchomo, wystarczał mu tylko mroźny łuk gwiazd w górze, widmowe półksiężyce, zapach morskiej wody, potu i smoły zmieszane z wonią jaśminu i czystej, zdrowej kobiety, jaką była Helga. Kiedy nie myślał, umysł mu nie pękał i nie krwawił...

- Panie... - zaczął kapitan statku. Był on człowiekiem Casulla, a oni nie powinni byli znajdować się nigdzie indziej, tylko w pobliżu Preble.

- Ty, zamknij się! - rzucił Simun.

Wyspiarski kapitan spojrzał na niego i na dziesiątki arkebuzerów Adriana rozłożonych na pokładzie galery, owiniętych w płaszcze i śpiących, rzucających kośćmi w misie odwróconej tarczy, żujących suchary i suszone owoce lub też po prostu siedzących cierpliwie w kucki. Jego załoga liczyła mniej więcej tyle samo ludzi, i choć wszyscy, oprócz piętnastu, byli wioślarzami i marynarzami, twardymi, hardymi ludźmi, przydatnymi w walce, to nie mogli się mierzyć z mającymi miecze żołnierzami w lekkiej zbroi. A sądząc po beznamiętnym spojrzeniu małego podoficera, z przyjemnością poderżnęliby mu gardło, wyrzucili ciała załogi za burtę zaraz po nim i stali się roratami, na jedno słowo tego Szmaragdowca. Byli *jego* ludźmi, nie króla.

- Rozkazy, panie? - spytał Adriana.

- Wprowadź okręt lekko na plażę - powiedział Adrian, a potem spojrzał przed siebie. - Jest tam płytka woda, opadające łagodnie dno i miękki piasek - tylko go podprowadź.

Kapitan zadrżał i wykonał palcami ukradkowy znak. *Te oczy... Nie przypominają oczu innych ludzi. Jakby wyglądały z nich demony albo duchy - lub też bogowie? Krążą opowieść ci, że z nim rozmawiają . Trzeba na niego uważać .*

Odwrócił się, aby wydać rozkazy sternikom i szyprowi. Żagiel i reja opadły z przytłumionym łupnięciem i zostały zwinięte; znajdujący się pod pokładem wioślarze poruszyli się w sennym proteście. Dało się słyszeć parę okrzyków, gdy trzasnęły końcówki sznurów botswena, a potem ze stukotem wysunęły się wiosła, zamarły i zanurzyły się w ciemną, odbijającą gwiazdy wodę i pociągnęły. Statek skręcił ku czarnej linii wybrzeża, gdzie niskie fale, biała piana i jasny piasek tworzyły krechę w ciemnościach nocy. Woda była

spokojna, a statek był jednostką bojową zbudowaną do działań przybrzeżnych. Z tyłu, za nim, czarnoksiężnik rozmawiał po konfederacku ze swoją kobietą, w języku, z którego kapitan znał tylko kilka słów.

- Adrianie - odezwała się Helga. - Co się dzieje?

Szmaragdowiec zaczerpnął głęboki oddech. - Nie powiedziałem ci, gdzie zmierzamy - rzekł. - Bo nie chciałem niczego psuć wcześniej, niż... niż musiałem.

- Zamierzacie zaatakować terytorium Konfederacji - powiedziała cichym głosem, spokojnym jak jej spojrzenie.

- Tak - powiedział Adrian.

- Preble? To logiczny cel i słabo broniony.

Adrian poczuł, jak nóż wwierca mu się głębiej. *Ta kobieta ma rozum*, pomyślał.

Niektórzy uczeni z Gaju utrzymywali, że jedyna prawdziwa miłość jest możliwa pomiędzy mężczyzną a młodzieńcem, bowiem tylko wówczas następowało spotkanie umysłów, a nie tylko ciał. Uznawał przedtem teoretyczną siłę tego argumentu, lecz już nie, już nie...

- Tak.

- Adrianie... - Zbliżyła się i położyła mu dłoń na ramieniu. Ledwo ją wyczuwał przez naramiennik pancerza, lecz zdawało się, jakby promieniowała gorącem.

- Adrianie, nie rób tego. Zginiesz. Nie rozumiesz, że nawet jeśli na początku wygracie, to w końcu Konfederacja *zawsze* powraca. Proszę, nie marnuj swego życia...

*Ona myśli o mnie*, uświadomił sobie ze zdumieniem. Potrząsnął głową i mówił dalej:

- Muszę... wracać do brata. I nie zamierzam prosić, abyś walczyła przeciwko swemu krajowi... może nawet przeciwko żołnierzom twego ojca.

Szok sprawił, iż Helga pobladła.

- Wiedziałeś?

- Jesteś do niego podobna. I wiedziałem o napadzie. - Przykrył ręką jej dłoń spoczywającą na brzązie jego zbroi. - Helgo... nic mnie to nie obchodziło. I teraz też nie obchodzi.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Wierzę ci - powiedziała. - I nie odsyłasz mnie teraz jako dar dla niego?

Wykrzywił usta w uśmiešku. - Twój ojciec znany jest ze swojego patriotyzmu. Jak się nazywał ten dawny konfederacki generał, ten, który kazał stracić własnych synów, gdy

zapropowali poddanie się?

- Louis deVille - odpowiedziała automatycznie. - Było to w czasie wojny króla Piotra. *Tego, który wymyślił określenie: piotrowe zwycięstwo*, przypomniała Adrianowi akademicka część jego umysłu. Było to na długo przed konfederackim podbojem ziem Szmaragdowców, gdy Szmaragdowiec - czy też pół-Szmaragdowiec - wciąż mógł najeżdżać na Konfederatów. Ale nie wywalczył żadnych ustępstw, choć wygrał pół tuzina krwawych bitew z rodzącą się konfederacką armią. Problem był w tym, że oni mogli zastąpić poległych ludzi, a on nie.

- Cóż, jeśli deVille był gotowy poświęcić swych synów, to sądzę, że twój ojciec - choć musi cię kochać - poświęci córkę za Preble. Nie zamierzam kupować sobie za ciebie żadnych łask u niego.

Zajrzała mu w oczy. - Jak dobrze go znasz - powiedziała. - Czy jest coś, czego nie wiesz?

- Nie wiem, jak mogę zdobyć to, czego chcę najbardziej na świecie i jednocześnie nie stracić honoru - powiedział.

Nie uroniła łez, które błyszczały w jej oczach. Adrian znalazł ten jeden argument, który miał największą wagę dla kogoś, kto został wychowany w domu konfederackiego szlachcica odznaczającego się starożytną cnotą. *Fakt, że jest to smutna prawda, jest swego rodzaju premią, jak sądzę.*

Okrzyk dochodzący z dziobu był cichy, lecz dobrze się niósł. - Brzeg!

- Wiosła, stać! - zawołał kapitan. - Przygotować się do wpadnięcia na mieliznę.

Adrian i Helga tak zrobili, obejmując się ramionami i chwytając za liny Statek kołysał się lekko i pół tuzina członków załogi wyskoczyło przez dziób, aby utrzymać go w równowadze. Woda sięgała im do pasa. Mimo swej długości i paskudnego tarana okutego brązem, okręt był absurdalnie lekki; śmigający kadłub z cienkich, sosnowych desek.

Mężczyzna i kobieta podeszli do dziobu, ręka w rękę, w milczeniu. Adrian wskoczył do zimnej wody, chwycił Helgę w pasie i podniósł. Była sporym ciężarem, mając na sobie lekki pancerz i resztę ekwipunku. Arkebuzerzy z Bandy Błyskawicy spuścili służącą, jaką kupił jej w Kielichu, i lekki worek marynarski.

- Jest w nim dosyć, abyś mogła dotrzeć bezpiecznie do Wielkiej Zatoki i znajdującego się tam konfederackiego garnizonu - powiedział, wsuwając miękki i ciężki zamszowy miśzek do sakiewki u jej pasa. - A...

- A? - spytała, podnosząc głowę.

- A ja może nie zawsze będę wrogiem Konfederacji - rzucił w pośpiechu. - Kiedy - jeśli - tak się stanie, czy mogę cię odwiedzić?

Uśmiechnęła się z odwagą, która rozkrwawiła mu serce. - Tak - powiedziała. - I poproszę o to ojca. - Na chwilę uśmiechnęła się łobuzersko. - Powiedziałam ci, jakie mam szanse na małżeństwo, czyż nie? - I dodała z powagą: - Utrzymaj się przy życiu, Adrianie.

- Postaram się. Tak, lepiej, żebym ruszał. Niech bogowie będą z tobą.

Przyglądał się, jak dwie postacie idą plażą, ku wysadzanemu drzewami traktowi znajdującemu się sto jardów w głębi lądu. Trakt lśnił bielą w świetle księżyca; wstęga wędrowców przecinająca wrzosowiska graniczące tutaj z morzem. A potem odwrócił się i pochwycił wyciągniętą rękę. Żołnierze wciągnęli go z powrotem na pokład. Stał na nim, milcząc, podczas gdy załoga zepchnęła okręt, wiosła uderzyły, odpychając wodę i zwróciły dziób galery ku zachodowi.

\* \* \*

Esmond Gellert stwierdził, że czekanie jest najtrudniejszą rzeczą.

*Słona Łajba* nie była okrętem wojennym - smukłą galerą bogato wyposażoną w wiosła - lecz statkiem kupieckim przewożącym ziarno, ryby, oliwę i mieszany ładunek wzdłuż zachodniego wybrzeża, na Wyspy i na południe, do kraju barbarzyńców. Łajba miała na burcie jedynie pół tuzina długich wiosel, tylko do wpływania i wypływania z trudnych portów. Jej kadłub przypominał łzę, z wygiętą głową łabędzia wznoszącą się ponad pokładem i wiosłami sterowymi na rufie; miała jeden wysoki maszt na śródkręciu, a z przodu szeroki dziób o prostopadłych burtach. Z wypornością pięciuset ton statek był całkiem spory i to oraz wysokie burty i znaczna załoga, plus kilka wyrzutni oszczepów, wystarczało zwykle do odstraszenia piratów. I tak zwykle bardziej opłacało się piractwo przybrzeżne.

- Taak, czekanie jest najgorsze - powiedział Donnuld Grayn.

Esmond drgnął lekko. - Cholera, nie wiedziałem, że mówię na głos.

Starszy najemnik wyszczerzył szczerbate zęby w uśmiechu i podał mu bukłak mocno rozcieńczonego wina - jeden do trzech. - W tej robocie większość czasu się nudzisz, a kilka minut na godzinę zesrywasz się ze strachu - stwierdził filozoficznie. - To znaczy, jak nie cierpisz na chorobę morską... tą balią kołysze gorzej niż galera.

*Słona Łajba* nie wiozła ładunku, ale uzbrojonych ludzi - pięciuset, upakowanych pod

pokładem jak suszone ryby lub leżących na nim płasko, aby pozostać niewidocznymi przed ludźmi, takimi jak na przykład inspektor z małej galery służb celnych, która zbliżała się z boku. Tuzin jej wiosł wpuścił ją z łatwością dopasować się do powolnego bujania kupieckiego statku, unikając dziobu rozgarniającego śmietankową pianę wodną, tworzącą klin skierowany ku niskiej, ciemnej bryle znajdującego się przed nimi miasta. Na wodzie migotały czerwone błyski ze znajdujących się tam świateł - latarni zawieszonych na masztach zgromadzonych tam zakotwiczonych statków i niesionych przez przechadzające się po wysokich blankach murów strażę.

- Spóźniłeś się, Sharlz! - zawołał urzędnik, podnosząc latarnię.

Jego światło zaśniło na wodzie i wygolonej czaszce oraz obliczu o wielkim nosie ze złotym kółkiem w jednym uchu. Był on Wyspiarzem, a nie Konfederatem - Preble było oficjalnie wolnym miastem pozostającym w sojuszu z Konfederacją, choć tutejszy konfederacki prefekt miał o wiele więcej do powiedzenia niż rada magnatów.

- Przyływ, wiatr i zamysły kobiety, Juluku - powiedział kapitan, drapiąc się po włochatej piersi w miejscu, gdzie rozchyłona koszula ukazywała skręcone, posiwiałe włoski. Był on bardzo wysokim mężczyzną, ogromnie wysokim jak na Wyspiarza, z nochalem, który czynił niewielkim nawet nos oficera celnego.

- Skąd płyniecie i z jakim ładunkiem?

- Z Kielicha. Kamień ozdobny, figowa brandy, suszone ryby mackowate i ostry pieprz, indygo w kostkach, korzeń zwycięzcy i kawa - odpowiedział spokojnie.

- Ach. Czy wygląda na to, że król Wysp ostrzy sobie na nas zęby?

- Nic takiego nie widziałem, ale ja trzymam się z daleka od takich spraw.

- Cóż, to dobrze - powiedział celnik. - Przetrzymaj ładunek w zamknięciu do jutra, dobra?

- Ty też jedź gównem, Juluk - czy mam rozładowywać w środku nocy?

- Mógłbym teraz wejść na pokład i przeprowadzić inspekcję, Sharlz.

Kapitan Thicelt odczepił mieszek od pasa i rzucił go w lukę, jaką za pomocą wiosł utrzymywała załoga łodzi celniczej. - Jak zawsze, coś na osłodę - a będąc tutaj, nie musisz dzielić się tym ze swoim szefem.

- Nie całością - powiedział Juluk, sprawdzając ciężar mieszka. - Płynicie dalej.

Dotarli do wejścia do wąskiego kanału rozszczepiającego Preble z północy na południe.

Niegdyś, gdy było to miejsce zamieszkania lataczy i morskich bestii, a nie ludzi, był to naturalny przesmyk pomiędzy dwiema skalistymi wysepkami. Zatoka stanowiła półokrąg; przystanie i mola, przy których stały nawet po trzy statki koło siebie. Niektóre z jednostek były równie duże jak ich statek, inne miały różne rozmiary, aż po łodzie rybackie. Ich maszty tworzyły pozbawioną życia, bezlistną siatkę na tle nieba, kanciasty las, kołyszący się, skrzypiący i szeleszczący. Światło zgasło, gdy statki i budynki przysłoniły księżyc i gwiazdy, a czysty zapach morza został zastąpiony przez niezmienny smród dużego portu. Z wody dobiegły pluski i szelesty, a raz załśniła para ogromnych srebrzystych ślepi - padlinożercy żerujący na odpadkach i niepożądanych ciałach oraz pijakach, którzy spadli w nocy z trapów.

- Zwinąć żagiel! - rzucił kapitan *Słonej Łajby* i zwrócił się ku Esmondowi.

Szmaragdowiec czuł i widział pot błyszczący mu na twarzy w słabym świetle odbijających się latarni i nieba. - Wiosłować spokojnie do wejścia do kanału... Teraz wasza kolej, czcigodny generale.

Esmond walnął go w ramię. - Dobra robota - powiedział. - Zasłużyłeś sobie na to, co król ci płaci, i nie tylko. Nie zapomnij przyjść się ze mną zobaczyć w tej sprawie, jak już miasto będzie nasze.

Uśmiech pojawił się na obliczu wysokiego Wyspiarza. - Przekonasz się, czcigodny panie, że przed tym nie będę się krępować.

Nawet tak późno w nocy robotnicy portowi byli gotowi z zaprzęgiem potężnych wielkobestii. Pochwycili linę, jaką rzucili marynarze, zaprzęgli zwierzęta i zaczęli ciągnąć statek przez bramy morskie ku miastu.

Po obu stronach kanału biegły brukowane drogi, z jednej zatoki w kształcie półksiężyca do drugiej. Za nimi majaczyły magazyny, połączone tak, że tworzyły na swój sposób mur od strony morza, uniemożliwiając nieprzyjacielowi wdarcie się do miasta od strony otwartej wody. Ciężkie, żelazne kraty zamykały tu i ówdzie drogę prowadzącą głębiej w miasto, a żelazne łańcuchy mogły też w razie potrzeby zamknąć kanał.

Jacyś ludzie czekali w połowie kanału, ludzie z zasłoniętymi latarniami, którymi zamigotali krótko. Otoczyli robotników, a Esmond dostrzegł jakiś błysk w ich rękach - pewnie w jednych długie noże, a w innych złoto. Wiedział, co by wybrał, gdyby był zaspanym, miejskim niewolnikiem na nocnej straży w przystani. Wycofali się, a za nimi



skonstruowane wielkobestie, zaś na drogę spadły kolejne liny. Pochwyciły je pomocne dłonie i naciągnęły. Drewno zachrząściło o kamień.

- Dla króla i bogów! - zawołał cicho jakiś głos.

- Dla księcia Tenny'ego i wolności - odpowiedział Esmond.

Mężczyzna zeskoczył z łatwością przez reling na nawierzchnię drogi znajdującej się cztery stopy w dole. - Generał Esmond Gellert z żołnierzami księcia. Jesteście gotowi?

- Enry Sharbonow, sufeta Preble. Gotowi, i to jeszcze jak. Tędy.

Esmond odwrócił się. - Zejść na ląd zgodnie z planem! - zawołał. - Żadnego pokrzykiwania. Pozbędę się każdego, kto wyłamie się z szeregu!

*Oczywiś cie oprócz niego*, stwierdził kwaśno w myślach, gdy księżę Tenny zeskoczył na brzeg, zamiatając fioletowym płaszczem i chrzęszcząc posrebrzaną zbroją - spiczasty hełm z kitą, pancerz, grawerowane naramienniki... Pół tuzina przyjaciół-gapiów, jakich ze sobą zabrał, było równie ślicznych, przynajmniej zanim niektórzy z nich zachorowali na chorobę morską. Trzeba przyznać, że Tenny nie wyglądał na zdenerwowanego, jak niektórzy z nich.

*Dzielny albo zbyt głupi, by zrozumieć ryzyko, a może jedno i drugie*, pomyślał Esmond. Preblienianie przypadli na jedno kolano przed księciem. Ten uśmiechnął się i dał im znak, by powstali. - Nie martwcie się, przyjaciele - powiedział głosem wyćwiczonym w przemawianiu. - Wkrótce dobiegnie końca noc konfederackiej tyranii. Tak jak wschodzi słońce, tak powstanie nowe, niezależne miasto Preble.

Wyglądało na to, że kilku spiskowców z Preble miało ochotę odpowiedzieć własną mową na przemówienie księcia... Esmond z ulgą dostrzegł, że Enry do nich nie należał.

- Wasza Wysokość, witaj w lojalnym wobec ciebie mieście - powiedział. - Tędy, proszę. Garnizon nie wysyła patroli, ale nie są ślepi i *ktoś* ich zaalarmuje, jeśli nie będziemy działać szybko.

Szturmowcy prędko uformowali szyki, robiąc tak niewiele hałasu, jak było to możliwe przy pięciuset uzbrojonych ludziach poruszających się w ciemnościach po kamiennych płytach. Esmond stanął na czele, koło sztandaru i gońców dowódcy. Donnuld Grayn uśmiechnął się do niego kącikiem ust.

- Myślisz, że księżę bardzo skrewi? - spytał szeptem.

- Mam nadzieję, że najpierw zajmiemy miasto - powiedział Esmond. - A tak przy okazji, nie żartowałem o obcięciu jaj każdemu, kto zacznie gonić za spódniczką albo złotem.

Grayn skinął głową. - Będziesz musiał obciąć je trupowi, po tym, jak ja z nim skończę - powiedział. - Pewnie trafi się jeden albo dwóch idiotów. Utrzymanie w ryzach najemnych żołnierzy w nieprzyjacielskim mieście w nocy nie będzie łatwe.

- To *nie jest* nieprzyjacielskie miasto. To ma być *nasze* miasto, a my je tylko odbieramy Konfederatom.

Grayn uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Zwykłego żołnierza nie interesują takie rozróżnienia - powiedział. - Ale zrozumieją mój but na swoich tyłkach. I nie martw się, panie, nie zepsują roboty. Przy tobie wygraliśmy parę trudnych bitew. Jeśli powiesz, żebyśmy pomalowali się na zielono i skakali jak kermitoidy, to większość ludzi tak robi.

\* \* \*

- *Otworzyli bramy?* - rzekł z niedowierzaniem Donnuld.

- Sam bym w to nie uwierzył, gdybym tego nie widział - powiedział Esmond.

Enry Sharbonow zakaszał dyskretnie. Był dyskretnym człowiekiem, w średnim wieku i szczupłym, ze spiczastą bródką i małym, złotym kółkiem w nosie. Jednak kord, który miał u pasa, wyglądał na używany.

- Urządziliśmy ucztę dla dowódcy i jego oficerów - powiedział. - Można powiedzieć, że na dowód naszej lojalności wobec Konfederacji. Wszyscy są teraz w ratuszu miejskim. Posłaliśmy im wóz z winem, pieczonymi prosiakami i dość drogimi dziewczętami, żeby ludzie też mogli się zabawić. Niektóre dziewczęta dostaną premię, to one zajęły się bramą.

- Świetnie - uśmiechnął się Esmond. - Mam nadzieję, że to samo przygotujecie dla moich ludzi.

- Och, oczywiście, czcigodny panie - powiedział Enry. - I nie przyprawimy wina spirytusem z trzciny cukrowej.

Esmond roześmiał się na głos. Spirytus był bezbarwny i bezsmakowy, ale gdy próbowałeś pić go jak wino...

- W porządku - powiedział, rozwijając kwadrat trzcinowego papieru. - Donnuld, Maklin. Z tego, co widzę, nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy weszli prosto przez główną bramę. Koszary usytuowane są wokół brukowanego dziedzińca ze studnią, jak to zwykle bywa. Regułami konfederaccy żołnierze po tych dwóch stronach, to jest kwatera dowództwa, a tu stacjonuje lekka piechota. Połowa ludzi wyległa na plac, jedząc i popijając, a druga połowa pieprzy się w koszarach albo odwrotnie. Zajmują się już tym od jakichś kilku godzin. Maklin,

zablokuj lekką piechotę. Spróbujemy namówić ich do poddania się. Donnuld, ty zajmij się ludźmi na placu. Ja zabezpieczę koszary i kwaterę główną.

Nie było sensu próbować namawiać do poddania się regularnych żołnierzy konfederackich, chyba że najpierw roztrzaska im się łby. Była to jedna z przyczyn, dla której wojska konfederackie zwykle zadawały cięższe starty, niż same ponosiły, nawet gdy przegrywały - żołnierze konfederacy rzadko uciekali, a to właśnie przy beładnym odwróceniu i pościgu dokonywano prawdziwych rzezi.

Esmond podniósł wzrok na spiskowca z Preble. - A co z dowódcą i jego sztabem?

- Och - powiedział Emy. - Myślę, że nie musisz się o nich martwić, czcigodny panie.

Esmond wzdrygnął się w myślach - służba podająca wino, zachodząca od tyłu odprężonych i nieświadomych niczego mężczyzn, tylko tym razem z zakrzywionymi sztyletami w dłoniach, zamiast dzbanów. Przydarzyło się to kiedyś dowódcom słynnej jednostki najemnych Szmaragdowców służących w Kielichu, tuż po Wojnach Sojuszu, choć ludziom tym w większości udało się przedrzeć na wolność - był z tego niezły epos. Na swój sposób dobrze mu to zrobiło, przypominając o cienkiej warstwie ziemi, po której stapał, mając pod sobą czynny wulkan. Nigdy nie był tutaj bezpieczny, nigdy... a fakt, że tutejsi magnaci grali w podobną grę pomiędzy sobą, nie stanowiło pocieszenia. Oni byli Wyspiarzami, *lubili* to.

Było to dziwne. Tak właściwie, to od momentu śmierci Nanyi nie był *szczęśliwy*; ale nie żeby stał się emocjonalnie *odrętwiały*. Wciąż odczuwał pewne rzeczy: bał się, niepokoił, gniewał... a uczucie nienawiści było silniejsze niż przedtem. Było tak, jakby jakaś część jego istoty została wypalona.

*I wciąż mogę walczyć*, pomyślał. A teraz mógł walczyć z Konfederatami, a nie z wyspiarskimi piratami. *Mylłem się. Wciąż mogę być szczęśliwy... na swój sposób.*

Dobyl miecza. - Idziemy - powiedział. Biegący ludzie bardziej przyciągali uwagę od idących. - Za mną.

Esmond skręcił za węgiel, stąpając lekko po oślizgłym bruku. Uliczki pomiędzy ścianami czteropiętrowych czynszówek były tutaj wąziutkie; kaniony ciemności z wąskimi szparami dla gwiazd i księżyców w górze. Kontrastujące z tym jasne światła budynków garnizonowych Konfederatów niemal oślepiały, choć szeroki kwadrat światła szybko się zwężał.

- Cholera, do ataku! - zakrzyknął Esmond.

Tyle, jeśli chodzi o subtelność. Brama była ciągle otwarta, lecz się zamykała.

Zatrzaszkiwał ją oddział niechlujnie wyglądających konfederackich regularnych, pod dowództwem podoficera - potężnie zbudowanego mężczyzny z językiem siwych włosów i nogach oraz ramionach przypominających sękatę, pociętą bliznami pnie drzewa. Miał on na sobie szkarłatną tunikę, a nie zbroję i hełm z poprzecznym pióropuszem, ale nie można było się pomylić co do tego, kim był - pijany czy trzeźwy, nie zostawi tej bramy otwartej.

Odległość pomiędzy uliczką, w której czekali szturmowcy, a bramą do koszar wynosiła sześćdziesiąt jardów. Będą mieli dość czasu, aby spuścić zasuwę, zanim dotrą do nich pierwsi Szmaragdowcy-najemnicy. To ich nie ocali - ich siły miały haki do zaczepiania i sznury, a mur był niski - ale zmieni to walkę w krwawą psią jatkę.

Ciało Esmonda zareagowało odruchowo. Skręcił w biegu w bok, wznosząc oszczep nad prawym ramieniem. Jeden krok w bok, drugi, i ramię oraz plecy wykonały gładki, nieuchronny ruch niczym maszyna. Oszczep zniknął, lecąc łukiem w ciemność. Esmond ćwiczył rzucanie do celu, z miejsca i w podskokach, prawie codziennie, odkąd w wieku lat sześciu poszedł do palestry dla chłopców.

Konfederacki podoficer podniósł wzrok, słysząc świst rozgarnianego powietrza tuż przed tym, jak długi, wąski, stalowy grot ciśniętej włóczni przebił mu gardło nad obojczykiem. Oszczep zagłębił się na osiem cali, a grot wbił się z chrzęstem w kręgosłup pomiędzy łopatkami. Żołnierz przewrócił się niczym ścięte drzewo, drgając tylko raz, odruchowo podnosząc stopy nad ziemię.

To sparaliżowało na dwie decydujące sekundy ludzi pchających bramę. Niewielu z nich miało doświadczenie podoficera, a wszyscy pili wino mocniejsze, niż sądzili. Było to dosyć czasu, aby dwudziestu czy trzydziestu szturmowców cisnęło oszczepami. Nie byli oni co prawda zwycięzcami igrzysk, ale znajdowali się blisko celu i było ich wielu. Padające ciała ponownie rozwarły szeroko bramę i Szturmowcy wpadli przez nią z rykiem.

Dziedziniec był zastawiony stołami na kozłach i oświetlony koszami na wysokich, żelaznych trójnogach, z płonącym w nich sosnowym drewnem. Większość konfederackich żołnierzy leżała rozwalona dokoła oskubanych do czysta resztek świniaków, z miskami i kubkami w dłoniach, niektórzy mieli na kolanach kobiety, a inni przyglądali się występom czterech nagich tancerek i bardzo dużego, tresowanego węża. Zareagowanie zabrało im kilka sekund, a nikt z nich nie miał broni poza nożami do jedzenia w rękach, gdy przez bramę

przelały się setki całkowicie uzbrojonych i czujnych żołnierzy.

Pierwszy szereg szturmowców cisnął oszczepami i dobył mieczy. Drugi szereg rzucił oszczepami ponad głowami swoich towarzyszy i ruszył za nimi. Konfederaccy żołnierze ginęli - nie tylko żołnierze, Esmond przeskoczył przez dziwkę z ciałem pokrytym farbą i świecidełkami, skamlącą i szarpiącą włócznię, która trafiła ją w brzuch - a inni biegli, pewnie po broń. Niektórzy próbowali stawiać opór, mocując się ze Szmaragdowcami lub chwytali za stołki albo naczynia.

Esmond przedzierał się przez chaos, po kamiennych płytach śliskich od wina, rozrzuconego jedzenia i już mokrych od krwi. Miecz i tarcza poruszały się wyraźnym, precyzyjnym łukiem. Wydawało się, jakby brodził w miodzie, w dziwnym bursztynowym świetle, w którym wszyscy inni poruszali się bardzo wolno, a on miał dość czasu, aby zrobić to, co należało. Podążał za nim spory klin ludzi, ze wzniesionymi tarczami i dobytymi mieczami... Przy wejściu do koszar toczyła się walka, ludzie próbowali się dostać do środka, inni starali się wydostać z pospiesznie pochwyconymi tarczami i assagajami. Znajdujący się przed nim człowiek zachwiał się i padł z włócznią w plecach, a potem Esmond wreszcie stanął twarzą w twarz z uzbrojonym mężczyzną.

Ten walnął go ogromną tarczą ze skrzyżowanymi błyskawicami wszechojca Vanbertu - największego i najlepszego wszechojca. Zalśnił grot assagaja, trzymanego nisko, z grotem skierowanym ku górze, aby wypruć Esmondowi flaki. Gellert skręcił w bok, poruszając się lekko jak tancerz, zaczepił swoją tarczą o przeciwległy skraj owalnej tarczy tamtego i szarpnął w bok, przyszpilając ramię Konfederata dzierżące włócznię do framugi drzwi. Szmaragdowiec uniósł wysoko ku górze rękojeść miecza, niczym zawodnik walczący ze zwierzętami, zabijający wielkobestię na arenie Vanbertu po tym, jak drażnił się z nią płachtą. Grot wyrznął go nad obojczykiem - nie było to potrzebne, mężczyzna nie miał czasu, aby włożyć kolczugę, ale w czasie walki nie myśli się, lecz reaguje w oparciu o wyćwiczone odruchy.

Esmond skręcił włócznią, szarpnął i Konfederat upadł. Stopa i włócznia Esmonda wystrzeliły do przodu w wypadzie. Grot przebił komuś udo. Szmaragdowiec wyciągnął go, skręcając tak, żeby otworzyć arterię. Potem wyrznął ramieniem w kolejną pospiesznie uniesioną tarczę i sforsował drzwi. Za nim przecisnął się jakiś szturmowiec. W słabym świetle lampek oliwnych Esmond dostrzegł panujący wewnątrz chaos; uciekające i

wrzeszczące dziwki - bardziej rozsądne chowały się pod pryzkami - mężczyźni zrywających broń ze stojaków albo potykających się w pijanym widzie i wchodzących w drogę swoim bardziej trzeźwym towarzyszom... a coraz więcej jego ludzi wpadało przez wysokie, otwarte okna. W koszarach nie było szklanych szyb, w tym klimacie potrzebna była dobra wentylacja.

- *Szturmowcy!* - zakrzyknął Esmond. - *Szturmowcy do mnie! Na pohybel Vanbertowi! Na pohybel Vanbertowi!*

Szturmowcy byli najemnikami, owszem. Prawie wszyscy byli też Szmaragdowcami i jeśli istniał jeden okrzyk bojowy na świecie, z którym Szmaragdowcy mogli się zgodzić, to był to właśnie *ten*.

Pół godziny później Esmond wsadził sobie hełm pod pachę i wszedł do kapliczki w kwaterze głównej Konfederatów, przechodząc nad ciałami grupki ludzi, którzy zginęli na jej progu. Za jakiś czas cięcie przechodzące mu przez udo sprawi, że noga mu zeszywnieje, lecz chwilowo to zignorował i podniósł hebanowe drzewce ze złotym wieńcem i wstęgami z kampanii. Wyniósł je sam na kolumnadową werandę wychodzącą na dziedziniec, a zgromadzeni tam Szturmowcy ryknęli jego imię, gdy podniósł je wysoko.

- Ludzie! - zawołał, gdy hałas przycichł nieco. - Oto jak niezwyciężeni są Konfederaci! Kolejny ryk, tym razem płynący z samego serca. - Szturmowcy - ciągnął dalej. - Jesteśmy żołnierzami lojalnymi temu, kto wypłaca nam żołd. Ale jesteśmy także Szmaragdowcami. To - zamachał sztandarem - za długo bruka krainę Stu Miast. To jest wojna przeciwko Konfederacji. - Zapadła cisza. - Wiecie, że bogowie sprzyjają mojemu bratu i mnie. Potakujące kiwanie głowami. *A przynajmniej mój brat jest produktywnie szalony... na rękę ce Cieni, może bogowie rzeczywiście cię do niego przemawiają. Coś na pewno przemawia.*

- Bogowie przepowiadają, jaki los czeka Konfederację - mają jej już dość. Vanbert *splonie!*

Szalone okrzyki radości. Donnuld Grayn spoglądał na niego z uniesionymi brwiami - ta mina wyglądała nieco dziwnie na jego pokrytej bliznami, niczym wykutej z żelaza twarzy.

- I pomyślcie o łupach, jakie są *tam* zgromadzone! - zawołał najemnik.

Tym razem radosne okrzyki rozdarły noc.

\* \* \*

- Gdzie, do cholery, byłeś? - spytał Esmond.

- Miałem sprawę do załatwienia - powiedział Adrian, schodząc po trapie.

Esmond popatrzył za niego. - Gdzie jest Helga?

- Jak już powiedziałem, miałem sprawę do załatwienia - powiedział Adrian z wymuszonym uśmiechem. - Zapomnijmy o tym, dobra? Do roboty.

- Oczywiście, bracie - powiedział Esmond. - To jest Enry Sharbonow, sufeta Preble, główny minister suwerena, księcia Preble, Tenny'ego.

Adrian się skłonił, odpowiadając na wykwintny salut magnata z Preble. - Wszystko poszło dobrze? Gdzie jest książę?

W północnym doku Preble panował ruch. Na wielu statkach dokonywano załadunku - Adrian widział całe gospodarstwo, poczynając od korpulentnego, odzianego w szatę kupca, jego spowitej zasłonami żony, tuzina dzieciaków, po chudych tragarzy z ogromnymi tobołami owiniętymi w dywany. Drobili oni małymi kroczkami po trapie frachtowca i nie byli oni jedynymi, jakich widział. A w powietrzu unosił się zapach dymu.

- Sytuacja wymknęła się nieco spod kontroli - powiedział Esmond. - A w mieście nie zostało wielu konfederackich cywilów. Pozwalamy odpłynąć niektórym nie preblenianom. Enry rozłożył ręce. - Konfederaci nie są tutaj popularni - powiedział.

Adrian skinął głową. Nigdy nie byli popularni. Pierwszą rzeczą, jaka pojawiała się w kraju, który dostał się pod „opiekę” Konfederatów, była danina, a potem pobierający ją urzędnicy. Rada Konfederacji nie lubiła zbytnio najmować urzędników - zbyt wiele okazji do tworzenia politycznego zaplecza, co miało konsekwencje na rodzimym gruncie.

Organizowano więc przetargi na pobieranie daniny i podatków, co samo w sobie mogło nie być takie złe, gdyby nie to, że zwycięzcy przetargów nie mieli stałej stawki wynagrodzenia. Wygrywający syndykat zarabiał, zbierając tyle, ile się dało ponad sumę, jaką zapłacił za kontrakt, a konfederackie wojsko pilnowało, żeby nikt się nie sprzeciwił. A potem zaczynało się roić od konfederackich kupców, skupujących dobra i nieruchomości po zaniżonych cenach, gdy miejscowi mieszkańcy gorączkowo starali się zebrać gotówkę, oraz od konfederackich bankierów udzielających pożyczek z pięćdziesięcioprocentowymi odsetkami, skumulowanymi, tym, którzy *nie mogli* zebrać gotówki. Jeśli ktoś zalegał ze spłatą, to sprzedawali każdy kijek i szmatę, jaką posiadał, i prowadzili go na aukcję niewolników. Ktoś taki kończył, zbierając fasolę na jakiejś posiadłości konfederackiego radcy.

Powszechne kiwanie głowami. Wszyscy wiedzieli, jak działał ten system. - To zabawne - odezwał się Adrian. - Konfederaccy wieśniacy idą do wojska, bo nie mogą konkurować z

wielkimi posiadłościami, na których pracują niewolnicy... a potem wyruszają i zdobywają dla radców pieniądze i niewolników, jakich ci potrzebują, aby zakładać te posiadłości.

- Niezła robota - powiedział Donnuld Grayn. - Zeszłej nocy cywile pognali i zabili może z tysiąc Konfederatów, jak się zwiędzieli, że załatwiliśmy garnizon. - Uśmiechnął się paskudnie. - Na swój sposób są umoczeni, no nie? Jak idzie to konfederackie powiedzenie?

- Jestem konfederackim obywatelem, niech królowie drżą przede mną - powiedział Adrian. - *Nie* będą zadowoleni z tej masakry.

Enry Sharbonow wzruszył ramionami. - Moja dupa zawisała nad palem, gdy oddałem się sprawie księcia Tenny'ego - powiedział. - Teraz wszyscy w mieście siedzą w tym po uszy.

- Gdzie jest książę Tenny? - spytał Adrian.

Enry zakaszłał dyskretnie. Wyglądało na to, że było to jego ulubione zachowanie. -

Zajmuje się organizowaniem królewskiego dworu - powiedział. - W swej łaskawości, postanowił przyjąć do swego haremu pozbawione teraz opieki kobiety dowódcy Konfederatów i jego oficerów - a przynajmniej część z nich.

Adrian skrzywił się lekko. »Jednym z minusów tej profesji« odezwał się Raj w jego umyśle »jest to, że zwykle kończysz, pracując dla jakiegoś sukinsyna. Polityka ich przyciąga.«

- Cóż, mamy robotę do wykonania - powiedział Adrian. - Myślę, że powinienem zacząć rozstawiać artylerię?

- Zgadza się - rzekł Esmond. - Nie sądzę, aby Konfederaci zwlekali z kontruderzeniem. Niektórym uchodźcom udało się uciec, przez mur i płynąc wpław, jeśli nie było innego sposobu.

- Panie! - Podbiegł zdyszany jeden ze szturmowców. - Lordzie Esmondzie, konfederaccy żołnierze nadpływają od brzegu małymi jednostkami - barkami, na niektórych są drabiny. Emy wydał z siebie cichy odgłos przerażenia. Esmond kiwnął głową.

- Ilu?

- Tysiąc pięciuset, panie.

Jasnowłosy Szmaragdowiec walnął Enry'ego po plecach. - Nie ma się co martwić. To lokalny dowódca, podejmuje próbę, na wypadek gdyby był to po prostu jakiś piracki najazd. Wasza milicja powinna być w stanie ich odpędzić. Macie ich jakieś siedem albo osiem tysięcy.



- Jeśli się stawią - powiedział Enry i zaczerpnął głęboki oddech.

\* \* \*

- Wczekać - powiedział Adrian.

- Ponie - wyszeptał w odpowiedzi Simun - dlaczego nie pošlemy tam arkebuzerów?

Takie z nich ś *liczne* cele!

»Techniczna niespodzianka« szepnęło Centrum. »Można zdefiniować jako...«

- Bo nie chcemy, żeby wiedzieli o arkebuzach, zanim będą nam naprawdę potrzebne - powiedział Adrian.

- Już pewnie słyszeli.

- To nie to samo, co zobaczyć na własne oczy.

Najbardziej ku lądowi wysunięty skraj Preble miał wąski odcinek muszlowego piasku usianego głazami, pod miejskimi murami zbudowanymi z wielkich kamiennych kostek, opasujących rdzeń z betonu i gruzu. Tłoczno na nich teraz było od ludzi, przykucniętych za blankami lub za przykrytymi brezentem ruchomymi katapultami. Zachowywali się oni zaskakująco cicho jak na cywili; przebierali nerwowo rękoma po łukach, włóczniach i procach, ale rozmawiali niewiele. Szturmowcy Esmonda pewnie się do tego przyczynili, gdy na początku skopali i stłukli do nieprzytomności kilku hałaśliwych delikwentów.

Adrian odwrócił wzrok od tłumu ubranych w zawoje postaci, od połyskujących w świetle księżyców i gwiazd oczu, zębów i kling, ku morzu. Konfederacka flotylla prowadzona była przez dwie lekkie galery wojenne, z których każda ciągnęła za sobą sznur barek. Reszta była kutrami rybackimi, małymi przybrzeżnymi stateczkami handlowymi. Było też parę frachtowców. Na nich też tłoczyli się ludzie, pewnie był to lokalny, nadbrzeżny garnizon; to terytorium zostało zajęte przez Markomana dopiero nieco ponad dekadę temu i wciąż z niechęcią odnoszono się do panowania Konfederacji.

Adrian zwrócił się do brata: - Czy nie było tu w okolicy wojskowej kolonii?

Esmond skinął głową. - Splaceni weterani Markomana - powiedział. - Osada na prawach sprzymierzonych. Nie zdziwiłbym się, gdyby gubernator ich zmobilizował.

Z kolei Adrian skinął teraz głową. W końcu po to była wojskowa kolonia. Będą też dostatecznie przygotowani. Zakończona powodzeniem rewolta pozwoliłaby tubylcom, których ziemia została skonfiskowana i przeznaczona dla dawnych żołnierzy, odzyskać, co swoje i odegrać się.

Statki były teraz dostatecznie blisko, by dało się słyszeć rytmiczne stękanie wioślarzy, a w tle skrzywienie olinowania i drewna. Adrian wpatrzył się w ciemność, która nagle nabrała matowego, srebrzysto-zielonkawego blasku.

- Na tych galerach mają drabiny - powiedział. - A na barkach drabiny z żelaznymi hakami na końcach. I coś, co wygląda jak zmodyfikowane katapulty. Powiedziałbym, że są przygotowane do ciskania harpunów z przymocowanymi do nich sznurowymi drabinkami. Esmond wydał z siebie pomruk. - Standardowe działania operacyjne - powiedział. - Wygląda na to, że tutejszy dowódca naprawdę podejmie próbę zdobycia słabo obsadzonych murów. - Obrzucił sardonicznym spojrzeniem milicję. - Emy zasłużył się. Mam nadzieję, że król Casull dobrze mu płaci. Jego agenci pracowali cały dzień, tłumacząc tubylcom wyraźnie, co się z nimi stanie, jeśli Konfederaci ponownie zajmą miasto, gdzie zmasakrowano sześciuset czy siedmiuset konfederackich obywateli.

- Naprzód, synowie Szmaragdu! Walczycie za wasze domy i rodziny, za popioły waszych ojców i świątynie waszych bogów!

Poeta powiedział tak o Wojnie Ligi, gdy miasta Szmaragdowców odwróciły się od króla Wysp. Tutaj też było to prawdą. W otwartym polu nawet cała determinacja świata nie powstrzymałaby konfederackiego uzbrojenia i dyscypliny. Jednak walcząc za murami, jedyne, co milicja musiała zrobić, to nie uciec.

- Przygotować się - powiedział Esmond. - Przygotować...

Barki się zbliżały niezdarnie. Wioślarze byli zbyt stłoczeni, aby skutecznie wiosłować. Kwadratowa jednostka, przypominająca tratwę, przechyliła się ku dziobowi, gdy uzbrojeni ludzie stłoczyli się na przedzie razem z drabinami.

- Teraz! - Podniósł się i zamachał pochodnią - trzy razy, w przód i w tył.

Mosiężne trąbki zagrały na murach. Ludzie z Preble - marynarze, rzemieślnicy, sklepikarze - powstali, strzelając. Strzały pomknęły ze świstem ku konfederackim żołnierzom ciemną smugą. Trudno ją było dostrzec w słabym świetle, lecz była ona przerażająco gruba. Później wystrzeliły oszczepy, niezbyt dobrze ciśnięte, lecz bardzo liczne, wraz z pociskami z procy, kamieniami i kostkami bruku. Konfederaccy żołnierze ryknęli ze złości i zaskoczenia, z chórem wrzasków rannych ludzi w tle. Uniesiono tarcze tak, że zachodziły na siebie niczym skorupa żółwia. Z tej odległości niektóre strzały przebijały się przez grubą skórę i dyktę. Kamienie łamały znajdujące się pod nimi ramiona, roztrzaskiwały hełmy. Balisty na murach i

wieżach ciskały strzały długości czterech stóp, przyszpilając po trzech ludzi na raz. Miotacz kamieni wyrzucił pięćdziesięciofuntową bryłę granitu, która przeleciała ponad pokładem szańcowym jednej z galer i zdjęła głowę kapitana równie zgrabnie jak topór katowski, po czym przycisnęła sternika do rumpla, miażdżąc go.

- Cholera, wciąż nacierają - stwierdził Esmond. Ludzie podnosili drabiny poległych i przesuwali je ku przodowi. Inni przystawiali groty assagai do pleców wioślarzy, aby zachęcić ich do dalszego wiosłowania. A jeszcze inni po wylądowaniu na plaży zeskakiwali na brzeg i wymachiwali harpunami do rzucania. Drabina z hukiem uderzyła o blanki muru, a potem następna. Ludzie spadali ze szczebli, lecz kolejni ich zastępowali. Łucznicy i procarze odpowiadali z jednostek dokonujących inwazji, skupiając swój słabszy ostrzał na mającym decydujące znaczenie miejscu u szczytu drabin.

Czterech milicjantów wyminęło pospiesznie Adriana, a ich owinięte szmatami ręce trzymały za uchwyty ogromny kocioł z brązu, który przedtem cichutko wrzał na opalonym węglem drzewnym piecyku. Adrian przełknął ślinę, gdy doszedł go znajomy zapach gorącej oliwy z oliwek.

Dotarli do parapetu, przechylili kocioł i wylali zawartość. Wrzaski dobiegające z dołu były nieziemsko donośne i przenikliwe, gdy wrząca oliwa spłynęła po twarzach ludzi i pomiędzy ogniwami kolczug. Adrian widział, jak konfederaccy żołnierze rzucają się do oceanu i toną, próbując uśmierzyć Ignące do nich cierpienie.

- W porządku, Bando Błyskawicy! - zawołał Adrian donośnym, niosącym się głosem. - Odrzućmy ich.

Wspiął się na parapet, wyjął granat z sakwy i zapalił lont. Jedna z galer znajdowała się niedaleko w dole, a coraz więcej konfederackich żołnierzy gramoliło się po stosach trupów na dziobie, aby dostać się do miotającej harpuni katapulty. Adrian wyczekał sekundę, żeby lont dobrze się rozpałił, a potem z łatwością cisnął granat. Czerwona skwiercząca iskierka lontu zatoczyła łuk w ciemnościach. Zgrupowani razem ludzie zbledli, gdy podnieśli głowy, aby zobaczyć, co ku nim leci.

Z paskudną, nieplanowaną precyzją, granat wybuchł tuż nad ich głowami, a odłamki pocięły im twarze. Ludzie rozproszyli się z wrzaskiem. Kolejne czerwone iskierki spadały łukiem z murów, ciśnięte ręcznie lub przez proce w kierunku jednostek wciąż próbujących zbliżyć się do murów. Adrian rzucił jeszcze następne dwa. Jeden z nich potoczył się pod

pokład galery i tam wybuchł, roztrzaskując sosnowe deski, które zaczęły płonąć. Kilka innych jednostek we flotyli także stało w ogniu, oświetlając powierzchnię wody usianą głowami pływaków i ludzi czepiających się kawałków wraków - musieli to być wiosłarze lub marynarze. Nikt, kto wypadł za burtę, mając na sobie sześćdziesiąt funtów zbroi, nie dotrze do brzegu, chyba że idąc po dnie.

- Wracaj, głupcze! Zabierz stąd swoich ludzi! - krzyknął Esmond, ciskając kolejnym oszczepem. - Zarządź odwrót, niech cię bogowie pokarają!

Adrian słuchał głosów w myślach. - Ich dowódca pewnie nie żyje - rzekł ponuro. - Nie ma nikogo, kto zarządziłby odwrót, a jego podoficerowie działają w oparciu o ostatnie rozkazy: kontynuować atak.

- Na Wodepa! - rzucił Esmond. Jego spojrzenie skierowane na widoczną w dole rzeź pełne było przerażenia pomieszanego z zadowoleniem. Adrian mógł odczytać myśli malujące się na skrytej w cieniu twarzy: *To Konfederaci. Ale to także dzielni ludzie.*

Nawet konfederacka dyscyplina nie mogła tego wytrzymać. Barki i kutry rybackie zaczęły się kolejno wycofywać, podnosząc żagle lub waląc gorączkowo wiosłami w powierzchnię wąskiego kanału. Na kilku jednostkach wybuchła walka - ludzie pragnący żyć walczyli wręcz z tymi, którzy byli zdeterminowani, aby mimo wszystko wypełnić rozkazy. Żadna z dwóch galer nie odpływała; obydwie były sylwetkami żółtego płomienia na ciemnej wodzie, a ludzie płonęli niczym pochodnie lub skakali za burtę. Niektórzy wspinali się na maszty, wdrapując się gorączkowo coraz wyżej, gdy płomienie lizały im stopy, wrzeszcząc, gdy ogień strawił omasztowanie i sosnowe słupy waliły się w wodę. Część wody też płonęła, kałuże oliwy migotały przydymionym oranżem i czerwienią.

- Szarooka Pani - wyszeptał Adrian.

Wrzaski dochodzące z dołu zostały zagłuszone przez radosne okrzyki milicji tańczącej i pokrzykującej z ulgą i niewyobrażalną radością wywołaną odparciem konfederackiego ataku. Mężczyźni wywijali hołubce na parapecie, wymachiwali pięściami i bronią, a niektórzy unosili szaty, kręcili i uderzali się po tyłkach skierowanych ku wycofującemu się nieprzyjacielowi. Wąski odcinek plaży i skał pod murami był ciemnym dywanem z ludzi, dywanem, który czołgał się i pojękiwał cicho. Adrian podniósł wzrok ku gwiazdom, aby odwrócić spojrzenie od tego widoku i wzdrygnął się.

- Minęła cała godzina - rzekł w zamyśleniu. - Myślałem, że minęło piętnaście minut, co

najwyżej pół godziny.

- Czas mija błyskawicznie, gdy się dobrze bawisz - powiedział stojący koło niego Simun, trzęsący się i chuchający na dłoń poparzoną przez zbyt szybko palący się lont. - Powinniśmy posłać pod mury trochę ludzi, ponie, zebrać te kolczugi i hełmy. Są lepsze od niektórych, jakie mają nasze chłopaki, i lepsze niż większość z tego, co ma tutejsza milicja. Możemy dostać ich tu z siedemset, osiemset.

- Pewnie tak - powiedział cicho Adrian, spoglądając w dół. *Jeś li moż esz wykonać robotę , to powinienes być w stanie patrzeć na jej skutki*, powiedział sobie w duchu.

- Zwycięstwo! - zawołał Enry Sharbonow, przechodząc obok z orszakiem sług niosących bukłaki z winem. - Och, czcigodny panie, szacowny panie, proszę, napij się.

Adrian przyjął bukłak, przelękając cierpkie, czerwone wino, nie rozcieńczone wodą.

- Wielkie zwycięstwo - powiedział preblanin. Esmond opuścił swój bukłak i rozejrzał się po wiwatującej milicji. Jego ludzie też byli radośni, lecz w o wiele cichszy sposób, gdy opierali się o parapet i przyglądali, jak Konfederaci uciekają.

- Nazwałbym to bardziej potyczką - powiedział Esmond. - Przyjdź i powiedz o zwycięstwie za miesiąc albo dwa.

## **Rozdział ósmy**

- Przebici przez *spiż owe* włócznie słonecznego światła - powiedział mówca Emeritus Jeschonyk. - *Spiż owego*, rozumiecie, nie *złotego* światła.

Jeden z jego adiutantów zmarszczył brwi. - To jednak byłoby bardzo nietypowe użycie tego przymiotnika, czyż nie?

W gorącym, beżowym półmroku panującym w namiocie dowódcy wybuchła wrzawa wywołana sporem. Sędzia Demansk odchrząknął.

- Mówco - odezwał się. Spojrzenia zwróciły się ku niemu, - Myślę, że to forma dialektyczna - szmaragdowa, z Wietrznej Równiny, oczywiście archaiczna. - Tak być musiało. Wiersz, o którym rozprawiali, miał osiemset lat, był to epos o Wojnie Tysiąca Okrętów. Jego fragmenty mogły nawet *pochodzić z Wojny Tysiąca Okrętów*, która miała miejsce pół tysiąca lat przed poetą. - W każdym razie, mówco, myślę, że w tej chwili mamy bardziej naglące sprawy, natury praktycznej.

- Ależ oczywiście, sędzio - westchnął mówca, chętny do wysłuchania głosu rozsądku. Mówca był mężczyzną lat sześćdziesięciu paru, o kwadratowej szczęce, ubranym w

obramowaną fioletem szatę stanowiącą oznakę jego stanowiska. Już od dawna sam nie był żołnierzem, lecz wciąż zachowywał wigor. - Co proponujesz?

Gdy Demansk wyszedł z namiotu, towarzyszył mu jeden z jego adiutantów. Mężczyzna ten był, technicznie rzecz biorąc, jednym z dowódców, lecz także pierwszą włóczęgą Pierwszego Regimentu Demanska, co było najwyższym stanowiskiem, jakie mógł osiągnąć żołnierz w drodze awansu. Wyglądało na to, że znajdujący się w środku powrócili do zagadnień językowych. *Czasami żałuję, że pozwoliliś mi się ucywilizować Szmaragdowcom*, pomyślał Demansk. *Żałuję zwłaszcza, że nauczyli nas krytyki literackiej*. Retoryka mogła być podstawą cywilizacji - wszyscy się co do tego zgadzali - ale czasami zawadzała.

- Zmusiłeś ich, panie, do rozmowy o sprawie? - spytał adiutant głosem lekko chrapliwym od wiejskiego akcentu ze wschodnich dolin.

- Mniej więcej. Przeprowadzimy atak, jak tylko uda nam się zbudować groblę. To tylko pół mili płytkiej wody. A tymczasem przygotowujemy flotę w Wielkiej Zatoce.

Żołnierz wzruszył ubranymi w kolczugę ramionami. - Przewieź moich ludzi na twardej gruncie, w pobliże wroga, a jak tylko na nich uderzymy, sprawimy tym brudasom manto, panie - powiedział. - Ale, na łono Gellerix, nie możemy chodzić po wodzie ani też pływać w zbroi. Ani przez pół mili, ani przez sto cholernych jardów, panie.

Dotarli do bramy i przyjęli salut plutonu straży. Demansk z łatwością wspinał się po chropawych belkach schodów na szczyt otwartej, drewnianej wieży po lewej, jednej z dwóch, które flankowały bramę. Z tego miejsca widział Preble - obóz mówcy znajdował się na przeciwległym brzegu od ufortyfikowanej wyspy. Jeden z małych statków, jakimi posłużył się lokalny dowódca w nieudanej próbie odbicia miasta, wciąż płonął na mieliźnie wprost pod murami miejskimi. *Niezbyt zachęcająco*.

Natomiast sam obóz był. Jeschonyk przyprowadził cztery brygady, dwadzieścia tysięcy regularnych żołnierzy-obywateli i prawie tyle samo sił wspomagających - procarzy, łuczników i oczywiście lekką piechotę. Kawaleria nie na wiele się tu przyda, więc zmobilizował jej tylko tyle, ile potrzeba było do patrolowania i zdobywania żywności. Obóz stanowił ogromną wersję zwykłej fortecy, jaką siły Konfederatów wznosiły co noc po marszu - olbrzymi kwadrat wcięty w miękką ił nabrzeżnej równiny, z głębokim na dwadzieścia stóp i szerokim na dziesięć stóp rowem dokoła. Ziemia z rowu została spiętrzona, tworząc wał okalający wewnątrz, a na jego szczycie osadzono zaostrome pale związane wierzbowymi

witkami. Każdy taki wał miał w środku bramę chronioną wieżami z bali, strzeżoną przez całą kompanię. Teren patrolowały straże, a reszta ludzi ostro pracowała. Cztery szerokie ulice spotykały się na centralnym placu przy namiocie dowódcy i kapliczkach na sztandary jednostek, a pracujące grupy niwelowały teren, układały bruk, ubijały go i wycinały rowy odpływowe wzdłuż sieci dróg biegnącej przez cały obóz. Wznoszono uporządkowane rzędy skórzanych namiotów, standardowych, ośmioosobowych dla każdego oddziału. Ustawiano rzędkę palików dla zwierząt pociągowych. Kopano głębokie latryny. Wzniesiono nawet łaźnię. Kowale, rymarze i płatnerze pracowali z wytężeniem, naprawiając ekwipunek i przygotowując się do oblężenia.

Demansk odczuł przyływ dumy. To całe ogromne miasto stanowiące wyraz ludzkiej woli, inteligencji i zdolności do zachowywania porządku i cywilizacji było czymś zwyczajnym w konfederackim wojsku. Jeśli padnie rozkaz do wymarszu, przed zbiórką po śniadaniu wszystko to zostanie rozebrane - bez sensu byłoby podsuwanie nieprzyjacielowi fortecy - i następnego wieczoru, po całodziennym marszu, zrobią to samo. A jeśli zostaną tu przez kilka miesięcy, to naprawdę będzie to miasto - z wybrukowanymi ulicami, kanalizacją i kamiennymi budynkami.

A potem Demansk odwrócił się i spojrzał na Preble. *Nienawidzę oblęż eń*. Oblężenia stanowiły bardziej wyszukaną formę natarcia, co nawet w najlepszej sytuacji było marnotrawstwem ludzi. Przy oblężeniu wszystkie przewagi Konfederatów wynikające z ich elastyczności i umiejętności współdziałania traciły na znaczeniu. Przeciwno falangom Szmaragdowców... cóż, nie trzeba biec prosto na groty pik. Należy wywabić ich na nierówny teren, posłać niewielkie oddziały, żeby szarpały ich z flanki, rozbiły - a potem już po nich. Wyspiarze byli niczym rtęć. Jeśli zatrzymali się na chwilę, to cios młotem ich rozpraszał, brakowało im stałości. Jednak za kamiennymi murami nawet mieszczuch z włócznią mógł stać się bohaterem. Trzeba było uderzyć prosto na niego, a gdy wspinałeś się po drabinie, byłeś właściwie bezbronny.

*Jeś li uda nam się doprowadzić blisko groblę , to moż emy rozwalić mur za pomocą katapult.* Problem polegał na tym, że obrońcy mogli go podeprzeć albo zbudować drugi mur w środku, podczas gdy ty rozwalałeś pierwszy - tak, żeby złapać cię w pułapkę, gdy nacierałeś przez gruzy. *Moglibyś my wykonać podkopy, wykorzystać saperów... A i tak straty w ludziach bę dą straszliwe. A jeś li bę dzie to za długo trwało, zaczną chorować , to pewne jak to,*

*ż e bogowie sprawiają , iż winogrona dojrzewają . Bę dą chorować . To go naprawdę przeraziło.*

Zbyt wiele razy widział, jak dyzenteria przechodzi przez wojsko jak miecz Wodepa.

- Panie!

Podbiegł adiutant. - Panie, sędzio Demansk. Mamy... pewną osobę, panie, która twierdzi, iż ma pilne wiadomości.

Brwi Demanska uniosły się ku wysokiemu czołu i krótko przystrzyżonym, posiwiałym włosom. - *Osobę ?* - spytał.

- Twierdzi, iż jest twoją rodziną, panie. - Arystokratyczne rysy adiutanta skrzywiły się w lekkim obrzydzeniu. - Jako że istnieje słaba szansa, iż mogą oni mieć jakieś informacje, nie kazałem ich przepędzić batami z obozu, panie.

Sędzia opuścił dłoń, którą osłaniał oczy, spoglądając ku Preble. - Ależ oczywiście, zobaczmy tę... osobę... - powiedział.

*Cokolwiek, co odciągnie moją uwagę od tego, bę dzie mile widziane. Nawet tań czą ca małpa.*

Mały, drobny mężczyzna wbiegł na schody zbudowanej z bali wieży, a za nim podążała wyspiarska kobieta. *Nie, chwila*, pomyślał. Przyjrzał się nagim nogom i ramionom, sposobowi, w jaki szedł ten obcy. *To nie jest mę ż czyzna, ale kobieta w zbroi.* Wyglądało to na ekwipunek lekkiej piechoty Szmaragdowców - miskowaty hełm z napolicznikami, płócienny kubrak z mosiężnymi naramiennikami, a pomiędzy warstwami materiału znajdowały się pewnie żelazne łuski. Żołnierz idący za nimi dyszał, niosąc miecz, tarczę i dwa lekkie oszczepy...

To *było* niezwykle. A potem ten obcy zdjął hełm, pozwalając opaść swobodnie długim, sięgającymi prawie do pasa, rudym włosom.

Demansk rozwarł szeroko oczy. - Helga! - powiedział... niemal się zapluwając.

- Ojczy!

\* \* \*

- Co oni robią? - spytał, mrużąc oczy, Enry Sharbonow.

- Przygotowują się do budowy grobli - powiedział Esmond i wskazał ręką. - Widzisz, pociągnęli aż do skraju wody przyzwoitą drogę, o twardej nawierzchni. Na pewno ściągnęli tutejszych pilotów i rybaków, którzy mogą im powiedzieć, jakie dokładnie są te mielizny. Teraz zabierają się do roboty. Widzisz te stosy bali, ustawione co sto jardów? Znaczą jej



skraj. Po między nimi pracują grupy ludzi, ich żołnierze i cywile, jakich udało im się spędzić, którzy wyładowują wozy pełne kamieni - głazów, ważących nawet sześćdziesiąt funtów - ciągnięte przez woły. Widzisz, jak podają je sobie z rąk do rąk? Usypią z nich podkład wystający ponad powierzchnię wody, ubijają a potem przykryją warstwą mniejszych kamieni. Gdy kamienie będą bezpiecznie wystawać ponad poziom przypływu, będą mieli odcinek pierwszorzędnej, brukowanej drogi.

Enry przełknął ślinę. Nieco z tyłu za nim wylegiwał się książę Tenny, ze szczególną bez troską pogryzając figę maczaną w miodzie i pocierając kilka gojących się zadrapań na pokrytej zarostem twarzy.

- A te drewniane konstrukcje, które budują tam trochę dalej?

- Cóż, to trochę daleko, ale powiedziałbym, że to pewnie maszyny oblężnicze.

Oczywiście katapulty, i to potężne. Wieże oblężnicze - drewniane wieże fortowe na kołach, pokryte skórą albo metalowymi blachami, aby mogli przytoczyć je pod nasze mury i wspinać się pod ich osłoną. Drabiny oblężnicze - wielkie, wyposażone w przeciwwagę, przypominające osłonięty most osadzony na czopie. Miotacze ognia. Obite metalem tarany pod ciężkimi osłonami, także na kołach, do dokonywania wyłomu. Gdy doprowadzą groble odpowiednio blisko, posłużą się katapultami i łucznikami tak, żebyśmy chowali głowy, podczas gdy oni będą ją kończyć - aby wywalić dziurę w murze, jeśli tylko im się uda. Jeśli nie, to przytoczą drabiny i wieże oblężnicze pod mury i rozpoczną natarcie, a tarany będą rozwalać niektóre odcinki muru, tworząc rampy dla oddziałów szturmowych.

Naturalnie oliwkowa twarz Enry'ego mocno zbladła, nabierając koloru surowego ciasta. -  
*Co na to poradzimy!*

Esmond wziął figę ze srebrnej tacy trzymanej do dyspozycji Tenny'ego, wrzucił sobie do ust i pogryzł z przyjemnością. - Och, istnieje parę sztuczek, których możemy spróbować - rzucił radośnie i zerknął ku niebu. - Nie ma dziś księżyców.

\* \* \*

- Nie powinno cię tu być - Esmond syknął w ciemność

- Ani ciebie - powiedział Adrian.

- Panowie, z całym szacunkiem, zamknijcie się, do kurwy nędzy - odezwał się Donnuld Grayn, zatrzymując się, żeby zacisnąć pasek nagołennika. - Zbliżamy się.

*Rzeczywiś cie nie powinno nas tu być*, pomyślał Esmond. *Typowa arogancja*

*Konfederatów.* Gdy zabierali się za oblężenie jakiegoś miejsca, to spodziewali się, że obrońcy będą siedzieć potulnie i kulić się ze strachu, czekając na nieuchronną zgubę, więc po co podejmować skomplikowane środki ostrożności?

Przynajmniej tak powiedzieli zwiadowcy z Preble, którzy przyплыnęli w pław po uprzednim pokonaniu przesmyku na wypełnionych powietrzem owczych skórach. Żadnego z nich nie schwytano, więc albo Konfederaci byli strasznie pewni siebie, albo piekielnie przebiegli w zachowywaniu pozorów.

Esmond wyszczerzył zęby, białe w ciemnościach na tle skóry pokrytej spalonym korkiem. *Ale „piekielnie przebiegły” może się odnosić do Szmaragdowca albo nawet Wyspiarza. Ale do Konfederata? Nie, nie... systematyczny, owszem. Metodyczny, tak. Ale piekielnie przebiegły? Rzadko spotykane.*

- Pokażę im piekło - wyszeptał, zaśmiał się i obejrzał za siebie, spoglądając na łódź. Miała długość jakichś trzydziestu stóp, marynarze z Preble obsadzili wyciszone wiosła. Znajdowali się w niej jego szturmowcy i paru specjalistów Adriana, na okrasę. To nieco psuło mu humor. Powinien był wiedzieć, że Adrian nie pośle swoich ludzi samych; nie był zawodowym wojskowym, ale czasami myślał jak zawodowiec - jakby duchy żołnierzy szeptały mu do ucha.

Ta myśl sprawiła, iż Esmond zastanowił się przez chwilę. *Chyba jestem teraz zawodowcem, pomyślał. Nie sportowcem ani nauczycielem walk, ale generałem. Ale nie najemnikiem. Walczę o sprawę.*

- Wiosłować z prawej - rzucił cicho preblenianin przy sterownicy. - Wiosłować cicho... podnoście wiosła i niech łódź mknie. Nie podnoś za wysoko, Rawl, ty głupi bękarcie; dziesięć batów za to.

Przed nimi zamajaczyła wysoka, drewniana ściana skraju grobli. Konfederaci wbili pale w piasek i błoto na dnie kanału pod pewnym kątem tak, że pochylały się na zewnątrz. Ułatwiło to wspinaczkę, gdy łódź ustawiła się przy grobli. Esmond skoczył, chwycił za krawędź i podciągnął się ku górze. Pętle sznurów wyleciały z jego i innych łodzi, lecz Esmond nie zważał na nie, kucając w gotowości na szczycie grobli. W swoich meldunkach zwiadowcy donosili, że strażnik powinien się znajdować...

*Tam.* Przechadzał się spokojnie i to w odległości piętnastu kroków od niego. *Muszę sprawić, aby się odwrócił.*

- Hej, ty konfederacki jebaczu osłów - rzucił Esmond swobodnym tonem. - Czy wiesz, że twoja matka ssała kutasa mojemu ojcu, i to za darmo?

Konfederacki żołnierz obrócił się na ten dźwięk, z rozdziawionymi ustami. Ramię Esmonda pomknęło do przodu. Była to niewygodna pozycja do rzucania, lecz z tej odległości, przy dobrej widoczności - w żelaznych koszach stojących bliżej brzegu płonął ogień - był to potężny cios. Żelazo przebiło się z chrzęstem przez kolczugę, jaką miał na sobie żołnierz, i mężczyzna ten poleciał do tyłu. Esmond zeskoczył cztery stopy w dół, na groblę. Ten odcinek był częściowo ukończony i luźne kamyki zachrzęściły, przesuwając się pod jego podbitymi ćwiekami sandałami.

Strażnicy zginęli, szybko i we względnej ciszy. Wokół niego ludzie ustawiali się w szyku. Inni pokrywali belki po obu stronach grobli oliwą i łojem, przywiezionymi w skórzanych workach. Jeszcze inni podawali z łodzi małe, drewniane beczułki.

- Gotowe, generale - wydyszał Donnuld.

- Za mną.

Szturmowcy ruszyli, a za nimi łucznicy z Preble. Sam ich wybrał spośród ludzi mających dobre łuki wzmocnione kością morskich bestii i spore doświadczenie. Naprzód... *Tak. Naprawdę nie ufortyfikowali placu budowy.*

W ciemności wokół niego piętrzyły się maszyny oblężnicze, niczym potworne bestie z dziecięcego koszmaru. Zginęli kolejni strażnicy, lecz kilku przeżyło na tyle długo, by wszcząć alarm. Będą musieli działać szybko.

Adrian wraz ze swoimi ludźmi pobiegł ku większym maszynom, wieżom oblężniczym i ciężkim katapultom. Wsadzono pod nie i pospiesznie wkopano beczki z prochem. Esmond pozwolił, aby jego nos zaprowadził go do stosów drewna, w większości świeżo ściętej sosny jeszcze kapiącej żywicą.

- Właśnie tutaj, chłopaki! - zawołał.

Przyniesiono osłonięte tygle z żarem, a zapalone pochodnie buchnęły ogniem. Esmond wepchnął jedną pod stos drewnianych bali i zakrzyknął z radości, gdy drewno się zajęło. Inni jego ludzie kopniakami przewracali beczki i kotły ze smołą, dorzucając długie zwoje sznurów do potęgających się płomieni. Łucznicy ze świstem wypuszczali zapalone strzały ku stosom drewna i sznurów znajdujących się dalej, ku namiotom i stertom żeglarskiego płótna i paszy. Esmond okręcał kolejną pochodnię nad głową, gdy obciążony ołowiem dzirynt świsnął mu

koło ucha, na tyle blisko, że poczuł powiew powietrza. Dziryt wbił się w drewno z łupnięciem i paskudnym świstem, przypominającym ogromną i bardzo wkurzoną pszczołę.

- Do szeregu! - zawołał Esmond. Znajdujący się koło niego sygnalista zagrał na rogu, a chorąży zamachał flagą. - Do szeregu! Wszyscy z powrotem do łodzi!

Szturmowcy ustawili się w szyku z przodu grobli, a przynajmniej większość z nich; każdy, kto był zbyt podniecony albo zbyt głupi, żeby pamiętać sygnały, które starannie tłumaczył, zasługiwał na to, co miało się z nim stać. Wymijali go szczęśliwi podpalacze, a potem wdrapywali się po drewnianym skraju grobli, ześlizgiwali do łodzi lub do wody, pokrzykując. Jednakże Konfederaci wreszcie zareagowali. Esmond widział, jak ich oddziały przedzierały się pomiędzy płonącym sprzętem. Pożary oświetlały ten teren jasno jak za dnia.

- Zniechęć ich - powiedział do preblanina dowodzącego łucznikami. Mężczyzna skinął głową i zwrócił się do swoich podwładnych: - Strzelać!

Łucznicy naciągnęli ciężki swych potężnych metalowo-drewnianych łuków aż do ucha, za pomocą osłoniętych specjalnymi pierścieniami kciuków. Wystrzeliła ze świstem chmura na jard długich drzewców, znikając w ciemnościach i dymie w górze, a potem spadając na zgromadzonych w szeregach Konfederatów i powalając tuzin ludzi. Ci nie wydawali głosu lub miotali się, wrzeszcząc i szarpiąc za zakończone haczykami drzewca wbite w ciało. Inni ignorowali lekkie rany lub wzdrygali się, gdy zbroja albo tarcza odbijała stal spadającą deszczem z nocnego nieba.

- Tak trzymać - rzucił Esmond, wyszczerzając zęby. - Dać im popalić!

Konfederaccy podoficerowie pospiesznie ustawiali swoich zaspanych ludzi w szyku bojowym, popychając i wykrzykując rozkazy. Formacja zaczęła układać się w znieawidzony, podwójny szereg Konfederatów, ze wzniesionymi tarczami i dzirytami kołyszącymi się w gotowości w mocno umięśnionych ramionach wieśniaków. Tu i tam człowiek upadał, gdy trafiała go strzała lub pocisk z procy, i formacja falowała, zamykając się, by zachować liczącą dokładnie jard odległość pomiędzy żołnierzami. Za minutę ten żywy mur zacznie iść...

*Tyle że za niespełną minutę ...*

ŁUBUDUM.

- Tak! - zakrzyknął Esmond.

Ziemia, płomień i drewniane drzazgi buchnęły spod jednej z obłączniczych wież.

Roztrzaskana z jednej strony wieża zaczęła się chybotać, przechyliła jak pijak, a potem runęła - cztery piętra ciężkiego drewna walącego się na tyłach konfederackiej formacji.

*Jakichś trzystu, pomyślał Esmond. Ale...*

ŁUBUDUM.

Druga wieża oblężnicza skręciła się, gdy tuzin dziesięciofuntowych beczek prochu wybuchł pod nią. Rozpadła się w miejscu, gdzie stała, spadając deszczem ciężkich, roztrzaskujących kości kawałków i odłamków drewna na chwiejące się szeregi konfederackich żołnierzy.

- *Do ataku!* - zakrzyknął Esmond.

Trębacz odegrał jego rozkaz, lecz szturmowcy już gnali do przodu, wyjąc. Przed nimi pomknęła chmura oszczepów. Łucznicy strzelali nad ich głowami. Gdy strzały uderzyły w Konfederatów, trafiły zwartą masą, i to w ludzi, których formacja już została zachwiana. A wstrząsające serie wybuchów, gdy katapulty wyleciały w kawałkach w powietrze i spadały deszczem z ciemności, jeszcze bardziej nadszarpnęły im nerwy.

- *Błyskawice Wodepa!* - zawył konfederacki żołnierz, ciskając tarczę.

Znajdujący się za nim podoficer zabił mężczyznę, zanim ten zrobił kolejny spanikowany krok, lecz wtedy spadli na nich Szmaragdowcy. Esmond cisnął z bliska i oszczep wbił się z chrzęstem w twarz Konfederata, przeszywając mu czaszkę na wylot i strącając hełm ze słyszalnym łupnięciem. Mężczyzna wyrznął tarczę w kolejną twarz, przebił gardło, wywinął tarczę, żeby złamać nadgarstek trzymający assagaj, a potem dźgnął w udo ku dołowi.

Konfederaci rozsypali się jak gliniany dzbanek z winem, który upadł na masywny kamień... tak samo bryzgając czerwienią.

- *Do mnie!* - zawołał Esmond, a trębacz odgrywał to raz za razem. Niektórzy nie chcieli go słuchać. Jeden czy dwóch ludzi było tak upojonych zwycięstwem, że skręcili w ciemność.

- *Do mnie!*

- *Wycofać się do łodzi* - rzucił.

- *Dobrze jest widzieć, jak uciekają, na Wodepa* - stwierdził Donnuld, gdy biegli z powrotem.

Za nimi konfederackie maszyny oblężnicze i magazyny drewna płonęły już na całego, stanowiąc stożek jasno-pomarańczowego płomienia, wznoszący się w usiane iskrami niebo, podświetlając chmurę czarnego dymu. *Wspaniałe, wspaniałe dzieło zniszczenia*, pomyślał

Esmond, czując na twarzy piekielny żar.

Dotarli do skraju grobli i ześliznęli się do łodzi. Esmond wziął pochodnię i gdy się oddalali, cisnął nią w przesiąknięte oliwą drewno. Płomienie pomknęły po drewnie dywanem pomarańczy i czerwieni, potęgując piekielną symfonię płomieni.

- Następnym razem nie będzie tak łatwo - powiedział i zaśmiał się. - Ale myślę, że wymyślimy jakiś sposób, by ich rozzłościć.

Wzdrygnął się, gdy stojący obok Adrian skinął głową. - Nie pokazaliśmy im jeszcze większości z naszych niespodzianek - powiedział. - *Technicznych* niespodzianek.

- Co to jest technika? - spytał z zaciekawieniem Esmond.

- Coś, co Konfederaci niedługo poznają, bracie.

\* \* \*

- I co ja mam z tobą zrobić? - Demansk spytał córkę.

Helga rozparła się na polowym krześle. Popijała z glinianego kubka. - Szczyzny velipada... cóż, nie możesz mnie wydać za męża, nie po tym wszystkim.

Demansk się zaczerwienił i walnął pięścią w stół, aż dzbanek podskoczył, - Nie odzywaj się tak do swego ojca, moja panno! - warknął, a jego głos wypełnił namiot niczym ostrzegawczy pomruk szablobestii. - A namiot to nie miejsce do omawiania spraw rodzinnych tak głośno.

Obydwoje rozmawiali po szmaragdowemu, ale tak samo mógł go znać każdy konfederacki obywatel mający pretensje do wykształcenia. Wartownicy na zewnątrz pewnie nie znali, a w zasięgu głosu zapewne nie było nikogo innego... zapewne.

- Przepraszam, ojcze - powiedziała Helga, spuszczać wzrok. - Po prostu staram się podejść do tego jak najspokojniej.

Demansk westchnął i przesunął dłonią po siwiejącym, brązowym zaroście na brodzie.

Małe owady przedostawały się przez przesłonięte siatką wejście do namiotu i płonęły, jak składane w ofierze, w oliwnych lampkach, wydając cichutki syk i nieprzyjemny zapach. Ta woń budziła wspomnienia obozów z jego młodzieńczych lat. Helga została poczęta w takim namiocie. Jego druga żona towarzyszyła mu w trakcie kilku kampanii koło południowej granicy, gdy był jednym ze starszych oficerów nadzorujących wznoszenie muru chroniącego przed barbarzyńcami.

- Twoja matka była taka jak ty - powiedział z trudem. - Może gdyby ona żyła... może to

dlatego tak ci pobłażałem. Pewnie za bardzo.

Znowu westchnął. Helga zaś zachowywała spokój z godną podziwu samokontrolą. - Och, moglibyśmy zorganizować jakiś mariaż...

- Musiałbyś słono zapłacić, a ja nie dostałabym żadnego rodzyńka, ojczy. Wolę być starą panną. Masz już wnuki, a poza tym...

- Poza tym, jest ten pirat - rzucił sucho Demansk.

- On nie jest piratem!

- Zatem najemnik - powiedział Demansk z lekkim, krzywym uśmiechem. - A z pewnością buntownik-Szmaragdowiec.

- Redvers był buntownikiem i patronem Adriana Gelerta - stwierdziła rozsądnie Helga. - Klient musi słuchać swego patrona, prawda?

- Cóż, to tradycja. - Demansk wskazał na dzbanek z winem i Helga znowu nalała im obojgu, dodając czerpakiem wodę z większego glinianego dzbana przy drzwiach. - Myślę, że czasami byłoby lepiej dla państwa, gdyby tak nie było.

Helga się zaśmiała. - Ojczy, czy sam właśnie nie buntujesz się przeciwko zwyczajom przodków?

- Nasi przodkowie byli gromadą hodowców świń - rzekł bez ogródek Demansk. - Mój dziadek wychodził co dzień w pole, pielic razem ze swoimi niewolnikami. Czasy się zmieniły. Rewolta Audsleya, dyktatura Markomana, zesłania... wszystko się rozpada. - Jego spojrzenie stwardniało. - A moja córka wyraźnie oszalała, drapnięta przez jednego z kocurów ciągnących rydwan Gellerix, i zadurzyła się w buntowniku.

Helga potrząsnęła głową. - Adrian nie jest... nie jest tak naprawdę buntownikiem. Jego brat, Esmond, owszem. Esmond chciałby doprowadzić do upadku całą Federację i każdego w niej, jak sądzę, gdyby tylko mógł. Adrian jest bardziej... rozsądny.

- Rozsądny i wykształcony - powiedział Demansk lekkim tonem. - To on wymyślił ten piekielny proszek, czyż nie?

Helga zaśmiała się smutno. - Wiesz, ojczy, Adrian wysadził mnie na brzeg, żebym nie była zmuszona do zdrady Konfederacji. A teraz ty próbujesz wyciągnąć ze mnie *jego* tajemnice! Jestem pomiędzy szalonym velipadem a szablobestią.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić... zapewne *jestem* coś winien temu człowiekowi za wydostanie cię z Flakonu i wysadzenie na brzeg.

- Niewiele mogę powiedzieć - stwierdziła Helga. - Nie wiem, jak wyrabia się ten piekielny proszek. Adrian mi nie powiedział i jest to pilnie strzeżona tajemnica. Tak jak w przypadku innych broni.

- Innych broni? - spytał ostro Demansk.

- Krążyły różne plotki, a ja *widziałam*, co wydarzyło się we Flakonie. Miasto zostało obrócone w ruinę, a bramy cytadeli zostały roztrzaskane w drzazgi.

- Hmmm. - Demansk znowu potarł podbródek. - Pewnie... większe beczki piekielnego proszku ciskane przez katapulty? To *mogłoby* być paskudne, bardzo paskudne, zwłaszcza przy działaniach oblężniczych albo na morzu - a tu stajemy w obliczu ich obu! - Wyrznął pięścią w poręcz składanego krzesła, na tyle mocno, że twarde drewno i skóra zatrzeszczały. - Spędziłem całe życie, ucząc się sztuki wojennej, nie zostawiałem tego podoficerom, ale naprawdę się jej *uczyłem*, tak jak Markoman, niech jego dusza będzie potępiona, skazana na Pola Popiołu. A tu ten arogancki Szmaragdowiec wywraca wszystko do góry nogami tak po prostu. *Filozof, mówca!*

- Ojciec... Nie sądzę, aby Adrian naprawdę był mówcą, już nie. Studiował retorykę i jest w tym dobry... ale teraz interesuje go głównie... sposób... sposób, w jaki zbudowany jest świat.

Demansk uniósł brwi. - Filozof *naturalista*? Hmmm. Nie było takich od czasów Wojen Ligi! Jeśli z tego rodzi się ten diabelski proszek, to cieszę się, że nie było ich więcej. Mimo to, wino się już rozlało, nie ma co próbować wlewać go z powrotem. - Spojrzenie jego przebiegłych, zielonych oczu spoczęło na twarzy córki. - Jak sądzisz, co ten Adrian robi, stawiając nam czoła?

- Stawiając czoła *tobie* - parsknęła Helga. - Jeschonyk nie potrafił znaleźć... jak idzie to żołnierskie powiedzonko?

*Nie potrafił znaleźć swojego fiuta obiema rękami z pomocą dziwki*, pomyślał automatycznie Demansk. Mimo to, choć była chłopczycą, pewnych rzeczy nie mówiło się do swojej córki.

- Nie potrafił znaleźć swojej dupy obiema rękoma w ciemną noc - zaśmiał się na głos. - To niezupełnie tak. Ma dość rozsądku, żeby pozostawiać szczegóły ekspertom i *slucha...* od czasu do czasu. Ale jest tradycjonalistą, nawet jak na człowieka swojego pokolenia. A ja zadałem ci pytanie, panienko.



Helga uniosła głowę. - Adrian zrobi to, czego się najmniej spodziewasz i kiedy się tego będziesz najmniej spodziewał - odpowiedziała z dumą. - Jego brat jest dobrym żołnierzem i demonem walki na miecze, ale Adrian... on myśli o różnych rzeczach.

Demansk się wzdrygnął, nieco na pokaz. - Wszechojczy największy i najlepszy, ta robota jest wystarczająco paskudna bez *nauki* - powiedział, a potem mrugnął znacząco. - Wieść niesie, że bogowie przemawiają do twojego Adriana.

Ukrył swoje zaskoczenie, gdy Helga zaczęła wyglądać na wyraźnie zmieszaną. Była równie sceptyczna jak wszyscy młodzi ze szlachty - to, że młodsze pokolenie otwarcie mówiło o sprawach, o których za jego młodszych czasów szeptano, szokowało go. Za czasów jego dziadka były to śmiertelnie poważne sprawy.

- Nie... nie jestem tego pewna - powiedziała Helga. - Czasami... czasami przyłapywałam go, jak szeptał do *kogoś*. Kogoś nieobecnego.

Demansk mruknął. - Może zatem jest szalony.

- Nie sądzę, ojczu. Szaleńcy słyszą głosy, lecz jeśli Adrian słucha, to kogoś, kto mówi mu *prawdę*, A przynajmniej bardzo użyteczne rzeczy.

*To waż ne, naprawdę waż ne*, pomyślał Demansk. Unosił do ust kubek, gdy w obozie zabrzmiał alarm.

## **Rozdział dziewiąty**

- Tym razem zachowują ostrożność - powiedział Esmond, automatycznie zapierając się nogami w takt kołysania się statku.

- To znaczy? - spytał z zaciekawieniem Adrian, spoglądając ku brzegowi, gdzie na grobli roilo się od robotników i żołnierzy, jak na mrówczym kopcu.

- Budują mur z parapetem i platformą bojową wzdłuż wysuwającej się grobli, widzisz? A

plac budowy otoczyli całkowicie rowem i palisadą, i przycięgnęli te dwie wieże oblężnicze - posuwają je do przodu wraz z postępem rozbudowy grobli. Znajdujące się na nich katapulty przewyższają zasięgiem wszystko, co może znaleźć się na statku, mają tam też ciasno upakowanych łuczników. Mogą strzelać osłonięci.

- Hmmm - powiedział Adrian. - To *niedobrze*, bracie.

»Podobne sytuacje zwykle nasuwają podobne rozwiązania« rzekło Centrum.

*To znaczy?*

»Centrum od czasu do czasu zachowuje się jak wyrocznia, synu« stwierdził, zaśmiaawszy się Raj.

*Cóż, nie ma w tym nic nieodpowiedniego.*

»On - lub raczej ono - ma na myśli, iż nie po raz pierwszy zaistniały takie warunki taktyczne. Na Bellevue miałem reputację wpadającego na oryginalne pomysły częściowo dlatego, że Centrum wciąż podsuwało mi rzeczy, które zrobili inni generałowie na Ziemi, przed podróżami w kosmos. Od kiedy Centrum i ja jesteśmy... razem, dowiedziałem się jeszcze więcej. Był kiedyś mężczyzna zwany Aleksandrem...«

- Adrianie? *Adrianie?*

Adrian otrząsnął się, przestał wpatrywać się w bolesną dla oczu jasność wody fioletowo-błękitnego morza i spojrzał na swego brata.

- Przepraszam.

- Wiem, że uczeni z Gaju mają zachowywać dystans, ale mamy tu pewien *problem*. -

Skrzywił się we frustracji. - A może wciąż rozmyślasz o tej konfederackiej dziewczynie?

- Tak, ale to nie oznacza, że nie mogę myśleć o kwestiach praktycznych - rzekł lekko rozzłoszczony Adrian.

*Mówiono mi o tym dystansie, odkąd skończyłem czternaś cie lat*, pomyślał. Jeden z dawnych uczonych miał ten sam problem ze swoją rodziną i przez rok monopolizował rynek oliwy z oliwek tylko po to, by udowodnić, że filozof potrafi przewyższyć zwykłych ludzi także w codziennych sprawach.

- Nie myśl o tym jako o *problemie* - ciągnął dalej na głos Adrian, z nieco zarożumiałym uśmiechem. - Pomyśl o tym jako o *okazji*.

Zaczął mówić. Esmond zmrużył oczy, a potem rozwarł je szeroko. Gdy Adrian skończył, odezwał się starszy Gellert:

- Cóż, niech mnie skarżą na wieczne wpychanie głazu pod górę. To się *może* udać - a tym samym jeszcze później dowiedzą się o reszcie twoich niespodzianek. Kapitanie!

Sharlz Thicelt zbliżył się pospiesznie. - Panie? - spytał. Esmond podniósł wzrok, nieco nachmurzony - niewielu było mężczyzn wyższych od niego - i powiedział:

- O tej porze roku, jakie wiatry tutaj przeważają?

- Generale, to się zmienia. Zwykle północno-zachodnie, zwłaszcza popołudniami - wiejąca w stronę brzegu bryza, bardzo zdradliwa. Zamiera nocą, jednak wraca nad ranem. Oczywiście tylko Bóg Słońca może przewidzieć pogodę każdego dnia. Czasami wieją silne wiatry od strony lądu, zwłaszcza przy letnich burzach i...

- Dziękuję ci bardzo, kapitanie Thicelt - rzucił pospiesznie Esmond. Wyspiarz uwielbiał dźwięk swego głosu - było to narodową słabością tak na Wyspach, jak i w miastach Szmaragdowców. - To może się bardzo przydać. Naprawdę bardzo.

\* \* \*

- To dziwne - powiedział sędzia Demansk. - Wyglądają na statki kupieckie.

Grobla posunęła się o dwieście jardów, a wieże oblężnicze znajdowały się w połowie drogi od brzegu. Jej powierzchnia już wyglądała jak brukowana miejska ulica, otoczona fortecznymi murami; snajperskie próby strzałów z zaskoczenia były jedynie niewielkim utrapieniem. *I zatopiliś my jedną z ich galer.* Dokonały tego miotacze kamieni na wieżach oblężniczych. Dziewięć pięter wysokości czyniło znaczną różnicę w zasięgu. Gdy grobla dojdzie do Preble, szczyt wieży będzie wystawał na dobre piętnaście stóp ponad murami miasta, a znajdujący się tam łucznicy i maszyny oczyszczą parapety dla piechoty. Tysiące robotników ciągnęło do wody ręczne wózki i nosiło kosze łupanego kamienia, a odgłos wrzucania ich w wodę przypominał nie kończący się szum fal uderzających o brzeg. Za nimi pracowali murarze, wznosząc obronny parapet, a tam, gdzie ten jeszcze nie sięgał, robotników chroniły pancerne tarcze - ciężkie, drewniane, w umieszczonych na kołach ramach. Wszędzie panował porządek i wrzała praca. W tym tempie w niecały miesiąc dotrą do Preble. Wszyscy żołnierze będą *straszliwie* wkurzeni tym, że tak długo zmuszano ich do tak ciężkiej pracy - uważano to za gorsze od budowania drogi, co samo w sobie nie było popularnym zajęciem. Dodawszy do tego to, co wydarzyło się w Preble w czasie powstania, plus fakt, iż Jeschonyk nawet nie zamierzał próbować utrzymać ludzi w ryzach, można było stwierdzić, że plądrowanie miasta będzie bardzo paskudne.

Demansk odczuwał *lekkie* współczucie dla mieszkańców miasta-wyspy. Już sama konfederacka okupacja wystarczała do doprowadzenia każdego do szału... choć, jego zdaniem, nie do samobójstwa. A do niego prowadziło zmasakrowanie konfederackich obywateli; ci, którzy zostaną oszczędzeni, aby pracować w kopalniach, będą szczęściarzami. Jeschonyk mówił o specjalnych igrzyskach z udziałem pochwyconych dorosłych. Igrzyskach bez nagrody, w których pary będą zmuszane do walki na śmierć i życie, a potem zwycięzców wystawi się przeciwko sobie, a ostatni pozostały przy życiu zostanie wsadzony na pal. Demanska wziął pomarańczę z hełmu, który trzymał na kolanie, i zaczął ją metodycznie obierać. *Naprawdę musimy coś zrobić z władzą w prowincjach*, pomyślał. Za każdym razem, gdy w jego rodzinnych stronach dochodziło do politycznego kryzysu, *gdzieś* wybuchała rewolta, a wszystko to było wynikiem rolniczego systemu podatkowego. *Oni są naszymi poddanymi, musimy przestać traktować prowincje jak nasze łowiska*. W obecnej sytuacji gubernator prowincji musiał ją wyzyskiwać aż do oporu, aby uniknąć spraw sądowych po przejściu na emeryturę. A jeśli o to chodziło, to każdy, kto skrzyżował szpady z rolniczym syndykatem podatkowym, doprowadzany był do bankructwa lub wygnania przez pozwy sądowe.

Flotylla z Preble zbliżała się do grobli z północnego zachodu, mając słońce za sobą, po prawej i wiatr prosto z tyłu. *Hmmm*, pomyślał. *Cztery galery, a każda z nich ciągnie frachtowiec. Czyżby była to próba ataku?*

Nie, nie byli szaleńcami, nie byli też jeszcze tak zdesperowani. Miał pod ręką w gotowości pełną brygadę żołnierzy, a mógł ściągnąć jeszcze więcej - odkomenderowani do pracy żołnierze mieli sprzęt stojący w pogotowiu, a on przeszkolił ich w szybkim ekwipowaniu się i ustawianiu w szyku.

- To *co* zatem robią? - spytał.

*Helga mnie wystraszyła swoimi opowieściami o tym cholernym Szmaragdowca, z którym się zadawała*, pomyślał kwaśno w duchu. *To nowożytna era, a nie równina pod murami Windhaven podczas Wojny Tysiąca Okrętów. Bogowie nie przybierają wyglądu śmiertelników,*

*aby walczyć w sporach śmiertelników, jeśli w ogóle kiedyś tak było.*

- Mimo to... pierwsza włącznie - powiedział. - Przygotuj swój oddział.

- Tak, panie!

Wiedział, że *to* zostanie wykonane kompetentnie. Znowu spojrzął, mrużąc oczy, a potem

zesztywniał, gdy flotylla buntowników stała się bardziej widoczna, znalazłszy się tuż poza zasięgiem katapult na wieżach oblężniczych. Galery odczepiały holowane statki, skręcały, a ich wiosła uderzały z podwójną siłą. Wycofywały się, a potem zatrzymywały, wiosła uderzały do tyłu, a ich rufy kierowały się ku grobli. Jednak przypominające balie kupieckie statki o głębokim zanurzeniu podnosiły swe wielkie, kwadratowe żagle. I zmierzały prosto ku grobli... Nie. Ich załogi wyskakiwały za burtę, wsiadały do małych łodzi i wiosłowały niczym Shadesholm do tyłu, ku galerom. Jedna się zatrzymała, na tyle blisko, że widać było uniesioną rękę z palcem wystawionym ku konfederackim siłom. Cztery statki zbliżały się z przywiązanymi rumplami podwójnych wiosł steru i wiejącym mocno z tyłu wiatrem, coraz szybciej, rozgarniając białą pianę swoimi dziobami. A z włazów na pokładach unosił się dym.

- Goniec! - warknął Demansk. - Wieże mają strzelać do statków - głazami. Zwalić im maszty albo zatopić. Natychmiast! Zdegraduję dowódcę, który pozwoli im się przedostać.

*Jazda!*

Demansk był człowiekiem rzadko podnoszącym głos. Mężczyzna pognał, jakby gonił go trzygłowy pies Pana Cieni, a sędzia zazgrzytał zębami z wściekłości.

*Szmaragdowcy*, pomyślał. Żadnej dyscypliny. Walczył z nimi od Sznura aż po Solinę, mniej mówiąc, ale mocniej uderzając. Ale oni byli...

- Podstępni. A ci Gellertowie są wyjątkowo podstępni nawet jak na *Szmaragdowców*.

Na jego oczach potęgowały się języki płomieni, blade w jasnym świetle słonecznym, lecz niosące w sobie obietnicę i czarny dym.

\* \* \*

- Palcie się, konfederackie sukinsyny! - wykrzyknął Esmond.

Stojący obok niego na podwyższonej rufie galery, z głową opartą na dziobnicy w kształcie zwiniętej szyi morskiej bestii, Adrian skrzywił się lekko. Głaz z jednej z katapult na wieży wpadł z pluskiem w wodę jakieś sto jardów od burty. Albo ktoś tam chciał się zemścić, albo były to *naprawdę* fatalne strzały. Coraz więcej ważących pięćdziesiąt funtów głazów uderzało w płonące statki płynące z szybkością sześciu węzłów ku konfederackiej wieży oblężniczej. Pociski odłupywały kawałki relingu, robiły dziury w żaglach, a niektóre roztrzaskiwały pokłady i trafiały w maszty. Dziury w pokładzie tylko dostarczały więcej powietrza pożarom szalejącym pod pokładami, pośród beczek ze smołą, siarką, oliwą i łojem, a przy każdym trafieniu w górę wystrzeliwały miniaturowe wulkany. Maszt jednego ze

statków zwał się za burtę. Jednak wysoka burta kupieckiego statku wystarczała, by ten posuwał się uparcie z wiatrem ku wieży, choć odwrócił się bokiem.

- Nie mają szansy ich zatopić - powiedział Esmond.

Jeśli dopisywało ci szczęście, mogłeś zatopić zwykłą galerę za pomocą strzałów z katapult. Były lekkiej budowy - szybkie skorupy z kruchej sosny, szybko wykonane i szybko się zużywające. Frachtowce miały dębowe szkielety i o wiele grubsze poszycie kadłuba. Te zbudowane były tak, by znosiły duże naprężenia i długo przetrwały. Wiele pływało po trzydzieści albo i czterdzieści lat, zanim trzeba je było rozebrać. Jedynym sposobem, by je zatopić, było staranowanie lub spalenie... a te frachtowce nie spłoną doszczętnie przed uderzeniem w groblę.

- Sprowadzili ludzi z wiosłami - powiedział Esmond.

Adrian też ich dostrzegł. Ktoś był na tyle sprytny, żeby zamontować pompę i polewać ich wodą. Jednak nawet mimo tego, nie wytrzymają żaru. Zapewne.

- Lepiej ich zniechęćmy - stwierdził. - Kapitanie Sharlz, ustaw nas burtą w ich stronę. -

Odwrócił się i spojrzał w dół, na schodnię galery: - Simun! Sześć załóg arkebuzowych - celować w ludzi, którzy próbują odepchnąć statki.

- Tak jest, panie! - odkrzyknął podoficer. Galera przechyliła się i obróciła bokiem, wiosła spieniły wodę, a potem przeszły do powolnych, rytmicznych uderzeń, aby utrzymać jednostkę w miejscu.

*Puf. Puf Puf...* Śmierdzący siarką dym doleciał na podniesioną rufę. Ludzie strzelali, robili krok do tyłu, żeby im przeładowano broń i znowu robili krok do przodu, skupieni na swoim zadaniu. Pierwsze sześć wystrzałów powaliły jednego człowieka - dobry wynik, przy takim ekstremalnym zasięgu. Czterouncjowe kule i lufy długości siedmiu stóp dawały arkebuzom większy zasięg niż jakiegokolwiek obrotowej katapulcie.

- Sukinsyny nawet nie wiedzą, co ich trafia - zaśmiał się Esmond.

»Ano nie wiedzą« skomentował Raj. »Nie mają powodu, aby kojarzyć huk i obłoczek dymu z czyjąś śmiercią. Ale nauczą się tego.«

I tak się stało, gdy padało coraz więcej ludzi przygotowujących się do odepchnięcia płonących statków. Przybiegli konfederaccy żołnierze, unosząc wielkie, owalne tarcze, aby obronić się przed tym, co zabijało ich towarzyszy. Adrian dostrzegł, jak zaśniły błyskawice z brązu na ich powierzchni, gdy je unieśli. Kolejny rząd znajdujący się za nimi trzymał je nad

głowami tak, jakby formowali skorupę żółwiową, jak przed łuczniczym ostrzałem. Siła przyzwyczajenia, lecz było to przyzwyczajenie, które pozwalało im na zachowanie spokoju. Nawet wtedy, gdy padł pierwszy żołnierz, gdy kule z arkebuzów odrzucały ludzi do tyłu, przebijały tarcze, przelatywały przez ogniwa kolczugi.

Tym razem Esmond się skrzywił. Adrian wyczuł, iż nie był on całkiem zadowolony, widząc, jak osobista odwaga, umiejętności i siła stają się niczym w obliczu maszyny trafiającej z odległości dwukrotnego zasięgu strzały z łuku.

- Na Tego o Silnym Ramieniu? *Jakż e* ludzka chwała została umniejszona! - wymruczał starszy Gellert. Królowi Sznura ten okrzyk wydarł się prosto z serca, gdy po raz pierwszy zobaczył pocisk z nowo wynalezionej katapulty.

- Postęp - odparł na to Adrian. A potem dodał: - Wstrzymać ogień!

Pierwszy z płonących statków osiadł na dnie niecałe dziesięć jardów od celu.

Wyspiarscy marynarze dobrze się spisali.

\* \* \*

- Ung.

Mężczyzna znajdujący się niecałe dwa kroki od sędziego Demanska padł, pojękując jak ktoś, kogo walnięto w brzuch.

Jednak w przeciwieństwie do uderzonego w brzuch boksera, on już nie wstanie, sądząc po ilości krwi, jaka wezbrała dokoła zaciskających się na ranie palców. *Lepiej, ż eby teraz wykrwawił się na ś mierć*, pomyślał Demansk z bezlitosnym współczuciem weterana. *Sam bym tak wolał, niż umierać powoli, gniją c od ś rodka*. Przebity brzuch *zawsze się paskudził*. Nawet w miejscu, w którym stał, czuć było wybijający się ponad woń krwi smród gówna.

- Ten pocisk przebił się przez jego tarczę - powiedział na głos.

- Kurwa, rzeczywiście - powiedział pierwsza włócznia. - Panie, musisz się stąd *wynosić* \ Jak cię zabiją, to kto będzie dowodził tym popapraństwem? Ja nie potrafię, a większość tych sukinsynów z namiotu sztabowego też *nie potrafi*.

Demansk potrząsnął głową. Jeschonyk tak naprawdę miał jakichś pół tuzina względnie doświadczonych doradców - jedyną dobrą rzeczą wynikającą z ostatnich dwudziestu lat historii Konfederacji było to, iż wyższe sfery pełne były mężczyzn, którzy widzieli krew na polu bitwy. Odwrócił się rozżłoszczony, przemawiając cicho:

- Nie mogę oczekiwać, aby ludzie zachowali spokój w obliczu tego, jeśli sam...

*Ptannggg*. Kolejny żołnierz zwałił się przed nim, z dziurą w tarczy. Sędzia Demansk znalazł się także na chropawych kamiennych płytach grobli i mrugając oczami, wpatrzył się w przerażoną twarz pierwszej włóczni.

- Gdzie jest ten velipad, który mnie kopnął? - wymruczał.

Jego dłoń powędrowała ku bolesnemu miejscu, z lewej strony tułowia, a potem szarpnął ją z dala od rozgrzanego metalu. Gdy spojrział na dół, zobaczył, że z boku biegła bruzda. wyłobiona w grubym, lanym brązie pancerza, na którym rozbryzwał się ołów.

- Sędzia nie żyje! Dowódca jest martwy! - zawył ktoś.

To wyrwało go z pełnego zdumienia oszołomienia. Wziął głęboki oddech. Odczuwał rwący ból w żebrach, ale nie było to nic strasznego, nie miał krwi na języku, a złamane końcówki kości nie ocierały się o siebie.

- Nie jestem! - zawołał. - Podnieście mnie, niech was bogowie potępią!

Jakieś ręce go podniosły. Przeszedł się tam i z powrotem wzdłuż tylnego szeregu żołnierzy, aby mogli go zobaczyć.

*W jakiś sposób ten diabelski proszek wyrzuca te pociski, uświadomił sobie. Wyrzuca je dalej niż katapulta osadzona na czopie i zbyt szybko, by je moż na było dostrzec. Stą d te obłoczki dymu na galerze.*

Kolejna myśl sprawiła, iż rozwarł szeroko oczy z przerażenia. - Pierwsza włócznio! - rzucił. - Niech ci ludzie z wiosłami się stamtąd odsuną.

- Pozwolić, żeby statek osiadł na dnie, panie? - spytał ten, skonsternowany.

- Nie możemy nic na to poradzić. - A co dopiero przepchnąć go do przodu grobli, żeby unosił się z wiatrem, nie wyrządzając szkody. Ktoś tam - ci *cholerni* Gellertowie - pewnie wyliczył to bardzo dokładnie. - Niech batalion się wycofa - niech wszyscy pozostali ustawią się za nami. Odwrót normalnym tempem, w formacji chronionej murem z tarcz, ale pospieszcie się, do diaska. Wykonać!

Sam też się odwrócił i zaczął iść ku tyłom. Brał udział w kampaniach przez większość swego pięćdziesięcioletniego życia. Nie miał już potrzeby udowadniania swojej odwagi, która to potrzeba tak dawno temu prowadziła młodego trybuna do szaleństwa. A pierwsza włócznia miał częściowo rację. Nikt inny nie wykona tej roboty lepiej od niego.

\* \* \*

- Uciekają - powiedział Esmond z rozczarowaniem pobrzmiewającym w głosie. - Ktoś



poszedł po rozum do głowy.

Adrian skinął gwałtownie głową. Nie żałował, że paru mniej ludzi spłonie żywcem.

Pierwszy z płonących statków był już prawie na mieliźnie, na której zbudowano groblę... prawie...

- Patrz! - zawołał.

Zarekwirowany statek kupiecki osiadł na mieliźnie, przechylił się do przodu, a potem zamarł. Z przeciągłym trzaskiem słyszalnym nawet ponad potęgującym się rykiem płomieni, maszt poleciał do przodu i spoczął ze swym płonącym żaglem nad wybrukowaną groblą.

Spadł w stronę wieży, lecz nie dotknął jej - ludzie wychylali się z wyższych pięter obelężniczej wieży, nie przejmując się kulami z arkebuzów, i polewali wodą warstwy grubych, zielonych skór tworzących jej zewnętrzne pokrycie. Już za chwilę...

ŁUBUDUB.

Siła wybuchu została przytłumiona przez kadłub statku i ciężar leżących na nim materiałów wybuchowych. A ograniczona przestrzeń także wzmocniła moc eksplozji. Stojący w płomieniach pokład palącego się statku zniknął w widowiskowym wulkanie ognia, płonących desek, belek i dziesiątków beczek łatwo palnych materiałów. Wiele z nich pękło wewnątrz kadłuba, dodając swą lepka, szybko się zapalającą zawartość do stożka płomieni, który buchnął ku górze. Nie był on wycelowany w nic szczególnego, lecz wiatr wygiął go ku południowemu wschodowi... a większość szczątków opadła na ścianę wieży obelężniczej.

Wiadra z wodą stały się nieistotne, tak jak i całe warstwy skóry, które wyschły i zajęły się niemal do razu. Gdy opadły pozostałości eksplozji, cały bok wieży już stał w płomieniach, a dym buchał z otworów strzelniczych i katapultowych wszędzie po przeciwległej stronie.

Ludzie wyskakiwali, ludzie z płonącymi włosami i ubraniami. Kilku uciekało z drugiej strony, lecz niewielu udało się zbiec po drabinach. Wieża stanowiła teraz komin, zasysający powietrze dołem i wyrzucający je górą i wszystkimi otworami po bokach, a grube drewno i wewnętrzny szkielet tylko jeszcze bardziej przyczyniały się do zagłady.

Kolejne trzy płonące statki przydryfowały ku czerwonemu jądro płomieni i wybuchły niemal natychmiast. Adrian poczuł, jak ogromna, miękka poduszka gorącego powietrza uderza go w twarz tak, że musiał podnieść dłoń, by uchronić oczy przed wysuszeniem.

Zamrugawszy nimi, widział wyraźnie, jak pierwsza wieża wali się na płonącą kolumnę drugiej - dziewięć pięter płonącego drewna spadającego niepowstrzymaną lawiną. Druga

wieża zatrzeszczała, zrzucając ludzi, deski i skóry. Jej część spadła na płyciznę z tyłu, lecz gruby kikut nadal płonął wraz z całą pierwszą wieżą. Kawałki płonącego drewna wylatywały w powietrze na odległość setek jardów, aż do okolonego murem obozu, gdzie Konfederaci upakowali ciasno zapasy dla cieśli i magazyny marynarki. Tam też wybuchły pożary. Słyszał trąbki i bębny, gdy oficerowie próbowali zorganizować oddziały strażackie. Będzie to jednak trudne - droga do najbliższego źródła wody była całkowicie zablokowana przez pożogę na grobli.

Znajdujący się na niej kamień pewnie zaczyna pękać, rozpalony do białości. Esmond się roześmiał, dołączyły do niego załogi galer - nawet wiosłarze uśmiechali się przez otwory na wiosła w odsadniach, a żołnierze i marynarze na pokładzie tańczyli, strzelali palcami i wykonywali grubiańskie gesty w stronę brzegu.

- Zginęło tam tysiąc ludzi - powiedział Esmond, uderzając dłonią o rękojeść miecza z rozradowaniem. - Tysiąc ludzi, miesiąc pracy i wszystkie te materiały. Świetnie.

Nawet mimo iż stał pod wiatr, Adrian wychwycił niesioną przez powiew woń. Zrobiło mu się lekko niedobrze i skinął głową.

- To ich na trochę powstrzyma - stwierdził. - Ale myślę, że teraz staniemy się tam bardzo, ale to bardzo niepopularni.

- No, cóż - powiedział Esmond, waląc go po plecach. - Będziemy więc musieli ciągle zamykać im drzwi przed nosem, no nie?

\* \* \*

- To się nazywa trebusz - powiedział Adrian, zwracając się do cieśli, kowali i budowniczych statków. - Jest to rodzaj katapuły.

Dowódca Szmaragdowców stał na podwyższeniu ze zbitego gruzu za murami miejskimi, przy odcinku najbliższym konfederackiej grobli. Wszyscy wspięli się już tu na górę i widzieli zdwojone wysiłki - tym razem mur blokujący po bokach grobli przypominał wał niewielkiego miasteczka, a wieże wysunięte na skraj budowy były przysadzistymi potworami obłożonymi wyklepanymi blachami z żelaza i mosiądzu, lśniącymi w jasnym świetle słonecznym niczym jakieś paskudne węże.

Rzemieślnicy tłoczyli się dookoła, aby przyjrzeć się modelowi wysokości człowieka, który Adrian zbudował. Składał się on z dwóch ciężkich trójnogów połączonych żelazną osią. Na niej kręciła się belka, przymocowana w jednej trzeciej wysokości. Na krótszym

fragmencie belki zawieszono skrzynię wypełnioną kamieniami, która z kolei obracała się na żelaznym pręcie przechodzącym przez najbardziej wysuniętą część belki. Na jej długim końcu znajdowała się skórzana proca, a w niej kamień wielkości pięści.

- Jak to działa? - spytał po chwili jakiś zdumiony cieśla. - Nie ma żadnej cięciwy ze skręconego jelita ani łuku - to w jaki sposób to wyrzuca pociski? - Wykonał znak jedną ręką. - Następną czarodziejską sztuczką z diabelskim proszkiem?

Adrian uśmiechnął się uspokajająco. - Nie, to jest całkiem proste - powiedział. - Pokażę wam. Simun.

Podoficer dał znać, aby wystąpiło dwóch arkebuzerów. Pozostałe dwie setki stały na murze, radośnie strzelając do ludzi, przebijając drewniane tarcze, które Konfederaci ustawili z przodu, aby chronić pracujące oddziały. Konfederaci podwoili, a potem jeszcze raz podwoili grubość drewna, aż z trudnością przesuwali je po nierównej powierzchni roboczej, mimo to od czasu do czasu jakaś kula się przedostawała. A jeszcze więcej trafiało w ludzi znajdujących się za rzędem tarcz lub w ich odsłonięte kończyny, a także w pracujące grupy próbujące posuwać osłonę do przodu. Inni strzelcy wyczekiwali cierpliwie, aż otworzy się właz na którejś z wież oblężniczych, żeby wypluć włócznie z balisty w kierunku miasta. Znajdowali się w najdalszym zasięgu... to znaczy jak dla katapulty. Za to zasięg arkebuzerów był w *sam raz* i tuzin ich strzelał za każdym razem, gdy Konfederaci tego próbowali. Ludzie w wieży ginęli, ale to było rzeczą wtórną - wążąca cztery uncje kula poruszająca się dziewięćset stóp na sekundę robiła paskudne rzeczy ze szkieletem i mocowaniami katapulty przy każdym trafieniu.

Simun się zaśmiał, oglądając się przez ramię, a potem dał znak dwóm mężczyznom. Ci pociągnęli za sznury przebiegające przez wielokrążek i długie ramię miniaturowego trebusza powędrowało w dół, a Adrian mógł wsunąć żelazny hak w pierścień wbity w drewno tuż nad procą. Znajdujący się w niej ładunek był teraz w spoczynku, ledwo co dotykając ziemi.

- Proszę, ponie - powiedział Simun, wręczając Adrianowi sznur spustowy.

- Więc, pociągamy za to... *Szust.*

Ciężki kosz wypełniony kamieniami pociągnął w dół krótkie ramię trebusza. Długie ramię poruszyło się o wiele szybciej dzięki działaniu dźwigni. Proca dodała jeszcze pędu do pocisku i kamień pomknął pięćdziesiąt jardów ku murowi z paskudną szybkością. Ładunek wyrznął w granitową powierzchnię na tyle mocno, że odłupał płat o szerokości stopy.

Rzemieślnicy i oficerowie saperów zagwizdali przeciągle z podziwu.

- Chodzi o to - ciągnął Adrian, kładąc dłoń na modelu - że możemy go zbudować tak dużym, na ile starczy drewna - a księżę Tenny i syndycy uprawnili nas do burzenia budynków, nawet świątyni. To jest miasto słynące z budowy statków, więc mamy dosyć ludzi nawykłych do prac z konstrukcjami takich rozmiarów, ciężkimi linami i wielokrążkami. Będą nam potrzebne wciągarki, żeby spuścić w dół ramię miotające pociski, lecz gdy już trebusz będzie gotowy, będziemy mogli ciskać naprawdę *wielkie* ciężary. Będziemy mogli je wyrzucać pod wysokim kątem, żeby przeleciały ponad murem, i będzie można je dorzucić aż do brzegu albo prawie - zrzucając je prosto na głowy Konfederatom.

Gdy ten obraz powoli docierał do świadomości widzów, wokół pojawiły się błogie uśmiechy.

- O panie morza o zębach rekina - powiedział jeden z nich z nabożnym podziwem. - To tak, jakby zasypywać deszczem gładów, co, panie? Ale jak będziemy celować?

- Możemy przesuwać całą ramę, żeby wycelować - powiedział Adrian. - Nie będzie to łatwe, ale możemy to zrobić, jeśli będziemy uważać przy budowie platformy znajdującej się pod spodem i jeśli wykorzystamy dużo siły roboczej. Aby ocenić odległość, po prostu wykonamy strzały odmierzające, dokładając lub odejmując kamienie z kosza na krótszym ramieniu - to stąd pochodzi impet wyrzutu. Budujemy... - Przerwał. Język wyspiarski, którym się posługiwał, nie miał słowa, które stanowiło dokładny odpowiednik „siły”. - Budujemy zdolność do rzutu poprzez wciąganie kosza. A potem, gdy ten opada, cała ta, ach, *sila*, zostaje na raz przeniesiona na to, co rzucamy. Zmieniając ciężar, zmieniamy siłę - tak jak czyni to człowiek, ciskając kamień ręcznie.

Wydawało się, że kilku z nich złapało, o co Adrianowi chodziło. Na innych twarzach malował się brak zrozumienia i Adrian ściągnął nakrycie głowy, wzdychając. Pot ściekał mu po czole i szczypał w oczy. Było gorąco, a znajdujące się wszędzie dokoła budynki oddawały ciepło.

- Uda nam się - powiedział. Centrum wypełniło mu umysł obrazami tego, czego mógł dokonać trebusz oraz dokładnymi instrukcjami, jak krok po kroku do tego dążyć. - A gdy tego dokonamy, to zepsuje to Konfederatom cały *dzień*.

Ludzie znajdujący się na murze spojrzeli w dół i uśmiechnęli się w zadumie na dźwięk śmiechu, jaki wybuchł wokół Adriana. Rozległ się on wzdłuż parapetu, aż mur dzwonił od

odgłosów rozradowania. Morale w Preble było *bardzo* dobre.

- Cieszcie się, póki możecie - wymruczał pod nosem Adrian.

Jednak siły i środki Konfederacji będą stopniowo napływać - na początku powoli, niczym lawina, lecz w końcu spadną ciężko.

\* \* \*

Doświadczenie pokazało, że broń znajdująca się na murach Preble nie stanowiła zagrożenia dla podstawy grobli... a jak się człowiek pilnował, to galery krążące po pasie o długości ćwierć mili również nie były groźne. Sędzia Demansk stał nachmurzony i przyglądał się, jak do przodu płynie potok kamienia, a z powrotem napływają strumyczkiem ranni i martwi. Przydzielono spory oddział straży mającej za zadanie sprawdzać, czy wszyscy wracający odnieśli prawdziwe rany. Strażnicy opierali się o tarcze, spokojni, znudzeni i zadowoleni, że w tej chwili nie znajdują się na odcinku, gdzie jest gorąco. W powietrzu wisiał ciężki zapach potu, smród gnoju velipadów i wielkobestii, pylista woń rozbijanego kamienia i słony zapach morskich osadów przy brzegu.

*Przynajmniej mamy dość czasu, aby przeszkolić nowych rekrutów*, pomyślał. Była to jedyna dobra rzecz w działaniach oblężniczych, nawet w tym przeklętym przez bogów oblężeniu. Demansk zazgrzytał zębami, zobaczywszy, jak na horyzoncie pojawiły się żagle konwoju statków kupieckich. W Preble będą dobrze jedli. Wywiad donosił, że mieli zapasy na sześć miesięcy, a mogli jeszcze importować zboże - z południowego kontynentu przez wolny port Marange. Dopóki mieli pieniądze, a tych też mieli wystarczająco dużo. Z tego, co słyszał, dobrali się do świątynnych skarbców. A poza tym był jeszcze zawsze król Wysp.

- Dopóki panują nad morzem, z pewnością nie weźmiemy ich głodem - powiedział. - A jak czują się ludzie, pierwsza włócznie?

- Są wkurzeni i przestraszeni, panie - odparł ten od razu. - Chcą dorwać tych kurewskich buntowników, ale zaczynają myśleć, że za każdym razem, gdy *wyglą da* na to, że wreszcie coś osiągamy, ci cholernicy wymyślają kolejną sztuczkę, panie.

Demansk pokiwał głową z kwaśną miną. *Nie przychodzi mi już do głowy, co jeszcze mogliby zrobić*, zastanawiał się.

Wbili pale z metalowymi czubkami w płyciznę znajdującą się sto jardów od grobli po obu stronach, posługując się tutejszymi, zwerbowanymi nurkami zajmującymi się połowem gąbek. *Dziękuję ci bogom, nie bę dzie już ż adnych płoną cych statków*.

*Arkebuzy* - szpiedzy i więźniowie przynieśli tę nazwę z Preble - mogły przebić się przez tarcze, ale nie przez mury czy wzmocnione osłony pancerne ani żelazne płyty na grubym drewnie w nowych wieżach oblężniczych. W miarę jak zbliżali się do Preble, strumyk rannych z wież rósł, tak jak i zwiększał się ciągły ostrzał z galer krążących dokoła grobli, lecz Konfederacja miała dużą armię. Wkrótce znajdą się w zasięgu skutecznego ostrzału z katapult, a potem i z łuków. Nowe wieże cholernie trudno się przesuwano, były tak ciężkie, że trzeba było używać okutych żelazem kół, lecz korzyść z tego była taka, że powinny być także raczej odporne na kamienie ciskane z katapult.

- Na co nie wpadłem? - wymruczał.

- Panie! Głowy w górę!

Demansk rozwarł szeroko oczy z zaskoczenia, gdy zobaczył jak zza murów okalających miasto na wyspie w kształcie brzoskwini wylatuje kropeczka. *Nienawidzę tej swojej miny*, pomyślał gniewnie. Widać było, że jest to kamień. I tak samo oczywiste było to, że jest *ogromny*. Ważył z ćwierć tony, był o wiele cięższy niż cokolwiek, co mogła cisnąć katapulta - co mogła rzucić, zanim bogowie skazali go na tę koszmarną operację. Znowu poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg, gdy rozpadały się pewniki całego życia - niezliczonych żywotów ciągnących się aż do czasów bohaterów.

Głaz wpadł do wody z ogromnym pluskiem, niecałe sto jardów od wieży znajdującej się po lewej, południowej stronie grobli. Woda była tam tak płytka, że czubek głazu wystawał ponad powierzchnię. Ludzie zaczęli wycofywać się do tyłu z szeroko rozwartymi z przerażenia ustami - byli to zwerbowani do pracy tutejsi robotnicy, jak zauważył z posępną dumą, a nie konfederacy żołnierze.

- Pierwsza włącznie, ewakuować ludzi z grobli! - rzucił ciężko. - Wszystko, poza ludźmi do obsady wież, aby odeprzeć szybką próbę desantu.

Czy nie wyglądałoby to cudownie w jego aktach, gdyby wycofał wszystkich, a komando *znowu* podpaliłoby wieże? Ale nie zamierzał tracić więcej żołnierzy, zwłaszcza gdy zrobi się tak paskudnie, jak się na to zносиło.

Ewakuację przeprowadzono sprawnie. W pięć minut później ludzie mijali go, idąc kolumnami, bezceremonialnie poganiani przez jego żołnierzy, zabierając ze sobą kosze, młotki, drewno, wózki i zwierzęta. Jeden z mierniczych kręcił się roztrzęsiony wokół kręgu osobistej gwardii Demanska. Pewnie przyszedł poskarżyć się na przerwę w pracy.

- Głowy do góry!

Kolejny ważący ćwierć tony głaz. Ten rósł z bezlitosną szybkością, spadając z nieba niczym kowadło zrzucone przez bogów, jak w zapomnianych legendach z kresu Złotej Ery, pradawnej historii. Demansk westchnął, śledząc tor jego lotu.

TRZASK. Pocisk trafił w najbardziej do przodu wysunięty lewy róg południowej pary wież. Żelazne płyty rozleciały się, gdy puściły mocujące je do drewnianej ramy sworznie i ćwieki. Odłamki kamienia, żelaza i drewna rozbryznęły się po przedzie grobli, powalając kilkoro ludzi, którzy się jeszcze nie wycofali. Demansk zobaczył, jak nagle siknęła czerwona krewi wyobraził sobie, jak spływa ona do morza. A potem pomyślał o szale, jaki ogarnął morskie stwory - padlinożercy nadciągnęli zewsząd, więc ostatnio pływanie stało się mniej popularne.

- Ściągnij ludzi z wież - powiedział Demansk.

- Panie...

- Oni rozwalą je w drzazgi, a my nic na to, kurwa, nie poradzimy. Zabierz ich stamtąd!

Na szczęście, cokolwiek mieli tam w Preble, to załadowanie zajmowało sporo czasu - choć nie tyle, aby udało mu się usunąć z drogi straszliwie ciężkie wieże oblężnicze, lecz było to przynajmniej pięć do ośmiu minut pomiędzy głazami. Łucznicy i artylerzyści z wież wycofywali się, płynąc zdyscyplinowanym, lecz pospiesznie poruszającym się strumieniem.

Wymijali go truchtem, gdy trzeci głaz uderzył w wieżę w połowie jej wysokości. Cała przysadzista budowla o szerokiej podstawie zakołysała się do tyłu, a pocisk nie roztrzaskał się ani nie odbił od jej powierzchni. Demansk skrzywił się. Oznaczało to, że przebił się on przez powierzchnię, mimo iż uderzył ukośnie, spadając z wysoka. *Jak pięść boga*, pomyślał.

W przeciągu piętnastu minut wieże opustoszały. Południowa pochylała się niczym pijak, a Demansk mógł spojrzeć na wylot przez jej szkielet. Jeszcze z pół tuzina strażów i będzie przewróconą ruiną. *Sto tysięcy cy arnketów*, pomyślał. Tylko w samych materiałach; metal był drogi, w takiej ilości. Nie wspominając już o godzinach pracy...

Dalsze oczekiwanie, pół godziny, a wtedy głaz strącił szczyt północnej wieży i roztrzaskał się na śmiertelnie niebezpieczne odłamki na grobli za nią. Kolejny upadł z paskudną precyzją prosto na dach i Demansk usłyszał trzask pękającego drewna, gdy głaz wyrznął w środek wieży. Pięć ogromnych kamieni sprawiło, iż wieża przewróciła się do tyłu przy wtórze trzasków, odgłosów pękania i łoskotu przypominających koniec świata. Gdy

opadł pył, sędzia zobaczył, że wieża leży. Dziura, którą wybił w dachu pierwszy gład, wyglądała niczym oko osadzone w zapadającym się prostokącie straszliwie grubych belek tworzących jej szkielet.

Kolejna przerwa i następna spadająca od strony Preble kropeczka. Gdy urosła w oczach, dostrzegł, iż ciągnie się za nią... nie płomień, tylko niebieski dym. *Jak... jak w jednym z granatów, ale to jest o wiele wię ksze. Co oznacza...*

- Padnij! - zakrzyknął i rzucił się na ziemię. Jego naprawiony pancerz wbił mu się w ciało, gdy wylądował na kamieniach nawierzchni. - Padnij, idioto!

Sięgnął ręką, chwycił pierwszą włócznię za grube, umięśnione kostki, chronione butami o długich cholewach i pociągnął go na ziemię. A potem świat zniknął w huku gromu i bólu.

\* \* \*

- Na grobli, w miejscu, gdzie wylądowała wielka, żelazna beczka z diabelskim proszkiem, jest *cholerna* dziura! - rzucił entuzjastycznie Esmond.

»Lej« wyszeptało pedantycznie Centrum w umyśle Adriana. Czasami bywało, że bóg-duch-maszyna przypominał mu pewnego bardzo rzeczowego nauczyciela retoryki, który uczył go w Gaju.

Gellertowie siedzieli na krzesłach przyniesionych na parapet muru, obok stolika zastawionego rozcieńczonym winem, oliwkami, rybami, szynką, chlebem i owocami. Esmond pochłaniał jedzenie z metodyczną szybkością, ze spojrzeniem wlepionym w brzeg i konfederackie budowle.

- Tak, dopóki wystarczy nam prochu, możemy rozwalać groblę w drzazgi szybciej, niż zdołają ją odbudowywać - powiedział Adrian.

Esmond pokiwał głową, uśmiechając się. - Szkoda, że w ten sposób nie możemy osiągnąć ich obozu - może moglibyśmy zamontować jeden z trebuszów na statku? Powiedzmy, na dużym frachtowcu, zdjęć maszt, umieścić trebusz w środku.

- Wtedy celność Cienie by wzięły - powiedział zaskoczony, będący pod wrażeniem Adrian. Esmond zaczął myśleć o potencjalnych możliwościach zastosowania nowych urządzeń.

»Militarne nowinki technicznie rozprzestrzeniają się szybciej niż cokolwiek innego« powiedział Raj, tonem jednocześnie znużonym i rozbawionym. »Medycyna i nowe metody upraw są ignorowane jako cudzoziemskie brednie, ale jak się wpadnie na lepszy pomysł



rozwalania czaszek, to będą stawać na głowie, aby położyć na tym łapska.«

- Wkrótce jednak - powiedział Adrian - Konfederaci zrozumieją iż nic, co do tej pory im pokazaliśmy, nie nadaje się do walki z ruchomymi celami - takimi jak na przykład statki. Esmond nachmurzył się, a jego uśmiech zniknął. - Król Casull udzieli nam wsparcia za pomocą królewskiej floty - powiedział.

Spojrzenia braci spotkały się. *Mamy taką nadzieję*, pozostało niewypowiedziane pomiędzy nimi.

\* \* \*

- ...uratować ramię - mówił ktoś.

Sędzia Demansk otworzył oczy. Pochylało się nad nim dwóch lekarzy i Helga. Spojrzał w dół. Lewe ramię miał unieruchomione za pomocą bandaży i łupków i właśnie zaczynało go ono okrutnie boleć. Oprócz tego kręciło mu się w głowie od uderzenia, które pozbawiło go przytomności, odczuwał sińce, skręcenia i wywichnięcia. *Jak po fatalnym wypadku przy jeździe wierzchem*, stwierdził i wyćwiczonym wysiłkiem woli odsunął od siebie dolegliwości cielesne. Woń płótna i ostry zapach środków medycznych sprawiły, że zebrało mu się na wymioty, lecz to także minęło.

Po kilku rzeczowych pytaniach ustalił, że nie został ciężko ranny. Pierwsza włócznia miała poważną ranę głowy i przeszedł trepanację czaszki. Nie byli pewni, czy przeżyje; to dopiero *bolało*.

Gdy lekarze sobie wreszcie poszli, Demansk pozwolił, żeby córka uniosła mu głowę i zbliżyła kubek do ust. Odległy dźwięk przypominający grom sprawił, że drgnął nieco i rozlał wodę na cienkie prześcieradła.

- Jeszcze więcej? - spytał.

Helga skinęła głową. W namiocie panował półmrok, co sprawiało, że jej oczy błyszczały zielenią, gdy na niego spoglądała. - Jeszcze. Grobla jest w ruinie.

- Nie wspominając o reputacji wszystkich zamieszanych w to fiasko - powiedział, kładąc rękę z powrotem na poduszce. - Wiesz, ten twój młodzieniec...

- Jaki on mój, ojczy!

- Ten Adrian Gellert, on zagraża całemu porządkowi rzeczy. Poczynając od Konfederacji. Parsknęła śmiechem. - Och, przestań, ojczy. W końcu zajmiemy Preble.

- Może i tak, ale będzie to kosztowne. Jak sądzisz, dlaczego świat składa się obecnie z

Konfederacji i leżących na uboczu regionów, zamiast mrowia małych miast i królestw w dolinach, jak to było kiedyś?

- Oczywiście dlatego, że mamy lepszą armię. I ponoć bogowie nam sprzyjają.

- To zwykle się ze sobą łączy - rzucił sucho Demansk, nie odpowiadając jej uśmiechem.

Za bardzo bolało. - Jednym z powodów jest to, że miasta nie opierają się całymi latami tak, jak miało to miejsce w czasie Wojen Ligi albo nawet wojen Sojuszu. Konfederacja może zająć większość miast w przeciągu niecałego miesiąca. Twój... ten wolny mężczyzna Gellert nagle sprawił, że oblężenia znowu staną się bardziej kosztowne. Jeśli te *innowacje* - słowo to miało złowrogie konotacje związane ze złem i rozkładem, w szmaragdowym i konfederackim - się rozpowszechnią.

Helga położyła mu na czole zimną chustkę, a on powstrzyma! się przed wydaniem westchnienia ulgi. - Zawsze leży ci na sercu dobro państwa, co, ojcze?

- Jeśli nie będzie o tym myślał Demansk, to kto?

Skinęła głową. - Ale, ojcze, co powstrzyma nas przed wykorzystaniem tych... nowych urządzeń? - Zauważył, że nie użyła słowa, którym się posłużył. - Miasto stanowi duży, nieruchomy cel. Z tego, co widziałam i słyszałam, piekielny proszek może działać cuda przeciwko fortyfikacjom.

Demansk zamrugał oczami, zaskoczony. - Wiesz - powiedział - może coś w tym jest... koncentrowałem się na dostaniu się do Preble *pomimo* zabawek Szmaragdowców. - Myślał przez chwilę. - To wymaga zastanowienia, dziewczyno. Z pewnością wymaga.

## **Rozdział dziesiąty**

- Niech żyje król! Królu, obyś żył wiecznie! Niech wszyscy ukorzą się przed królem Casullem IV, królem Wysp, suwerenem Zachodnich Mórz!

Herold o płucach jak miechy wykrzyknął to zawołanie, gdy okręt flagowy królewskiej floty zarzucił kotwicę. Pomalowane na cynobrowo wiosła pięciorzędowej galery zostały wciągnięte jednocześnie, wyćwiczona załoga odznaczała się precyzją tancerzy. Za nią zbliżało się sto dwadzieścia okrętów floty wojennej Wysp - nie licząc ponad dwudziestu transportowców i statków zaopatrzeniowych - nie z aż taką precyzją, lecz z krzepiącym popisem kunsztu żeglarskiego.

*Było to szczególnie krzepiące, w porównaniu z konfederacką flotą*, pomyślał Adrian, padając na kolana wraz z pozostałymi tysiącami widzów. Przyglądanie się jak konfederackie

pięcioławowe galery kołyszają się ciężko, wpływając do tymczasowej przystani przy wybrzeżu, było podnoszące na duchu, zwłaszcza gdy parę z nich zderzyło się przy wejściu, łamiąc wiosła i zabijając wioślarzy. Podnosiło na duchu, dopóki nie zobaczyło się, jak wiele ich było. Stojąc obok księcia Tenny'ego, razem z dowództwem, miał przynajmniej luksus klękania i przyciskania czoła do miękkiego dywanu, a nie twardych, oślizgłych kocich łbów.

Mimo to podniósł się tak szybko, jak się dało, spoglądając pożądliwie na niską sylwetkę przypominającą skorupę żółwia, z osłoniętymi kołami po obu stronach, która płynęła za pięcioławową galerą, a lina holownicza wyskakiwała, od czasu do czasu rozpryskując wodę ponad niebiesko-zieloną powierzchnią. To było *jego* szczególne dziecko. Okręty wojenne tworzyły groźną masę, nawet we wspaniałej okrągłej zatoce na północnym skraju Preble, nawet przy tych wszystkich statkach kupieckich przybyłych tłumnie, by skorzystać z wojennych cen, gdy okazało się, że miasto tak szybko nie upadnie. W dokach aż czarno było od ludzi - albo szaro lub czerwono, w zależności od koloru turbanów i welonów. Tak samo jak na płaskich dachach domów wyrastających w niepełnym kręgu ponad wodą.

Casull zszedł na brzeg, połyskując niczym wąż w swojej zbroi wykładanej złotem i srebrem; szlachta, i osobista gwardia znajdująca się wokół niego wyglądała tylko nieco mniej wspaniale. Nad nim i nad krzykliwie połyskującą metalem masą okrętów i żołnierzy znajdujących się z tyłu powiewał sztandar Wysp z trójzębem. Obywatele Preble wiwatowali aż do zachrypnięcia, rzucając Casullowi pod nogi wyschnięte płatki róż. Kapłani w białych szatach i cętkowanych płaszczach ze skór leopardów kropili perfumowaną wodą, intonując modlitwy. Gdy król postawił stopę na lądzie, błysnęły noże ofiarne i wielkobestie oraz wełnobestie oddały życie na ołtarzach.

- A więc - odezwał się w końcu król, gdy dobiegły końca procesje, ofiary i mowy. Zdjął wysoki, spiczasty hełm ze szkarłatno-zielonym pióropuszem. - Nie znoszę tego cholerstwa - jest jeszcze cięższy i bardziej w nim gorąco niż w hełmie bojowym, gdy słońce świeci.

Adrian uśmiechnął się uprzejmie. Zebranych było niewielu: on sam, Esmond, Sharlz Thicelt, Enry Sharbonow, admirał floty królewskiej, kilku adiutantów i księżę Tenny, siedzący na poduszkach pośród błękitnych smużek dymu z kadzideł z rzezanych złotych kadzielnic.

Casull mówił dalej, rozglądając się po okrągłej komnacie o ścianach z różowego marmuru, gdzie kiedyś spotykali się syndycy Preble: - Dobrze im się tutaj powodzi. Dziwię

się, że jacyś pomysłowi Konfederaci nie przewieźli tego do Vanbertu! - Wyraz jego twarzy stwardniał mimo uśmiechu. - Słyszałem, że obrona idzie dobrze pod wodzą mego syna.

Tenny skłonił się, uśmiechając z wyższością.

Esmond pokłonił się i powiedział: - Królu, obyś żył wiecznie. Pod natchnionym przywództwem księcia udaremniliśmy próbę wybudowania grobli prowadzącej do Preble i wyrządziliśmy im spore szkody - kilka tysięcy ludzi przy zaledwie kilkudziesięciu po naszej stronie. Nawet sędzia Demansk, drugi w hierarchii dowodzenia w stawiających nam czoła konfederackich siłach, został ciężko ranny. Mimo to konfederacka flota jest niemal gotowa do wypłynięcia w morze. Miasto się nie utrzyma, jeśli Konfederaci będą panować na morzu.

Casull skinął głową i pochylił się do przodu na swych poduszkach. - Mapę - rozkazał.

- Panie. - Z kolei admirał strzelił palcami i młody adiutant, wyglądający jak jego syn, którym pewnie był, przyniósł ją. - Mówca Jeschonyk zbudował tam sztuczną zatokę, około mili w górę wybrzeża - poza zasięgiem trebusza. Zatopił w morzu dwa rzędy frachtowców wypełnionych kamieniami, na zewnętrznym skraju wybudował drewniane forty i tam trzyma swoje okręty. Sto trzydzieści bojowych jednostek, mniej więcej tyle samo co naszych.

- Hmmm - powiedział król. Przesunął palcem po mapie. - To miasto, Speyer, ma, jak sądzę, dobry port. Dlaczego nie tam?

Thicelt skłonił głowę; przy zapince na turbanie miał egretę z diamentów i piór.

- Królu, prądy i fale nie są tam korzystne. Trudne wiosłowanie dla okrętów wojennych, ich załogi byłyby wyczerpane, zanim by tu dotarły.

- Podczas gdy nasze będą wypoczęte - kiwnął głową Casull; każdy dowodzący na morzu musiał przeprowadzać tego rodzaju obliczenia. Nie można było utrzymywać żagli w górze, gdy okręt miał wkrótce wziąć udział w walce. - Poza tym... czy Speyer nie rządzono stąd?

- Tak, królu - powiedział Sharbonow. *Jego* zapinka na turbanie była jeszcze bardziej ozdobna niż ta należąca do Thicelta, a jego kurtka ze złotogłowiu i czerwony jedwabny pas były naszywane małymi czarnymi i stalowoszarymi perełkami. - A wiele rodzin ma tutaj swoich krewnych. Żołnierze Markomana wzięli Speyer szturmem i nie byli delikatni. Mam tam wielu czynnych szpiegów, zagorzałych zwolenników naszej sprawy, przepelnionych nienawiścią do Konfederatów.

- A zatem. - Palec Casulla powrócił do tymczasowego portu Konfederatów. - Tyle samo okrętów co u nas, lecz więcej pięciorzędowych galer. Jesteśmy lepszymi żeglarzami, lecz oni

są lepsi w działaniach abordażowych. Jeśli uda im się odeprzeć moją królewską flotę, wówczas uda im się odciąć Preble i w końcu odbić wyspę. Jeśli zamiast tego uda nam się wyeliminować ich flotę, wtedy Preble będzie nasza i będziemy mogli doprowadzić ich do szału najazdami na wybrzeże, zakłócając handel, co będzie ich słono kosztowało.

Przebiegłe ciemne oczy wpiły się spojrzeniem w obu braci. - Synowie Gellerta. Wiele ryzykuję, opierając się na waszych wynalazkach. - Posłużył się słowem w szmaragdowym, budzącym skojarzenia z czymś nienaturalnym i wypaczonym.

- Królu - rzekł cicho Adrian. - Mamy przewagę, jakiej nie podejrzewają. Wielkie zwycięstwo, jakie tu odniesiemy, z pewnością na długie lata zabezpieczy Królestwo Wysp przed agresją ze strony Konfederacji.

- A wielka *klęska* poniesiona tutaj sprawi, iż Konfederaci znajdą się w Kielichu w przeciągu *tego* roku - powiedział Casull, a potem zmusił się do odprężenia. - Musimy zaufać naszej sztuce żeglarskiej i waszej broni.

\* \* \*

- Powiedziałem, że działa prawidłowo! - ryknął do ucha Adrianowi Gellertowi świeżo upieczony inżynier.

Parowa galera *Pięść Wodepa* - załoga nazywała ją *Kutasem Wodepa*, przez wzgląd na kształt tarana na dziobie - stała na jałowym biegu w wielkim porcie Preble. Adrian zaś drżał od szoku wywołanego gorącem, doświadczonym już przedtem, lecz zapomnianym. Rozumiał, dlaczego załoga pracowała w większości rozebrana aż do opasek biodrowych, mimo ryzyka wpadnięcia na chropawe drewno lub rozgrzany do czerwoności metal. Przyzwoitość nakazywała, żeby miał na sobie przynajmniej płócienną tunikę, która była teraz moką szmatą przyklejoną do skóry. W wielkim, sklepionym wnętrzu rewolucyjnej jednostki panował półmrok, podświetlony na czerwono przez płomienie w kotłach. Pomieszczenie było pełne błyszczących od potu, niemal nagich sylwetek, niczym coś z piekielnych Cieni. Większość wnętrza zajmował nitowany, żelazny walec kotła, syczącego i puszczającego teraz parę z pół tuzina miejsc.

Para unosiła się dusznym oparem wokół pozostałej maszynierii. Po obu stronach stały cylindry z lanego brązu, o średnicy jak talia niedużej kobiety, przymocowane dnem do grubych belek i połączone z kotłem rurami owiniętymi prymitywnym, płóciennym materiałem izolacyjnym. Ze szczytu każdego cylindra wystawał żelazny pręt, połączony

jednym końcem z belką. Belka ta obracała się na osi przymocowanej do kadłuba, a drugi koniec był wyposażony w drugi pręt poruszający wałem przechodzącym przez kadłub. Niczym oszalałe potwory melancholii, belki poruszały się w górę i w dół, w górę i w dół, jak nogi pasikonika, z gładką, mechaniczną regularnością, i nie przypominały niczego, co Adrian kiedykolwiek widział.

Zakaszłał. Powietrze ciężkie było od wilgoci, zapachu łożu używanego jako smar do maszyn oraz smrodu potu, rozgrzanego metalu i sadzy unoszącej się w miejscu, gdzie podwójne kominy wypuszczały dym. Znajdujący się za kotłem mężczyźni pracowali jak szaleni, podając sobie kawałki bali, które wrzucali do wyłożonej ceglami dziury poniżej. Za nimi pozostali stali w gotowości przy sznurach wielokrążka poruszającego rumpel pierwszego na świecie zawiasowego steru na stewie rufowej.

- Powiedziałbym, iż to cud, że to w ogóle działa! - ryknął w odpowiedzi radośnie Adrian. Mężczyzna pochwycił rękoma drabinę prowadzącą w górę pomiędzy kominami i odetchnął z ulgą, gdy znalazł się na kwadratowym, opancerzonym pomoście wystającym na cztery stopy z przypominającego skorupę żółwia pokładu *Pięś ci Wodepa*. Ze wszystkich czterech stron znajdowały się wąskie szczeliny. Wyglądając przez nie, widział rozciągające się wokół Preble - czarne, szare i niebieskie od głów i twarzy, jak miało to miejsce przy wczorajszym przybyciu króla Casulla. Teraz ludzie przyszli tłumnie, aby zobaczyć najnowsze dzieło cudotwórcy Adriana Gellerta, ich zbawcy...

*Wolałbym, ż eby mnie tak nie nazywali*, pomyślał. Widział, jak król Casull mrużył oczy za każdym razem, gdy jakiś głupiec wykrzykiwał to na ulicy, a reakcja księcia Tenny'ego była jeszcze gorsza.

Wyjął korek z jednej z tub komunikacyjnych, gwizdnął przez nią ostro i krzyknął w dziurę: - Ster cała w lewo!

Odpowiedział mu inny gwizd i Adrian złapał za uchwyty, gdy *Wodep* przechylił się ostro. Jedno z kół łopatkowych niemal całkowicie uniosło się ponad wodę i Adrian skrzywił się, gdy przez chwilę trzon tłokowy z tej strony zatańczył dziko, skacząc w górę i w dół, a potem znowu, gdy koło łopatkowe ponownie wgryzło się w wodę ze zgrzytem. Poszycie statku stęknęło, a Adrian usłyszał, jak woda przelewa się w kotle. Coś przyszło mu do głowy i pochylił się, aby sprawdzić zawór bezpieczeństwa. *Dobrze*. W Kielichu jakiś rozentuzjasmowany gość przymocował go w dolnej pozycji, żeby silnik szybciej pracował.

- Przekazać dalej! - zawołał, a potem krzyknął w trzy tuby komunikacyjne. -

Przygotować się do taranowania!

Dały się znowu słyszeć radosne okrzyki, a on pokręcił głową ze zdumieniem. Wystarczał już sam fakt, że to płynęło przed siebie...

- Widzicie go? - spytał wyspiarskiego kapitana.

- Tak, panie. To *Pazur Lodowego Ptaka*. Boże Słońca, mój ojciec na nim służył!

Kapitan był młodym człowiekiem, mogło to więc być prawdą. Galera unosiła się z lekkim prądem w zatoce, szkarłatno-niebieska farba wyblakła i obłaziła, a jej niska, smukła sylwetka znajdowała się na wodzie jakieś tysiąc jardów od nich. Nikogo nie było na pokładzie poza załogą do obsadzenia katapult, składającą się z pospiesznie przeszkolonych przestępców. Obiecano im wolność, jeśli dobrze się postarają lub wbicie na pal w przeciwnym wypadku.

- Ster naprzód - rozkazał Adrian. - Gała naprzód, ale czekać na moją komendę z odwracaniem biegu silników. Naprzód!

Koła łopatkowe uderzały szybciej, wyrzucając pianę ponad opancerzony schron dowódcy. Od czasu do czasu jakieś kropelki przedostawały się przez szczeliny obserwacyjne, dając mile ochłodzenie, mimo iż piekły w oczy. Taran rozgarniał wodę, która obmywała pokład aż po trójkątny łamacz fal, jaki kazał zamocować, aby dziób nie zanurzał się zbyt mocno; nie chciał się zastanawiać, co mogłoby się stać z tą kołyszącą się balią na prawdziwym morzu. Narastała siła pędu, nie przypominająca niczego, co do tej pory czuł na morzu, nawet gdy używano wiosła - była w tym kołysaniu jakaś ślepa celowość, *mechaniczność*. Galera coraz bardziej rosła w oczach. Była o wiele lżejsza od *Wodepa*, lecz dłuższa i z wyższą okrężnicą. Oszczep wyleciał łukiem z balisty, a później następny; odległość sprawiała, iż wyglądało, jakby zaczynały lecieć wolno, by potem przyspieszyć, gdy nabierały wysokości. Pociski odbiły się, nie czyniąc szkody, ze stukotem i deszczem iskier, od ośmiokątnych, żelaznych płyt. Adrian uchylił się, gdy wydawało mu się, że jeden z nich trafi go prosto w oko, lecz on także odbił się od schronu. Znaleźli się jeszcze bliżej, Adrian dostrzegał puste otwory na wiosła triremy i pobladłe twarze ludzi ciągnących za kołowroty katapult.

*Łup! Łup!* Kolejne strzały z katapult odbiły się od pancerza. Wycelowano je z przodu śródokręcia galery, pod kątem trzydziestu stopni.

- Przygotować się na zderzenie! - krzyknął Adrian do tuby komunikacyjnej. Jakiś mężczyzna zaczął walić żelaznym prętem w dzwon, na tyle głośno, że było to słyszalne ponad potwornym CZUFFF... CZUFFF... cylindrów.

- Silniki cała wstecz! - zawołał jeszcze raz i wsunął ramię w wyściełany materiałem żelazny uchwyt przymocowany do drewnianego wnętrza bunkra.

Coraz bliżej i bliżej, nagle kołysanie zmieniających bieg kół łopatkowych, lecz za późno, by spowolnić taran. A potem...

ŁUUUUP. Kadłub galery zadudnił niczym ogromny bęben, a potem jęknął w trzasku pękających desek i belek. Adrian został szarpnięty do przodu tak gwałtownie, że niemal wyrwało mu ramię ze stawu i walnął się w głowę tak mocno, że łyzy mu stanęły w oczach mimo wyściełanego skórą hełmu, jaki nosił. Gdzieś dało się słyszeć okrzyki bólu: ludzi ze złamanymi kośćmi lub tych, których rzuciło na rozgrzany metal, wypalający skórę i ciało. Mimo to, gdy Adrian otworzył oczy i wyjrzał przez szczelinę obserwacyjną, wydał okrzyk radości.

Galera tonęła, i to szybko. *Wodep* nie tylko wybił jej dziurę w burcie. Taran ześliznął się, zrywając dziesięć jardów desek z pasów lekkiego poszycia i potrzaskał resztę. Galery *musiały* mieć lekką budowę, jeśli miały być poruszane wiosłami. *Wodep* natomiast był masywną bryłą z dębu i żelaza i gdy obydwie jednostki zderzyły się ze sobą z dużą prędkością, to było to tak, jakby gliniana doniczka uderzyła o bruk. Na jego oczach drugi okręt przechylił się, jego dziób uniósł się wysoko i poleciał w dół niczym rylec wbity w arbuza.

- Lewy dziesięć, koła do przodu na jedną czwartą. Dobra robota, dobra! - krzyknął do tuby komunikacyjnej.

Kapitan także zakrzyknął z radości i walnął go w ramię. - Mając ten okręt i ciebie za dowódcę, przegonimy Konfederatów z powrotem do chlewów, z których te wieśniaki wyszły. Adrian przestał się uśmiechać. - Cieszcie się - powiedział. - Macie zaszczyt służyć pod bezpośrednim dowództwem księcia Tenny'ego, syna naszego suwerena króla Casulla.

- Och, cholera - wymruczał mężczyzna, wpatrując się z przerażeniem w Adriana, a potem zamknął sobie usta ręką.

- Nie powinieneś tak mówić - wyszeptał Adrian.

- Ach... dziękuję, panie. Tak - ciągnął dalej, głośniejszym głosem. - Księżę poprowadzi nas ku chwale! *Cóż, mają c dobrą załogę i ten statek, nie moż e bardzo skrewić*, pomyślał Adrian.



»Nie licz na to, chłopcze« pomyślał posepnie Raj. »Nie widziałeś tylu wysokich rangą półgłówków, którzy zmieniali zwycięstwo w klęskę, co ja.«

»Prawdopodobieństwo...«

- Nie mów mi - wymruczał Adrian. - I tak nic, cholera, nie mogę w tej sprawie zrobić. Spojrzał ku wschodowi. Tam właśnie, zgodnie z doniesieniami wywiadu, konfederacka flota przygotowywała się do bitwy. Sędzia Demansk dowodził jedną z eskadr. Helga wciąż z nim była... i może *jemu* uda się zatrzymać ją na brzegu. Adrian był boleśnie świadom tego, że nie mógł sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł powstrzymać ją od zrobienia tego, co chciała - ani mąż, ani ojciec, ani sam wcielony bóg z błyskawicą w dłoni.

## **Rozdział jedenasty**

- Cóż, dzięki niech będą *bogom*, panie - wykrztusił kapitan przybrzeżnej galery z wyraźnym nosowym, śpiewnym akcentem w dość biegłym konfederackim.

- Tak? - odparł sędzia Demansk, unosząc brew. - Powiedziałem jedynie, że tempo wiosłowania powinno zależeć od twojego uznania.

- Dziękowałem bogom, że dali mi dowódcę, który rozumie, że statkiem nie kieruje się z tej samej strony, co velipadem, panie. *Dziękuję*, panie. Nie przeszkadza mi to, że mogę zginać, to część tej roboty, ale wolałbym nie tracić statku, bo jakiemuś cholernie głupiemu ziemianinowi nie chce się *stłuchać*. Jeszcze raz dziękuję, panie.

Demansk skłonił chłodno głową i skierował swą uwagę gdzie indziej. Wielka flota Konfederacji Zachodu posuwała się tak szybko, jak można się było spodziewać... gdy wszyscy mieli utrzymywać pozycje tak blisko siebie, że niemal dotykali się wiosłami. Mówca Emeritus Jeschonyk pomyślał, że to zmniejszy ryzyko rozproszenia floty; dopóki będą się trzymać w świętym szyku, to szybsze, lżejsze statki Wyspiarzy nie będą mogły wgrzyzać się w ich formację, szarpiąc ją atakami taranów.

*Poprzednio dzięki temu wygrywaliś my bitwy morskie*, pomyślał kwaśno Demansk, poruszając zranionym lewym ramieniem, aby je wypróbować. Trochę bolało, ale nie za bardzo - nie było to tak nieprzyjemne jak zmuszenie Helgi do pozostania na brzegu. W końcu musiał zwrócić jej uwagę, iż dołączenie do nich mogło oznaczać, iż będzie się przyglądać śmierci swego ukochanego Szmargadowca.

*Po prostu nie podobają mi się implikacje wynikające z ustawienia tej formacji.*

*Przyznajemy, że wróg jest lepszy od nas.* Była to prawda, na słonej wodzie, choć wciąż trudno

mu było to przyznać. Konfederacka flota walczyła podobnie jak falangi Szmaragdowców w dawnych czasach - tarcza w tarczę, z wysuniętymi włócznie. To było mocne uderzenie. Jeden z przodków Demanska napisał w swoich dziennikach, że widok czterech tysięcy ludzi wylaniających się zza wzgórza w doskonałym szyku był najbardziej przerażającą rzeczą, jaką widział w życiu - ale formacji tej brakowało elastyczności. W taki sposób konfederackie wojsko *pokonało* Szmaragdowców, wykorzystując małe jednostki pod niezależnym dowództwem, aby działały na flankach i w lukach, zwierając się w walce i dźgając assagajami.

- Przynajmniej morze jest spokojne - wymruczał, a kapitan znowu kiwnął głową.

Spokojne morze było jak walka na płaskim, równym polu - wszystko widać jak na dłoni, bez niespodzianek, bez nierównego gruntu, który powoduje rozproszenie formacji. Jeśli *musiał* walczyć falangą, to było to najlepsze do tego miejsce.

*Chodzi o to, że nie lubię prowadzić walki w ten sposób, polegając na brutalnej sile i ogromnej ignorancji*, pomyślał. Było to... nieprofesjonalne.

Musiał przyznać, że flota wygląda imponująco. Robotnicy, którzy wyszykowali ich do wyjścia w morze, nie poskąpili farby i złocień. Kadłuby i takielunek świeciły prawie tak samo jasno jak kity pióropuszy i zbroje oficerów, brakowało im tylko wściekłego blasku słońca odbijającego się od ostrej stali. Każda jednostka miała na dziobie wyrzeźbiony łeb warczącej szablobestii; było to odniesienie do dawnej mitologii, do legendarnej dwójki, która została ponoć wychowana przez jedną z nich, a potem założyła Vanbert. Czasami dziwiło go, że Konfederacja tak dużą wagę przywiązywała do tego mitu - reszta była zupełnie niewiarygodna, wiązała się z bratobójstwem, porwaniem, wykradzeniem kobiety i ogólnym wyrzynaniem. Jednak, jeśli czytało się pomiędzy wierszami, to wiadomo było, że Vanbert został założony przez gromadkę bandyckich pasterzy wełnobestii.

- Wiele się od tego czasu zmieniło - powiedział sam do siebie, przyglądając się, jak pomalowane na cynobrowo wiosła połyskują, poruszając się jednocześnie i ubijając na pianę bordowe niczym wino morze; dzioby z brązu sunęły do przodu, rozcinając wodę klinem bieli. Wioślarze znali się na rzeczy. Byli to głównie wynajęci ludzie i trochę wcielonych do wojska rybaków z nadbrzeżnych wiosek. Nawykli byli do ciężkiej pracy, ale nie do pracy zespołowej; mieli tylko jakiś miesiąc na ich wyszkolenie.

Przed nimi wyspiarska flota dostosowywała się tempem do nich - płynąc do tyłu, na

południowy zachód, z dala od brzegu, idąc kursem, który zaprowadziłby ich poza Preble. Demansk widział mury i przysadziste wieże na oceanie przed nimi. Eskadra Demanska była druga z lewej, stanowiąc flankę floty od strony lądu, i ta sekcja wysunęła się trochę do przodu. Dało mu to dobry widok na masywne galery pięciorzędowe w środku formacji, nad którymi powiewał sztandar Jeschonyka. Umiejętność wycofywania się wyspiarskiej floty równie szybko, jak zbliżali się Konfederaci, na swój sposób robiła wrażenie i onieśmiała - nie nacierali, ale tempo ich poruszania się nie było leniwe.

Popatrzył przed siebie i na prawo. *Tam jest sztandar króla Casulla - standardowa formacja, jak u nas, galery pięciorzędowe w środku, triremy po bokach.* Wielkie statki sunęły po oceanie jak pływające drewniane mury, każdy miał dwie ławy ogromnych, obsadzonych przez pięciu ludzi wiosł machających z ogromną siłą. Okręty bojowe Casulla wyglądały nieco inaczej. Miały na przednich pokładach niskie, drewniane nadbudówki, sięgające do okrężnie z obu stron. *Hmmm. To musi je trochę spowalniać, pomyśl łal. Ciekawe, dlaczego to robią? Zwykle starają się być tak zwinni, jak tylko się da. I po co ta kolumna czarnego dymu zza statku flagowego?*

Naprawdę miał nadzieję, że nie była to jakaś sztuczka pirotechniczna. Miał ich już serdecznie dosyć. Miał też nadzieję, że Jeschonyk nie zamierza jedynie odpowiadać na ich ruchy, aż konfederacka flota zostanie wyciągnięta mocno w morze. W tej chwili przynajmniej lewa flanką była bezpieczna, zorientowana na ląd. Na głębokiej wodzie Wyspiarze mogą zastosować jakieś diabelskie sztuczki.

Galera gończa przemknęła pomiędzy szeregiem statków, powiewając sztandarem Jeschonyka i zatrzymując się tuż pod rufą; a więc były to rozkazy od dowództwa. Była to lekka konstrukcja, bez pokładu, bez tarana - maszt miała postawiony, lecz nie wciągnięto żadnego żagla. Galery oczywiście zawsze kładły maszt i mocowały żagiel przed walką, inaczej siła uderzenia taranem wyrzuciłaby go za burtę. Demansk wziął tubę od kapitana i podszedł do relingu.

- Mówi sędzia Demansk! - zawołał, gdy lekka jednostka znalazła się w zasięgu głosu. Ryczał chrapliwie głosem całe życie zaprawionym do przekrzykiwania wrzawy bitewnej. - Jakie rozkazy?

W teorii oficer dowodzący śmigającą jednostką nie powinien mu być niczego mówić. W praktyce trudno było odmówić sędziemu.

- Eskadra z lewej flanki ma się wysunąć naprzód i zabezpieczyć groblę, gdy wznowimy budowę! - krzyknął. - Wszystkie pozostałe statki mają pozostać na swoich pozycjach.  
- Ruszaj dalej! - rzucił Demansk. *Och, niech to szlag.*

\* \* \*

- Co, na Cienie, oni wyrabiają? - wymruczał Esmond, stojący na pomoście statku nazywającego się *Zemstą Nanyi*.

- Nie to, co powinni - powiedział Adrian. - Tak jak i my.

»Zgadza się« powiedziało Centrum. Centrum i Raj zgodzili się - choć nie zawsze się zgadzali - że Casull powinien ustawić swoje wyposażone w działa okręty z lewej, od strony morza i posłużyć się nimi, aby skruszyć szyk Konfederatów. To wprowadzi chaos, a wówczas bardziej zwinne wyspiarskie jednostki będą mogły uderzyć w manewrujące galery z flanki. Casull jednak nie chciał podjąć ryzyka, zatrzymał wszystkie ciężkie statki, te z armatami i parowy taran, koło siebie, w środku formacji.

»Zwykle jest to błędem, gdy jest się słabszą stroną, lecz ma się lepszych żołnierzy« zauważył cynicznie Raj. »Wtedy musisz iść na całość albo wcale i mieć nadzieję na wielkie zwycięstwo. Jeśli prowadzi się walkę na wyniszczenie, zwykle kończy się to tym, że ostatni batalion odgrywa decydującą rolę.«

- Jesteśmy tu prawie cały dzień - denerwował się Esmond. - I tylko się, cholera, cofamy. Nie wypłyną za nami na morze i chociaż jest lato, to zrobi się ciemno za pięć, sześć godzin. Powinniśmy - zaczekaj chwilę, nie wysuwają się przed szereg, ale wykonują manewr. Dziesięć trirem ze znajdującego się od strony lądu skrzydła konfederackiej floty *rzeczywiście* cie się poruszało, ich wiosłarze przyspieszali tempo raz... raz... raz, które mogli utrzymać przez jakąś godzinę, lecz które nie wyczerpie ich tak jak prędkość wymagana do taranowania. Szyk formacji oddzielającej się od głównych sił był nierówny, lecz nie chaotyczny.

»Zmierzają ku grobli« pomyślał Raj. »Pewnie konfederacki dowódca uległ nerwom i postanowił, że musi coś zrobić. Był to błąd. Wszystko, co rozpocznie tę bitwę, przysłuży się nam.«

- Płyną wzdłuż wybrzeża, na południe, ku grobli - powiedział Adrian. - Esmondzie, zamierzają zabezpieczyć groblę i rozpocząć naprawę. Nie możemy im na to pozwolić.

- Z pewnością nie możemy - powiedział Esmond; włożył zbyt wiele pracy, ryzyka i krwi

w uczynienie z tego klęski Konfederatów. - Prześle królowi wiadomość.

Adrian pochwycił go za ramię. - Nie ma *czasu* - powiedział. - Mamy doskonałą pozycję, aby ich zatrzymać, tutaj, z prawej flanki. Jeśli będziemy czekać, wyminą nas i będziemy musieli ich ścigać.

Esmond zawahał się, rozglądając. Dowodził prawą flanką wyspiarskiej formacji, od strony lądu, sześcioma triremami obsadzonymi w całości Szmaragdowcami - w końcu większość jego pobratymców miała pewne morskie doświadczenie. Arkebuzerzy Adriana także znajdowali się na pokładzie, a szturmowcy pracowali w swoich elastycznych zbrojach lekkiej piechoty. Sprawiało to, że okręt był nieco cięższy, lecz będzie stanowić paskudną niespodziankę dla każdego Konfederata, który spróbuje abordażu, a i tak byli szybsi i bardziej zwinni od pozostałych, oprócz najlepszych jednostek nieprzyjaciela.

- Sześć na dziesięć... - zastanawiał się, a potem postanowił.

- Zrobimy to. Dać znak *za mną i przygotować się do walki*. - A potem zwrócił się do sterników przy wiosłach sterowniczych.

- Zawrócić. Mistrzu wiosłarzy, prędkość bojowa.

*Zemsta* Esmonda przechyliła się, zawracając niemal w miejscu, a potem obrała prosty kurs, pozwalający jej przechwycić dziesięć konfederackich statków. Pomknęła do przodu z szarpnięciem, które sprawiło, że większość ludzi na pokładzie złapała za reling lub takielunek.

- Pół mili - myślał na głos. - Cała naprzód.

\* \* \*

- Wszechojczce, największy i najlepszy - powiedział sędzia Demansk. - Zostaną zmasakrowani.

Konfederackie triremy były rozciągnięte prawie jak w szyku, znajdując się tak blisko wybrzeża, jak tylko się dało, nie wpadając jednocześnie w fale. Demansk nie był żeglarzem, lecz widział w *tym* błąd - dowódcy byli tak jak i on szczurami lądowymi i dla nich brzeg był symbolem bezpieczeństwa, Jednakże była to pułapka czekająca, by ich uśmiercić z lewej strony, gdy eskadry wyspiarskich taranów...

*Nie, nie wyspiarskich, na bogów!* - pomyślał. Na znajdującym się na czele okręcie wroga powiewał z pomostu sztandar ze srebrną sową Solingi! *To nie statki królewskie, ale najemnicy*. To musi być Esmond Gellert, człowiek, który poprzysiągł spalić Vanbert.

Sędzia Demansk pochylił nieco głowę, nieświadom tego gestu, niczym stary, sterany przywódca stada wielkobestii, wężący w powietrzu i potrząsający pokiereszowanymi rogami. *Jeszcze zobaczymy, ty chojraku*, pomyślał.

Rozejrzawszy się szybko, przekonał się, że jego eskadra zachodziła teraz na flotę Wyspiarzy od strony lądu. Znajdujące się tam okręty rozsuwały się z wdziękiem tancerza, aby zrekompensować sobie brak oddalającej się eskadry. Jednak formacja będzie teraz bardziej rozproszona - i pewnie nie będą niczego próbować, przynajmniej przez jakiś czas.

*A gdy Esmond-spal-Konfederatów Gellert prowadzi swoją eskadrę ku ich flance, ja mogę zająć go z jego flanki*, pomyślał.

- Dać sygnał - powiedział. - Niech eskadra ustawi się za mną do natarcia. Cała naprzód!

\* \* \*

- Nacierają na nas - stwierdził Esmond, waląc lekko pięścią w reling. - Cholera! Nie spodziewałem się tyle inicjatywy po konfederackim dowódcy, ani tak ścisłej formacji.

- Ale wyraźnie to partaczą - rzucił Adrian, widząc, jak dwie konfederackie triremy zderzyły się ze sobą ze stukotem wiosła. Zapanował chaos, aż obsadzono znowu tyle wiosła, żeby statki się od siebie odsunęły. - Spóźni się na zabawę.

Esmond potrząsnął głową, spoglądając w prawo na konfederacką eskadrę, która miała paść jego ofiarą, i w lewo, ku kolejnej mknącej na ratunek. - A raczej telepiącej się na ratunek - powiedział. - Równie dobrze mogłyby być barkami, ale nie możemy pozwolić, aby schwytały nas w pułapkę. - Znowu zaklął z okropnym rozczarowaniem w głosie.

- Nie, czekaj! - powiedział Adrian, wskazując w stronę morza. - Patrz!

Tam, gdzie masywne pięciorzędowe galery wyszły sobie naprzeciw, coś się działo. Dał się słyszeć wściekły ryk przenoszący się ze statku na statek wyspiarskiej formacji, wraz z biciem bębnowych sygnałowych. Sygnaliści powiewający flagami dawali znak.

- *Generalny atak*, na Szarooką Panią Solingi! - zaklął Esmond, tym razem radośnie.

Eskadra, która wysunęła się, by chronić towarzyszy zatrzymała się. Nie, płynęli z powrotem! Pewnie zostali odwołani przez główne dowództwo w celu odparcia ataku Wyspiarzy.

- Naprzód! - zakrzyknął rozradowany Esmond, patrząc przed siebie na dziesięć konfederackich okrętów. - Och, ich dupy należą do *nasi*

- Taran, panie? - spytał sternik.

- Bynajmniej - zaśmiał się Esmond. - Ustaw nas równolegle, poza zasięgiem miotacza

oszczepów.

Uśmiechnął się niczym szablobestia, a Adrian kiwnął potakująco głową.

Nieprzyjacielskie okręty zbliżały się z zawsze zaskakującą prędkością morskich starc, gdzie w jednej chwili mogłeś być burta w burtę, a nim się obejrzałeś, nie widać już było tego

drugiego kadłuba. Nagle postacie wielkości mrówek znajdujące się przy relingu nieprzyjaciela stały się ludźmi, a przez otwory na wiosła w odsadniach widać było ludzkie kończyny, gdy wiosłarze naprężali mu skuł, wiosłując w takt narastającego tempa bębnow.

Adrian wzdrygnął się w duchu, wyobrażając sobie, jak jest tam w dole... nigdy nie wiedziałeś, kiedy przedostanie się oszczep, ogień czy kruszące kości uderzenie tarana.

Solinga przez długi czas po Wojnach Ligi była demokracją - przynajmniej jeśli chodziło o wolno urodzonych męskich obywateli - a głównym argumentem przy domaganiu się dla niższych sfer równości w stosunku do ziemian mających własne zbroje, był fakt, że to biedni wolni ludzie byli wiosłarzami na okrętach miasta w czasie walk. Uczni z Gaju zawsze uważali, iż to jedynie pozornie słuszny argument i oznaka upadku miasta. Teraz Adrian raczej przychylił się do zdania wiosłarzy.

Gdy się odezwał, głos miał spokojny: - Celować w ich katapulty. Nasze katapulty dopiero na rozkaz.

- Tak jest, ponie - powiedział Simun stojący na lewej burcie. Długie arkebuzy zostały wymierzone, ludzie klęczeli z rękoma na zamkach, żeby trzymać wodny pył z dala od prochu, a lufy z dala od równego ruchu stonogi wioseł, - W katapulty, ponie.

- Sygnalisto, przekazać rozkaz!

Zwróciwszy się ku południowi, obsadzone przez Szmaragdowców okręty znajdowały się w pozycji równoległej do wybrzeża, zachodząc konfederackie statki od tyłu, a Esmond im przewodził. Cztery minuty wyteżonej pracy i znaleźli się na wysokości najbardziej wysuniętego Konfederata. Woda pieniała się wzdłuż tarana, marszcząc się przy burcie, a statek kołysał się lekko niczym koń na biegunach, przecinając niskie fale.

- Otworzyć ogień!

Baaammm!

Dwadzieścia arkebuzów wystrzeliło naraz. Konfederacki okręt miał po trzy wyrzutnie z jednej burty, dwa miotacze oszczepów i jeden kamieni na obrotowych czopach. Wystrzeliła katapulta, gdy stojący za nim mężczyzna pociągnął za sznur spustowy - nie zrobił tego

celowo, lecz wtedy, gdy odrzuciła go do tyłu wążca cztery uncje ołowiana kula. Ta przeszła przez jego ciało i zabiła także stojącego za nim mężczyznę. Kamień spadł pomiędzy okrętami; plamka piany na zieleni i błękicie mielizn.

*Baamm. Baamm. Baamm.* Raz po raz strzelał długi pióropusz brudnawego dymu. Zapach przywiał do tyłu; siarka i zgniłe jaja z wonią krzemienia w tle. Mniej niż połowa wystrzałów trafiła w nieprzyjacielski statek, a niecała połowa z nich uderzyła koło katapult, lecz było ich dość. Adrian zobaczył, jak drzazgi poleciały z machin i pokładu, w którym były osadzone - ramię wyrzutni poleciało do przodu, gdy został przecięty trzymający je sznur, kolejne ramię wyleciało w górę, wywijając kozła, gdy kula przecięła skręcone jelito wielkobestii, które ją napędzało.

- Wyłączone z działań - stwierdził Adrian.

Esmond skinął głową, wciąż wykrzywając usta w tym swoim niepokojącym uśmiechu. - Sterniku, zbliźmy się - na odległość długiego strzału z łuku.

Adrian zwrócił się do Simuna. - Załatwcie ich łuczników i procarzy.

Tłoczyli się oni przy relingu, gdy obsadzone przez Szmaragdowców okręty zbliżały się, a jakichś dwudziestu konfederackich regularnych stało za nimi - po to, by dać im wsparcie, jak i po to, by skupili się na swoim zadaniu. Strzelcy byli najemnikami lub sprzymierzonymi, poborowymi nie-obywatelami. Śmignęła salwa strzał i spadła nieco przed linią piany wzbijanej przez wiosła galery.

- Ognia!

Baaamm!

Tym razem cel był większy. Czterech ludzi poleciało do tyłu, martwych bądź umierających - ciężka kula z obsługiwanego przez trzech ludzi arkebuzą mogła oderwać kończynę albo zmienić tułów w zapadający się w siebie worek rozerwanego ciała i potrzaskanych kości.

*Baaam! Baaam! Baaam!*

Jeden z arkebuzerów zakrzyknął z radości. - To jak przygważdżanie ryb w ogrodowej sadzawce! - zawołał i znowu wystrzelił.

Esmond skinął głową; rozglądał się wzdłuż linii natarcia. Pozostałe okręty z jego eskadry nadały i stosowały jego taktykę. Może nieco wolniej, jako że nie mieli Adriana, który naprowadzał arkebuzerów na cel, ale wykonywali swoje zadanie.



Gdy odwrócił się, aby z powrotem spojrzeć na znajdujący się najbliżej statek, procarze i łucznicy zniknęli. Zobaczył, jak jeden z nich skacze z rozbiegu przez burtę od strony brzegu, a potem wyłania się znowu, płynąc kraulem - nie był to konfederacki szczur lądowy.

Następny spróbował tego samego i wypadł za burtę z assagajem konfederackie go żołnierza w plecach. Inni zeskakiwali pod pokład i miarowe tempo wiosła nieprzyjacielskiej jednostki zostało zakłócone, gdy strzelcy rzucali się na podłogę znajdujących się w dole, pomiędzy wioślarskimi ławami przejść, z dala od walących ołowianych kul, niosących niewidzialną śmierć.

- Sterniku! Zbliżyć się! - zakrzyknął rozradowany Esmond.

Konfederacka piechota morska na próżno rzuciła swoimi dzirytami i czekała za uniesionymi tarczami - wszyscy poza ostatnim mężczyzną; ten cisnął swój dziryt i rzucił się do ucieczki, wyjąc, aż z pluskiem znalazł się za burtą. *On* nie ucieknie daleko, tylko pójdzie na dno, mając na sobie pięćdziesiąt funtów zbroi. Okręt Esmonda znajdował się teraz zaledwie w odległości wiosła od swego przeciwnika.

- Adrianie!

Jego brat skinął głową. - Strzelcy! - zawołał. - Strzelać gdzie popadnie. Grenadierzy, przygotować się do rzutu. - W jego głosie słychać było lekkie westchnienie. - Strzelać! Jego własny granat poleciał łukiem wraz z czterema innymi. Trzy trafiły; jeden wpadł prosto w luk, jakby prowadzony ręką Wodepa. Z tej odległości wybuchy były cichsze niż strzały arkebuzów, lecz ścięły pokłady triremy. Pozostali marynarze skoczyli za burtę - ci, którzy nie leżeli w milczeniu lub nie miotali się, wrzeszcząc. Arkebuzerzy strzelali teraz prosto w ławy wioślarskie, przez otwory lub lekkie poszycie pokładu; zmasowany wrzask wioślarzy był ogłuszająco głośny. I...

- Ponie! - zawołał z przejścia Simun. - Stoi w ogniu, panowie! Płonie!

Kolejne spojrzenie na sznur statków pokazało, że w płomieniach stały następne dwa. Jeden, szcepiony hakami z jedną z jego galer, został zajęty. Kolejne dwa dryfowały, z nieruchomymi wiosłami po tym, jak ich całe załogi uciekły wpław. Pozostałe cztery okręty nie biorące udziału w walce zwróciły się ku brzegowi, w nadziei na osadzenie okrętów na plaży - można się było domyślić, że znajdujący się na pokładzie konfederaccy żołnierze piechoty morskiej „nalegali” na to, przykładając assagaje do nerek sternika, a pozostali pilnowali luków, aby wioślarze wykonywali swoje zadanie.

- Nieźle - zaśmiał się. - Będziemy mogli je odholować, gdy zostaną wyciągnięte na brzeg. Jako prezent dla króla! - Odwrócił się, osłaniając oczy dłonią. - Ciekawe, jak im idzie.

\* \* \*

- Mówca Jeschonyk!

Mówca Emeritus Rady Vanbertu był w małej łodzi, z adiutantem i dwoma wiosłarzami. Spojrzał na Demanska.

- Mój okręt flagowy przepadł - powiedział. - Tam.

Demansk spojrział, gdy dowódcę wciągano na pomost triremy. Wielka pięciorzędowa galera mówcy kołysała się ciężko ze złamanymi wiosłami na sterburcie. Zza niej wyłoniła się sylwetka, jakiej Demansk nigdy nie widział na morzu ani na lądzie, przypominająca ogromnego żółwia z dwiema tubami buchającymi dymem na szczycie... pokładu zapewne... przed którymi widać było małą, kwadratową budowlę. Koła ubijały wodę z obu burt, wzbijając więcej piany niż wiosła pięciorzędowej galery, popychając jednostkę do przodu z szybkością taranującej triremy. Kadłub lśnił niczym mokre żelazo... *był z żelaza*.

- Ale żelazo nie może pływać! - powiedział na głos.

- To jest żelazo - rzucił gorzko stojący za nim Jeschonyk. Demansk wzdrygnął się lekko.

- Strzały się od niego odbijają, oszczepy wyrzucone z katapulty nie wyrządzają mu szkody - skosił wiosła ze sterburty mojego statku i następnego po nim w szyku i...

Żelazny okręt skręcał szerokim łukiem, o wiele szerszym niż galera. Po chwili oddalił się już o sto jardów, kierując się ku rufie galery dowódczej; znajdujący się przed nim taran prujący wodę, gdy jednostka nabierała szybkości, w przeciwieństwie do reszty, był *całkowicie* zrozumiały. Demansk słyszał tajemnicze, dobiegające od atakującego statku *czuff... czuff...*, niczym dyszenie jakiejś potwornej bestii.

- Bestrema? - powiedział skonsternowany. - Galera napędzana przez potworne bestie?

Koła odwróciły bieg i trysnęły pianą aż po maszt, gdy taran wbił się w rufę pięciorzędowej galery z trzaskiem pękającego drewna. Dziwny statek wycofał się gładko, a galera zaczęła osiadać od rufy, gdy woda wdarła się przez ogromną wyrwę. Na jej pokładzie zagotowało się od ludzi, gdy setki wiosłarzy wybiegły z wrzaskiem na pokład, odpychając żołnierzy rozstawionych przy lukach, i rzuciły się do wody niczym pchły uciekające ze zdychającego psa. Woda poczerniała od ich głów.

- Co sprawia, że to się *porusza*?! - zawołał zdumiony Jeschonyk.

- Podejrzewam, panie, że ma to coś wspólnego z ogniem. Popatrz na dym wydobywający się z tych dwóch rur.

Demansk pomyślał, że to najbardziej *logiczne* wyjaśnienie. Współczuł sześciu statkom, które, jak widział, pospiesznie wycofywały się na północ, choć, jeśli to przeżyje, to dopilnuje, aby ich dowódców wbito na pal, a załogi zdziesiątkowano. Wyobrażał sobie potworne, pazurzaste łapy obracające kieratem wewnątrz tego żelaznego dziwactwa i ogromne paszcze wypełnione kłami dyszące *czuff... czuff...* Jeschonyk drżał w rytmie tych posapywań, wyczerpany nerwowo.

Głośny niczym grom dźwięk niósł się po wodzie, zagłuszając trzask drewna i wrzaski tysięcy ludzi powodowanych bólem lub strachem przed śmiercią. Chmura dymu buchnęła z dziwnej, kwadratowej budowli na forkasztelu wyspiarskiego okrętu. W niecałą sekundę później z konfederackiego okrętu trysnęła fontanna drzazg i kawałków ciał. Buchnęły kolejne kłęby dymu i dziób konfederackiego okrętu rozleciał się w deszczu szczątków. Gdy te opadły, woda już płynęła po pokładzie. Z wody wyłoniły się kwadratowe płetwy, podpłynęły bliżej i czekały. Demansk wyczuwał znajdujące się pod spodem czarne oczy o pustym spojrzeniu i wygłodzone paszcze. To przynajmniej było normalne. Na polu bitwy, na morzu czy lądzie, zawsze pojawiali się padlinożercy.

A potem skrajnik dziobowy *wyspiarskiego* statku zniknął w jeszcze głośniejszej eksplozji, która pozostawiła ogromną wyrwę w okręcie - na tyle dużą, żeby roztrzaskać także górną część kadłuba.

- Czymkolwiek jest ta broń-grom, nie zawsze można na niej polegać - powiedział na głos Demansk. - Sami się załatwili, na bogów!

Rozejrzał się. - Hej, ty! Eskortuj mówcę pod pokład! - Na triremie była klitka służąca za kajutę kapitanowi. - Kapitanie!

- Panie?

- Spójrz na to... coś. Czy to nie wygląda, jakby te koła *popychały* to po wodzie?

- Panie,, nigdy w życiu nie widziałem niczego takiego, a jestem na morzu, od kiedy skończyłem sześć lat. Tak, to dość prawdopodobne.

Żelazny statek właśnie staranował kolejną konfederacką galerę. Tym razem przez chwilę stał w miejscu, bo taran utkwiał w potrzaskanym drewnie ofiary. Odważni ludzie skakali z galery na jego pokład... i do morza, gdy ich podkute ćwiekami sandały ześlizgiwały się w dół

po pochyłym żelazie. Demansk zobaczył, jak jakiś mężczyzna przez chwilę krzesze iskry, wywijając kończynami, aż spadł z pluskiem w wodę.

- Ustawić nas na kursie tak, żeby go staranować. Mierzyć w środek koła na lewej burcie. Dowódco!

Nadbiegł podoficer dowodzący konfederacką piechotą morską na statku. Twarz miał jak wyrzeźbioną z granitu, lecz była mokra od potu i stężała w napięciu pod hełmem z poprzecznym pióropuszem.

- Panie!

- Niech twoi ludzie ściągną sandały - chcę, żeby byli boso.

- Panie? - Jeszcze chwilę temu widać było wyraźnie, że mężczyzna dziękował bogom za to, że otrzymuje rozkazy. Teraz jednak wyglądało, jakby myślał, że sędzię ogarnęło szaleństwo tego dnia.

- Spójrz na to. Nie, nie gap się, po prostu *popatrz*. To jest wyraźnie drewno, pokryte żelaznymi blachami jak duży pancerz. Ćwieki na butach nie będą się trzymać. Stopy zaś tak! Wewnątrz są ludzie, a ja zamierzam ich zabić.

- Tak, panie!

Mężczyzna odszedł, wykrzykując rozkazy. Demansk poczuł mocny podmuch dymu buchającego z żelaznego statku, gdy jego trirema przechyliła się i skręciła. Rzeczywiście, normalny dym z drewna.

*Jeś li w ś rodku są ludzie, a nie potwory - odrzucił obraz szponów na kieracie - to muszą sterować z tego małego pudelka przed rurami. Nie mogą więc c mieć dobrej widoczności, wyglądają c przez szczeliny jak w hełmie z kratownicą i przy tym całym dymie.*

Zwrócił się z krótką, rzadko odmawianą modlitwą do Wodepa i wszechojca największego i najlepszego, żeby miał rację. Zależało od tego jego życie i panowanie nad zachodnimi prowincjami Konfederacji.

- Prędkość do taranowania! - rozkazał. Żelazny statek rósł w oczach z przerażającą nagłością.

\* \* \*

- To ich zniechęci - powiedział Esmond.

Kolejny konfederacki żołnierz na plaży zatoczył się trzy kroki w tył i przewrócił z szeroko rozpostartymi ramionami, a jego tarcza odtoczyła się na bok. Arkebuzer znajdujący

się koło jednego z wiosł sterowych *Zemsty* zaśmiał się i zrobił krok w tył, aby jego pomocnik i ładowacz mogli zająć się pracą. Obaj poruszali się w dobrze skoordynowanym tańcu, już automatycznie, szczerząc zęby w uśmiechu malującym się na usmolonych od prochu twarzach, wyglądających niczym maski diabłów w pantomimie. Galera Esmonda unosiła się i opadała na falach, lecz znajdujący się na niej strzelcy i reszta eskadry zniechęcali do wtrącania się do działań jakąś setką konfederackich żołnierzy znajdujących się na brzegu.

- Lina zaczepiona! - zawołał marynarz, wdrapując się przez rufę. Był nagi i lśniący od wody.

Esmond skinął głową. - Pociągnąć go na morze.

Wiosła czekały już w gotowości. Teraz zanurzyły się głęboko, z dołu dobiegło chóralne stęknienie, a potem znowu i jeszcze raz...

- Płyńcie! - zawołał sternik, pozwalając obracającemu się rumplowi opaść w wystarczająco głęboką wodę. - Ściągnęliśmy go!

Esmond rozejrzał się dokoła z dumą. Pięć z jego sześciu okrętów holowało przechwycone statki, a atakujące ich okręty nieprzyjaciela pozbawione były wiosł i rufy, co było tradycyjnymi symbolami zwycięstwa na morzu. Pozostałe pięć trirem z konfederackiej eskadry było płonącymi i tonącymi skorupami. Jedna wystawała ponad falami. Jej pokryty brązem dziób osiadł mocno w błotnistym piasku płytkich przybrzeżnych wód. Szczątki przepływały obok niesione falą przyływu...

...strasznie *dużo* o szczątków. Esmond spojrział w stronę morza, nie skupiając się już tylko na dowodzeniu małym fragmentem bitwy i zagwizdał bezgłośnie.

- Na Wodepa! - wyrwało mu się.

Zgrabny szyk zniknął - Esmond spojrział na słońce i zamrugał oczami ze zdumienia - w przeciągu zaledwie godziny. Zamiast tego widać było toczącą się walkę, sięgającą stąd aż poza zasięg wzroku, prawie że w zasięgu katapult z Preble. Galery płonęły i tonęły wszędzie, jak okiem sięgnąć. Na jego oczach konfederacką pięciorzędową galera zanurkowała dziobem w fale, zrzucając coś, co z tej odległości wyglądało jak czarne futro, a co - jak wiedział - było ludźmi czepiającymi się desperacko życia na idącym na dno okręcie. Nieco dalej z boku wyspiarski okręt wojskowy wystrzelił ze swoich czterech armat prosto w pokład konfederackiej triremy, zmieniając żołnierzy piechoty morskiej stłoczonych na pokładzie w krwawe strzępki mięsa. Pocisk przebił się przez pokład do znajdujących się pod nim

zatłoczonych ław wioślarskich. W tej samej chwili inna konfederacka galera zrównała się z okrętem Wyspiarzy z drugiej strony i spadły z łoskotem zawieszane na sznurach trapy abordażowe, łącząc oba statki. Żelazne haki wbiły się w dolny pokład wyspiarskiego okrętu. Żołnierze piechoty morskiej cisnęli salwę dziryków, a potem na pokładzie zaroilo się od nieubłaganych wojowniczych mrówek. Chaos, którego nie można było objąć wzrokiem...  
- Gdzie jest taran?! - Adrian z oszalałym wzrokiem niemal to wykrzyczał. - Co ten pieprzony idiota zrobił z moim *statkiem*?

\* \* \*

- Wszechojcie! - rzucił Demansk.

Impet uderzenia sprawił, że sędzia znalazł się na czworakach na pokładzie, a fragmenty zbroi wpiły mu się w ciało. Mężczyzna wyprostował się, dostrzegając z dziką radością, że po tym jak pokład nieprzyjacielskiego statku poleciał do tyłu, koło łopatkowe roztrzaskało się w drzazgi i teraz jego resztki obraca się na obitym brązem taranie jego statku. Spadł deszcz szczątków, niebezpiecznych niczym lecące noże, lecz Demansk to zignorował. A potem resztki koła zamarły, a ze środka... *Żelaznej Bestremy* dobył się dziwny, stłumiony wrzask... Potworne posapywanie urwało się raptownie.

- Za mną! - ryknął Demansk. - Cokolwiek to jest, zraniliśmy to! A teraz to wykończymy! Opadł trap abordażowy. Żelazne kolce wbiły się przynajmniej troszeczkę i Demansk pognał do przodu. Dziwnie było czuć żelazne płyty pod bosymi stopami, lecz skóra dawała punkt oparcia - tyle tylko że podłoże było boleśnie gorące. Sędzia przypadł w przysiadzie, trzymając swą okrągłą, oficerską tarczę dla zachowania równowagi, a potem ruszył chyłkiem ku kwadratowemu opancerzonemu mostkowi znajdującemu się przed kominami. Słyszał, jak podążają za nim ludzie. Usłyszał też jakiś rozpaczliwy krzyk, gdy ktoś pośliznął się i spadł do wody, idąc na dno. Potem kucali już wokół schronu. Zbudowany był z żelaznych blach trzymających się na drewnie, tak samo jak reszta tej dziwnej konstrukcji, lecz ze szczelin buchała *para* - co dziwnie przypominało łaźnię.

Z luku na szczycie bunkra wygramolił się mężczyzna, chwiejąc się i chwytając za swoją karmazynowa twarz. Oszczep wbił mu się w brzuch z mokrym łupnięciem, wyraźnie słyszalnym z tej odległości.

- Jeńcy! - krzyknął Demansk. - Chcę jeńców!

Ludzie wdrapali się na dach opancerzonego schronu, a jeden z nich podał rękę

Demanskowi. Luk okazał się być wielkości zwykłych drzwi, lecz znajdujące się w dole pomieszczenie pełne było widmowych kłębow pary i słabo widocznych, miotających się postaci.

*Jak orgia w łaź ni*, pomyślał oszołomiony Demansk. Nie spodziewał się *tego*.

- Poddajemy się! - odezwał się, kaszłąc jakiś głos, chrapliwy i rzęzący, z wyspiarskim akcentem. - Wypuście nas, na miłość matki!

- Wychodzić z pustymi rękoma! - zawołał w dół Demansk. Wyłonił się mężczyzna, pokazując puste dłonie. Połowa jego twarzy była jednym wielkim pęcherzem. - Oszczędź nas, panie! Litości!

- Kim jesteś? - warknął Demansk. - I co *to* jest? Jeszcze gdy to mówił, uświadomił sobie bezsens swego pytania. Cokolwiek to było, nie mógł tego wytłumaczyć ranny mężczyzna, któremu grożono assagajem.

- Szarlz Thicelt - powiedział mężczyzna. - Wody, panie? - Demansk skinął głową i jakiś człowiek podał manierkę. Wyspiarz wypił, wciągnął głośno oddech, zakaszłał i znowu się napił. - Jestem kapitanem *Pięś ci Wodepa*. A raczej byłem.

Wypluł część wody na trupa pierwszego człowieka, który przeszedł przez właz, i zerwał mu turban gestem wyrażającym zapiekłą wściekłość. Ukazała się ogolona czaszka, a złote kółka w uszach trupa zatańczyły od gwałtowności tego ruchu, gdy mężczyzna cisnął turban tam, gdzie przedtem splunął. Demansk pomyślał, że gdyby Wyspiarz miał lepszą przyczepność do podłoża, to podbiegłby i jeszcze skopał zwłoki.

- A to *był* książę Tenny, niech Bóg Słońca przywróci go do życia jako ślepego bękarta dziobatej dziwki za pół arnketa. To przez tego małego sodomitę, co to go bogowie opuścili, przegraliśmy bitwę.

\* \* \*

- Panie królu! - powiedział Adrian.

Król Wysp wciąż miał na sobie pozłacaną zbroję, porąbaną, pokiereszowaną i zbryzganą krwią. Wymagało to pewnej odwagi, jako że znajdował się w małej szalupie. Nie trzeba było pytać, co się stało z okrętem flagowym. Widać go było w odległości niecałego tysiąca jardów. Miał po bokach przywiązane dwie poobijane, lecz wciąż pływające konfederackie galery. Casull wkroczył na pomost, a jego spojrzenie omiatało chaos panujący na tym odcinku poczerwieniałego oceanu. - Nie będę się trzymał planu, który zawiódł - wychrypiał. -

Wycofamy się. - Spojrzał na sternika *Zemsty*. - Ustaw kurs na najbliższy okręt wciąż znajdujący się w naszych rękach. Musimy wystawić straż tylną, jeśli mamy dotrzeć do Preble w jednym kawałku.

Spojrzał na Esmonda. - Gdzie jest mój syn?

Esmond spojrzał mu w oczy. - Panie królu, nieprzyjaciel zajął *Pięść Wodepa*. Poza tym nic nie wiem.

Casull westchnął z pustym spojrzeniem. - Jeśli przeżył, dowiemy się o tym przed zachodem słońca. Okup za niego ogołoci królestwo. Jeśli nie... jeśli nie, to wypijemy za to, by jego duch trafił do domu w Słońcu.

## **Rozdział dwunasty**

Dwie godziny po zachodzie słońca oczy króla błyszcząły ożywieniem i goryczą. Oczy były przekrwione, spojrzenie króla nieco rozkojarzone. On sam spoczywał na poduszkach, pochłaniając puchar za pucharem nie rozcieńczonego wina, lecz jego głos był tylko trochę bełkotliwy. Powietrze w komnacie było ciężkie od kadzideł, olejków z róż i paczuli, którymi wypachniły się kurtyzany - tańczące, śpiewające i pijące wraz z mężczyznami spoczywającymi na poduszkach - od zapachu wina, potu i maści na obandażowanych ranach. Światło migotało w lampach na pozłacanym gipsowym suficie wyrzeźbionym w morskie potwory i postacie z legend oraz na bladym kamieniu ścian i kwiatowo-drzewnych inkrustacjach z lapis lazuli.

- Toast! - powiedział król Wysp, patrząc gniewnie na Szmaragdowców siedzących w pewnej odległości w wielkiej miejskiej sali bankietowej Preble. Głuchy ryk rozmów przycichł, poza pijackimi przyśpiewkami ludzi zbyt upitych, aby ich to obchodziło. - Toast za mojego syna, prześwieczonego wojownika, księcia Tenny'ego!

- *Za księ cia Tenny'ego!* - ryknęła w odpowiedzi sala. Casull cisnął puchar na bok i bezcenne szkło z Vanbertu roztrzaskało się. Służący wsunął mu kolejne do ręki.

- I kolejny toast! Za bękarta dziwki, Esmonda Gellerta, który opętany żądzą krwi przegrał bitwę, oddaliwszy się bez rozkazu.

Esmond wstał, wysoki i pełen wdzięku w prostej tunice z pasem na miecz. Jego dłoń mimowolnie powędrowała ku miejscu, gdzie powinna się znajdować rękojeść, gdyby ludzie mogli ucztować z królem uzbrojeni. Gwardziści opierający się na swoich ogromnych bułatach sprężyli się lekko; wojownik taki, jak Esmond nigdy nie był całkowicie rozbrojony. Zanim



Esmond zdołał się odezwać, powstał siedzący obok niego Adrian i skłonił się:

- Królu, serce twego królestwa krwawi, tak jak twoje czcigodne serce, w żalu za księciem Tennym, który zginął jak wielu innych w tym dniu smutku! - powiedział, a jego wyszkolony w retoryce głos wypełnił bez wysiłku salę. - Jednak nawet w swym żalu, król pamięta o sprawiedliwości!

Podeszłe krwią oczy zwróciły się ku niemu. - Mówisz o sprawiedliwości, łachudro? - wychrypiał król.

- Tak, królu - wtrącił Adrian na tyle gładko, że nie wyglądało to na przerywanie - była to sztuka, jakiej nauczył się w szkole retoryki w Gaju i w sądach Vanbertu. - Nie byłoby sprawiedliwe ukaranie jedyne dowódcy eskadry w twojej flocie, który zatopił tyle samo konfederackich statków, co sam miał, i przyholował drugie tyle ze sobą, by złożyć je u twych stóp na znak zwycięstwa.

To sprawiło, że Casull na chwilę zamilkł z otwartymi ustami. Adrian przełknął ślinę.

Miał tak sucho w ustach, że kusiło go szalenie, aby przerwać i napić się. W skroniach mu waliło, a ciało ciążyło mu ze znużenia po całym dniu walki. Zmusił swój mózg do działania. Był równie bezlitosny dla siebie jak wówczas, gdy wrzucał granaty na pokłady wioślarskie konfederackich galer.

- A uczynił tak na moją usilną prośbę - ciągnął dalej Adrian. Casull zmrużył oczy. - Nie żebym ja, nędzny rzemieślnik, ośmielił się występować przeciwko słowom króla! Niech król żyje wiecznie! Jesteśmy niczym pył u jego stóp. Nie, moja własna mądrość mówi mi jedynie, iż nie powinienem wtrącać się w te sprawy. Jednak w obliczu rozkazu od prześwieanego księcia Tenny'ego, bohatera i dziedzica, cóż innego mogłem uczynić, jak tylko go wypełnić?

- Jak to? - spytał Casull, wyraźnie starając się zebrać myśli. Nie musiał być trzeźwy do odegrania napadu gniewu, jaki sobie zaplanował ani do wydania odpowiednich rozkazów potem. Nie spodziewał się, że zostanie wciągnięty w *elenchos* jak w Gaju.

- W tej właśnie zatoce, gdy pokazywałem mu *Pieść Wodepa*, księżę Tenny nakazał mi, pod groźbą narażenia się na jego gniew, powstrzymać wszelkie konfederackie siły zmierzające ku Preble - jako że królewski garnizon miał się znajdować na statkach w czasie wielkiej bitwy. Dlatego też, gdy zobaczyłem konfederackie okręty płynące w kierunku Preble, przekazałem rozkazy księcia memu bratu. Cóż mógł on uczynić poza ich wypełnieniem, królu? Co mógł zrobić? Byliśmy niczym pył u jego stóp. A ja dostrzegam mądrość w

rozkazach księcia. Mury Preble stoją, silna baza do naszego następnego ataku!

- Następnego?! - ryknął Casull, wymachując pięścią. - Chcesz, abym stracił *całą* flotę i żeby Kielich został splądrowany? Czy siedzisz u nich w kieszeni?

- Ach, mój pan raczy sobie żartować! Zobaczyć, jak się śmieję ujęty jego błyskotliwością! Mój pan z pewnością dziś zauważył, że nasze triremy - te, które, za moją radą, wiozły wielu arkebuzerów, zamiast lokować ich w małych grupkach - mogły zniszczyć wolniejsze statki Konfederatów z zasięgu, któremu nie mogły dorównać ani katapulty, ani łuki. Tak też zatopiliśmy pięć, pięć pochwyciliśmy, mając niewielkie straty. Następnym razem...

- Wynocha! Mam już dosyć waszych kłamstw, mój syn nie żyje, a ja muszę błagać dowódcę Konfederatów o jego ciało. Wynocha, zanim was zabiję!

- Jak król rozkaże - powiedział Adrian, kłaniając się ponownie.

\* \* \*

- Co *to* takiego? - spytała zafascynowana Helga, dotykając ostrożnie jednego z obiektów, udając jednak, że próbuje zachować równowagę na łagodnie kołyszącym się, zakotwiczonym statku.

Demansk popatrzył z dezaprobatą na swoją córkę, lecz tak naprawdę to nie była to jedna z tych oficjalnych okazji, gdy kobietom nie wypadało się odzywać. Większość dowódców konfederackich sił spała w swoich namiotach, tak jak i większość żołnierzy, którzy przeżyli. Tylko kilku adiutantów i żołnierzy trzymających pochodnie było z nim na pokładzie przechwyconej wyspiarskiej pięciorzędowej galery.

Przyjrzał się sylwetce z brązu spoczywającej na dębowym podwoziu z czterema małymi kólkami w hamaku ze sznurów i wielokrążków. Wokół niej unosił się zapach rozgrzanego metalu i siarki. *Ś miertelne pierdnięć ciał Pana Cieni*, pomyślał sardonicznie.

- Podobne do tych arkebuzów, tylko o wiele większe - powiedział. - Spójrz, to są te kamienne kule, które ciska - albo te worki z ołowianymi kulkami. Piekielny proszek przez lufę, na to kula i worek, podpalić to i wybucha, rozwalając statki i ludzi. - Potrząsnął głową. - To zmienia całe oblicze wojny, na zawsze, czy to pojmujesz? - Jego gniew był odległy, przytłumiony. - Nie możemy tego utrzymywać w tajemnicy. Wyspiarze i tak mają ich więcej. Jeśli oni posłużą się nimi, to my też musimy... - Przerwał, ziewając straszliwie.

- A jutro możesz jeszcze bardziej poprzeklinać Adriana, ojciec - powiedziała Helga. -

Nadal uważam, że nie doszedłeś wystarczająco do siebie, aby brać udział w bitwie, mimo iż *udało* ci się samemu zniszczyć żelazny taran.

Przez sarkazm w jej słowach przebijała duma i Demansk poczuł, jak ta też w nim wzbiera. Cóż, był to pewien wyczyn... może wystarczający do zatryumfowania w Vanbercie? Może nawet do zdobycia krzesła mówcy; tak wiele trzeba było zrobić, aby państwo było bezpieczne.

*A ja jestem na nogach, na dworze, i dostaję gorą czki*, zbeształ się surowo w duchu. -  
Wracamy do obozu.

Zdobyte pięciorzędowe galery znajdowały się razem z pozostałymi okrętami wojennymi konfederackiej floty przywiązane do pachołków na ich dziobach, z rufami zwróconymi ku sztucznej zatoce. Nie można ich było wyciągnąć na ląd jak dziesiątki trirem leżących na brzegu po obu stronach, lecz tutaj były wystarczająco bezpieczne. *Więcej niż bezpieczne*, pomyślał Demansk. Wypełnione kamieniami frachtowce tworzące falochrony sięgały daleko w ocean, wyznaczając prostokąt pięćset stóp na tysiąc. Przy wejściu znajdowały się dwa drewniane forty, z których każdy spoczywał na dwóch wielkich transportowcach. Wystawały z nich kosze płonącego drewna umieszczone na słupach, oświetlając zaporę bali połączonych łańcuchem, zamykającą wejście przed najeźdźcami. W znajdujących się w swoim wzajemnym zasięgu fortach byli łucznicy, procarze oraz katapulty. W stronę brzegu rozpościerały się doki, a na brzegu rozłożył się cały konfederacki obóz z szesnastoma tysiącami regularnych żołnierzy i taką samą liczbą sił pomocniczych - mieli nawet czas, żeby postawić drewniane koszary i domy, gdy przygotowywano flotę.

Spojrzał gniewnie ku słabym światełkom Preble, ledwo widocznym na południowo-zachodnim horyzoncie. Bitwa była niemal wyrównana, co uczyniło z niej konfederackie zwycięstwo. A następnym razem będą mieli czas, aby przyjrzeć się nowej broni i wymyślić posunięcia obronne, i jeszcze będą mieli po swojej stronie potęgę ludzi i metalu. Następnym razem...

\* \* \*

- Król jest rozgniewany - stwierdził Adrian.

Esmond napił się i otarł sobie usta. - Król jest pieprzonym hulaką - powiedział. - Król może kazać nas wszystkich wsadzić na pal przed nastaniem ranka, jeśli wcześniej nie straci przytomności. Może tego żałować, gdy wytrzeźwieje, ale to *nam* nie pomoże.

»Prawdopodobieństwo egzekucji w ciągu następnych sześciu godzin wynosi sześćdziesiąt siedem procent plus minus siedem« rzekło pomocnie Centrum.

»Żeby mu oddać sprawiedliwość« stwierdził krytycznie Raj »Casull tak naprawdę nie rozumie nowej broni. A przy tym, co rozumie, jest z niego niezły, a czasem i dobry dowódca.«

Adrian rozejrzał się po niewielkim podeście na dachu. Był tu z Esmondem, swoimi przybocznymi oraz gromadką oficerów szturmowców... Nikt nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego. *Szczerze mówią c, to nikt tutaj nie jest w nastroju do bycia sprawiedliwym*, pomyślał.

- Jesteśmy jedynymi, którzy skopali Konfederatom dupę, a oni chcą nas wydymać na palu - powiedział Donnuld Grayn. - Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, jak jest się najemnym żołnierzem. Pieprzyć Wyspiarzy. Gdyby to *lord Gellert* dzisiaj dowodził, to pilibyśmy wino Jeschonyka. - Uśmiechnął się ze złośliwą sympatią. - A lord Adrian znowu dupczyłby córkę Demanska.

Adrian się zaczerwienił. Tylko Szarooka wiedziała, jak *ta* nowina się rozeszła. Choć - jeśli słuchało się starych opowieści - to była to raczej działka Gellerix.

- Esmond lepiej by sobie poradził - przyznał neutralnym tonem.

»Ponieważ słuchałby ciebie« powiedział Raj. »Myślę, że pozostawiony sam sobie, sporządziłby plan bitwy, a potem wykorzystał w nim nową broń, zamiast budować plan wokół jej możliwości. Oczywiście, nie ma Centrum, na którym może się oprzeć. Jest więcej niż przeciętnym dowódcą, a mając do dyspozycji zbieraninę broni, jaką tu macie, nawet bardzo dobrym.«

Były takie chwile, gdy całkowita obiektywność jego niewidzialnych towarzyszy stawała się nieco nużąca, nawet dla uczonego z Gaju, który całe życie starał się zachować dystans. We wszystkim trzeba było znać umiar, nawet w samym umiarze.

*A my chcemy, ż eby dzie ki nowej broni zaszły zmiany*, stwierdził Adrian.

»Zgadza się« powiedziało Centrum. »Aby wyrwać tę planetę z bezruchu, innowacje muszą udowodnić swą wyraźną wyższość. Trzeba pokazać, że przyszłość jest jakościowo inna i lepsza od przeszłości. Jest to konieczna zmiana w całościowym wzorze.«

- Pytanie, jakie stoi teraz przed nami - powiedział na głos Adrian, przechodząc automatycznie do *elanchos* z Gaju - to co mamy zrobić, abyśmy *nie zostali...*, ach, wydymani

na palu.

- Cóż, moglibyśmy przyprowadzić królowi całą konfederacką flotę, aby sobie nad nią prażył krewetki - stwierdził ponuro Esmond. - I wszystkie pochwycone statki, wszystkie ich armaty i diabelski proszek.

- Proch - poprawił go automatycznie Adrian, a potem zamarł. Był świadom, że pozostali na niego patrzą, lecz w jego umyśle pojawiło się oślepiające światło; przypominało to ekstazę poprzedzającą orgazm związaną z doznaniem objawienia, było to jednak zwielokrotnione trzykrotnie, wzmocnione przez odczucie trzech oddzielnych osobowości.

- Zaczekajcie, zaczekajcie! - powiedział, unosząc rękę. - Posłuchajcie, to może się nie udać, ale jest lepsze od wbicia na pal. Oto, co zrobimy...

Gdy skończył się potok jego słów, czterej mężczyźni wpatrywali się w niego szeroko rozwartymi oczami, w których odbijały się gwiazdy.

- To samobójstwo - wyszeptał Esmond.

- Och, nie - powiedział Adrian. Myśl o tym, co zaproponował, sprawiła, że na chwilę zamilkł, a jego uśmiech stał się nieco wymuszony. *Wszyscy ludzie poznają przedsmak ś mierci*, przypomniał sobie z surowością. - *Samobójstwem* jest czekanie tutaj, by król zdecydował, że jesteśmy winni śmierci jego syna.

Grayn potarł się po brodzie. - Czy nie moglibyśmy po prostu uciec i zająć się piractwem? - spytał.

- To jest powolne samobójstwo, po tym, jak wkurzyliśmy tylu ludzi - odparował Adrian.

- Zarówno Konfederacji *jak i* Król Wysp chcący dorwać się nam do dupy? Nie sądzę.

Najemnik pokiwał głową. Adrian spojrzał na Simuna. Posiwiwały mały mężczyzna wzruszył ramionami. - Cóż, to ty jesteś lordem, panie, więc, cokolwiek rozkażesz, my to przyjmujemy. - Westchnął i wyprostował się. - Lepiej przygotować ludzi, zanim za bardzo umoczą mordy albo fiuty - jak człowiekowi przerwiesz, robi się zrzędlivy, a jak nie, to śpiący. To był długi dzień...

Jego głos cichł, gdy zbiegał po schodach. Gray wpatrywał się w gwiazdy. - Wydostanie się z portu może być kurewsko trudne - rzekł w zamyśleniu. - Mają ustawioną zaporę.

Tym razem to Esmond się uśmiechnął. - A my mamy nasze oddziały towarzyszące milicji w wieżach po obu stronach wejścia do portu - powiedział. - Księżę Tenny, niech mu będą dzięki, nie zmienił tego, a jak przypuszczam król nie miał czasu, aby wchodzić w

szczególne.

- Zatem musimy martwić się tylko Konfederatami - powiedział Grayn, wstając, podnosząc miecz i hełm i zapinając zbroję. - Jest ich całe pieprzone dwadzieścia tysięcy, a nas tylko parę setek. Na Wodepa, powinienem być zostać w domu i uprawiać oliwki wraz z moimi braćmi.

\* \* \*

- Szkoda, że nie idę z tobą - wyszeptał Esmond, gdy Adrian postawił stopę na sznurowej drabince na burcie *Zemsty*.

Szeptanie nie było konieczne. Znajdowali się poza zasięgiem słuchu z konfederackiej przystani, na tyle daleko, że ognie strażnicze były tylko słabą poświatą w oddali, migotaniem mogącym być widmowymi ognikami pojawiającymi się, gdy zamknęło się oczy.

- A ja się cieszę, że nie idziesz - powiedział Adrian. - Duży braciszku, muszę mieć kogoś, kto wyciągnie moją dupę z opresji. - A na poważnie dodał: - Niech Szarooka Pani Mądrości otoczy cię swoją tarczą dziś w nocy, bracie.

- I ciebie też, jesteś jej ulubieńcem. - A potem parsknął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy?

- Król Casull. *Właś nie* dowiaduje się, że zdezerterowaliśmy!

Adrian odpowiedział mu uśmiechem i postawił stopę w szalupie. Zalśniła biel, dał się słyszeć szum powolnych uderzeń wiosł, gdy trirema i jego towarzysze odpłynęli ku północnemu zachodowi, oddalając się od wybrzeża.

- Zaczynamy zatem - powiedział Adrian, gdy okręty zniknęły w bezksiężycowej ciemności. Odwrócił głowę i błyszcząca strzałka pojawiła mu się przed oczami.

- Tak jest, ponie - zgodził się Simun. Dzisiejszej nocy on wraz ze swoim bratankiem byli ładowaczami i wiosłarzami Adriana, na jego delikatną prośbę - w końcu, jak zauważył, *był* synem rybaka i czuł się jak w domu w małych łódkach.

- W porządku - ciągnął dalej starszy mężczyzna, zwracając się do swojego krewnego. - A teraz spokojnie - nie chlap, jołopie, wiosłuj miękko albo dostaniesz wiosłem. Niech na piórze nie pojawia się piana, jak je zanurzasz. Wiosłuj cicho.

Znajdująca się przed nimi miękka poświata narastała, gdy skręcali ku północnemu wschodowi. Po pół godzinie Simun i jego bratanek oddychali cicho i głęboko. W ciepłym powietrzu letniej nocy Adrian wyczuwał ich pot. Na wodzie leżała delikatna mgła, kłębiąc się

nisko. Było to pomocne. Panowała taka cisza, że plusk wyskakującej od czasu do czasu ryby był wyraźnie i ostro słyszalny w ciemności. A teraz kwadratowe kształty przecinały noc; zamazane sylwetki na tle gwiazd rozsypanych na wschodnim horyzoncie.

Centrum rozjaśniło Adrianowi widoczność ze swą beznamiętną pewnością. Teraz widział kosze z ogniem wysunięte na palach z drewnianych fortów po obu krańcach sztucznej zatoki i rozproszony blask ognisk z rozległego konfederackiego obozu znajdującego się za nią.

Dolatywał go także zapach obozu, ostry smród wielu ludzi stłoczonych razem. Ognie płonące na wodzie przygasły, żarząc się słabo.

*Niedbalstwo*, pomyślał. Powinny płonąć jasno przez całą noc, podsycane sosnowymi kłodami.

»Oni też mają za sobą ciężki dzień, chłopcze« powiedział Raj. »Trudno jest utrzymywać ludzi w gotowości, gdy są tak wyczerpani. Mimo to, masz rację. Zdegradowałabym każdego oficera, który by na to pozwolił.«

- Zbliżamy się do zapory - rzucił cicho Adrian z miejsca, gdzie klęczał na dziobie małej łodzi. - Jakies tysiąc jardów. Jest ledwo co na poziomie wody. Duże bale.

- Masz oczy jak kot, ponie - mruknął Simun i obejrzał się przez ramię, wiosłując. - Pewnie to od tego, że bogowie ci sprzyjają.

- Stać - powiedział Adrian, gramoląc się pomiędzy nimi na tył łodzi, niosąc wielką siatkę glinianych dzbanów; to sprawiło, że dziób się uniósł, niemal wynurzając się z wody. - Dobra - a teraz tak szybko, jak się da!

- Wiosłuj! - zawołał cicho Simun do swojego bratanka. - Teraz szybko, chłopcze, wyciągnij się i raz, raz! Raz, raz, raz!

Obydwaj mężczyźni pochylili się nad wiosłami. Ich pióra podnosiły się i opadały przy wtórze przyduszonych z wysiłku postękiwań. Adrian czekał w gotowości, gdy wieże wyłoniły się po obu stronach niczym bramy do krainy Cienia - brakowało tylko olbrzymiego trzygłowego psa, choć na wieżach i w leżącym dalej obozie było dosyć psów stróżujących. *Oszalałem*, przeszło mu przez myśl. *Wszystko to było złudzeniem, a ja całkowicie, kurwa, zwariowałem.*

Centrum ukazało mu znajdującą się przed nimi pływającą barierę z kłód. Czekał; a potem kil łodzi otarł się o chropawe drewno z ohydny zgrzytliwym trzaskiem.

- Naprzód! - zawołał i skoczył na dziób, wspomagany impetem uderzenia.

Dwaj wiosłarze ruszyli za nim i rufa łodzi wynurzyła się z wody. Łódź się przechyliła, zakołysała... a potem pomknęła do przodu z pluskiem, który w uszach Adriana brzmiał, jakby właśnie spuszczone z pochylni pięciorzędową galerę przy akompaniamencie orkiestry złożonej z flecistów i bębniarzy. Nawet jego własny oddech przypominał miechy kowalskie. Spowolnił go wysiłkiem woli i syknął, aby uciszyć pozostałych. Łódź unosiła się na wodzie, a wiosła spoczywały luźno na rzemieniach mocujących je do wyciszonych dulek. Simun gramolił się na czworakach, klnąc cicho. Sprawdzał dno łodzi, szukając palcami przecieków, które mogłyby wskazywać na pęknięte poszycie.

Nic. Żadnych krzyków, żadnych zapalanych świateł. Strażnicy na wieżach wypatrywali grubszych ryb... jeśli w ogóle wypatrywali, a nie tylko drzemali. Adrian siedział przez chwilę, spowalniając oddech, czując, jak uspokaja się bicie serca, którego walenie trzęsło mu klatką piersiową.

- Dobra nasza! - powiedział Simun głosem przyciszonym i zawziętym. - Udało nam się, ponie.

- Dobry początek to połowa roboty, a połowa roboty to jeszcze nic - powiedział Adrian, cytując stare przysłowie Szmaragdowców. Lubił je także założyciel Gaju; *szeptano*, że sam był niegdyś kamieniarzem i synem wieśniaka. - Tędy.

Sztuczna zatoka była na tyle prostokątna, na ile się to ludziom udało zrobić. Zupełnie w konfederackim stylu. Jednak od wewnętrznej strony Konfederacji nie wyprostowali brzegu. Miał on kształt półksiężyca, zmieniając cały port w literę U. Niska, nieregularna linia wypełnionych kamieniami statków majaczyła po obu stronach, w odległości pięciuset stóp, a fale załamywały się na jej zewnętrznym skraju, przerzucając nieco białej piany przez tę tamę. Ta konstrukcja nie przetrwałaby nigdy serii zimowych huraganów, lecz musiała przetrwać tylko tak długo, jak trwać będzie oblężenie Preble... a u podstawy litery U znajdowały się okręty.

Centrum spotęgowało rozświetlanie ciemności. Adrian czuł, jakby jakaś niewidzialna nić zaciskała się coraz bardziej wokół jego czoła. A potem wrażenie ustało i pulsująca strzałka wskazała kierunek.

»Cztery przechwycone pięciorzędowe galery« wskazało Centrum.

Adrian podniósł wzrok. - Jest po północy - powiedział. - Nie ma w okolicy nikogo.

- Straże na pokładach ponie - zauważył Simun, kiwając głową ku słabo świecącej latarni



na rufie jednego z konfederackich statków.

- Ale nikogo nie ma na zajętych statkach, jeszcze nie. Dowieź nas, ale trzymaj się tak blisko środka, jak się da. Wprowadź łódź na brzeg tuż obok lewej galery z tej czwórki. Gdy one - poklepał gliniane dzbany - zaczną wybuchać, zrobi się trochę gorąco, więc bądźcie gotowi do odpłynięcia, jak wrócę.

- Trochę gorąco, ponie - zaśmiał się cicho Simun. - Nie spiesz się, ale na cipkę Gellerix, nie ociągaj się także, co?

Wiosła wgrzyły się w wodę, a Adrian - powoli i ostrożnie - załadował jeden z dzbanów do swojej drzewcowej procy. W dzbankach znajdowała się mieszanka oleju rybnego, siarki, nafty wyciekającej ze skał i wapna. Eksperyment pokazał, że razem będą się paliły jak ogień na palenisku w kuźni, a tego ognia nie da się ugasić. Dzbany były również dość kruche.

- Zbliżamy się do brzegu - powiedział. Zapadły jeszcze większe ciemności, gdy wsunęli się w cień rzucany przez pochwyconą galerę. Bił od niej smród ścieków, jak zwykle od wioślarskiej jednostki, nawet gdy przepłukiwano regularnie żęzy. - Złożyć wiosła.

Mężczyźni wykonali polecenie, a Adrian wyskoczył za burtę. Jego sandały zachręściły na żwirze i piasku, gdy sięgał po worek z tym, co Centrum z jakiegoś powodu nazywało *mołotow*.

- Wracam za minutę - rzucił lekko i ruszył plażą. Tarany galer niemal błyszcząły w nieziemskim widzeniu Centrum: Ząbkowany brąz odbijał delikatne światło gwiazd. Gdzieś tam jakiś męski głos wzniósł się w pieśni, a potem urwał się w okrzyku bólu. Pewnie zdzielił go przebudzony śpiący, pomyślał z roztargnieniem Adrian. Mężczyzna szedł swobodnie. Gdy wyglądało się, jakby człowiek był u siebie, umykało się przelotnym spojrzeniom. Ludzie widzieli to, co spodziewali się zobaczyć. Adrian odwrócił się, przyjął odpowiednią pozycję i wycelował. *Z lewa na prawo*, pomyślał. *Zamach, zamach, wyrzut*.

Dzbanek poszybował łukiem, kołysząc się lekko, gdy przelewał się znajdujący się wewnątrz płyn. Pocisk trafił prosto w forkaśtel pierwszej galery - w drewniany czworobok dodany po to, by utrzymać ciężar armat. *Trzask*. Niezbyt głośny, lecz wyraźny w tle szemrania fal i bzyczenia nocnych owadów. Błysk światła, gdy powietrze zetknęło się z wapnem. *Trzask*. I jeszcze jeden, dla pewności. *Trzask. Trzask. Trzask. Trzask. Trzask. Trzask...*

Pożary na każdym z czterech pochwyconych okrętów. Na tyle mocne, że wyraźnie

oświetliły ten odcinek plaży. Farba, sznury i suche drewno sosnowe zajmowały się łatwo. Teraz mógł się już tylko modlić.

»Prawdopodobieństwo optymalnego wyniku pięćdziesiąt jeden procent plus minus trzy« podrzuciło pomocnie Centrum. »„Optymalny” oznacza przeżycie Adriana Gellerta.«

*Mimo to się modłę*, pomyślał Adrian, biegnąc z powrotem do łodzi.

- *Miło* cię znowu widzieć, ponie - wydyszał Simun. Odbili i zaczęli wiosłować, choć miał nadzieję, że nie tak szybko, aby przyciągnąć uwagę.

- Uch-och.

Róg zagrał w nocy, a potem odezwał się bęben alarmowy. W potęgującym się świetle płonących okrętów zatoka wyglądała na znacznie mniejszą niż w ciemnościach. O wiele mniejszą, a kosze z ogniem ustawione przy fortach u wejścia nagle buchnęły płomieniem, gdy przyciągnięto je, a potem wysunięto ponownie, załadowawszy sosnowymi kłodami. Pośród chat znajdujących się najbliżej plaży, zaludnionych przez załogi konfederackich okrętów, zaroilo się od mężczyzn gnających ku brzegowi. Już po chwili pierwsi z nich brodzili w wodzie i wspinali się po burtach swoich statków. Oficerowie odciągali ich od płonących okrętów - była to naprawdę przesadna ostrożność. Znajdowały się blisko, ale nie aż tak, a bez olinowania i podniesionych żagli trzeba było czegoś więcej niż tylko żaru i iskier, aby zajęły się ogniem. *Konfederatom mogłoby się udać ugasić pożary na zajętych statkach, gdyby ruszyli prosto do nich*, pomyślał sobie Adrian. Mężczyzna robił wszystko, aby tylko nie zastanawiać się nad tym, co mogło się stać, a na co nie mógł nic poradzić. Po tym jak już skończą zajmować się swoimi statkami, nie będą mieli na to szansy, lecz wyćwiczone odruchy były silniejsze niż myśl w sytuacjach zagrożenia takich jak ta.

Płomienie wystrzeliły wyżej na dziobach dawnych wyspiarskich okrętów wojennych.

Adrian nagle poczuł się jak robak na talerzu. Kręcił głową, starając się patrzeć we wszystkie strony naraz. Simun i jego bratanek klęli śpiewnym chórem, szaleńczo wymachując wiosłami, niczym na przedstawieniu w czasie festiwalu Koziej Pieśni. Ludzie tłoczyli się na parapetach drewnianych fortów - łucznicy. Od jednego z fortów odbiła sześciowiosłowa szalupa, a stojący na dziobie oficer wskazywał na *niego*. Coraz więcej ludzi zbiegało na brzeg i narastający szum dochodzący z konfederackiego obozu przypominał przebudzenie się z zimowego snu jakiejś ogromnej bestii, która rozzłoszczona i rozgniewana... powarkiwiała. *Szzz*. Salwa strzał spadła w wodę koło dziobu łódki. *Szzz*. Tym razem bliżej, a intruzi

sami wpychali się jeszcze głębiej w zasięg broni. Światło zaś jeszcze bardziej pojaśniało. Widział teraz wyraźnie na kilkaset jardów. Widział obsługę obracającą balistę na szczycie wieży, miotacza oszczepów, które mogły przyszpilić człowieka z odległości tysiąca stóp, a co dopiero niecałych czterystu dzielących jego dotkliwie odsłonięte ciało od katapulty. Obrócił głowę z powrotem ku brzegowi. Były tam inne małe jednostki. Ludzie krzyczeli, pokazywali na łódkę Adriana i spuszczaali łodzie na wodę. *Wszyscy ludzie poznają przedsmak ś mierci*, powtórzył w duchu. A potem: *Helga. Niech to szlag...* Świat się skończył.

\* \* \*

- Co to jest? - wykrztusił Donnuld Grayn.

- To mój brat - powiedział Esmond, uniósł rękę i krzyknął.

Musiał zrobić obie te rzeczy. Szturmowcy skradali się do konfederackiego obozu w ciemnościach, ich okręty leżały lekko wyciągnięte na brzeg, z tyłu, na północy. Na chwilę noc stała się tak jasna jak dzień. Ogromna kula ognia wzniosła się w miejscu, gdzie wybuchły magazyny na pochwyconych wyspiarskich galerach, podświetlając tylny wał obozu. Wystrzeliły stamtąd strumienie i wstęgi płomieni, a ogromne płonące kawałki drewna koziółkowały w powietrzu. Gdy spadły, to, na czym wylądowały, też się zapalało: pozostałe okręty w porcie, długie szopy na brzegu wypełnione smołą, terpentyną, sznurami, deskami i żaglami oraz magazyny z oliwą i zbożem, koszary z surowej sosny postawione przez Konfederatów...

Jedna z drewnianych wież znajdujących się wzdłuż wału od strony lądu także stała w płomieniach; spadła na nią z nieba mierząca dwadzieścia stóp sosnowa belka więzarowa płonąca jak pochodnia. Na parapecie zaroilo się od ludzi, gorączkowo szarpiących płonące drewno i na próżno oblewających je wiadrami wody.

- Ognia! - krzyknął Esmond, otrząsając się ze zdumienia. - Ognia i uratujcie waszego lorda!

Arkebuzy ludzi Adriana zaczęły powarkiwać z metodyczną gorliwością. A na wale konfederackiej fortecy ludzie zaczęli ginąć.

\* \* \*

*O kurna*, pomyślał Adrian, prostując się.

Bolały go uszy i głowa, gdy nią potrząsnął, aby lepiej widzieć. Jednak mimo bólu na jego

ustach pojawił się uśmiech. Połowa portu stała w ogniu. Połowa leżącego za nim obozu też - a większość znajdujących się tam ludzi była zbyt zajęta, aby przejmować się maleńką łódką, którą zobaczyli chwilę temu. *No może trzy czwarte*, pomyślał, gdy na kolejnym konfederackim statku zaczęły szaleć płomienie, a jego załoga pokładowa zmykała na brzeg lub za burtę.

Szzz. Coraz więcej strzał wpadało w wodę dokoła łodzi. Dwie z nich wbiły się w ławę wiosłarską, brzęcząc jak pszczoły.

- Bałbym się, gdybym miał na to czas - powiedział cicho Adrian. A na głos: - Wiosłujcie ku północnemu brzegowi zatoki. Ku temu statkowi!

Wskazał na jeden z zatopionych frachtowców, znajdujący się w zasięgu rzutu z procy od północnej wieży. A potem wstał, z procą zwisającą w dłoni, starając się kolanami zrekompensować bujanie się małej łódki. Nieprzyjacielska szalupa była teraz całkiem blisko, na tyle blisko, że dostrzegał, jak blask pożaru migotał rdzawo na włóczniach mężczyzn siedzących pomiędzy wiosłarzami.

Zamach. Zamach. *Wyrzut.*

Jego ręka poruszała się ze ślepyim posłuszeństwem zgodnie ze wskazówkami Centrum. Jego palce pociągnęły za rzemyk, gdy błysnęła czerwona kropka. Ognista bomba - *mołotow* - poszybowała łukiem, po równej, nieuchronnej trajektorii. Usłyszał, jak roztrzaskuje się o napierśnik oficera w szalupie, a jeszcze wyraźniej usłyszał jego wrzask, gdy ogarnęły go płomienie. Na szczęście - dla Adriana, a nie człowieka w szalupie - ten przewrócił się, wpadając w ramiona swoich ludzi, rozsiewając ogień pomiędzy nimi, zapalając włosy, tuniki i drewno łodzi z bezstronnym okrucieństwem.

- Wiosłujcie, niech was bogowie pokarają! - ryknął Adrian na Simun a i jego bratanka.

Na wieżach widziano, co się dzieje, a co gorsza także dokąd zmierza łódź. Adrian wsadził rękę do płóciennego worka; jeszcze trzy *mołotowy*. Strzały padały dokoła. Sporo z nich wbijało się w drewno łódki. Jedna przeleciała mu koło ucha na tyle blisko, że połaskotało go jej pióro. Dwa cale w lewo i jedynym dźwiękiem, jaki by usłyszał, byłby chrzęst strzały wbijającej mu się w mózg.

Impet uderzenia; dziób łodzi znajdował się na równi z relingiem zatopionego, wypełnionego kamieniami frachtowca. Gdy wskakiwał na jego mokry i niestabilny pokład, drewno rozłaziło mu się w rękach. W odległości dwóch statków stąd, gramolił się w jego

kierunku oddział z wieży, z uniesionymi tarczami i assagajami. Twarze żołnierzy były czerwone od blasku płonącego obozu. Musiał być dla nich widoczny jako czarna sylwetka, postać rodem z ciemności nocy.

- Z tyłu! - krzyknął do nich. - Wasza wieża też się pali, wy jebacze velipadów!

Zamach. Zamach. *Wyrzut.*

Śmignął *mołotow*, nie w kierunku żołnierzy, lecz w stronę drewnianej fortecy znajdującej się za nimi. Głowy zwróciły się w tym kierunku i ludzie zobaczyli, gdzie pozostawił smugę czerwonego ognia na drewnie.

Zamach. Zamach. *Wyrzut.* Ostry ból w nodze, ponad kolaniem, które o mało co się pod nim nie ugięło. Ból był odległy i Adrian go zignorował. Zignorował słabość i zmusił mięśnie do sztywności. Zamach. Zamach. *Wyrzut.* Ostami *mołotow* wyrzwał w drewno wieży.

Jeden z żołnierzy gramolących się ku niemu wrzasnął w panice, odrzucił tarczę i wskoczył do morza. Nie było to *zupelne* szaleństwo, jako że nie zdążył założyć kolczugi.

Mężczyzna puścił się ku przeciwległemu krańcowi zatoki niezgrabnym, wierzgającym stylem. Było to jak pierwszy kamyk poruszający lawinę. Ludzie zaczęli rzucać się z wieży do wody.

Adrian poczuł, jak opada z niego wielkie napięcie, a wraz z nim ulatuje z niego siła.

Noga się pod nim ugięła i nagle usiadł na pokładzie, wpatrując się z niedowierzaniem w strzałę o czarnym piórze wbitą w mięsistą część uda. A potem poczuł ból i zagryzł zęby, żeby powstrzymać jęk.

Simun pochylał się nad nim. - Nic poważnego, panie. Grot przeszedł na wylot, czysto.

Zaraz ją złamię i wyciągnę...

- *Nnnngh!*

- Już po wszystkim, panie, jak przewiążę, będziesz zdrow jak ryba...

- Wuju.

Simun podniósł wzrok i zobaczył, jak ostatnich dwóch Konfederatów wdrapuje się na dziób frachtowca. - Cóż, niech mnie szlag, niektórzy ludzie nie wiedzą, kiedy nie są mile widziani - powiedział, podnosząc procę Adriana. Poszperał w swoim mieszk u pasa, wyciągnął ołowianą kulę wielkości małej śliwki i wrzucił ją do kieszeni procy.

*Trzask.* Pierwszy Konfederat poleciał do tyłu z owalną dziurą w czole i oczami wybałuszonymi od hydrostatycznego szoku wskutek uderzenia, które zlasowało mu mózg.

Simun rzucił procę, dobył miecza i odczepił od pasa małą, okrągłą tarczę. - Odsuń się, Davad - nakazał bratankowi.

Dwaj Szmaragdowcy odsunęli się od siebie i Konfederat zaczął się wycofywać - miał tarczę i hełm oraz assagaja, ale nie miał na sobie kolczugi.

- I pospiesz się - powiedział Simun, ruszając zwinnie do przodu. - Musimy przeciągnąć łódź przez to kurestwo do miejsca, gdzie czeka na nas lord Esmond. A dowódca powinien dostać się do lekarza.

## **Rozdział trzynasty**

- Dlaczego czuję, jakby to był stryczek? - wymruczał pod nosem Esmond, oddalając się od króla Casulla z łańcuchem ze złota i szmaragdów podskakującym mu na szyi.

Ten szept mógł zginąć w ryku tłumu, gdyby Centrum nie filtrowało odbieranych przez Adriana dźwięków. *Szkoda, że nie możesz sprawić, żeby noga mniej mnie bolała*, pomyślał.

potem odezwał się do brata: - Tak może być, jeśli nie będziemy uważać.

Król Wysp promieniował dobrocią, gdy tak machał do tłumów z podwyższenia na przystani, wyciągając ramię i wskazując na Gellertów. Lekkie zmrużenie oczu nie uszło uwagi Adriana, gdy wiwaty przeszły w histeryczne, radosne uniesienie. Gellertowie byli zbyt popularni, teraz, gdy konfederacka flota zmieniła się w popioły i wszyscy Konfederaci, oprócz pozostawionego na wszelki wypadek garnizonu, wycofywali się na wschód. Byli zbyt popularni i byli najpewniejszymi kandydatami do rządzenia Preble. Ludność z pewnością nie będzie miała nic przeciwko temu; problemem będzie powstrzymanie ich przed uczynieniem z Esmonda i Adriana bóstw i składaniem im ofiar. Po miesiącach oczekiwania na mających złupić miasto Konfederatów, nie było to zaskakujące.

*Nie było też bezpieczne, z punktu widzenia Casulla*, pomyślał Adrian, gdy synowie syndyków Preble - którzy rywalizowali o ten zaszczyt - unieśli drągi krzesła-lektyki, aby zanieść go na bankiet. *I nie są dżę też, aby Casull był typem człowieka, który zapomni o Tenny.*

- Za tydzień - powiedział do brata, znajdowali się bowiem blisko siebie w lektyce - sam siebie przekona, że celowo wystawiliśmy Tenny'ego, abyśmy sami mogli zająć Preble i zostać jego królami.

Esmond zmrużył oczy. - On sam tak by postąpił - zwrócił uwagę. Adrian skinął głową. Król Casull IV nie był w końcu synem Casulla III - zaczynał jako ambitny generał. -

Właściwie - ciągnął dalej Esmond - to nie taki znowu zły pomysł. Gdybyśmy tu rządźli, moglibyśmy przysporzyć Konfederacji *nie koń czą cych się* zmartwień.

Adrian rozejrzał się dokoła zaniepokojony, na tyle szybko, że poczuł nowe ukłucie bólu w obandażowanej nodze. Goiła się tak szybko, że było to niemalże cudem w tym gorącym klimacie - Centrum podrzuciło kilka wskazówek dotyczących spirytusu zawartego w winie - ale była to poważna rana.

- Nie, nie martw się, braciszku - powiedział Esmond. - Nie udałoby się nam to. Nie gdy mielibyśmy przeciwko sobie Casulla i Konfederatów. Konfederaci mogliby nas przyjąć jako swoich królów-klientów, ale to oczywiście odpada. - Jego uśmiech stał się nieco dziwny. - Ich obóz spłonął, lecz Vanbert wciąż stoi... a Nanya nie została jeszcze pomszczona.

Adrian przełknął ślinę i odwrócił wzrok. - Cóż, mam tak pomysł - powiedział. *Ja i moi przyjaciele*. - Powinien pozwolić nam na zniknięcie z Kielicha, co spodoba się Casullovi, a Konfederatom przysporzy sporo zmartwień, co spodoba się nam obydwu - *choć tobie bardziej niż mnie, bracie* pomyślał smutno. Bezlitosne wizje ukazywane przez Centrum pozostawiały człowiekowi niewiele wartości, z którymi został wychowany - i myślę, że to może *rzeczywiś cie* zmienić sytuację.

- Jeśli tylko jest to zmiana, którą Konfederaci znienawidzą, to jestem za - powiedział Esmond, machając gromadce piękności z haremu wychylających się z okna i rzucających suszone płatki kwiatów. Synowie syndyków przedzierali się z trudem przez tłumy po drodze do ratusza, mimo oddziału szturmowców Esmonda kroczącego przed nimi z wysuniętymi grotami włóczni. - Opowiedz mi więcej.

\* \* \*

- Królu, obyś żył wiecznie, twoje łaski spłynęły na nas niczym światło słońca na pola - powiedział Adrian, lekko zbrzydzonej własną wylewnością. Po wyspiarsku nie brzmiało to aż tak okropnie, lecz rozumiał, czemu jego przodkowie walczyli tak twardo w Wojnach Ligi, aby utrzymać Wyspiarzy z dala od miast Szmaragdowców. - Zachodzimy w głowę, jak możemy odplacić choćby jedną dziesiątą, tysięczną częśćkę życzliwości, jaką okazałeś nam, niegodnym cudzoziemcom.

»Gdy zadajesz się z samowładcą, bij pianę, chłopcze« odezwał się głos Raja.

»Przynajmniej, gdy to on jest teraz do przodu. To część ceny, jaką płacisz za wykonywanie tej roboty.«

Mimo bogactw i tytułów, jakimi król Casull obsypał Gellertów - nie miał wyboru po złożeniu mu u stóp największego wyspiarskiego zwycięstwa nad Konfederatami od pięciu pokoleń - Gellertowie nie byli już zapraszani na małe, nieformalne audiencje. Ta audiencja odbywała się w ratuszu syndyków w Preble. Poza gwardią stojącą wzdłuż ściany za tronem, dwóch gwardzistów stało także przed podwyższeniem, a po bokach króla znajdowało się czterech wyspiarskich admirałów o surowych obliczach - czy też pirackich przywódców, jeśli patrzyło się na to z innej perspektywy.

- Jestem pewien, że znajdziecie jakiś sposób - powiedział Casull, opierając brodaty podbródek o pięść i kładąc łokieć na poręczy tronu. Zakołysała się egreta z pawich piór i diamentów znajdująca się nad obliczem o wiele bardziej pobrużdżonym i posiwiałym niż wówczas, gdy Gellertowie ujrzeli je po raz pierwszy. - Kontynuuj.

- Królu, Wyspy są potęgą na morzu. Konfederacja jest silna na lądzie przede wszystkim przez wzgląd na nieskończoną liczbę żołnierzy. Jest to najtrudniejszy do rozwiązania problem dla Wysp, bowiem podczas gdy Konfederaci mogą zdobyć umiejętności, to Wyspy nie mogą wystawić pół miliona wieśniaków, których można by wcielić do wojska.

- Tak, tak. - Niecierpliwe machnięcie ręką.

- Czy zatem nie byłoby - Adrian złapał się na tym, że wpada w rytm wykładu jak w Gaju i otrząsnął się z tego w duchu - sensowne, stworzyć sojusz z jedyną pozostałą potęgą, która dysponuje ludzkimi zasobami mogącymi się z nimi równać?

Casull uniósł brwi. - Teraz *rzeczywiś cie* mnie zaciekawileś! Jaka to potęga pozostała w cywilizowanym świecie, poza Wyspami, kilkoma małymi okrawkami oraz konfederackimi królestwami-klientami i marionetkami?

- Nie jest to *cywilizowane* królestwo, królu.

Adrian czekał, pocąc się, gdy w ciemnych oczach króla pojawił się błysk. W duchu zapytał znowu: *Czy rzeczywiś cie przysłuż ymy się cywilizacji, uzbrajają c barbarzyńców? Tak nazywają Wyspiarzy, ale Południowcy to pieprzone dzikusy, nie przebierają c w słowach.*

»Zakładając kontynuację obecnych trendów, cywilizacja na północnym kontynencie upadnie. Prawdopodobieństwo jest tak bliskie jedności, jak na to pozwala stochastyczna analiza« pomyślało bezlitośnie Centrum. Przed oczami Adriana pojawiły się obrazy, jeden z nich już przedtem widział - szczerzący się w szczerbatym uśmiechu Południowiec wierzchem ścigający odzianą w jedwabie kobietę, po ulicy płonącego Vanbertu. Adrian zamrugał oczami



i wzdrygnął się, odpędzając ten obraz. Jego własny umysł obdarzył ją twarzą Helgi.

Jeden z admirałów parsknął śmiechem. - Południowcy? Mieliby kłopoty ze zorganizowaniem orgii w burdelu. Są zaciekli i liczni, to prawda, ale Konfederaci wyrzynają ich niczym świnię w zagrodzie, jak przychodzi do otwartej bitwy.

Adrian skłonił głowę. - Jesteś spostrzegawczy, panie - powiedział. - Jednak Południowcy mogą się nauczyć... a ja, jak sądzę, mogę nauczyć ich paru rzeczy.

- Ach - powiedział król Casull, wstając. - Chcesz, abym posłał was do Marange. - Był to wielki, rozległy wolny port anarchistów, coś w rodzaju stolicy południowego kontynentu, jedyne na nim miasto. - Wiele można zdziałać w Marange. Ziemie Południowców są bogate w ludzi... i drewno.

- Ale nie w żeglarzy - powiedział Adrian. *Cóż, wiedziałem, że Casull nie jest głupcem*, pomyślał. - Jak Wasza Wysokość wie, nawet Szarooka Pani we własnej osobie nie nauczyłaby Południowców pływać na kawałku mydła po balii.

Mimowolny uśmiezek wykrzywił usta monarchy. Adrian usłyszał zduszone parsknięcie śmiechu Esmonda, który stał w oficjalnej pozie obok brata, z hełmem zatkniętym pod pachą.

- Ale walka na lądzie to inna sprawa. Owszem, większość z nich to bezmózgie jolopy i nawet cały wiek klęsk nie nauczy ich, żeby nie biegli ku najbliższemu nieprzyjacielowi niczym oszalały byk wielkobestii szarżujący na bramę - ciągnął dalej. - Czyż jednak emisariusze niektórych ich wodzów nie przybyli na Wyspy, wspominając o sojuszu?

- Tak, emisariusze od wodza wodzów Norrysa - powiedział z roztargnieniem Casull.

Większość jego uwagi skierowana była do wewnątrz. Król skupił się na własnych myślach. -

A właściwie, to od jego krewnego, wodza Prelotty. Prelotta spędził pięć lat w Vanbercie jako jeniec w związku z traktatem, jeśli sobie dobrze przypominam.

Adrian pokiwał głową z entuzjazmem. Wystawienie barbarzyńcy na wpływ cywilizacji mogło go nawrócić... albo też mogło nauczyć techniki, zaostrzyć mu apetyt i pokazać, gdzie znajduje się naprawdę *dobry łup*. W każdym razie zwykle czyniło go to bardziej niebezpiecznym.

- Tak, powiem szczerze. Mimo oddanych mi przez was przysług, myśl o moim synu staje pomiędzy mną a szczęściem, gdy widzę wasze twarze. Ale to... tak, musimy o tym pomyśleć.

- Powstał. - Możecie odejść.

Adrian i jego brat przyklękli, a potem wycofali się. Casull był już pogrążony głęboko w

rozmowie ze swymi doradcami.

- Faj! - powiedział Esmond, znalazłszy się w korytarzu na zewnątrz. - Denerwuję się na tych audiencjach. Jakby to powiedział Grayn, moja dupa czuje cień pala za każdym razem, gdy król na mnie patrzy. Przypuszczam, że to dlatego wymyśliłeś tę szaloną sztuczkę.

- Nie zabili nas - podkreślił Adrian, a jego brat uściśnął mu ramię.

- Jeszcze nie - powiedział Esmond. Okrutny uśmiezek rozjaśnił mu twarz. - Ale razem udało nam się zabić całą *cholerną masę* Konfederatów - a ten plan wydaje się być jeszcze lepszy. Konfederację można zranić na morzu, ale żeby ją zabić, trzeba zejść na brzeg.

Adrian zadrżał lekko, podążając za wysoką postacią swego brata w jasność podwórca.

- Ludzie - starszy Gellert zwrócił się do czekających oficerów i podoficerów. - Wygląda na to, że wybieramy się na wycieczkę.

# Epilog

Helga Demansk obróciła się w siodle, aby spojrzeć na szczątki konfederackiego obozu. Gniew walczył w niej z dumą, gdy patrzyła na żebra spalonych okrętów, wyrzuconych na brzeg niczym poczerwiałe szczątki martwych morskich smoków. Rześki jesienny wiaterek przynosił zapach morza i sadzy na tyły kolumny Konfederatów, w której jechali sędzia i jego córka. Helga otarła usta wierzchem dłoni; ostatnio trochę chorowała. Był chłodny, rześki dzień, a fale rozbijały się wysoko na szeregu wyładowanych kamieniami statków. Po miesiącu sztormów pozostanie z nich jedynie wyrzucone na brzeg drewno i porozrzucane na plaży kamyki. Za dwa lata tylko kopczyki pokryte trawą będą wskazywały miejsce, gdzie ludzie przybyli, żeby stoczyć wojnę. Atmosfera opuszczenia panowała teraz wśród pustych koszar i starannie wytyczonej siatki dróg oraz linii świeżej ziemi tam, gdzie rowy zostały z powrotem zasypane ziemią z wałów.

- Ale bigos - powiedziała Helga. Szpiedzy z Preble donosili, kto był za to odpowiedzialny i że Gellertowie wyjechali, lecz nikt nie wiedział dokąd. - Ale Adrian nie będzie już nas tutaj niepokoił.

Jej ojciec poruszył zranionym ramieniem, sprawdzając, jak się goi. - Moja droga, obawiam się, że jeszcze usłyszymy o Gellertach - powiedział. - Jeśli nie tutaj, to gdzie indziej. - Podniósł ramię w salucie, oddając cześć zdolnemu nieprzyjacielowi. Bycie uprzejmym nie kosztowało, nawet jeśli obowiązek wymagał zabicia człowieka. Sędzia ciągnął dalej: - Mimo to, była to pierwszorzędna robota. Może bogowie *rzeczywiś cie* szepczą do ucha temu młodemu Szmaragdowcowi. - Znowu parsknął śmiechem. - Może on jest bogiem w przebraniu, takim, o jakim mówią stare opowieści - a to *było* niczym Wojna Tysiąca Okrętów. Jego córka uśmiechnęła się szerzej i pochyliła głowę ku łękowi siodła. *W takim razie, drogi ojcze, podejrzewam, że e bę dziesz dziadkiem półboga*. Lepiej było się śmiać, niż płakać. Spojrzała na morze. Podejrzewała też, że jej ojciec ma rację. Raczej wcześniej niż później Adrian znowu się *odezwie*.

Helga Demansk stwierdziła, że myśli o tym z przyjemnością.